

B. GEBERT i G. GEBERTOWA

WYPISY  
HISTORYCZNE  
Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH



KSIAŻNICA POLSKA T. N. S. W., LWÓW, ZI-  
MOROWICZA 17 — WARSZAWA, BRACKA 18  
1919

Do udostępnienia  
tylko w Czytelnii



38070  
943.8

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 38070



BGZs 38070

ODBITO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA” WE LWOWIE.

## WSTĘP

Najwcześniejsze wiadomości z dziejów Polski podają t. zw. roczniki. Na pergaminowych tablicach, na których był wykaz świąt (rodzaj naszego kalendarza), na boku, lub między wierszami, zapisywali duchowni ważniejsze zdarzenia. Były to luźne zapiski, zupełnie nie wiążące się z sobą, n. p. o śmierci biskupa, jakiejś darowiźnie na rzecz klasztoru lub kościoła, pożarze, przyjeździe króla, wypadku narodzin w rodzinie książęcej, wojnie i t. p. Autorem pierwszego w Polsce rocznika był wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszy arcybiskup gnieźnieński (Gaudenty, brat św. Wojciecha).

Postęp znaczny w przekazywaniu potomnym zdarzeń dziejowych, w porównaniu z rocznikami, wykazują kroniki. Opowiada w nich kronikarz wypadki w jakimś ciągu, wydaje sąd o ludziach i czynach, choć często nie sprawdza tego, co notuje i nie zastanawia się nad przyczynami zdarzeń historycznych, ani nad ich skutkami. Czyni to dopiero historyk. Zapoznaje się on z istniejącymi źródłami: rocznikami, kronikami, dokumentami wszelkiego rodzaju, bada ich wiarygodność i na tej dopiero podstawie przedstawia dzieje kraju, starając się podać przyczyny, które wywołały pewne wypadki historyczne i skutki, jakie one za sobą pociągnęły.

Niezmiernie cennym źródłem dla historyka są pamiętniki. Są to opisy wypadków, w których autor bądź sam brał udział, lub też których był świadkiem.

Obok dzieł historycznych, które przedstawiają całość dziejów Polski od czasów najdawniejszych, posiada literatura historyczna dzieła, zajmujące się albo jednym okre-

sem dziejów (n. p. dzieje Polski za Piastów, Wojny kozackie, Królowie elekcyjni i t. p.), albo jedną postacią (Bolesław Chrobry, Książę Józef Poniatowski), albo poszczególnym faktem (Pierwsza wolna elekcja, Unja lubelska). Niektórych autorów bardziej interesują wojny, innych sprawy wewnętrzne; jedni badają dokładnie dzieje panowania danego monarchy lub całej dynastji, drudzy zajmują się pewnym wozdem lub politykiem i t. p. Takie dzieła, omawiające poszczególne wypadki dziejowe, nazywają się monografjami. Autor, chcący przedstawić w sposób naukowy całokształt dziejów Polski, musi znać te poszczególne monografie.

W niniejszych Wypisach pomieszczono niektóre wyjątki bardziej znanych kronik, pamiętników, monografji, dzieł historycznych.

Znajdziemy ustępy z kronik Marcina Galla, Wincen- tego Kadłubka, Janka z Czarnkowa, Marcina Kromera. Kroniki te, jak wogóle wszystkie dzieła w tym czasie, pisane są po łacinie; w Wypisach podano je w tłumaczeniu.

Marcin Gall, z pochodzenia cudzoziemiec, kapelan Bolesława Krzywoustego, przedstawia w swej kronice dzieje Polski od Piasta do Bolesława Krzywoustego (1113 r.).

Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, współczesny Kazimierzowi Sprawiedliwemu, na chwałę jego dzieło swe napisał, zaczynając od czasów bajecznych.

Janko z Czarnkowa, podkanclerzy Kazimierza Wielkiego, przedstawia w swej kronice, nazywanej często pamiętnikiem, współczesne sobie chwile panowania Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego.

Marcin Kromer w XVI wieku napisał: O pochodzeniu i dziejach Polaków.

Pierwszym polskim historykiem jest Jan Długosz, kanonik krakowski, nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka. 25 lat życia poświęcił on na napisanie swej historii Polski w XII księgach, którą doprowadził do rządów Kazimierza Jagiellończyka.

Wielu historyków przedstawiło całość dziejów Polski. Do znakomitszych należą Stanisław Naruszewicz i Joachim Lelewel. Naruszewicz, współczesny Stanisławowi Augustowi, na jego polecenie napisał sześciotomową historję Polski,

a oprócz niej doskonałą monografię: Żywot Karola Chodkiewicza.

Joachim Lelewel, przez jakiś czas profesor historii na uniwersytecie wileńskim, jeden z twórców powstania listopadowego, na emigracji przedstawił w sposób barwny i przystępny dzieje Polski w książce p. t. Historia, którą stryj synowcom opowiadał.

Znajdują się też w Wypisach liczne wyjątki z dzieł autorów późniejszych, jak Szajnocha, Szujski, Kalinka, żyjących w XIX w., autorów zmarłych w XX w., jak Korzon, Kuśala, lub współczesnie żyjących, jak Askenazy, Balzer, Bobrzyński, Dembiński, Finkel, Wojciechowski i innych.

Z pośród pamiętników, których olbrzymie mnóstwo posiada polska literatura historyczna, spotkamy wyimki z Paśka, uczestnika wyprawy Czarnieckiego, Kitowicza, żyjącego za panowania saskiej dynastji i Niemcewicza, adju-tanta Kościuszki, który przedstawił w swych pamiętnikach duży okres czasu, widział upadek wolności Rzeczypospolitej, stworzenie Księstwa Warszawskiego, powstanie Królestwa Kongresowego.

Celem tych Wypisów jest pogłębienie i rozszerzenie wiadomości o dziejach naszych i zaznajomienie się w wyjątkach z cenniejszymi dziełami, dotyczącymi przeszłości naszej Ojczyzny.

## ZJAZD W GNIEŹNIE

*MARCIN GALLUS: KRONIKA*

Cesarz Otto Rudy przybył do grobu św. Wojciecha, celem modlitwy i przebłagania, a zarazem poznania głośnego już Bolesława. Bolesław podejmował go w państwie swem z takim poszanowaniem i wspaniałością, z jakim, rzecz słuszna była, aby przyjmował króla i cesarza rzymskiego, a zarazem gościa takiej dostojności. Albowiem dziw nad dziwy rozwinął Bolesław za wstępem cesarza na swą ziemię. Naprzód różnorakie szyki rycerstwa, następnie panów swych ustawił jakby w chóry na rozległej płaszczyźnie, a różnobarwność szat pojedyncze grupy między sobą wyróżniała. I nie była to lada jaka różnaitość stroju, lecz cokolwiek kosztowniejszego gdzie między ludami mogło się wynaleźć. Bo za czasów Bolesława każdy rycerz, a także niewiasty przydворne, zamiast szat lnianych albo wełnianych używały bławatów. Najdroższych nawet futer nie noszono na dworze jego bez pokrycia bławatem lub złotogłowiem. W tych to czasach bowiem złoto za pospolity kruszec uważano, tak jak gdzieindziej srebro, a podłe srebro za plewę miano.

Patrząc na tę jego świetność, potęgę i bogactwo, zawołał cesarz rzymski w zdumieniu cały: „O, na koronę cesarstwa mego, większe to jeszcze, co widzę, nad wieści sławą mi głoszone“. Po naradzeniu się zaś z dostojnikami swymi, wobec wszystkich dodał: „Nie jest to rzecz godna, aby takiego męża

zwać pospołu z innymi urzędnikami zwierzchnimi dukiem (księciem), albo komesem (hrabią), lecz chwalebnie raczej go na tron królewski podniesionego, diademem (koroną) uświetnić“. I przy tych słowach koronę cesarską zdjawszy z swej głowy, na głowę Bolesława w zakład przyjaźni włożył, a za chorągiew triumfalną dał mu w upominku gwóźdź z krzyża Pańskiego, wraz z włócznią św. Maurycego, za co go wzajem Bolesław ramieniem św. Wojciecha obdarował. Taką też w owym dniu serdecznością wzajemną się zjednoczyli, że cesarz zamianował go bratem i sprzymierzeńcem cesarstwa, przyjacielem i towarzyszem ludu rzymskiego.

Tak chwalebnie przez cesarza wyniesiony na godność królewską Bolesław dał dowód wrodzonej sobie hojności, wyprawiając przez trzy dni z rzędu po swem ukoronowaniu ucztę z królewska i z cesarska i po każdym dniu skończonym zmieniając naczynia i sprzęty, przyczem dobywać kazał coraz bardziej rozmaitych i coraz kosztowniejszych. Po powstaniu od każdej ucztę kazał podczaszym i stolnikom naczynia złote i srebrne, gdyż drewnianych wcale tam nie było, a mianowicie: misy i czary, różny i noże, jakoteż rogi do picia, ze stołów przez wszystkie trzy dni zbierać i cesarzowi odnosić dla uczczenia go, a nie w daninie książęcej. Podobnie kazał komornikom bławaty rozpięte i zastony, kobierce, obrusy, przyodziewki, ręczniki i wszystko, co przy usłudze na jaw dobywane było, zebrać i odnieść do komory cesarskiej. Prócz tych dał wiele naczyń innych, tak złotych, jak srebrnych różnego wyrobu; bławaty zaś różnego koloru, ozdoby niewiadomego przeznaczenia, drogie kamienie, a wszystkiego tego taki dobór i obfitość, że cesarz dary te jakby za cud i mrzonkę poczytywał. I dostojników jego Bolesław tak wspaniale obdarzył, że zupełnie sobie ich zjednał i uczynił ich najprzyjaźniejszymi sobie, oddanymi mu duszą i ciałem. Lecz któż zliczyłby zdołał, co i w jakim rodzaju między znakomitszych gości rozdał, gdy ani jeden pacholek z pomiędzy takiego mnóstwa bez daru nie odszedł. Cesarz rozradowany z darami wrócił do swej stolicy.

## II

## KRÓLESTWO POLSKIE I KORONACJA BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO (1076)

TADEUSZ WOJCIECHOWSKI: SZKICE  
HISTORYCZNE Z XI W.

Królewskość była w świecie rzymsko-katolickim instytucją nową i jego własną. Rozwój historyczny zachodniej i środkowej Europy podniósł z biegiem czasu cały szereg dawnych księstw pogańskich do nowej godności królewskiej. Ale korona nie mogła być jakby nagrodą za przyjęcie chrztu. Zależało to raczej od tego, o ile narody nowochrzczone miały dosyć mocy do utrzymania własnego i niezawisłego państwa. Gdzie było tej mocy podostatkiem, jak n. p. u Węgrów, tam korona królewska zjawiała się odrazu i bez trudu. Gdzie jednak nie było dostatecznej mocy wojennej, tam narody i książęta, chociaż już dawniej ochrzczeni, dobijali się o koronę długo i nieraz daremnie.

Aby być królestwem, do tego potrzeba było — wedle ówczesnych pojęć — oprócz odpowiedniej mocy państwowej, jeszcze i samodzielności kościelnej. W państwie, gdzie nie było arcybiskupa, nie można było odprawić koronacji, gdyż biskupi nie mieli prawa dokonania obrzędu koronacyjnego przez pomazanie.

Polska miała od roku 1000 wszystko, czego trzeba było do założenia królestwa. Miała dostateczną potęgę wojskową, miała też niezawisłość kościelną, opartą na własnej metropolji. A jednak żadnemu innemu narodowi w całym świecie rzymsko-katolickim nie było tak trudno ustalić się przy godności królewskiej jak polskiemu. Zachody około tego trwały z górą przez trzy wieki. Jeżeli zapytać, dlaczego tak długo, to historia odpowie na to: że obok własnych błędów polskich, największe i najcięższe trudności wynikły stąd, że Polska sąsiadowała z Niemcami, przemożnym mocarstwem, które przewyższała ją kilkakrotnie obszarem ziemi i liczbą ludności, a zatem i siłą wojenną, a pod względem oświaty wyprzedzała o kilka wieków; z mocarstwem, które miało od początku stały zamiar podboju i przyłączenia Polski do swego państwa, a któremu

jednak Polska zawdzięczała naukę chrześcijańską i początki oświaty.

Kiedy Otton I, władca Niemiec, odnowił rzymskie cesarstwo w ręku królów niemieckich, Niemcy, roszcząc stąd sobie prawo do panowania nad światem, zaczęły podbijać narody sąsiednie z większą siłą i zaciekłością, niż kiedykolwiek przedtem. W okresie najbujniejszego rozwoju potęgi niemieckiej, t. j. od połowy X do połowy XI w., otoczone były Niemcy od północy, wschodu i południa całym wieńcem krajów, zmuszonych do płacenia danin-trybutów i do służby wojskowej: Danią, Słowianami połabskimi, Polską, Czechami, Węgrami i Włochami. Te trybuty były funduszem dla cesarstwa niezbędnym; można nawet powiedzieć, że bez nich nie byłoby cesarstwa. Ponieważ zaś nikt chętnie nie płacił i tylko wtedy, gdy musiał, zależało wszystko na tem, by upewnić się co do trwałości dochodu. W tym celu wymyślono osobną politykę wobec takich narodów trybutarnych. Głównymi zasadami tej polityki było: popieranie podziałów państwowych między synami książąt płacących daniny, popieranie walk wewnętrznych, byle mieć powód do wmieszania się w sprawę tego państwa, utrzymywanie niezgody między poszczególnymi narodami, niedopuszczenie do wytworzenia samodzielności kościelnej.

Wobec takich dążeń cesarstwa łatwo zrozumieć, że nowa kościelna prowincja polska, założona w roku 1000, była solą w oku dla władców Niemiec; zwłaszcza gniewało ich to, że arcybiskupstwo w Gnieźnie stanęło za zgodą i współudziałem ich cesarza Ottona III. Obawiano się też słusznie, że za mitrą arcybiskupią pojawi się w Polsce korona królewska, i że książę polski zrzuci się wtedy z wszelkich obowiązków, jakie na nim ciążyły wobec cesarstwa niemieckiego. — Ale nie tylko to. Był między Niemcami a Polską przedmiot sporny: narody słowiańskie między Odrą a Łabą. Podbijali ich Niemcy i podbijali Polacy. Dla Niemców otwierał się tedy szeroki dostęp do morza; ale Polacy, gdyby mieli królestwo, mogliby uprzecznić Niemców w zaborze i pociągnąć Słowian ku sobie. Nastąpiła więc po śmierci Ottona III wojna czterdziestoletnia między Bolesławem Chrobrym a Henrykiem niemieckim. Gdyby zwyciężyli Niemcy, byłby skutek główny: zwiniecie metropolji

gnieźnieńskiej. Do tego nie doszło, bo Chrobry nie dał się pobić, ale nie miał też takiej mocy, iżby zadał Niemcom głębsze cięcie.

Koronacja Bolesława Chrobrego dała narodowi polskiemu możność prawnego usunięcia pogańskiej zasady dzielenia państwa na rzecz jedności państwowej i możność prawidłowego rozwoju na drodze kultury i oświaty. Rozbudziła jednak między Niemcami szalony gniew. „Trucizna pychy zalała duszę Bolesława — mówi rocznikarz niemiecki — tak, iż po skonie Henryka ośmielił się pochwycić koronę królewską. Rychła śmierć ukarała tę zuchwałość. Syn jego Mieszko takież buntownik jak ojciec“. Musiała znowu być wojna. Cesarz Konrad, następca Henryka, zmówił się przeciw Mieszkowi z wszystkimi jego sąsiadami: władcą duńskim, ruskim, węgierskim, a co główna z młodszym bratem Mieszka, Ottonem. Mieszko nie podołał przemocy i stało się, że zrzekłszy się korony, musiał stanąć przed cesarzem w roku 1031, który jako zwierzchni pan Ottona i jego, między nimi sprawę sądził. I tak po siedmiu latach trwania (1024—1031), upadło królestwo polskie po raz pierwszy.

„Kazimierz służy wiernie naszym cesarzom aż do tej pory“ — pisze o następcy Mieszka niemiecki kronikarz, nie dowierzając, czy Kazimierz wytrwa do końca. Jednak on wytrwał: płacił regularnie trzysta grzywien złota i stawał się na dworze cesarskim, ilekroć był wezwany. Nie było na to rady; ówczesny cesarz Henryk III, w jednej osobie król niemiecki i włoski i burgundzki, był tak potężny, że nie tylko Polskę i Czechy, ale i Węgry zmusił ponownie do płacenia danin, a na stolicy apostolskiej osadzał powolnych sobie papieży, przeważnie Niemców.

Po Kazimierzu zapanował w Polsce pierwotny syn jego, Bolesław. Że Polska dążyła do wyswobodzenia się z pod zawisłości niemieckiej, to był naturalny i przyrodzony porządek rzeczy. Kazimierz sposobił do tego siły, a sprawa dokonała się pod Bolesławem II przez wskrzeszenie królestwa, czego zewnętrznym wyrazem był akt koronacji, odprawiony w roku 1076. Dobił się Bolesław korony dopiero w osiemnastym roku panowania. Był to owoc długoletnich i krwawych zachodów. Koronacja Bolesława odbyła się w dniu 25 grudnia, t. j.



w święto Bożego Narodzenia 1076 r. Naznaczył ją na dzień ten Bolesław II oczywiście dlatego, że wiedział, że w tym samym dniu odbyła się niegdyś koronacja pradziada w roku 1024. Wiadomość o tem znajdujemy w naszych rocznikach, ale możliwie najkrócej podaną: Bolesław drugi został ukoronowany. W rocznikach niemieckich niemniej krótko wiadomość tę podają: Bolesław na króla się koronował. Jedynie współczesny Bolesławowi kronikarz niemiecki Lambert, mnich zakonu benedyktyńskiego, podał więcej szczegółów. Jemu też zawdzięczamy wiadomość o dniu koronacji i o piętnastu biskupach, którzy uczestniczyli przy tym akcie. Brak w zapiskach wzmianki, czy Stolica Apostolska przyzwoliła na koronację polską i czy przysłała Bolesławowi koronę z Rzymu. Że koronacja odbyła się za wiedzą i przyzwoleniem papieża, a więc i koronę, przyslaną z Rzymu, przemawia za tem fakt, że Bolesław jeszcze w dwa lata przed koronacją, t. j. w 1074 r., oddał swe państwo dobrowolnie na własność św. Piotra, a także obecność piętnastu biskupów przy koronacji, w której liczbie znajdować się musieli dwaj legaci papiescy. Stąd też wynika koniecznie, że Bolesław złożył przy koronacji przysięgę wierności papieżowi.

## III

## USTAWY ŁĘCZYCKIE

WINCENTY KADLUBEK: KRONIKA

Ktokolwiekby biednym chłopom zboże czy gwałtem, czy innym sposobem zabierał, albo zabierać kazał, niech będzie wyklęty!

Ktokolwiek do dania podwód na posyłki kogobądź przymusi lub przymusić kaze, niech będzie wyklęty, wyjąwszy tylko jeden przypadek, t. j. gdy której prowincji najazd nieprzyjacielski zagraża; nie jest to bowiem niesprawiedliwością, jeżeli jakimkolwiek sposobem stara się kto o ocalenie ojczyzny.

I znów — ktokolwiek zmarłego biskupa mienie zagarnie, lub kaze zagarnąć, czyliby księciem był, czy jakkolwiek zna-

komitą osobą lub urzędnikiem, bez wszelkiej różnicy, niech będzie wyklęty! Ale i ten, ktoby w obłupionej stolicy biskupiej przyjął godność biskupią, dopóki zwrot grabieży nie nastąpi, lub dopóki łupieżca nie da dostatecznej rękojmi zadośćuczynienia, i ten również jako współnik świętokradztwa kłótnie ulegnie.

## IV

## O SZKOŁACH W POLSCE ŚREDNIOWIECZNEJ DO XIII W.

ANTONI KARBOWIAK: DZIEJE WYCHOWANIA  
I SZKÓL W POLSCE W WIEKACH ŚREDNICH

Do XIII wieku był w Polsce jeden tylko rodzaj szkół, a mianowicie szkoły łacińskie, przygotowujące do zawodu duchownego. Były szkoły katedralne, kolegiackie, klasztorne. Nazwy nie oznaczają różnicy w planach szkół tych, ale wskazują tylko miejsce istnienia szkoły. Szkoły katedralne biorą swą nazwę od katedr biskupich, kolegiackie od kolegiat, a klasztorne od klasztorów. Rozporządzenia w sprawach wychowania i szkół, mające moc obowiązującą w całym świecie rzymsko-katolickim, wychodziły od papieża, względnie soborów. Najwyższym krajowym opiekunem i zwierzchnikiem szkół był arcybiskup gnieźnieński.

Ze szkół korzystali tylko ci, którzy się gotowali do stanu duchownego. Ludzie świeccy, nawet ze sfer najwyższych, uważali wykształcenie szkolne za rzecz dla siebie całkiem nieużyteczną, a zatem i niepotrzebną. Wykształcenie i wychowanie religijne, potrzebne każdemu chrześcijaninowi, dawał dom i kościół. Każdy musiał umieć w swoim rodzinnym języku na pamięć pacierz, oraz znać i rozumieć najważniejsze zasady wiary katolickiej. Pacierza i tych najgłówniejszych zasad wiary uczyły się dzieci od rodziców, a księża utrwalali w kościele, uzupełniali i rozwijali to, czego się dzieci nauczyły w domu. Ta nauka domowa odbywała się w języku ojczystym. Religji w języku polskim nie uczyła żadna szkoła. Szkół ludowych takich, jak są dzisiaj, zupełnie nie było. Szkoła średniowieczna była intuycją czysto kościelną. Kształciła mło-

dzień do stanu duchownego i używała do nauki prawie wyłącznie języka łacińskiego, który był językiem kościelnym. Początków nauki szukać zatem trzeba tam, gdzie się rozpoczyna nauka w języku łacińskim.

Rodzice, przeznaczwszy syna do stanu duchownego, zaczynali go kształcić od pierwszej młodości bądź to w domu, bądź poza domem. Zazwyczaj uczeń, wstępując do szkoły, umiał już na pamięć po łacinie kilka psalmów Dawidowych i najważniejsze zasady wiary chrześcijańskiej, nieco języka łacińskiego, a nadto czytać i pisać. Po tych podstawach zaczynała się właściwa nauka szkolna, składająca się z rozmaitych wiadomości świeckich, a mająca ucznia przysposobić do studjów teologicznych, które były celem całej edukacji średniowiecznej.

Naukę elementarną zaczynało od mechanicznego uczenia się na pamięć pacierza i psalmów w języku łacińskim. To bezmyślne uczenie się na pamięć sprawiało nauczycielom i uczniom trud niezmierny. Sprzykrzywszy sobie zapewne tę męczącą naukę, uciekł św. Wojciech ze szkoły do domu i potrzeba było dopiero surowej kary ojca, żeby chłopca zmusić do powrotu. Trudnego zadania uczenia podstaw podejmowały się niekiedy zakonnice, które miały na to wiele cierpliwości i dużo czasu. Początków czytania uczono za pomocą tabliczek lub karteczek, na których wypisane były litery. Poznawszy litery, przechodzili uczniowie do sylabizowania. Powszechnie używano do tego psalterza, pisanego wielkimi głoskami. Te pierwsze próby czytania musiały się odbywać sposobem czysto mechanicznym, gdyż uczniowie dopiero powoli zaczynali uczyć się łaciny. Nauka szkolna odbywała się od samego początku w języku łacińskim.

Wiek średni znały tylko twardy i ostry sposób wychowania. Aby uczniów od małości przyzwycząić do obyczajów chrześcijańskich, do punktualnego wykonywania przepisów karności i obowiązków, aby poskromić złe popędy i zwalczać nieuctwo, używano najtwardszych środków wychowawczych. Król Bolesław Chrobry karcił starszych ostremi słowami, a młodszych ćwiczył także różgą. Ojciec św. Wojciecha używał różgi z całą surowością. Różgę i trzcinkę przyjęły wieki średnie od Rzymian. Trzcina była godłem nauczy-

ciela średniowiecznego. Z nią postępował on przy uroczystych pochodach uczniów. „Pod różgą zostawać“ znaczyło tyle, co pobierać naukę szkolną. Istniało nawet w średnich wiekach przekonanie, że dziecko, które nie odebrało za życia za wszystkie swoje przewinienia należytej kary, nie mogło znaleźć po śmierci wiecznego spoczynku, jeżeli dodatkowo nie dokonano na zwłokach jego zaniedbanej kary.

Surowej karze cielesnej ulegał św. Wojciech za to, że się lekcji nie nauczył, lub że po łacinie nie rozmawiał. Przeważnie na lekcji gramatyki łacińskiej, która cierpliwość nauczyciela na największą wystawiała próbę, było najwięcej bicia. I nauka śpiewu dawała wiele powodów do bicia. Różgą chłostał papież Grzegorz Wielki uczniów źle śpiewających. Różgę tę pokazywano w Rzymie jeszcze w IX wieku. Powszechnie podlegali chłopcy karom nauczyciela do 16 roku życia.

Ciągłe obawy przed różgami uczyły uczniów rozmaitych wybiegów. Rozgniewanego nauczyciela starano się przebłagać prośbami, łzami lub nadzwyczajnymi zasługami. Wielu, jak św. Wojciech, uciekało ze szkoły do rodziców, lub obawiając się w domu kary, błąkało się po lasach, chowało w jaskiniach. W niektórych klasztorach wydzielano plagi w pewnych oznaczonych dniach uczniom, chociaż na nie nie zasłużyli. Była to jakby generalna pokuta za przewinienia, popełnione w pewnym okresie czasu.

Ciągłe używanie różgi nie mogło nauczycielom średniowiecznym jednać serc uczniów, to też rzadkie były przykłady, że uczeń czule wspominał swego nauczyciela. O łagodnych pedagogach średniowiecznych rzadko się czyta.

## V

### OSADNICTWO NA PRAWIE NIEMIECKIM W POLSCE WIEKÓW ŚREDNICH

FRANCISZEK PIEKOSIŃSKI: O SĄDACH WYŻSZYCH PRAWA NIEMIECKIEGO W POLSCE WIEKÓW ŚREDNICH

W rozwoju Polski wieków średnich jest bezprzecznie jednym z najdonioślejszych czynników zakładanie wsi i miast

na prawie niemieckiem. Obcy zwyczaj, przeszczepiony na naszą glebę, sprzyjające tu dla siebie znalazł warunki, więc też odrazu głębokie w średniowiecznym społeczeństwie naszym zapuścił korzenie. Jemu to kraj nasz zawdzięcza powstanie handlu i przemysłu i szybki rozwój rolnictwa w XIV i XV w., jemu społeczność nasza swój znakomity zmysł kolonizacyjny. Lecz w czym leżała tajemnica, że zakładanie wsi i miast na prawie niemieckiem tak popularnem się stało, że duchowieństwo i rycerstwo starało się jakby o wielką łaskę o uzyskanie przywileju monarszego na to, a nawet monarchowie przenosili wsi z prawa polskiego na niemieckie? Tajemnica w tem polegała, że wieś na prawie niemieckiem osadzona, przy nadzwyczaj prostej swej organizacji zaspokajała wszystkie niemal potrzeby dworu, jak ludności wieśniaczej, że przynosiła każdemu materialne korzyści: dworowi, wieśniakom, duchowieństwu, monarsze, a wreszcie całemu społeczeństwu.

Zobaczmy, w jak prosty sposób cel ten umiano osiągnąć. Za przykład niech posłuży posiadłość rycerska, gdyż na niej najwybitniej okazywały się korzystne skutki zasadzania na prawie niemieckiem.

Wyobraźmy sobie szmat lasu około 40 łanów, t. j. 1200 morgów liczący, w nim drewniana chałupa i niewielka, może kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt morgów obejmująca polana uprawnej roli, tyle, ile starczą sity dworskiej czeladzi na jej uprawę, to mniej więcej przeciętny obraz posiadłości szlacheckiej w XIII w. Czeladź dworska, złożona z zakupnych lub odziedziczonych niewolników, oddaje się uprawie roli na rzecz dworu, paszeniu bydła i trzody na pastwiskach leśnych, na bukwi i żołędziu, tudzież doglądaniu barci. Rybołówstwo i polowanie uzupełniają rubrykę dworskich dochodów. Wieśniak, jako osadnik, któryby nie był niewolnikiem dworu, jest w posiadłościach ówczesnych nader rzadkiem zjawiskiem. Swobodny osadnik garnął się głównie do królewszczyzn lub posiadłości kościelnych i klasztornych, w których z powodu przywilejów monarszych miał zapewniony byt o wiele znośniejszy.

Jakże inaczej wyglądać będzie ta posiadłość szlachecka, jeśli się uda rycerzowi uzyskać przywilej od monarchy na założenie wsi na prawie niemieckiem. Wnet zjawi się zasadźca, który podejmie się osadzenia nowej wsi na suro-

wym korzeniu (lesie) i zakupi sobie od dworu odrazu sołtystwo w tej nowej osadzie za kilkanaście lub kilkadziesiąt grzywien. To pierwszy gotowy pieniądz w znaczniejszej sumie, jaki wpływa do pustej dotąd kieszeni szlachcica. Równocześnie zawarty zostaje układ, obejmujący warunki lokacji, mianowicie ilość łanów przeznaczonych pod nową osadę, prawa i obowiązki sołtysa, prawa i obowiązki przyszłych osadników, unormowanie sądownictwa, oraz sposobu uiszczania dziesięciny. Układ ten spisany zostaje w formie przywileju przez dwór wydanego i przyszłemu sołtysowi wręczonego, który ten w miarę potrzeby okazywać winien dworowi lub włodarzowi dworskiemu. Potem następuje wymiar łanów przeznaczonych pod nową osadę; ogólna ich powierzchnia wymierzana bywa w figurze wedle możności zbliżonej do czworoboku lub prostokąta. Potem wymierza się pojedyncze łany, możliwie najregularniejsze. Przypuśćmy, że powierzchnia przeznaczona pod nową osadę wykazuje 30 łanów, to z tych dwa wolne od wszelakiego czynszu, stanowią uposażenie sołtysa, dwa idą pod wspólne pastwisko, zwane pospolicie skotnicą, jeśli kościół istnieje lub ma być założony, tedy jeszcze dwa łany, wolne od czynszu, przeznaczone zostają na jego uposażenie. Reszta pozostała, 26 względnie 24 łanów, to kmiece role czynszowe, przeznaczone dla przyszłych osadników, o których sprowadzenie sołtys się teraz troszczyć będzie.

Czynsz z takiego łanu, stale na św. Michał opłacany, wynosi około połowy XIV w. mniej więcej 12—24 groszy, dziesięcina z łanu połowę, lub nawet dwie trzecie czynszu. Wszelako nie zaraz po założeniu wsi na prawie niemieckiem czynsz ten staje się płatnym. Powierzchnia, przeznaczona pod nową osadę, nie posiada jeszcze ani skrawka uprawionej ziemi, całą miarę pokrywa las starodrzewny, lub przynajmniej gaj. Trzeba zatem dać osadnikom czas, by sobie przedewszystkiem las wykarczowali i w uprawną zamienili rolę. W tym celu nadawał dwór osadzie tak zwany czas wolnizny od kilkunastu do dwudziestu lat, w ciągu których osadnicy wolni byli od czynszów i dziesięcin. Oprócz łanów zostaje jeszcze wymierzonych kilkanaście zagród czyli dworzyszcz, obejmujących każde około dwu morgów. Przeznaczone są one dla rękodzielników, więc przedewszystkiem dla rzeźników,

piekarzy, szewców, dla karczmarza, kowala, aby osadnik o ile możliwości wszystkie swe potrzeby mógł mieć na miejscu zaspokojone. Pierwotny zagrodnik bowiem, to wiejski rzemieślnik.

Nawet sądownictwo było na miejscu. Sołtys wraz z ławą, złożoną z sześciu ławników, wybranych z pośród miejscowych osadników, wykonywał sądownictwo wszelkiego rodzaju, z wyjątkiem niewielu ciężkich spraw, które rozstrzygały się na sądach wielkich, trzykroć do roku, w obecności wódatarza wiejskiego odbywanych.

Oprócz dwu łanów, wolnych od wszelkiej daniny, otrzymywał jeszcze sołtys jako dalsze uposażenie szósty grosz czynszu z łanów kmiecyh, trzeci grosz z kar i opłat sądowych, pewne dochody z jatek, karczem, młynów i sadzawek, a niekiedy nawet barcie i łowy, w zamian za co winien był uzbrojony wedle przepisu przywileju stawić się na wojnę wedle potrzeby, towarzyszyć panu swemu na sądy, wiece lub sejmy, wreszcie jeździć za posyłkami pańskimi.

Jedna zagroda czynszowa przeznaczona była dla karczmarza, który wyrabiał piwo, a jeśli w osadzie znalazła się rzeczka, wnet zjawiał się młynarz, który i sadzawkę rybną wykopywał i młyn budował. Był on mechanikiem w całym tego słowa znaczeniu: w miarę potrzeby wznosił dwór i budynki gospodarskie dla pana swego, potrafił naprawić stodoły, ławy i inne sprzęty, znał się nawet na opalisadowaniu gródka, na wystawieniu wieżyc obronnych.

I oto obraz wsi na prawie niemieckiem osadzonej. Po upływie lat wolnizny, w jakżeż odmiennem położeniu znajdują się ci wszyscy, którzy się na przywileju lokacyjnym oparli. Więc naprzód dziedzic, który ze swej obszernej posiadłości, pokrytej starodrzewiem, krom zaspojenia niezbędnych potrzeb życia, żadnych zgoła nie miał dochodów, obecnie pobiera rocznie z łanów czynszowych 20 do 30 czerwonych złotych, oprócz dochodów z sądownictwa i innych drobniejszych, a co ważniejsza, że w przywileju lokacyjnym zastrzeżonem jest, że kmiecie winni dworowi za darmo kilka dni w roku pracować, mianowicie uprawić pole, zasiać, a w czasie żniw zebrać i zwieźć do stodoły — tedy przybywa dworowi, ograniczemu dotychczas na nieliczną czeladź, rąk do pracy, poczyna

on rozszerzać swoje gospodarstwo dworskie czyli folwarczne, karczuje pozostałe powierzchnie lasu, bo ma siły do ich obrobienia i uprawy, i tym sposobem powstaje gospodarstwo folwarczne na większą skalę, dzisiejszy obszar dworski.

Ma też dziedzic wygodę z sołtysa, który mu wszędzie, a zwłaszcza na wojnę zbrojną towarzyszy i z młynarza, który mu zastępuje miejsce domowego mechanika. Z owych 24 wieśniaków, którzy tu przed laty na wieść o świeżej lokacji z gołemi prawie rękami przyszli, mamy dzisiaj 24 zamożnych kmieci. Każdy z nich załogę, jaką dostał od dworu w bydło i ziarnie na pierwsze zagospodarowanie, już dawno dworowi w latach wolnizny zwrócił; obecnie posiada on, oprócz wspólnego pastwiska i wspólnego użytku z lasu dworskiego na opał i budulec, łan ziemi uprawnej na wyłączną własność, z którego opłaciwszy czynsz dziedzicowi i dziesięcinę kościołowi, a nadto niewielką królewszczyznę monarsze, która przywilejem koszyckim z r. 1374 ostatecznie na dwa grosze od łanu określona została, już więcej do niczego nie był obowiązany, krom kilku dni roboczych przez rok dla dworu i dwu obiadów dla wódatarza dworskiego podczas wielkich sądów, trzeci obiad ciążył już na sołtysie. A jeśli nawet co przewinił, nie pociągano go do grodu, lecz stawał we własnej wsi przed swoim sołtysem i ławą, złożoną z najbliższych sąsiadów, a w sądzie tym nikt nie miał interesu gnębić go nad słusność, gdyż tak sołtysowi, jak i dziedzicowi zależało na tem, aby wieśniacy, bezprawnie uciskani, nie uciekali z roli, iżby przez to łany nie pustoszały.

Wreszcie i sołtysa położenie bardzo było ponętne, tak pod względem materialnym, jak moralnym

Lecz nie tylko dla tych, którzy przy zakładaniu osady na prawie niemieckiem jako bezpośredni działacze występowali, płynęły obfite korzyści, płynęły one i dla tych, którzy bardzo mało lub nic się do takich lokacji nie przykładali. Należy tu w pierwszym rzędzie kościół, który przychodził do znacznych dochodów z dziesięcin, a i państwo z lokacji na prawie niemieckiem wielkie miało zyski. Ogromne powierzchnie leśnych pustkowi przemieniały się w uprawną rolę, nadając ojczyźnie naszej coraz bardziej cechę kraju rolniczego, w miastach poczęły się rozwijać handel i przemysł, kwitnąć rękodzieła.

W miejsce ustępującej zwolna klasy wieśniaczej pierwotnego naszego społeczeństwa, żyjącej bez oświaty i bez jakiegokolwiek nadziei w lepszą przyszłość, uciskanej różnemi posługami publicznemi, lub na rzecz swych dziedziców, powstawała klasa zamożnych kmieci, która, wolna od wszelkich ucisków i udręczeń, ze swobodną myślą nie tylko chętnie oddawała się pracy, której owoce przedewszystkiem był jej polepszają, ale nadto powołana do samorządu gminnego, rozwijała się umysłowo w społecznym kierunku.

Skoro więc osadnictwo na prawie niemieckiem tak znakomite zarówno dla państwa i kościoła, jak dla dworów, sołtysów i kmieci sprowadzało korzyści, nic dziwnego, że tak głębokie w społeczeństwie zapuściło korzenie, że nawet jeszcze w XVIII w. spotykamy się z nowemi nadaniami na prawie niemieckiem.

## VII

### STAROŻYTNY KRAKÓW

MICHAŁ BOBRZYŃSKI: BUNT  
WÓJTA ALBERTA z r. 1311

Chodząc dziś po ulicach Krakowa, niepodobna stworzyć sobie obrazu jego minionej świetności. Kraków wielki, wspanały XV-go XVI-go i XVII-go stulecia sięga początkami swojemi co najwyżej czasów Kazimierza Wielkiego. Jakże wyglądał przedtem, przed Kazimierzem, w XIII-ym i w początkach XIV-go stulecia?

Podróżnego, który wówczas, przebiwszy się przez gęste lasy, znalazł się w obliczu Krakowa, inny uderzał widok. Nie było jeszcze przedmieść, nie było Kazimierza, Kleparza, które osobne później stanowiły miasta. Kraków zamykał się w obrębie dzisiejszych plantacji, a strzegły go nie tyle słabe mury, ile szerokie rowy i ostrokoły. Gdy je gość przekroczył, znalazł już te same co dzisiaj i tak samo nazwane ulice, przy nich domy chędogie, ale skromne, wystawione przeważnie z drzewa, po części jeszcze strzechą słomianą pokryte, ogrodami zwykle od siebie odgraniczone; znalazł rynek w po-

środku z ratuszem i handlowemi kramami, a w miejscu późniejszych świątyń ujrzał kościółki, w których styl gotycki łamał się dopiero z romańskim. Było się gdzie pomodlić, można było znaleźć gospodę i positek; ale jeżeli gościem był Polak i na ulicy do przechodnia w ojczystym języku przemówił, przekonał się, że go nie rozumiano, że mowa polska kończy się u bram miasta, a w obrębie jego żywił i język niemiecki wszechwładnie panuje.

Miejsce dawnej osady polskiej, skupiającej się około grodu książęcego na Wawelu, zajęło w połowie XIII-go wieku miasto niemieckie, a na to zjawisko złożył się znany przewrót w dziejach Polski XIII-go wieku. Komuż nie stanęły w pamięci, kto raz o nich nie słyszał, owe straszne napady Mongołów, które tylekroć Polskę ówczesną zalały? Pierwsza nawała, prowadzona przez samego Batuchana, spaliwszy Sandomierz, Kraków i Wrocław, a oparłszy się dopiero o Lignicę, nie pozostawiła po sobie kamienia na kamieniu, a otworzyła wrota nieustannym najazdom barbarzyńskiej dzicy.

Stabi, wskutek podziałów po śmierci Krzywoustego, książęta nie mogli im stawić silnego oporu, a tak w krótkim przeciągu czasu dzielnica, na której niegdyś pierwsi Bolesławowie opierali swoją potęgę, gdzie kwitnęło rolnictwo, a pod osłoną grodów polskich zaczynały się rozwijać miasta, stała się jedną wielką, przerażającą pustynią. Resztki ludności, które nie padły pod mieczem i ogniem najeźdźców, które nie poszły w gorszy od śmierci jasyr, błąkały się po lasach wystraszone, wylękłe, społeczeństwo straciło swoją spójnię, brak było rąk do pracy, kapitału, a głównie otuchy.

Wówczas to dla kraju, pogrążonego w ostatniej ruinie, pozostał jeden środek ratunku, sprowadzenie i osiedlenie Niemców, chętnych do pochodu na Wschód w słowiańskie dziedziny. Nie było chwili do stracenia; chwycili się go oburącz książęta, a osobliwie panujący podówczas w ziemi krakowskiej, sandomierskiej i sandeckiej, Bolesław Wstydliwy. Przykład księcia naśladowali biskupi krakowscy, naśladowały przedewszystkiem zamożne i Niemcami obsadzone opactwa w Miechowie, Tyńcu, Mogile i t. d. Kolonizowały się ze Śląska, z Saksonji, z Frankonji, a nawet z Flandrji wsie polskie, miasteczka i miasta. Wówczas też na zgliszczach daw-

nego polskiego Krakowa odbudował się nowy, niemiecki Kraków.

Obraz tej kolonizacji skreślony jest w przywileju, wydanym miastu w r. 1257 przez Bolesława Wstydliwego, a przechowanym dotąd w oryginale w tamtejszem archiwum miejskiem. Jest to formalny kontrakt, zawarty między panującym a przedsiębiorcami kolonizacji. Przedsiębiorców takich było trzech, wszyscy trzej oczywiście Niemcy, prawdopodobnie ze Śląska przybyli. Zobowiązali się oni miasto Kraków samymi cudzoziemcami zaludnić i odbudować, ale pod warunkami, które im książę Bolesław w przywileju zapewnił. Zakreślono obszar ziemi, na którym miało się wzniesć i z niego użytkować nowo powstające miasto. Wisła stanowiła jego południową granicę, Mogiła wschodnią, rzeczka Prądnik północną, posiadłości klasztoru zwierzynieckiego zachodnią.

Na tym obszarze gromadzili się koloniści, których przedsiębiorcom ze wszystkich stron Niemiec stosunkami, wpływem swoim udało się ściągnąć i których wieść o zakładającym się wielkiem mieście, o korzystnych dla jego rozwoju warunkach, o łaskawości książąt i udzielonych przywilejach wabiła. Najważniejszym z tych przywilejów było nadanie miastu prawa magdeburskiego. Było to zapewnieniem, że przybysze niemieccy, osiedlający się w Krakowie, znajdą tu drugą swoją ojczyznę, urządzoną na wzór najgłośniejszego podówczas w całych północnych Niemczech miasta Magdeburga. Na modłę magdeburską miały się w Krakowie zorganizować cechy, urządzić rady miejskie i sądy wójtowskie. Kraków otrzymał samorząd w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu. Żaden urzędnik książęcy nie śmiał granicy miasta w urzędowym charakterze przestąpić, żadnego urzędnika nie śmiał książę do nadzoru nad sprawami miejskimi ustanowić. Ludność polska włościańska do obywatelstwa miejskiego nie miała przystępu. Miasto posiadało prawo bicia monety, swobodę od podatków na lat sześć, wolność podróżowania z towarzyszami po całym kraju bez opłaty ceł na lat dziesięć, obowiązek służby wojennej w granicach księstwa krakowskiego.

Korzystając z tych przywilejów, a nie mając ciężarów, urządził się też i zabudowywał Kraków sposobem niemieckim.

Podług planu z góry obmyślanego stanęły najpierw domy, stanowiące rynek czworokątny, większy niż kiedykolwiek w Niemczech, jak na stolicę wielkiego wkrótce państwa przystało. Książę Bolesław wystawił wreszcie własnym nakładem Sukiennice i kramy na środku rynku, obok miejskiego ratusza. Wszystko to, otoczone rowami, wałami i jakimś takim obwarowaniem, przedstawiało całość w sobie zamkniętą, pełną ruchliwego życia, o ile początkowo skromną, o tyle z każdym dniem silniej się rozwijającą i nieustannym napływem obcej ludności, zwłaszcza ze Śląska, wzmaganą.

Niemcy krakowscy pojęli wybornie geograficzne swe stanowisko. Położeni tuż prawie przy granicy swojej dawnej ojczyzny, zachowawszy z nią ściśle stosunki, a widząc przed sobą niezmiernie przestrzenie Wschodu, chwycili w swoje ręce pośrednictwo w handlu między Zachodem a Wschodem. Dwie wielkie drogi handlowe w Krakowie się krzyżowały: jedna prowadziła od brzegów morza Czarnego przez Lwów do Wrocławia, druga z Moskwy i Nowogrodu przez Sącz do Węgier i Wiednia. Otóż mieszczenie krakowscy, otrzymawszy najpierw od Bolesława czasowe, następnie zaś od Leszka Czarnego zupełne uwolnienie od ceł, a wyrabiając sobie pomalutko wolność handlu na Mazowszu, w Węgrzech, Rakusiech, na Rusi, a nawet w odległej Moskwie, skupiali w swoich rękach handel całego Wschodu i olbrzymie zeń ciągnęli korzyści.

Druga połowa XIII w. zesłała im rzeczywiście na ciężkiej ale płodnej i dla nich i dla całego kraju w błogie następstwa pracy. Społeczeństwo polskie nie mogło im w tej pracy niewątpliwie dotrzymać kroku, to też przedział między jednym a drugim żywiołem coraz to więcej wzmagał się i zaostbrał. Brutalna pycha niemiecka rozpostarła się w krakowskich murach, a ciężąc jawnie ku Niemcom, naród polski, który jej użyczył gościny, traktowała na każdym kroku ze wzgardą i lekceważeniem.

Śmierć Przemysława w okropną całą kraj pogrążyła przepaść. Wszczęły się walki o tron. Wśród wszystkich tych walk i przewrotów ważną rolę odegrał Kraków, z którym każdy, obcy czy swój, musiał się liczyć, o który się musiał ubiegać. Posiadanie Krakowa bowiem rozstrzygało o posiadaniu całej

małopolskiej dzielnicy, bo na stolicę zapatrywały się wszystkie tak liczne wsi i okoliczne miasteczka.

Kiedy w roku 1305 Łokietek zwycięsko powracał do dzielnicy przodków, Kraków przechylił się na jego stronę, nie pierwszej jednak, aż nowy monarcha nowym przywilejem dawne prawa zatwierdził i nowych, ile tylko miasto mogło zażądać, udzielił. Mieściło się tu przedewszystkiem prawo przymusowego składu. Żaden obcy kupiec, w myśl tego prawa, nie miał mijać Krakowa, lecz przybywszy tu ze swoim towarem, musiał go mieszczanom krakowskim odsprzedać. Postanowienie to łatwo było podówczas wykonać. W kraju zupełnie bezdrożnym, drogi, wiodące przez Kraków, były to szlaki jedyne, wijące się wśród nieprzebranych dziewiczych lasów i jeszcze więcej niedostępnych moczarów, mirem, t. j. opieką księżęcą, nad podróznymi i towarem ich obwarowane. Zboczyć z nich dla karawany kupieckiej było istnem niepodobieństwem. Teraz więc mieszczanie krakowscy kupowali tamże towar przychodzący zarówno z Zachodu, jak z Północy, Południa i Wschodu, a nałożywszy mu dowolną cenę, wysyłali go i jeździli z nim w przeciwnym kierunku. Konkurencja upadła, Kraków chwycił w swoje ręce najzupełniejszy monopol handlowy.

## VIII

### O KRÓLU KAZIMIERZU

JANKO Z CZARNKOWA: KRONIKA

Ozdobiony królewską koroną, dzielnie i z pożytkiem władał Kazimierz krajem i ludem, który mu Bóg powierzył. Umiał bowiem wedle słów proroka pokój, prawdę i sprawiedliwość. Gorliwym był opiekunem i obrońcą dobrych i sprawiedliwych, srogim prześladowcą złych, nikczemnych, łotrów i oszczerców.

Gdy się kto dopuścił rozboju i kradzieży, kazał natychmiast tego ściąć, utopić lub głodem zamorzyć, choćby to byli możni panowie ze znakomitego rodu, choćby z braćmi ich i krewniakami mieszkał, ucztował i pijał. Gdy komu udowod-

niono oszczerstwo, kazał gorącym żelazem piętnować go na twarzy. Za jego czasów żaden pan możny, ani szlachcic nie śmiał skrzywdzić ubogiego, ale każdemu wedle słuszności wymierzano sprawiedliwość. A ponieważ w Królestwie z dawien dawna prawa polskie sądziły wedle zwyczajów, a raczej nadużyć, gdyż każdy je wedle swej woli zmieniał, wprowadzając wiele złego i bezprawia, — przeto król Kazimierz, niezmiernie o wymiar sprawiedliwości dbający, zwołał prałatów i dostojników z całego Królestwa, usunął wszelkie zwyczaje niezgodne z prawem i rozumem, a ustawy słuszne i mądre, które każdemu należycie wymierzają sprawiedliwość, za wspólną zgodą panów i prałatów spisał i na długie wieki potomności przekazał.

Umiałował z duszy całą ozdobę domu Bożego, jak mówi psalmista. Pokryć więc kazał ołowiem chór katedry krakowskiej, a sklepienie chóru złotem gwiazdami ozdobił. Wybudował przy tej katedrze kaplicę Wniebowzięcia błogosławionej Marji Panny, drugą kaplicę przy kaznodziejskim klasztorze, kościoły: w Sandomierzu, Wiślicy, Niepołomicach, Korczynie, Szydłowcu, Stobnicy, Solcu, Opocznie, Piotrkowie, kościół św. Jerzego i Michała na zamku krakowskim, szpital na Skalce, klasztor w Łęczycy, — wszystko murowane, zdobne w rzeźby i malowidła, pokryte pięknymi dachami. A ileż większą ilość kościołów wyposażił w szaty kosztowne, złożone kielichy i liczne księgi!

Rządził król ten dobrem ogólnem skrzętniej, niż inni polscy książęta. Niby drugi Salomon potężne pozostawił dzieła, wybudował murowane miasta, zamki i gmachy. Najpierw zamek krakowski ozdobił, zbudował gmachy cudne, wieże, rzeźby, malowidła i dachy nad podziw wspaniałe. Naprzeciw tego zamku, na drugim brzegu Wisły obok kościoła, który Skalką zowią, zbudował miasto murowane i od swego imienia nazwał Kazimierzem. Zbudował prócz tego cały szereg miast, a więc Wieliczkę, Skawinę, Lanckoronę, zamek olkuski, Będzin, Łelów, Czorsztyn (zamek i miasto); zamek ojcowski, krzepicki, Sandomierz (miasto i zamek); Wiślicę, Szydłów, Radom, Opoczno, Wąwolnicę, Lublin, Sieciechów, Solec; zamek w Zawichoście, Kalisz, Konin, zamki w Nakle, Wieluniu, Międzyrzeczu, Wieluń, Kruszwicę, Bydgoszcz, Łęczycę, Płock; zamek zaś płocki, dotychczas jednym obwie-

dziony murem, drugim murem otoczył. Na Rusi Lwów miasto i dwa zamki, zamek przemyski, Sanok miasto i zamek, Krosno, zamki w Lubaczowie, Trembowli, Haliczu, Tustaniu. Wokół tych wszystkich zamków i miast zbudował potężne mury, baszty, wyniosłe wieże, fosy głębokie i inne dzieła wojennego kunsztu — narodowi na chwałę, a Królestwu Polskiemu na utwierdzenie i obronę. Za króla tego po puszczech, lasach i wyrębach prawie że drugie tyle stanęło miasteczek i wsi, ile ich przedtem było w polskiej ziemi.

## IX

DYPLOM ZAŁOŻENIA UNIWERSYTETU W KRAKOWIE  
PRZEZ KAZIMIERZA WIELKIEGO Z DNIA 12 MAJA 1364 R

W imię Pańskie — Amen. To, co wola królewskiego majestatu szczególnie z głębokiej pobożności i czystości wiary ku pożytkowi poddanych i zbawieniu rodzaju ludzkiego w szczerem i szlachetnem uczuciu stanowi, niechaj zyska wiarygodność i cieszy się większą trwałością, ponieważ nic nie znaczą ustawy, jeśli się ich najusilniej nie przestrzega. Przeto My, Kazimierz, z Bożej łaski król polski i ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, pomorskiej i ruskiej, pan i dziedzic, pragnąc gorąco, tak, jak to jest naszym obowiązkiem, aby się rzecz pożyteczna i wszelka pomysłność rodzaju ludzkiego rozszerzała, bacząc na to, co lepsze, i nie wątpiąc, że to duchowieństwu i poddanym królestwa naszego pożytek przyniesie, postanowiliśmy w mieście naszym Krakowie wyznaczyć, obrać, ustanowić i urządzić miejsce, na któremby szkoła powszechna w każdym dozwolonym wydziale kwitnęła, a dla przyszłości na wieczne czasy tem pismem jej istnienie zapewnić chcemy. Niechże więc tam będzie nauk przemożnych perła, aby wydawała męże dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne i w różnych umiejętnościach biegłe, niechaj otworzy się orzeźwiające źródło, a z jego pełności niech czerpią wszyscy naukami napoić się pragnący.

Do tego to miasta Krakowa niechaj zjeżdżają się swo-

obodnie i bezpiecznie wszyscy mieszkańcy nie tylko Królestwa naszego i krajów przyległych, ale i inni z różnych części świata, którzy pragną nabyć tę przesławną perłę wiedzy.

Wszystkim pospołu i każdemu z osobna przyrzekamy i dobrą wiarą zaręczamy niżej wypisane artykuły w niniejszem piśmie zawarte, nienaruszone strzec i zachować, a w szczególności rektorom uniwersytetu, doktorom, mistrzom, scholarom\*), pisarzom, sprzedawcom ksiąg, pedelom, oraz ich domownikom jakimkolwiek, którzyby dla uniwersytetu do wzmiankowanego miasta przybyli i tam przebywali, chcemy być panem łaskawym i tak ich wszystkich, jak i każdego z osobna, praw, przywilejów, swobód, statutów i wszystkich innych zwyczajów w szkołach powszechnych: padewskiej i bolońskiej przestrzeganych i zachowywanych chronić, bronić i niemi się opiekować pragniemy. A nasamprzód wszyscy przyjeżdżający do uniwersytetu lub z niego wracający, na wszystkich i na każdym z osobna przechodach, mostach, grodach i strażach, w całym królestwie naszym ustanowionych, żadnego nie mają płacić przechodnego, cła, myta, ale przez nie wszystkie z rzeczami swemi: końmi, książkami, sukniemi, pościelą, pieniędzmi i sprzętami, swobodnie i bezpiecznie przechodzić mogą.

Również gdyby rodzice lub przyjaciele jakiego scholara w jadło i napoje zaopatrzyć chcieli, wszystko to do wzmiankowanego miasta Krakowa ma wolno wejść, bez opłacania jakiegokolwiek cła, a rzeźnicy i ktokolwiek inny nie mają temu w żaden sposób przeszkadzać. Piekarze zaś scholarom chleb wypiekający i młynarze ziarna ich mielący, niech się nie wazą więcej od nich wyciągać nad to, co im obywatele pomienionego miasta płacić zwykli. Gdyby również, co niech Bóg uchowa, którego ze scholarów lub ich czeladzi w granicach królestwa naszego kto z naszych poddanych jawnie lub tajemnie obrabował, obowiązani będziemy natychmiast po wniesieniu przez niego skargi przed nas, szkodę mu wynagrodzić, a złoczyńcy poszukiwać i z nim według porządku prawa postąpić.

Urządaliśmy odtąd szkoły potrzebne dla czytania prawa

\*) Uczniom.



kanonicznego, cywilnego, nauk lekarskich i umiejętności wyzwoionych i wyznaczamy mieszkania przyzwoite dla doktorów, mistrzów, scholarów, pisarzy, księgarzy, pedelów.

Chcemy także, ażeby scholarze własnego rektora mieli, któryby ich sądził w sprawach cywilnych i miał sądownictwo zwyczajne nad wszystkimi, którzyby w mieście Krakowie dla studjów zamieszkali. Wszyscy więc pomienionemu rektorowi przysiądz i jego słuchać mają. Niechaj się nikt nie waży we wzmiankowanych cywilnych sprawach doktora, mistrza, scholarę, pedela, księgarza przed sąd jakikolwiek duchowny lub świecki powoływać, pod karą 10 grzywien groszów praskich; grzywny takie wpływają do skarbcza scholarów.

Jeśli rektor, wykonując prawnie jurysdykcję swoją, kogoś z uniwersytetu wydali i korzyści z nim złączonych pozbawi, wydalony na żądanie rektora z obydwóch miast Krakowa i Kazimierza przez wójtów i obywateli natychmiast ma być wypędzony. I niech się nikt nie waży takiego w domu swoim przechowywać, albo mu jakiegokolwiek pokarmy i napoje sprzedawać, darowywać lub użyzczać.

Płace na katedry przekazujemy na żupy nasze solne wielkie tak, iż nasz żupnik doktorom i mistrzom uczącym będzie obowiązany płacić je co kwartał w Krakowie. Scholarom wyznaczamy jednego kampsora czyli żyda w mieście Krakowie, któryby miał wystarczające pieniądze do pożyczania ich im w potrzebie na pewne zastawy i któryby za usługę swoją nie wyciągał więcej, niż grosz od jednej grzywny na miesiąc.

Doktorowie i mistrze płatnych katedr powinni być obierani przez scholarów tego wydziału, do którego za doktorów lub mistrzów mają być wzięci. A gdyby w wyborze nie było zgody, mianowany przez większą część ma być wybrany i nam, jeśli podówczas obecni będziemy, lub naszemu komisarzowi prezentowany. Obrany zaś przez nas, lub naszego komisarza, niech obejmie katedrę.

Aby zaś to wszystko i każda rzecz z osobna powyżej wyrażona, nabrała mocy wiecznej, trwałości, rozkazaliśmy niniejszy napisać przywilej, pieczęci naszej wyciśnięciem stwierdzony.

## POCZĄTKI WILNA

MICHAŁ BALIŃSKI: STAROŻYTNA POLSKA

W dolinie otoczonej górami rozciąga się starodawny gród Giedymina, zajmując murami swemi ujście rzeki Wilny do Wilji. U zbiegu obu tych rzek jest początek miasta, posuwającego się swojemi domami coraz wyżej od północy ku południowi. Niedaleko stąd na urwistym brzegu Wilenki była podobno pierwsza warownia drewniana, która od tej rzeki imię Wilna przyjęła. Kto jej dał początek, nie wiadomo. To tylko pewna, że już na początku XII w. Wilno, chociaż w ciemnych i nieoznaczonych wspomnieniach, ukazuje się w dziejach. Niektóre kroniki ruskie twierdzą, że w r. 1129 miało być stolicą pewnej dzielnicy, gdzie rządził jakiś książę litewski Dawil. Widoczny jednak ślad bytności tego miasta okazuje się dopiero w samych dziejach litewskich pod rokiem 1272. Podają one, że książę litewski, sędziwy Swintorog, czy też syn jego Germont, w lesie dębowym, pokrywającym łąkę przy ujściu Wilny do Wilji, wznosił ołtarze na cześć Perkuna i rozniecił ogień święty, postawiwszy tu arcykapłana kriewkriwejto i innych ofiarników, a miejsce to na groby, czyli całopalenie zwłok książęcych przeznaczył.

Niewątpliwym tedy zdaje się być byt Wilna już w XIII w., ale pewna jego historia zaczyna się dopiero w r. 1323, kiedy Giedymin, władca Litwy i Rusi, pisał stąd listy do papieża, zakonów i miast niemieckich. Nazywa on Wilno miastem swoim królewskim, musiało więc zdawien dawna być znakomitym grodem. Ten sam Giedymin był w r. 1320 założycielem zamków, których poważne ostatki trwają dotąd nad miastem.

Według powieści Strykowskiego, zaczerpniętej z dawnych podań i kronik, władca ów, polując w tem miejscu, gdzie tak zwane Łyse Góry, otaczające ujście Wilenki do Wilji, wznosiły się nad świętą doliną Perkuna, miał sen. Widział w śnie tym ogromnego wilka na jednej z owych gór, na której właśnie tura zabił, okrytego żelazną blachą. Wilk ten tak rozległym głosem wył, że się zdawało, jakby sto wilków innych w sobie.

zawierał. Lizdejko arcykapłan, czyli kriwe-kriwejto, wytłómaczył dziwny ów sen królowi i otaczającym go Litwinom. Wilk żelazny — mówił on — oznacza zamek i wielkie miasto, które będą zbudowane na zgliszczu Swintoroga i na górze, gdzie tur był zabity, a stu wilków w nim wyjących moc i sławę jego mieszkańców. Przyjął wróżbę Giedymin i zaraz na szczycie góry owej, Turzą odtąd zwanej, kazał murować kształtny i potężny zamek, wyniosły sześciogranną wieżą, a u spodu przy świętych zgliszczach pod gajem Perkuna, zbudował drugi z drzewa, zwany Krzywym Grodem, albo od miejsca, w którym mieszkał kriwe-kriwejto, albo od krzywego kształtu doliny. Przeniesienie wkrótce z Trok do Wilna, stolicy państwa litewskiego, przyczyniło się do rozszerzenia i wzrostu miasta tak co do budowli, jak i mieszkańców, których liczba pomnażała się przybywającymi z Niemiec na głos Giedymina osadnikami.

Tu w Wilnie stało pamiętne przymierze między Giedyminem a Władysławem Łokietkiem w r. 1325, które w pół wieku później zamieniło się w zjednoczenie dwu narodów. Stąd piękna Aldona, wiodąc z sobą radośne gromady uwolnionych jeńców polskich, wyjeżdżała do Krakowa, by zasiąść obok Kazimierza na starym tronie Piastów, gdzie przyjęła wiarę chrześcijańską wedle rzymskiego obrządku.

## XI

### ŻYCIE I OBYCZAJE WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY

*JAN DŁUGOSZ: HISTORJA POLSKA*

Godzi się opisać króla Władysława życie, czyny i przymioty, aby o jego pochodzeniu, dziełach i sprawach wiadomość przekazać potomnym.

Jagiełło był synem Olgierda, księcia litewskiego. Dziad jego Giedymin miał kilku synów, Olgierda atoli ze wszystkich najbardziej miłował; dlatego przy śmierci jego z pomiędzy braci wybrał i nazaczył panem i wielkim księciem Litwy. Po śmierci Olgierda, ojca Jagiełłowego, za zezwoleniem księcia Kiejstuta, stryja Jagiełły, a ojca Witolda, Jagiełło otrzy-

mał Wielkie Księstwo Litewskie. Razem z braćmi, których, jak wiemy, miał ośmiu, częstemi i srogimi najezdami trapił sąsiednie kraje, a osobliwie Polskę. Nareszcie za łaską i miłosierdziem Boga, który go w poczet prawowiernych chrześcijan policzyć raczył, przez prałatów i panów polskich z ciemnoty pogańskiej do światła wiary nawrócony, przyjął chrzest i nazwany został Władysławem. Po chrzcie świętym połączył się ślubem małżeńskim z Jadwigą, królową węgierską i polską, córką Ludwika, króla węgierskiego. Po jej śmierci miał jeszcze trzy żony Annę, Elżbietę i Zofię.

Zamiłowany w myślistwie, od dzieciństwa aż do zgonu tak dalece zajęty był łowami, że wszystkie myśli swoje rad zwracał ku tej zabawie, aż do zaniedbania spraw publicznych i ściągania sobie słusznych zarzutów. Nie umiał w zabawach tych myśliwskich ani miary zachować, ani czasu oszczędzać. Stąd i dworzanom, którzy w czasie zimna lub upału towarzyszyli mu przez dzień cały, a niekiedy i w nocy na łowach po lasach i kniejach, hojne sypał nagrody, aby ich zachęcić do cierpliwego znoszenia trudów. I tak dochody publiczne pochłaniali niewłaściwie dworacy, którzy poświęcali pracę swą nie w usługach kraju, ale w gonitwach za zwierzyną.

Wzrostu był miernego, twarzy ściągłej, chudej, u brody nieco zwężonej. Głowę miał małą, podłużną, prawie całkiem łysą, jak widać na grobowcu jego marmurowym, który popioły jego okrywa. Oczy czarne i małe, niestatecznego wejrzania i ciągle biegające. Uszy duże, głos gruby, mowę prędką, kibić kształną, lecz szczupłą, szyję długą. Na trudy, zimna, zawieje i kurzawy nad podziw był cierpliwy.

W ubiorze i zewnętrznej postawie skromny. Sypiać i leżeć lubiał aż do południa, dlatego mszy św. rzadko o należnym czasie słuchał. Łaźni zazwyczaj co trzeci dzień, a niekiedy częściej używał. Do rozlewu krwi ludzkiej tak był nieskory, że często największym nawet winowajcom karę odpuszczał. Dla poddanych i zwyciężonych okazywał się dziwnie łaskawym i wspaniałym. W ludziach umiał dostrzegać cnoty, a mierząc czyny i zasługi swego rycerstwa nie zawiścią, ale przychylnością, każdą sprawę chwalebłą, czy to w wojnie, czy w pokoju spełnioną, hojnie i wspaniale wynagradzał. Małą rzeczą czynił ludzi odważnymi, odważnych bohaterami, go-

towymi do największych dzieł i poświęceń. W przyjmowaniu darów sobie składanych okazywał się wielce chętnym i uprzejmym, w odpłacaniu ich hojnym i wspaniałym, żadna ofiara nie była u niego tak mała i nieznaczna, żeby jej z ochotą nie przyjął i w dwójnasób nie wynagrodził. Nierozważną szczodrością i rozrzutnością więcej krajowi czynił uszczerbku, niż inni chciwością i łakomstwem. W każdym tygodniu piątek z wielką wstrzemięźliwością o chlebie i wodzie pościł. Zawsze trzeźwy, wina ani piwa nie pijał; jabłek i ich zapachu nienawidził, dobre jednak i słodkie gruszki pokryjomu jadał.

Do zachowania obrządków i powinności chrześcijańskich częstemi pobudzany przestrogami królowej Jadwigi w święta Wielkanocy, Zesłania Ducha św., Wniebowzięcia N. Panny Maryi i Narodzenia Pańskiego przystępował do SS. Sakramentów pokuty i ołtarza. Ale po jej śmierci obyczaj ten ograniczył do samych świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. W święta zaś wielkanocne, które prawie zawsze obchodził w Kaliszu, ubogim, których tam garnęło się mnóstwo wielkie, własną ręką dawał po jednym szerokim złotym praskim z sakiewki, którą zawsze przy sobie nosił. Corocznie w wielki piątek dwunastu ubogim w swoim pokoju w obecności tylko kilku sekretarzy nogi umywał, a potem każdemu z nich dawał po dwanaście groszy, tudzież sukno i płótno na przyodzievek.

W obietnicach i postanowieniach wierny i stateczny, sam zmieniać ich nie lubił i panom swoim odwoływać nie pozwalał, chyba dla ważnej jakiej przyczyny i konieczności. Sprawy ubogich, wdów i sierót, jeśli sam ich załatwić nie mógł, polecał innym uczciwym mężom do załatwiania. Rzeczy pożyczone oddawał rzetelnie i z wdzięcznością.

Współ z królową Jadwigą ufundował akademję krakowską i psalterzystów w kościele krakowskim, niemniej jak klasztor w Lublinie, w Nowym Sączu, na Piasku w Krakowie, na Kazimierzu. Litwę swoją ojczystą, rodzinę i braci tak dalece miłował, że gdy Królestwa Polskiego nie wahał się narażać na rozliczne wojny i klęski, wszystkie skarby i dochody królewskie rad poświęcał na obronę i wzbogacenie Litwy. Dla kościołów był szczodry i hojny, w każdym, do którego wstąpił na nabożeństwo, zostawiał grzywnę. Naród litewski i żmudzki nawrócił na wiarę chrześcijańską, tak, że słusznie nazwać go

można apostołem tych narodów. Uposażył kościoły wileński i żmudzki na Litwie, chełmski i kijowski na Rusi, kaplicę SS. Trójcy w Lublinie.

Ozdób powierzchownych i szat wytwornych nie lubił. Chodził zwykle w baranim kozuchu, pokrytym suknem, rzadko brał na siebie strój wykwintniejszy, jak płaszcz z szarego aksamitu bez ozdób i to tylko na większe uroczystości. W inne dni nosił odzież prostą, żółtawej barwy, nienawidził soboli, kun, lisów i innych miękkich a kosztownych futer; przez całe życie używał tylko baranków, nawet w najostrzejszej porze zimowej. Dziwili się ludzie tej największej prostocie, połączonej z dumą i wyniosłością. Prostym bowiem w ubiorze, w innych rzeczach nie chciał mieć nic wspólnego z drugimi. Przeto nie lubił, ażeby kto tknął się jego szaty, łózka, krzesła, konia, chustki, kielicha i innych przedmiotów, których on używał. W biesiadach nie tylko hojny, ale zbytujący, tak, iż w dni świąteczne albo uroczyste, albo gdy znaczniejszych gości podejmował, zastawiał na stole po sto potraw, zwyczajnie zaś trzydzieści, czterdzieści i pięćdziesiąt.

Zazwyczaj dawał połowę tego, o co go proszono; zaczem poszło, że proszący żądali zawsze dwa razy więcej, aby z tem większą pewnością połowę uzyskali. Powiadają, że miał w przysłowiu zdanie często powtarzane: „że słówko z ust piaszkim wyleci, a jeśli było niedorzeczne i chcesz je cofnąć, staje się wołem“. Miał także zwyczaj upominać żartem rycerzy, żeby w boju nie stawali nigdy na przodzie, ani w ostatnim szeregu, a nie chowali się również do środka.

## XII

### OSTATNI POGANIE W EUROPIE

*JULJAN KLACZKO: UNJA LITWY Z POLSKĄ*

Małym się wydaje być świat cały w XIV w., jest on ułamkiem kuli ziemskiej. O całej jednej półkuli, Ameryce, nikt nie wie nawet, że jest; Azja ukrywa się we mgle baśni i trwogi, Afryka ukazuje zaledwie swoje wybrzeża nad morzem Śródziemnem, a nawet o samej Europie chrześcijańskiej

i cywilizowanej wiedzą tyle, że się rozciąga od Atlantyku do Wisły. O Polsce wyraża się papież Innocenty VI, że kraj ten jest ostatnim krańcem najodleglejszego Zachodu, na kresach chrześcijaństwa, na froncie niewiernych. Poza tem królestwem i jego rzeką Wisłą znano tylko nieokreślone okolice, do których nie dochodziło światło Ewangelji, a prawie nie dochodziło światło dzienne, podobnie jak pod biegunem północnym. Długosz pisze, że „na Litwie trwa zima dziesięć miesięcy, a przez ten czas słońce świeci tam nisko i tylko godzin kilka, natomiast nie zachodzi wcale przez dwa miesiące, podczas których nie daje zapanować zmrokowi nocy“. „Bo też ludzie nie uczynili nic, by zmienić ten ostry klimat, a ziemia pozostawała taką, jaką wyszła pierwszego dnia z rąk Stwórcy: ziemią nieurodzajną, niegościnną, pokrytą stepami, żywicielami stad końskich, jeziorami i olbrzymimi lasami“. Podróżnik francuski XV w. porównywał jeziora litewskie do „prawdziwych mórz“. Lasów zaś nie próbują opisywać współcześni, nie porywając się na wyraźne oznaczenie ich obszarów i wspamiętanej grozy; były to dziewicze, nienaruszone lasy, takie, z jakimi mieli się później, przy odkryciu Ameryki, zapoznać towarzysze Kolumba na drugiej półkuli. Litwa naszych czasów posiada je jeszcze w okolicach Grodna, jakby obraz minionej przeszłości w sławnych lasach białowieskich, o których mówi legenda, że są „niezgłębione jak ocean“, a pośród których mieści się poza mgłą nieprzeniknioną, szczególniejszy i tajemniczy raj królestwa zwierzęcego.

Na tych to stepach, wśród jezior i lasów obozował lud, dający się porównać z odwiecznymi pokoleniami, a podobieństwo obrazu uzupełniały stada bawołów i żubrów dziko tam krążących. Osiedleni od dawien dawna nad brzegami Niemna i Wilji dzicy czciciele bożka Perkuna, zwani przez średnio-wiecznych pisarzy „Saracenami“, wiedli w XIV jeszcze wieku żywot koczujących pasterzy. Rzadko gdzie poruszając wyschłą ziemię drewnianą sochą — bo z zabobonnym wstrętem odrzucali żelazo — żyli polowaniem i rybołówstwem, a obfite zbiory miodu, którym się upijali, czyniły między nimi straszne spustoszenie. Ich domy, t. zw. „numy“, przypominały „wigwamy“ czerwonoskórych mieszkańców Ameryki, a ten rodzaj drewnianego namiotu służył pasterzom za schronienie dla bydła

i rodziny. Wojna była obok łowów najczęstszem zatrudnieniem mieszkańców numy; zbiegali się na rozkaz księcia, ogłaszany przez cywunów (starostów), zbrojni w łuki, z zapasami zatrutych strzał, odziani w baranice, obrócone wełną w górę i — za przykładem Tatarów — zaopatrzeni w buklaki, napelnione kobyłem mlekiem; także tak, jak Tatarzy, przepływali rzeki, trzymając się ogonów swych koni.

Nie byli jednak ani Tatarami, ani czerwonoskórymi owi przodkowie Mickiewicza i Kościuszki, lecz należeli do szlachetnej rasy aryjskiej. Czcią otaczali siły i zjawiska natury, przypisywali genjusz i bóstwo wiośnie i zimie, łowom i numie, lnom i konopiom, kwiatom i pszczołom. Czciłi święty ogień Znicz, stawiali mu ołtarze na każdym miejscu, tak na górach, jak w lasach i świątyniach, nie gasząc przed nim światła i utrzymując straż czystych dziewic kapłanek. Potężna organizacja kapłańska odpowiadała systemowi religijnemu, ubóstwiającemu wszystkie zjawiska i obejmującemu wszelkie drobnostki życia. Wielkiemu kapłanowi kriwe-kriwejto podlegały liczne hierarchie kapłanów różnych zajęć i stopni, a ostatni byli bardowie, których powołanie i nauka łączyły w sobie zarówno świętość, jak i rzeczy świeckie. Nie odbyła się też żadna uroczystość rodzinna ani wesole zebranie bez obecności „wajdeloty“, sławiącego chwałę przodków i głośne czyny z minionych czasów.

Ze wszech stron ścieśniani przez Polaków, przez rycerzy krzyżackich, przez Rosjan i Tatarów, liczebnie słabi, musieli Litwini „z naprężonym łukiem ku czterem krańcom świata“ bronić się przed wrogami. Ale zło wewnętrzne większe było od zewnętrznego. Zorganizowane niewolnictwo, jakie istniało w państwie litewskim, to najsmutniejszy obraz poniżenia człowieka. Niewolnikiem stawał się nie tylko niżej urodzony i jeniec wojenny, ale także człowiek wolny wskutek wyroku księcia, dalej każdy niepłacący podatków lub długów, albo sprzedający się z biedy drugiemu. Właściciel niewolników, bojownik, bojar, był sam niewolnikiem księcia i nie mógł bez jego zezwolenia ani postanawiać o losie dzieci, ani też sprzedawać lub zastawiać jakiegokolwiek części swego mienia, nie mógł także w testamencie niem rozporządzić. Żoną, którą sobie kupił, dzieci, nad którymi miał prawo życia i śmierci, były

jego własnością, „jego rzeczą“, mógł je sprzedać lub oddać za długi, on sam jednak podlegał władzy wielkiego księcia.

Okropny obraz tego despotyzmu kreśli nam jeden ze współczesnych autorów, późniejszy papież Pius II. Przedstawia on litewskiego księcia (jednego z lepszych), harcującego na koniu z łukiem naprężonym w rękę i wypuszczającego ostre strzały na każdego, który na gniew jego zasłuży. Niejednokrotnie rozlewali książęta krew dla zabawy własnej, a często zaszywano „winowajcę“ w skórę zwierzęcą i rzucano niedźwiedzim, umyślnie hodowanym do tych okrutnych egzekucyj. Towarzyszący wielkiemu księciu Witoldowi na Litwę Polacy, byli świadkami jednej z takich scen: Dwóch skazanych na powieszenie miało na sobie samych wyrok wykonać; idąc na śmierć, upominali się, mówiąc: „Śpieszmy, książ niecierpliwi się!“

Synowie wolnego kraju smutnego doznawali uczucia wobec takiego znikczemnienia. Inni, we dwa wieki potem, byli świadkami podobnych okrucieństw w Moskwie: widzieli wbitego na pal z rozkazu Iwana Groźnego i słyszeli, jak ten nieszczęśliwy wśród męczarni konania wołał: „Boże, chroń cara“. Niewola wydaje wszędzie jednakowo zatrute owoce. Dla Litwy XIV w. był jeden tylko środek, który ją mógł podnieść, a w spodlonych niewolą mieszkańcach obudzić uczucia godności i wolności, a tym jedynym środkiem była Ewangelja i cywilizacja chrześcijańska, przedzierające się już, aczkolwiek powoli, do tego „kraju bez słońca“. Franciszkanie rzucali tam ziarna, okupując nieraz zasiew krwawem męczeństwem, a księżniczki słowiańskie coraz częściej w kaplicach Trok i Wilna wznosiły tajemnie serca do Boga ukrzyżowanego.

Od pierwszej chwili wstąpienia na tron zrozumiał wielki książę litewski Jagiełło położenie kraju swego i powziął myśl polityczną, prawdziwie genialną. Przejrzał wcześniej, że Litwa musi przestać być pogańską, a stając się chrześcijańską — bez poddania się Zakonowi niemieckiemu — powinna się oprzeć o mocarstwo słowiańskie, cywilizowane i wolne. Skierował więc czyny ku wykonaniu tej myśli i za ledwie objął rządy, wyprawił posłów do Krakowa z prośbą o rękę królowej Jadwigi, zapewniając za to przejście swoich ludów na wiarę katolicką i przyłączenie całego kraju do Polski.

## XIII

## CECHY W DAWNEJ POLSCE

KLEMENS BĄKOWSKI: CECHY KRAKOWSKIE

W średniowiecznym mieście każdy prawie mieszkaniec należał do jakiegoś stowarzyszenia, t. zw. cechu, bo albo był kupcem, albo rzemieślnikiem, reszta ludności była członkami i domownikami ich rodzin. Każdy więc był albo członkiem samoistnym — mistrzem, albo towarzyszem lub domownikiem stowarzyszenia pewnego zawodu. W ścisłym znaczeniu cechami nazywają się stowarzyszenia tylko rękodzielników.

Ogół rzemieślników jednego rzemiosła stanowił cech, rządzący się statutami, oraz zwyczajami tradycyjnie przechowywanymi. Cech nie tylko oceniał uzdolnienie rękodzielnicze, ale on nadawał uprawnienie do prowadzenia samoistnego rzemiosła. Dalej wykonywał cech kontrolę policyjną co do zachowania przepisów statutowych, co do czasu pracy, święcenia niedziel i świąt, jakości wyrobów. Czas pracy, podobnie jak wysokość płacy, oznaczany był w statutach, nad wykonaniem czuwał cech. Dalej czuwał cech nad dobrocią towaru i załatwiał spory między rzemieślnikami.

Oprócz zawodowego charakteru cechów, broniącego interesów materialnych członków, cech miał wybitny charakter religijny i humanitarny. Każdy cech obrął sobie kościół, do którego uczęszczał, albo kaplicę, którą swym kosztem stroił, fundował do niej ozdoby i światło. Niektóre cechy miały w ołtarzu cechowym skrytkę, gdzie przechowywały kosztowności, kasę. Każdy cech posiadał swego patrona świętego, chorągiew z jego wizerunkiem i swe godła. Za nieprzybycie na pogrzeb któregoś z członków lub na nabożeństwo, nakładały statuty kary. Prócz nabożeństw w pewne uroczystości, brały cechy gremjalny udział w procesjach, zwłaszcza przy rezurekcji i w czasie Bożego Ciała. Opieka nad chorymi, podupadłymi, wdowami i sierotami, należała do cechów. Wdowom pozwalano dalej prowadzić rzemiosło męża i dodawano im do pomocy zdolniejszych towarzyszy.

Każdy rzemieślnik, chcący samoistnie prowadzić rzemiosło, musiał się wpisać do cechu, czego warunkiem było uzyskanie obywatelstwa miejskiego, ożenienie się i opłata wpisowa, oraz wykazanie uzdolnienia przez zrobienie odpowiedniego okazu swego rzemiosła: „Meisterstück“. Każdy samodzielny, prowadzący rzemiosło — mistrz, pracował sam w warsztacie, a towarzysze i uczniowie byli tylko pomocnikami. Poszczególne cechy wybierały sobie starszych, których zadaniem było zarządzanie bieżącymi sprawami i kasą, oraz zwoływanie zgromadzeń członków cechowych, opieka nad wdowami i sierotami i reprezentacja cechu na zewnątrz. Oznaką starszych były ozdobne buzdycany, które w rękę trzymali.

Pracujący w warsztacie pod dozorem mistrza pomocnicy dzielili się na uczniów i towarzyszy. Uczniowie, po przejściu próby, musieli być zapisani w rejestr cechowy, przyczem zawierano w myśl przepisów, określonych dla każdego cechu, umowę co do czasu nauki, który wynosił od roku do pięciu, a uczeń, jego rodzice, lub w niektórych wypadkach mistrz, opłacał opłatę pewną do kasy cechowej. Za naukę płacili rodzice ucznia, najczęściej jednak terminował „za wysługę“, t. j. nie płacił za naukę, ale za to obowiązany był dłużej terminować. Terminowanie obejmowało nie tylko naukę rzemiosła, ale i posługiwanie w domu mistrza. Po odbyciu przepisanej praktyki zostawał uczeń towarzyszem czyli czeladnikiem na podstawie aktu, t. zw. wyzwolin, odbywanych przed starszyzną cechową, lub całym zgromadzeniem. Jako dowód nabytej wprawy przedkładał uczeń wyrób przez siebie wykonany z zakresu rzemiosła swego, tak zwaną „sztukę czeladniczą“. Mistrz poświadczał, że uczeń sam tę sztukę wypracował, cech stwierdził wedle rejestru, że czas umówiony upłynął, poczem wydawano uczniowi pisemny akt wyzwolin, zazwyczaj za pewną opłatą i wpisywano go w rejestr wyzwolonych. Cechmistrz wygłaszał naukę do wyzwolonego, „aby się Boga bał, cnotliwie i wiernie się zachowywał, w cudze kraje wędrował, złego towarzystwa się strzegł, ćwiczył się, a u partacza żadnego nie robił. Tak ci, Panie Boże, dopomóż. Dajże nam na to rękę!“

Po tym akcie prawnym musiał wyzwolony być przyjęty

przez grono towarzyszy za wpisem i poczęstunkiem. Wyzwolony obowiązany był zazwyczaj robić jeszcze przez pewien czas u swego majstra, a przez ten czas zwany był półtowarzyszem lub robieńcem i pobierał zwykle zapłatę w wysokości połowy zapłaty towarzysza. Po upływie tego czasu stawał się towarzyszem i wolno mu było szukać roboty, gdzie chciał. Do szeregu warunków, od których w znacznej części wypadków zawisło wyzwolenie czeladnika na mistrza, należy wędrowka. Zwyczaj wędrowania zdaje się być tak starym, jak same cechy. W owych czasach był to może jedyny sposób zapoznania się z postępem i rozwojem w odnośnej gałęzi przemysłu i rzemiosła. Dbałe o rozwój sztuki swej cechy, oceniały należycie tę dodatnią stronę wędrowek czeladzi i tem tłumaczyć należy, że w wielu cechach zwyczaj wędrowania zmienia się na obowiązek. Na wędrowkę można się udać dopiero po wyzwoleniu na czeladnika. Czas trwania wędrowki wynosi rok, dwa, rzadziej trzy lub cztery. Wędrowkę po krajach polskich i niemieckich ułatwiały wspólne zwyczaje i zasada wzajemności, utrzymywana między cechami. Wędrowni towarzysz pewny był, że, przyszedłszy do najbliższego miasta, znajdzie nocleg, posiłek darmo w gospodzie od towarzyszy zawodu, że mu poszukają zarobku w warsztacie, a jeżeli nie znajdzie roboty, to dostanie zasiłek na dalszą drogę.

W wiekach średnich sprzedawano wszelkie wyroby przeważnie na targu, w sklepach, na publicznych placach, dla pojedynczych zawodów koło siebie budowanych, np. sukiennice, żelazne kramy, kuśnierskie jałki i t. d. Później powstały sklepy i w domach mistrzowskich obok warsztatu. Zazwyczaj jednak nie wchodził kupujący do sklepu, bo sklep miał otwarte na zewnątrz okno z okiennicą poziomo otwartą, która stanowiła ladę kupiecką, na której rozkładano towary z wnętrza podawane.

Wobec dobrobytu mieszczan pojawiać się zaczęły stosunkowo dość wcześnie objawy zazdrości szlachty, a zazdrość ta stała się tem niebezpieczniejszą, że szlachta od XVI wieku wzmogła znacznie swój wpływ na rząd. Niezrozumienie wartości dla kraju zamożnego stanu kupieckiego i przemysłowego, połączone z egoizmem szlachty, spowodowały, że wy

dana została 1565 r. konstytucja, zakazująca kupcom krajowym wywożenia za granicę towarów, a wreszcie w r. 1633 sejm uchwalił, „że każdy szlachcic szlachectwo traci, jeśli, będąc w mieście osiadły, handlami i szynkami się bawi i urząd miejski sprawuje, i potomstwo jego i on sam dóbr ziemskich nabywać nie może“. Tak więc napiętnowano stan kupiecki, ograniczono wywóz, czyli dano wolne pole konkurencji zagranicznej wobec jedynie zamożnej części narodu, t. j. wobec szlachty. Odtąd kupiec i rękodzielnik stał się kramarzem na potrzeby miejscowe, o rozwoju handlu i rękodziela nie było już mowy. W dodatku i cechy przestarzały się i powoli przygotowywał się grunt dla myśli zniesienia cechów, a wprowadzenia zupełnej wolności handlowej i przemysłowej.

#### XIV

### O SEJMACH W POLSCE

MICHAŁ BOBRZYŃSKI: SEJMY POLSKIE  
ZA OLBRACHTA I ALEKSANDRA

W ciągu ostatnich czterdziestu lat XV w. dokonano się w wewnętrznych stosunkach Polski ogromne przeobrażenie. Obok sejmików, bez których król nie miał prawa wydawania nowych konstytucji i ogłaszania pospolitego ruszenia, a zwoływanych w każdej dzielnicy Królestwa, powstał sejm w a l n y, jako nowy organ ustawodawczy, występujący w imieniu całej Rzeczypospolitej i wydający ustawy, które miały w całym kraju, bez różnicy ziem, obowiązywać. Tak zapewnioną została jedność ustawodawcza.

Na sejmikach zbierał się ogół szlachty, na sejmie tylko wysłańcy sejmików. Zamiast tłumów rozstrzygać miała inteligencja. W zasadzie jednak władza pozostała przy sejmikach, każdy poseł występował na sejmie jako wysłaniec swojego sejmiku, jego instrukcją i uchwałami związany, a sejm był tylko miejscem, w którym uchwały sejmikowe miały się ze sobą zetknąć i w jedną, powszechną ustawę zamienić. Ponieważ na sejmach głosowali nie posłowie, lecz sejmiki przez usta swoich wybrańców, j e d n o m y l n o ś ć wszystkich głosów

była konieczną. We wstępie do każdego ustawy sejmowych za Jana Olbrachta czytamy wyraźnie, że zapadały one jedno-myślnością.

Król przestaje być odtąd jedynym reprezentantem państwa, dzieli swą władzę, dopuszcza do niej przedstawiciele szlachty. Jednocześnie nabywa nową władzę, której dawniej nie miał, a raczej tę, którą w nader szczupłym zakresie piastował, ogromnie rozszerza; mowa tu o władzy wykonawczej, rządowej. Niegdyś zadanie i obowiązek króla ograniczały się do tego, że bronić miał kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych, a na wewnątrz utrzymywać porządek i równowagę stanów. Zesłą cały rozwój wewnętrzny, administracja, sądownictwo, było sprawą każdego ze stanów, rzeczą ich samorządu. Teraz stosunki zmieniły się do niepoznania. Wykonanie i przeprowadzenie wszystkich postanowień sejmowych należało do króla. Ponieważ zaś uchwały sejmowe rozciągały się na wszystkie sprawy wewnętrzne zarządu i sądownictwa, więc też zakres władzy rządowej królewskiej ogromnie się powiększył.

W skład sejmików, z których wyszła izba poselska, nie wchodził ani duchowieństwo, ani mieszczenie, nie mówiąc już o włościanach. Ani jedni ani drudzy nie garnęli się do sejmików, nie przeczuwając, ażeby z nich miała wyjść władza ustawodawcza całego państwa. Szlachta wyzyskała samolubnie na swoją korzyść opór, jaki duchowieństwo i miasta stawiały przeciw podatkom i powszechnej służbie wojennej. Tylko ten, co mieniem swoim i krwią broni kraju, rozumowała szlachta, ma o sprawach publicznych stanowić; kto się od podatków i od służby wojennej uchylić pragnie, ten z życia politycznego powinien być wyłączony. Zasadę tę uchwalił i przeprowadził sejm z r. 1496. „Postanawiamy — tak brzmi konstytucja rze-czona — że mieszczanom i nieszlachcie nie ma być wolno kupować, posiadać na własność lub zastaw i trzymać miast, wsi i gruntów prawu ziemskiemu podległych, a to dlatego, że ci na wyprawach i w szyku bojowym nie zajmują miejsca w szeregach rycerstwa, a mając tego rodzaju dobra, chwytają się wszelkich sposobów, aby się od służby wojennej uchylić“. Stan mieszczański pozbawiono przeto znaczenia politycznego, zabraniając mu posiadać dóbr ziemskich, odebrano mu naj-

ważniejsze prawo obywatelstwa, wyłączono go z nowo powstającego społeczeństwa narodowego.

Duchowieństwo za silne było, aby w podobny sposób dało się złamać. Chwycono się innej drogi. Z małym wyjątkiem odjęto przystęp do dostojenstw kościelnych nieszlachcie, „ponieważ ta do obrony kościołów w królestwie naszym niezbędną, osobiście dla wielu ludzi swawolnych, oraz częstych wypraw wojennych, mało, lub wcale nie jest przydatną“. Spodziewano się, że szlachta, zajmąwszy wyższe posady kościelne, prędzej ducha ogółu szlachty zatrzyma i w duchowieństwie go zdoła rozszerzyć. Zeszlachcono duchowieństwo, przyznano mu wpływ, o ile ono było szlacheckiem, a odjęto zupełnie owo stanowisko samoistne, jakim się odznaczało przedtem.

## XV

### URZĘDNICY KORONNI I NADWORNICY

MICHAŁ BOBRZYŃSKI: DZIEJE POLSKI

W ustawach z roku 1504 określił król Aleksander dokładnie obowiązki swych urzędników i ich zakres działania, mianowicie ministrów królewskich, tak zwanych wielkich urzędników koronnych i nadwornych i ich wzajemny ku sobie stosunek.

Marszałek koronny, a w zastępstwie jego nadworny, zawiadywał dworem królewskim, dowodził pocztą dworską, rodzajem gwardji, a dla poszanowania osoby królewskiej sprawował w miejscu, w którym król stanął, sądy gardłowe z bezwzględnością egzekutywą. Podskarbi koronny, a w zastępstwie jego nadworny, z dodaną sobie komisją kontrolującą, zawiadywał dobrami królewskimi, zwanymi teraz częściej koronnymi, ściągał wszystkie stałe dochody i uchwalone przez sejm nadzwyczajne podatki i zaspokajał z nich potrzeby króla i państwa. Kancelarja wreszcie królewska, na której czele stał kanclerz koronny, obok niego podkanclerzy, sekretarz większy i mnóstwo niższych urzędników, prowadziła całą administrację i sprawy dyplomatyczne. Do niej należała także wojskowość, dopóki Zygmunt I nie ustanowił hetmanów wielkiego i polnego i zakresu tego im nie poruczył.

## XVI

### URZĘDNICY ZIEMSCY

MARCIN KROMER: POLSKA

Prócz urzędów koronnych są jeszcze i ziemskie. Ziemskie są te, które nie dotyczą całego kraju, lecz poszczególnej prowincji. Nazwy ich są: podkomorzy, starosta, miecznik, chorąży, cześnik, podczaszy, krajczy, podstoli, stolnik, wojski, sędzia, podsędek, pisarz, skarbnik, łowczy i koniuszy. Każdy z tych urzędników ma swe obowiązki z dawna w każdym województwie określone, gdy podczas podziału kraju między wielu książąt każde województwo i powiat miały swego władcę. Dziś większa część tych urzędów jest tylko nazwą, a miecznikowie, cześnikowie, podczaszowie, krajczowie, stolnicy, podstolowie i skarbnicy nie pełnią żadnych obowiązków. Wszakże każdy z tych urzędników ma prawo pełnić swe obowiązki przy królu w swem województwie, póki monarcha tam przebywa. I tak miecznik w Poznaniu podczas uroczystości niesie przed królem miecz, cześnik podaje mu puhar, krajczy stół zastawia, stolnik podaje potrawy, podstoli idzie przed stolnikiem z berłem lub laską, podczaszy niesie napoje, skarbnik czuwa nad monarszym groszem i sprzętem.

Inni natomiast urzędnicy ziemscy aż dotąd pełnią swe obowiązki, i tak chorąży podczas wojny niesie proporzec przed rycerstwem swojego województwa, wojski trzyma straż zamku lub miasta głównego swej prowincji i wolnym jest wobec tego od stawania na wojnie, łowczy zarządza łowami i lasami, koniuszy stajnią, sędzia razem z podsędkiem, który jest raczej jego towarzyszem, jak zastępcą, rozpatruje i sądzi zatargi szlachty, pisarz dzierży pióro na sądach i raczej ze zwyczaju, niż z prawa, wolno mu dawać głos swój i zdanie. Zresztą podkomorzy był niegdyś dozorcą pokojów królewskich w swem województwie, a teraz należą doń sprawy ziemskie i graniczne, do czego podkomorzy, sędzia, podsędek i pisarz powinni być przysięgli. Podkomorzowie mają prawo w każdej miejscowości mianować przysięgłych komorników, na wzór dawnych tej nazwy urzędników



dworskich. Teraz podkomorzowie do tych obowiązków mianują szlachtę i wedle swej woli komorników zmieniają. Podkomorzy krakowski, prócz innych przywilejów swego urzędu, jest naczelnym zwierzchnikiem żup solnych w tem województwie położonych.

Nie w każdym jednak województwie są wszyscy wyliczeni tutaj ziemscy urzędnicy i nie zawsze po jednemu na województwo. W Sieradzkim n. p. niema krajczego i podstolego, a po dwóch podkomorzonych, chorążych, sędziów i pisarzy, gdyż ziemia Wieluńska ma — jak sądzę — urzędników swych od czasu, gdy była odpadła od Polski. Województwo łęczyckie nie ma miecznika, krajczego i podstolego, w Kujawskim jest jeden miecznik, niema krajczego, a innych urzędników po dwu się znajduje, gdy w ziemi dobrzyńskiej jest osobny podkomorzy, chorąży, cześnik i t. d. Ziemia oświęcimska i zatorska, podobnie jak Księstwo Siewierskie, mają po jednym sędzi; dalszych urzędników ziemskich, wyjąwszy starostów, na Śląsku niema.

Starosta jest nie tylko stróżem i obrońcą zamku królewskiego, lecz nadto publicznej ciszy i spokoju w obrębach swego starostwa, gdzie powinien powściągać gwałty, karać kradzieże i rozboje. W tych obrębach władza jego rozciąga się nie tylko na wieśniaków i mieszczan, lecz nawet i na szlachtę. Do niego należy wykonanie wszystkich wyroków kościelnych i świeckich, on czuwa nad pożytkami i dochodami królewskimi, które się składają z dóbr prywatnych, oraz czynszów i poborów od mieszczan i kmieci, gdyż w starostwach wszystkie zamki, wsi i kmiecie zagrody, wszystkie miasta i okolice należą do króla. Starosta krakowski posiada najobszerniejszą władzę sądowniczą, jest strażnikiem zamku królewskiego i powinien utrzymywać go w dobrym stanie. Poznański starosta ma jeszcze większą władzę w całej Wielkopolsce, nosi tytuł generała Wielkopolski, utrzymuje w porządku zamek poznański i z ziemi tej dochody królewskie wybiera.

Starosta powinien być szlachcicem, posiadać ziemię i mieszkać w tem starostwie. Cudzoziemcowi nie wolno jest oddawać tej godności, ani krajowcom posiadać dwóch razem. Nie wolno nawet łączyć w jednej osobie godności sądowego

starosty z urzędem kasztelana lub wojewody tej prowincji, z wyjątkiem w województwie krakowskim i poznańskim, gdzie jest inne prawo i na Śląsku. Każdy starosta ma swego namiestnika, którego zowią podstarościm lub burgrabią, przy którym jest cała namiestnicza władza, nadto do spraw sądowych mianuje drugiego zastępcę z tytułem sędziego grodzkiego. Obaj muszą być przysięgli, ze szlachty w tem starostwie osiadłej. Jest też w każdym starostwie urzędnik zwany grodzkim pisarzem. Starostowie nie noszą nazwy ód województw, ale od zamków i ziem, które się względem starostw powiatami nazywają.

Oprócz większych, są starostwa mniejsze, zwane dzierżawami, które nie mają u siebie władzy sądowniczej, a sprawuje ją właściwy grodowy starosta, do którego owe dzierżawy z woli królewskiej są przyłączone. Dzierżawcy ci są tylko strażnikami włości, dochodów, zamków i ludu poddanego, podobnie jak wielkorządca krakowskiego zamku. Dochody z wszelkich starostw składają się już to z rolnictwa i chowu bydła, już z młynów zbożowych i lasów, już z poborów i czynszów wioskowych i miejskich; król albo je oddaje za pewną umowę, albo całkowicie powierza sumieniu dzierżawców, którzy rachunek z nich zdawać są obowiązani. Niekiedy daje się je za rozmaite usługi, a jest też w zwyczajach zastawianie starostw niegrodowych lub niepierwszych w województwie. Do dania w zastaw starostwa grodowego potrzeba zezwolenia sejmowego senatu. Tylko starostwo sandomierskie posiada ten przywilej, że go nie wolno zastawiać, albo wieczystym długiem obciążać.

Biskupi, panowie i bogatsza szlachta posiadają zamki, w których mają swych starostów, lecz te zwierzchniej władzy króla nie czynią żadnego uszczerbku.

Kopalnie soli i innych kruszców zarządzane są przez urzędników przysięgłych i obowiązanych składać rachunki. Nad kopalniami Bochni i Wieliczki jest przełożony jeden urzędnik, nazwany żupnikiem krakowskim, a drugi, do którego żupy ruskie należą, żupnikiem ruskim. Urząd ten, jakkolwiek dostojny, nie liczy się do godności koronnych, nadwornych lub ziemskich, tak jak i urzędy dzierżawców

i poborców publicznego grosza. Zaliczyliśmy tych wszystkich do urzędników ziemskich, iż zajęcia ich do obowiązków starosty poniekąd mają podobieństwo.

## XVII

### DWÓR KRÓLEWSKI ZA JAGIELLONÓW

STANISŁAW TOMKOWICZ: KULTURA KRAKOWA

Dwór królewski mieścił się na Wawelu, w zamku, który początkowo zapewne drewniany, w epoce Łokietka, a zwłaszcza Kazimierza Wielkiego, został wymurowany jako twierdza średniowieczna i był jak wszystkie zamki gotyckie umocniony murami i basztami, stojącymi na krawędzi góry zamkowej. Stopniowo rozszerzany w czasie następujących po sobie pokoleń, doszedł za ostatnich Jagiellonów do rozmiarów i kształtów, jakie w głównych linjach do dziś dnia zachował.

Życie i obyczaje dworu do połowy XV w. były pełne prostoty, wymagania i potrzeby panującego w owych czasach były bardzo skromne, do czego zapewne przyczyniały się częste wyprawy wojenne i ustawiczne zmiany pobytu w różnych częściach rozległego państwa. Obraz tego życia dają nam ogłoszone drukiem rachunki dworu Władysława Jagiełły i Jadwigi: Król co parę miesięcy, co kilka tygodni czasem przenosi swoją siedzibę z jednego zamku do drugiego, to dla większego bezpieczeństwa podczas napadu, to dla zbliżenia się do teatru prowadzonej wojny, to z innych względów politycznych, z powodu polowań i t. p. Za królem ciągnie zastęp dygnitarzy, urzędników i dworzan, czasem ze swoim dworem królowa, która ze swej strony też osobno często po kraju odbywa podróże. Nie dziw, że całe urządzenie dworu wskutek tego nosi cechę jakiejś wojskowej obozowej tymczasowości. Co chwila czytamy o kupowaniu na stół monarszy najwzwyklejszych wiktuałów. Widocznie zapasów spiżarnianych nie było zawsze pod ręką. Prowiantowano się nie tylko na przyjęcia gości, często przebywających na dworze królewskim, ale nieraz na zwykły codzienny stół kupowano chleba kilka bochenków, kopę jaj, kilka garnków masła, pietruszkę, buraki,

połeć słoniny, kurczęta, piwo i t. d. O prostocie obyczajów świadczą też zapiski, że np. Jagiełło, będąc w Krakowie, przyjmuje poza zamkiem gościnę, bywa na obiedzie u poddanych i to nawet nie zawsze dygnitarzy, przepędza cały dzień np. u proboszcza kościoła św. Florjana, kilka razy u niego nocuje. Czasem królestwo zapraszają się na obiad do zamożniejszych klasztorów, na Tynec, do Mogiły. Jazdy takie odbywają się dworno, z całą zgrają dworzan i służebników, tak, że aż potrzeba brać wiktuały ze sobą. Na wieczerzę do owego proboszcza zakupuje i dostarcza dwór 200 śledzi i dwie kopy węgorki. Ryby wogóle wydawano dużo, bo królestwo postów ściśle przestrzegali. Zakupowano też często owies na obroki, a zadziwia, że tylekroć zachodziła potrzeba przyjmowania koni i furmanów na podwoły.

Z postępowaniem czasu wymagania komfortu rosną, organizacja dworu staje się stałszą. Za Zygmunta Starego zawitały do nas wykwintne włoskie zwyczaje. Mniej słychać o wyprawach wojennych, a częściej o hucznych przyjęciach, zjazdach, zabawach i „triumfach“. Stary zamek średniowieczny nie wystarcza już wobec zmienionych potrzeb, ustępuje też miejsca pałacowi włoskiemu, którego wielki dziedziniec arkadowy był miejscem do uroczystości i turniejów. Galerje arkadowe, idące przez trzy piętra, służyły za miejsca dla króla, dworu i zaproszonych widzów. Nie brak też wiadomości o igrzyskach tutaj wyprawianych. U stóp Wawelu nad Wisłą rozciągały się ogrody królewskie. Prócz tego była pod Krakowem letnia rezydencja królów w Łobzowie, zbudowana przez Kazimierza Wielkiego, a rozszerzona i przerabiana jeszcze za Batorego i Wazów.

W czasie wielkich uroczystości dworskich, zjazdów dygnitarzy i szlachty na koronacje lub gody weselne w domu monarszym, przyjęć obcych panujących i t. d., rozszerzała się rezydencja przez to, że goście królewscy i ich służba znajdowali gospodę w mieście, w kamienicach tym obowiązkiem obciążonych. I same uroczystości wychylały się wówczas poza ciasne ramy zamku; urządzano w mieście wspaniałe, tłumne pochody, maskarady, ognie sztuczne. W księgach miejskich n. p. z lat 1517 i 1518 przechowały się dość szczegółowe zapiski o turniejach, odbytych w obecności króla na rynku krakowskim.

Każdy nowy król, poczawszy od Łokietka, zwykle najajutrz po koronacji odbierał na rynku hołd od władz miejskich i mieszkańców stolicy. Działo się to na ozdobnej estradzie, stawianej pod Sukiennicami, od strony ratusza. Na tem także miejscu składał w roku 1525 hołd lenniczy królowi polskiemu Albrecht Brandenburski, ześwieczony ostatni mistrz Krzyżaków, protoplasta późniejszych królów pruskich.

W rękopisach z XVI w. dochowały się szczegółowe opisy i wizerunki ceremonjału koronacji królewskiej. Po włożeniu korony odwiedzał król zwykle Skatkę, miejsce męczeńskiej śmierci św. Stanisława. Pochód ten odgrywał ważną rolę w całej uroczystości.

Od czasu dwu ostatnich Piastów uważano katedrę wawelską za jedyne odpowiednie miejsce wiecznego spoczynku śmiertelnych szczątków królewskich. Niemal wszyscy panujący oraz członkowie ich rodzin leżą na Wawelu. Za Jagiellonów weszło w zwyczaj, że każdy król osobno wznosił sobie kaplicę grobową. Takiej szlachetnej ambicji Zygmunta I zawdzięczamy kaplicę Zygmuntowską, arcydzieło architektury.

## XVIII

### TESTAMENT ZYGMUNTA AUGUSTA

LUDWIK FINKEL: CHARAKTERYSTYKA  
ZYGMUNTA AUGUSTA

W roku 1569 dokonane zostało na sejmie w Lublinie zespolenie ścisłe Polski i Litwy. Było to największe dzieło żywota ostatniego władcy z rodu Jagiellonów, który dokonał pracę przez nich rozpoczętą. W testamencie swym zostawił następujące słowa:

„Przeto tym naszym testamentem obu państwom: Koronie Polskiej i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu dajemy i przekazujemy i zostawiamy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unją zwali i mocnymi umowami, wspólnie przez obywateli obu państw utwierdzonemi, na wieczność ukrzepili; a które z tych dwu narodów, tę unję od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będą:

tym to błogosławieństwo dajemy, aby ich Pan Bóg w łasce swej, w szerokim i wspólnym panowaniu, we czci i sławie domowej i postronnej i we wszystkim dobrem i potrzebnym przed inne narody wystawił i wywyższył; a który zasię naród niewdzięczny będzie i dróg do rozdzielenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego, który ma w nienawiści — jako prorok mówi — przeklinając te, które sięją niezgodę pomiędzy bracią, za którem przekleństwem i gniewem Bożym niczegoby się inszego nie bać, jeno doczesnego tu, a potem wiecznego zginienia: od którego racz, Panie Boże, zachować i racz to w tych obu państwach utwierdzić, coś w nich przez nas sprawił, racz ten lud obojga w jedności spojonej, w niezmyślonej miłości wiecznie zachować“.

## XIX

### KONFEDERACJE

ALEKSANDER REMBOWSKI: KONFEDERACJA I ROKOSZ  
W DAWNEM PRAWIE PAŃSTWOWEM POLSKIM

Skoro się rozeszła w Polsce przynębiająca wieść o wygaśnięciu domu Jagiellonów, przypomniła sobie szlachta konfederację jako środek, mogący uchronić kraj od niebezpieczeństw i zapewnić mu spokój. Żadnej bowiem organizacji bezkrólewia w chwili śmierci Zygmunta Augusta nie było. Sejm bez monarchy tracił moc prawodawczą, a urzędy, wykonywujące namiestniczą władzę królewską, uważano za stosowne pozbawić na czas bezkrólewia siły wykonawczej. Województwa zawiązywały wobec tego w obrębie swych ziem konfederacje, zobowiązując się wspólnymi siłami utrzymać bezpieczeństwo na zewnątrz, a pokój wewnątrz i powstać wspólnie przeciw każdemu, co by się z pod prawa wylaamywał. Dla zabezpieczenia całego państwa nazwano sejm konwokacyjny konfederacją generalną; liberum veto jednego posła lub mniejszości sejmowej rozerwać go nie mogło. W ten sposób wolne elekcje przeistoczyły konfederacje w instytucję prawa publicznego na czas bezkrólewia. Jednocześnie zbudziły wśród rycerstwa silne przeświadczenie, że samo to

sprzysiężenie, czyli konfederacja, może być wyborem narzędziem do osiągnięcia ważnych zadań politycznych nawet za życia króla. Ile razy więc za rządów monarchy poważne niebezpieczeństwo groziło Rzeczypospolitej, a sejmy walne, coraz częściej zrywane, nie dawały należytej gwarancji ocalenia państwa od wewnętrznych, czy zewnętrznych wrogów, konfederacja nasuwała się rycerstwu jako nadzwyczajny środek, wywołując dużo złego, ale mający zapobiec jeszcze gorszym klęskom.

Zdarzały się wypadki, że szlachta, wiążąc się w konfederację, stawiała przy majestacie królewskim i niby to w obronie jego władzy, ale w rzeczywistości po to jedynie, aby go jeszcze bardziej skrupować, a nie brakło i takich wydarzeń, że jednocześnie zawiązywały się dwie konfederacje z celami i zadaniami wprost sobie przeciwnymi. Organizacja konfederacji przy królu nie była ustalona i gdy raz główną władzę powierzano hetmanom, w innych wypadkach marszałkowie konfederacji przeważną odgrywali rolę. Wadliwy ustrój sejmowy w Polsce wywoływał w chwilach niebezpieczeństwa konfederacje i to wówczas, „gdy tego niebezpieczeństwa stany oddalić nie mogły, albo dlatego, że nie mogły sejmu mieć, albo że żaden sejm nie doszedł i o drugim nie masz nadziei“.

## XX

### Z DZIEJÓW STAREGO POZNANIA

MICHAŁ BALIŃSKI: STAROŻYTNA POLSKA

O czterdzieści mil od Warszawy, a o pięćdziesiąt od Krakowa, leży Poznań, stolica Wielkopolski. Starożytny swój początek ukrywa miasto to w pomroce pierwszych wieków słowiańszczyzny, sięga bowiem początek jego, podobnie jak i wielu miast wielkopolskich, daleko dawniejszej epoki, niż wprowadzenia chrześcijaństwa. Musiał Poznań być dawniej głównym miastem jakiejś dzielnicy książęcej w Lechji, przed skojarzeniem ludów do niej należących w jedno państwo. Za Mieszka zaś stał się prawdziwą stolicą ówczesnej monarchji

polskiej, a w r. 966, t. j. w epoce założenia biskupstwa poznańskiego, pierwszym siedliskiem władzy duchownej na całą Polskę.

Tu też, królując nad nią, Mieczysław I w r. 992 i Bolesław Chrobry w r. 1025 na zamku pomarli i w kościele katedralnym, zbudowanym roku 966 pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, pochowani zostali. W Poznaniu już w 1000 roku, jako w stolicy państwa, przyjmował Bolesław z rzadką wspaniałością cesarza Ottona III, a potem z następcą jego Henrykiem II zawierał przymierze. Opierając się na kronice Marcina Galla, był Poznań już wówczas zamożnym grodem, ale po zgonie tego wielkiego króla zniszczyła tę pomyślność sroga napaść sąsiadów. Roku bowiem 1038 Brzetysław, książę czeski, opanowawszy je, złupił do ostatka, uprowadzając wozy ładowne skarbami. W Poznaniu również zakończyli życie Mieczysław II i Kazimierz Odnowiciel w ciągu tego samego wieku. W następnym, XII w., miasto, warowne zapewne już od czasu Chrobrego, wytrzymało ciężkie oblężenie wojsk Władysława II, chcącego wydrzeć braciom ich księstwa i pod jedno berło całą Polskę zjednoczyć. Odtąd jednak, po zwyciężeniu jego przez braci, aż do końca XIII w., to jest przez z górą sto pięćdziesiąt lat, było niezmienną stolicą książąt wielkopolskich czyli dzielnicy poznańskiej. Mieczysław Stary, który nie zostawił dobrej pamięci po sobie panując w Krakowie, osiadłszy jednak w Poznaniu, stał się dobroczyńcą jego, zakładając około r. 1170 szpital dla ubogich przy kościele św. Michała na Środce z hojnym uposażeniem.

Wzrost swój właściwy zawdzięcza Poznań Przemysławowi I, który założył w połowie XIII w. na lewym brzegu Warty nową część miasta i przeniósł do niej mieszkańców przedmieścia Środki, ulokowawszy ich na prawie niemieckiem. Zrazu bowiem główne miasto leżało nad brzegiem rzeczki Cybiny i na prawym brzegu Warty. Tu na wzgórzu wznosiła się pogańska świątynia, około której grzebano w urnach popioły zmarłych, tu niedaleko stał zamek książęcy od niepamiętnych czasów zbudowany. Na miejscu pierwszej wzniesiono w XII w. kościół św. Michała, później św. Janowi Jerozolimskiemu poświęcony, zamek zaś, z powodu nieustannych wylewów Warty opuszczony, Przemysław I odnowił zbudowaniem innego w po-

łowie XIII w. na upatrzonym do tego z lewej strony rzeki pagórku. Stąd powstały dwie oddzielne części Poznania: miasto książęce po lewym brzegu Warty i biskupie po prawym. Pierwsze ten sam Przemysław silnie drewnianymi parkanami obwarował, i na zawsze ustalił fundusze miasta przez nadanie siedemnastu wsi i uwolnienie mieszkańców od wielu ciężarów i powinności. Drugie biskupi założyli na prawie niemieckiem i wiele swobód mu udzielili.

Przemysław I jednakże, któremu Poznań najpierwszą swoją świetność winien, starał się rozszerzać obręb miasta i zabudował dwa nowe przedmieścia, św. Wojciecha i św. Marcina, ufundowawszy tam pod wezwaniem tych samych świętych dwa kościoły parafjalne. Osadzając miasto Poznań z lewej strony Warty na prawie magdeburskiem, mieli Przemysław i książęta wielkopolscy szczególnie na celu, by je zrobić głównem siedliskiem handlu i przemysłu w Wielkopolsce. Okazuje to widocznie ich przywilej lokacyjny. Przywilejem tym bowiem ustanowili w Poznaniu jarmark, zalecili założyć w ratuszu dwa sklepy dla kupców i uwolnili mieszkańców na czas niejaki od cła tak od sprzedawanych jak od kupowanych towarów i rzeczy. W dwadzieścia siedem lat po osadzeniu na prawie magdeburskiem Poznań już był ważnym punktem handlowym. Przywilej bowiem Przemysława z roku 1280 wymienia już w Poznaniu składy kramarzy, sklepy wina, składy towarów dla kupców zagranicznych, przyjeżdżających na jarmark do Poznania. W tym czasie, prócz wolnego jarmarku, bywały w Poznaniu liczne targi w pewne święta, na które przybywali kupcy zagraniczni z wszelkimi towarami. W ciągu XIII w. powstało w Poznaniu wiele świątyń, przybył też do Poznania zakon dominikanów i dominikanek.

Z początkiem XIV w. z powodu walk o posiadanie Wielkiej Polski i jej stołecznego miasta na czas niejaki ustały wszelkie fundacje pobożne i dobroczynne. Kres walkom położył Kazimierz Wielki. Lubił on pobyt w Poznaniu i uważając go za drugie miasto po stolicy w państwie swoim, wiele tu chwalebnych pamiątek zostawił. On pierwszy w miejsce drewnianych parkanów potężnym murem, basztami i przekopami miasto obwarował, zamek, wskutek wojny i niedbalstwa zniszczony, odbudował. Na wzór istniejącego w Krakowie dla Mało-

polski ustanowił w Poznaniu trybunał sądowy dla Wielkopolski, złożony z sześciu sędziów. Za Kazimierza Wielkiego znajdowała się już w Poznaniu mennica.

Jeszcze więcej może przez ciąg długich swoich rządów zrobił dla Poznania Władysław Jagiełło. Wydał od przywilej, mocą którego w mieście tem miał być skład towarów dla kupców zagranicznych, przybywających do Polski, co do wysokiego stopnia pomyślności handel poznański podniosło i znakomicie rozszerzyło stosunki handlowe Poznania z Gdańskiem i miastami niemieckimi. Dozwolił też, po zaniedbaniu dawnej, inną mennicę miastu założyć i bić w niej denary.

Wiek XV był epoką wielu nowych fundacji w Poznaniu, a twórcą lub opiekunem ich był jeden z najgodniejszych biskupów poznańskich Andrzej z Bnina. Jego staraniem powstał w Poznaniu szereg kościołów. W tym wieku też wprowadzeni zostali do Poznania bernardyni i dzięki niewyczerpanej hojności biskupa otrzymali murowany kościół z klasztorem. Rozprzeździł się też wtedy i obręb miasta. Biskup Andrzej z Bnina wspólnie z kapitułą zabudował na grobli, ciągnącej się od kurji kanoników do rzeki Warty miasteczko, zwane Chwaliszewem za przywilejem Władysława Warneńczyka, a w kilka lat później Kazimierz IV pozwoił miastu założyć przedmieście zwane Nowa Grobla. Obaj ci synowie Jagiełły znakomicie też wspierali handel miejski. Pierwszy pozwoił kupcom poznańskim przywozić i wywozić wszelkie towary z Gdańska i Warszawy, drugi postanowił, by kupcy zagraniczni i krajowi, przybywający do Poznania, ryczałtem tylko towary swoje sprzedawać mogli.

Jeszcze więcej do wzrostu handlu i przemysłu stolicy Wielkopolskiej przyczyniły się w XIV w. postanowienia Zygmunta I i jego syna Zygmunta Augusta. Zwłaszcza Zygmunt Stary był prawdziwym opiekunem Poznania. Dowodzą troskliwości jego liczne przywileje, któremi obdarzył kupców tamtejszych, uwalniając ich od ceł, utwierdzając prawo składu, lub ochraniając handel od nadużyć. Zygmunt August, wstępując w ślady ojca, te przywileje potwierdził i rozszerzył. Według tych przywilejów, potwierdzonych na sejmie w 1565 r., musiał „każdy kupiec, przekupień, furman, bez względu na towar, którym kupczył, tak z Ks. Litewskiego, Mazowieckiego,

Śląskiego, z państwa Ruskiego i wogóle ze wszystkiego Królestwa z towarem swym do Poznania jechać i tam trzy dni z towarem tym stać. Jeśliby go nie sprzedał, cło zapłaciwszy, wolno mu było jechać dokąd chciał, pod grozą kary konfiskaty rzeczy, gdyby zarządzeniu temu zadość nie uczynił". Tak wielki wzrost handlu, a stąd zamożność mieszczan poznańskich, obok tolerancji religijnej, zwabiły do tego miasta bardzo wielu cudzoziemców, zwłaszcza Niemców i Szkotów.

Wśród tak pomyślnego bytu zjawily się też w Poznaniu ważne zakłady naukowe. Od X w., t. j. od założenia biskupstwa, znajdowała się tu szkoła katedralna, po niej magistrat założył w r. 1303 szkołę miejską przy kościele św. Marji Magdaleny. Jak w wieku XV Andrzej z Bnina, tak w XVI biskup poznański Jan Lubrański upamiętnił się dobroczynnymi fundacjami. Założył on w r. 1519 w Poznaniu szkołę wyższą, zwaną Kolegium Lubrańskiego, czyniąc ją podobno kolonją akademii krakowskiej. Sławna ta zrazu i na cały kraj promienie światła rozsiewająca szkoła Lubrańskiego doprowadzona została z końcem XVI w. do upadku. Sprowadzeni bowiem w r. 1571 do Poznania jezuita dla pohamowania gwałtownie szerzącego się różnowierstwa i osadzeni przy kościele św. Stanisława, otworzyli szkołę publiczną u siebie, a biskupi poznańscy, opuściwszy zakład poprzednika swego, wszelkie usiłowania obrócili do wzniesienia zgromadzenia i szkół jezuitów. Zakon ów, posiadając najwspanialsze na całą Polskę kolegium w Poznaniu, postarał się u Zygmunta III o podniesienie go do stopnia uniwersytetu. Rzeczywiście król przywilejem z r. 1611 nadał temuż kolegium prawa i prerogatywy akademii krakowskiej służące, pozwalając udzielać stopni bakałarzów, magistrów i doktorów, z wyjątkiem wydziału prawnego i lekarskiego. W tym samym czasie w 1612 r. dźwignęto się upadłe kolegium Lubrańskiego i takim sposobem Poznań szczylił się dwoma ważnymi zakładami naukowymi, które dostatecznie przygotowywały młodzież wielkopolską do służenia krajowi.

Prócz tego jezuita, chcąc w swoim głównym siedlisku doskonalsze mieć prasy drukarskie od tych, jakie już w Poznaniu od początku XVI w. istniały, sprowadzili z Luzacji Jana Wolraba, w którego rodzinie przez lat sześćdziesiąt utrzy-

mywała się równa krakowskim drukarnia, ogłaszając najważniejsze dzieła ówczesnych uczonych tej prowincji. Obok tej kwitły jeszcze inne drukarnie i księgarnie przez ciąg XVI w. w Poznaniu. Miasto utrzymywało także nadaną sobie mennicę, w której Zygmunt III pozwolił bić obole. Słowem dobrobyt stolicy wielkopolskiej pomnażał się i trwał bez ustanku przez całą tę epokę. Była ona miejscem zjazdów wielu królów, książąt i panów, punktem do zawierania układów, tu nakoniec odbywały się synody.

Nienapasłowany przez wojnę i gwałtowne rozruchy Poznań XVI w., nie był jednak wolnym od klęsk, trapiących w tych czasach wszystkie miasta polskie. Prócz szkodliwych wylewów Warty, które, powodując powodzie, zalewały przedmieścia, kościoły i nawet rynek, wielkie szkody wyrządzały mieszkańcom morowa zaraza, dziesięćkroć grasując w Poznaniu, i pożary. Z początkiem XVI w. mór w Poznaniu wygubił 10.000 ludzi. I pożary wielkie szerzyły spustoszenia, tak n. p. wszczęły w r. 1569 pożar w popiół obrócił trzy przedmieścia: Chwaliszewo, Nową Groblę i Piaski.

## XXI

### STEFAN BATORY I IWAN GROŹNY

*ADAM MICKIEWICZ: LITERATURA SŁOWIAŃSKA*

Po Zyguncie Auguście i po Henryku Walezyuszu, który panował krótko, znalazła Polska w Stefanie Batorym męża, jakiego jej było potrzeba, aby nie tylko wzmocnił zachwianą Rzeczpospolitą, ale ją podniósł i rozszerzył.

Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki, władając małym swym krajem, znał ogólną politykę Europy, rozumiał przytem język polski i przez instynkt odgadywał charakter Polaków. Skoro tylko objął rządy Rzeczypospolitej, przedkładał zaraz senatowi konieczność przedsięwzięcia wypraw stanowczych na grożących jej nieprzyjaciół: na Krym i Moskwę. Ale, że i Tatarzy krymscy podlegali Turcji, a wojna z Turkami wylała się z wielu kwestjami europejskimi, wypadało ją odłożyć. Król Stefan osądził za rzecz stosowną począć od wywrócenia car-

stwa moskiewskiego i czuł się do tego na siłach. Nie przstraszała go ani potęga, ani niezmierna władza panującego naówczas w Moskwie Iwana Okrutnego.

Iwan właśnie wtedy rozpoczynał piąte swoje „opaly“, czyli „przewianie“ narodu. Wymordowawszy różnymi sposobami mnóstwo ludzi wszelakiego stanu, kazał wznieść na rynku szubienicę i postawić kotły z wodą, zapowiadając, że będzie wieszał i gotował żywcem swoich nieprzyjaciół. Przestraszył ogarnął całą stolicę; mieszkańcy, pewni nieuchronnej zguby, uciekali z miasta, albo zamykali się w domach. Księżę, zaganiowany, że nikogo nie widać na ulicach, chodził z orszakiem swoim od domu do domu, wybijał drzwi i spędzał na plac publiczność, aby przypatrywała się jego okrucieństwom.

Nie będziemy rozszerzali się nad szczegółami jego morderstw, bo nawet nie podobna ich wyliczyć. Potraciwszy prawie wszystkich najzamożniejszych bojarów, zniszczywszy niemal połowę mieszkańców, rozmyślał, jakby bawić się cierpieniem ludzkim. Z ulubionymi doradcami swymi, jednym Niemcem, a drugim Inflantczykiem, wymyślał coraz nowe i dolegliwsze sposoby męczenia nieszczęśliwych ofiar. Mimo to bojarowie i lud ślepo ulegali Iwanowi. Jeden ze współczesnych pisarzy przytacza następujący przykład: „Kiedy wielki książę kazał jednego ze znakomitych bojarów wbić na pal, ten nieszczęśliwy, żyjąc 24 godzin w męczarniach, rozmawiał z żoną i dziećmi, stojącymi przy nim, a w ciągu tej rozmowy powtarzał co chwila: „Panie Boże, niech twoja opieka czuwa nad carem“.

Te szczegóły służą do zrozumienia historii rosyjskiej. Bojaźń weszła w krew pokoleń, stała się wrodzoną poddanym. Wielcy książęta do szczętu wytępilli wszelkie uczucie zdolne zrodzić opór.

Nawet rozrywki Iwana były okrutne. Miał niedźwiedzi umyślnie hodowanych i wprawionych do polowania na ludzi. Z temi, zaczajony u bram Kremlina, czekał, póki się nie zbierze większa gromada przechodzących, zwłaszcza chłopów, albo mieszczan, wracających z szynku. Wtedy puszczał na nich swoje drapieżne bestje i widząc, jak te szarpały struchlałych od strachu, śmiał się na całe gardło. Czasem także

kazał zaszywać ludzi w skóry niedźwiedzie i szczwał ich psami.

Batory ledwo 40.000 żołnierza mogąc zgromadzić do boju, nie wahał się wydać walki temu mocarzowi, który, wedle podania historyków moskiewskich, samej armii regularnej miał 40.000, nadto 150.000 synów bojarских i mógł w potrzebie ruszyć 300.000 chłopów. Mimo to król Stefan, podejmując jedną po drugiej trzy wyprawy, zmusił go do przyjęcia warunków poniżających.

W obu stających do walki państwach podobno sami tylko ich monarchowie Iwan Okrutny i Stefan Batory rozumieli, jakie następstwa wojna ta pociągnąć za sobą może. Iwan, mimo iż oddany nieustannym bezprawiom i rozpuście, czuł jednak ciągle niebezpieczeństwo dla siebie ze strony Polski. Bez ustanku posyłał tam swoich agentów, zjednywał sobie możnych i tyle nawet dokazał, że po śmierci Zygmunta Augusta kilku panów polskich, a wielu litewskich, chciało oddać berło Rzeczypospolitej temu potworowi, pozerającemu własnych poddanych. Szczęściem Opatrzność uchroniła ich od tego.

Obrany królem Stefan Batory natychmiast wziął się do przygotowań wojennych. Nawiązywał przymierza z dworami obcymi, gromadził siły zbrojne. Właśnie w porę wszystko było gotowe, bo Iwan, nie czekając na wypowiedzenie wojny, wtargnął do Inflant. Kraj ten nadmorski, dotykający posiadłości polskich i moskiewskich, był bardzo ważnym dla obu mocarstw, z powodu swego położenia na drodze komunikacyjnej Północy z Europą przez morze Bałtyckie. Nagły napad Moskali pomieszał Inflantczyków i Szwedów, załogi polskie cofnęły się przed przemagającą siłą: wodzowie Iwana w kilka tygodni zdobyli całą krainę, wszystko pustosząc ogniem i mieczem. Jeńcy po stu, dwustu i trzystu posyłani do Moskwy, byli traceni w oczach wielkiego księcia.

Król Stefan tymczasem, uśmierzywszy bunt Gdańska i miast pruskich, ruszył przeciw Moskalom. Jeden z wodzów, Andrzej Sapieha, mając zaledwie 2000 jazdy pancernej i zebrawszy garstkę piechoty szwedzkiej i inflanckiej, napadł dwudziestotysięczny oddział moskiewski i zadał mu klęskę, a nazajutrz wyparł z okopów i zniósł do szczętu. Batory z głównymi siłami ciągnął przez Litwę. Radzono mu iść prosto do

Inflant, ale on utrzymywał, że należało zdobywać Inflanty, wójując gdzieindziej. Skierował się więc na Połock i opasał go szaniami. Po kilku tygodniach oblężenia, pomimo soty i zimna wskutek późnej pory roku, miasto zostało wzięte szturmem, zamek poddał się. Pierwsza ta wyprawa skończyła się zajęciem Białej Rusi i wielu miast inflanckich. Król pojechał na sejm do Warszawy.

Skutkiem zabiegów Iwana gotowała się na sejmie wielka burza przeciw królowi. Pomawiano go, że dla dogodzenia własnej dumie prowadził tę wojnę uciążliwą, że wydawał ogromne sumy na zdobycie pustej ziemi, że napastował wielkiego księcia, który był spokojnym i najżyczliwszym sąsiadem Rzeczypospolitej. Batory, jeszcze blady od trudów wojennych i wycierpianej choroby, ukazując na sejmie włosy swoje osmalone podczas szturmowania Połocka, rozbroił wszystkie niechęci i zamknął usta przeciwnikom. Nie tylko nikt nie śmiał odmówić mu zasiłków na drugą wyprawę, ale wbrew zwyczajom uchwalono powtórnie dwuletni pobór podatków. Wobec tego król czynił nowe zaciągi i wszelkimi sposobami powiększał swoje siły.

Polska w tym czasie miała dwu naturalnych nieprzyjaciół: Turka i Moskala. Turcy odepchnęli ją od morza Czarnego, zagrażali prowincjom południowym, wydarli z pod jej zwierzchnictwa Wołoszczyznę i Multany. Wielkie Księstwo Moskiewskie w żaden sposób nie mogło stać obok Rzeczypospolitej polskiej. Ale polityka polska dziwnie była obalamucona. Opinia powszechna uparczywie wołała o przymierze z Turcją i Moskwą, a Austrię uważała za najniebezpieczniejszą nieprzyjaciółkę. Mocą swej woli przełamał jednak Batory usposobienie sejmu i zaczął drugą wyprawę, przeciw Moskwie. Zamiarem jego teraz było odciąć Moskwę od morza, przerwać drogę, kędy Iwan dostawał z Europy inżynierów, artylerzystów, rzemieślników, ścisnąć potęgę moskiewską w jej gnieździe i zdusić, albo wyrzucić na stepy północno wschodnie. Od Połocka puścił się przez lasy i bagna szlakiem, znanym w Rosji pod nazwiskiem „drogi książąt litewskich“ i obległ Wielkie Łuki. Wojska moskiewskie, przysłane na odsiecz, zostały pobite, zamek wzięto szturmem. Następnie wodzowie polscy pozabierali Wieliz, Uświatę, Rewel, Starodub i wiele innych grodów, a król stanął pod Pskowem.

Iwan, widząc siły nieprzyjaciela mało co więcej jak o mil 30 od swojej stolicy, choć miał jeszcze 200.000 wojska, zwątpił zupełnie i zaczął się usilnie dopraszać pokoju. Przedtem odzywał się zawsze hardo i pisywał listy obrażające, teraz zalecał swoim posłom błagać króla uniżenie, znosić z pokorą chrześcijańską, gdyby ich źle traktował, a nawet chociażby ich kazał obić. Przebierając się w pokorę i łagodność mnicha, w liście wyrzucał Iwan Batoremu, że przelewa krew chrześcijańską. Kiedy Batory domagał się zwrotu kosztów wojennych, dziwił się, jak król i rycerz chrześcijański może żądać pieniędzy, mówił, że tylko dlatego nie uderzał silnie na Polaków, że miał wstręt gubić chrześcijan, bo dosyć mu było podnieść swoją chorągiew, aby ich zetrzeć.

Król Stefan odpisał na to: „Ale ukaż nam się na koniec, Boże moskiewski, jak nazywać się każesz podłym swoim niewolnikom. Nie widzieliśmy dotąd ani twojej osoby, ani chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Jeśli istotnie chcesz oszczędzić krew chrześcijańską, człowiecze litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam, wybierz sobie miejsce i czas, przybądź konny, a zakończymy rzecz pojedynkiem“.

Rozpocząwszy oblężenie Pskowa, Batory musiał zostawić je swoim wodzom, a sam jechać znowu na sejm do Warszawy. Po drodze od granic moskiewskich wszędzie, gdzie usłyszano zbliżającą się kolosę królewską, lud ze wsi i miasteczek wybiegał tłumem witać i błogosławić króla wojownika. Skoro przybył do Warszawy, cała ludność stolicy wysypała się na jego spotkanie, uderzono we wszystkie dzwony i gmin utrzymywał, że wyraźnie słychać było w ich głosie imię króla Batorego.

Taki entuzjazm oniemił przygotowaną na sejmie opozycję, gdzie posłowie już przedtem zrywali się, by nie dać więcej królowi żadnych zasiłków. Batory zresztą nie wdawał się w rozprawę. Zajmował się urzędzeniami wojskowymi: tworzył piechotę, której Polacy dotąd nie mieli. Ponieważ szlachta nigdy nie chciała służyć pieszo, a niebezpiecznie było żądać u sejmu pozwolenia na zaciąg włościan obywatelskich, król poprzestał na zaciągu w dobrach koronnych i z nich napełniał liczne pułki, zaręczając włościanom po odbyciu trzech



wypraw wolność osobistą im samym i ich potomstwu, a nadto obdarzając często szlachectwem tych, co się odznaczyli w boju. Tym sposobem Batory, prawie mimo wiedzy sejmu, uformował silną piechotę, zdołał wystawić sto tysięcy regularnego wojska, co było dotąd niesłychaną rzeczą na Północy. Równocześnie zajmował się ustanawianiem ciągłych trybunałów i urządził Kozaków, osiadłych nad Dnieprem, nadawał im ziemie i przywileje, łączył ściślej z Rzeczpospolitą. Ukończywszy to wszystko, wyprawił się po raz trzeci do Moskwy.

Chodziło mu teraz o zdobycie Pskowa, ostatniej wielkiej warowni, zastaniającej stolicę moskiewską. Ale oblężenie szło powoli. Załoga nieprzyjacielska była równa oblężającym i broniła się dzielnie, nadto zima i choroby niszczyły Polaków. Pośród tych trudności przybył sławny jezuita Possewino, przysłany przez papieża, aby starał się zrobić pokój między Moskwą a Polską. Wielki książę obiecywał papieżowi przyłączyć się z całym państwem do Kościoła zachodniego, mówił, że miał ten zamiar oddawna i właśnie pracował nad wykonaniem go, gdy mu król Stefan pomieszał wszystko swym napadem. Przynrękał, że skoro tylko zostanie uwolniony od Polaków, zwoła natychmiast synod, załatwi kwestje religijne i zajmie się wyprawą na Turków, co wtenczas było głównym dążeniem papieża. Mimo całą swą przebiegłość jezuita dał się oszukać wielkiemu księciu, bo działał z dobrą wiarą i z prawdziwą gorliwością ku sprawie Kościoła, a Iwan myślał tylko, jakby się pozbyć Polaków.

Wskutek rozpoczętych układów zawarto najpierw zawieszenie broni, a potem i pokój. Moskwa ustąpiła Polsce całe Inflanty, ze sto miast rozmaitych i 80 zamków obronnych. Ludność rosyjska miała wynieść się z tego kraju. Połock, klucz Białej Rusi, został w ręku Polaków. Nadto Batory zachował kilka miast dla Szwedów. Tym sposobem na długi czas odciął Moskwę od morza i dopiął głównego celu swej wyprawy, która nie miała być ostatnią, bo wielki książę moskiewski zaraz zaczął odnawiać swe wojska, a i król polski, trzymając się olbrzymich swych zamiarów, wchodził w układy z cesarzem niemieckim i zapewniał sobie wsparcie papieża.

Iwan, zawarłszy ten traktat, katował dalej swoich bojarów.

Podczas wojny z Polską popełnił książę najokropniejszą zbrodnię — zabił własną ręką starszego syna. Już złożony chorobą, która kres położyła jego życiu, ciągle wydawał krwawe rozkazy i dni całe trawił na przeglądaniu swoich klejnotów. Skonał, jak żył, bez najmniejszego znaku skruchy, bez najmniejszej myśli cnotliwej.

Niechże też teraz kto wytłómaczy sobie popularność Iwana. Płakał po nim cały naród. Skoro rozeszła się wieść o jego śmierci, lud biegł po ulicach, zalewając się łzami i wyjąc z rozpacz; rodziny nawet pomordowanych przez niego ofiar były nieutulone w żalu, przywdziewały ciężką żałobę. Historyk rosyjski zatrzymuje się tutaj osłupiały z zadziwienia i sam nie wie, jak to wyłożyć.

## XXII

### WARSZAWA W XVI WIEKU

*F. MAKS. SOBIESZCZAŃSKI: RYS HISTORYCZNO-STATYSTYCZNY MIASTA WARSZAWY*

W roku 1596 dnia 18 marca przybył do Warszawy z Krakowa król Zygmunt III wraz z żoną swą, królową Anną, małczkim królewiczem Władysławem, z królewniami, z całym swym dworem i ze sprzętami na statkach Wisłą sprowadzonymi i odtąd starożytne miasto Mazowska zostało stolicą całej Polski.

Dzieliła się Warszawa na Stare Miasto i Nowe. Stare było całe murowane, Nowe drewniane. Każde z nich swego prawa używało i osobne miało urzędy. Wójci, później burmistrzowie, co rok byli inni. Dwudziestu gminnych z ławnikami wybierało dwu kandydatów, z których starosta burmistrza mianował. Stare miasto zawsze szczupłe, jak wszystkie średniowieczne w Europie, otoczone było naokoło podwójnym murem większym i mniejszym, z niewielkimi basztami, dwoma wałami i fosami. Do wnętrza prowadziły cztery bramy, niezbyt od siebie odległe: Nowomiejska, Krakowska, Boczna i Gnojna.

Ulice odleglejsze były krzywe, bo drogo dawniej ceniąc mury, domy nie kolejno obok siebie stawiane być mogły. W Starem Mieście ulice były brukowane cegłą, pomieszaną z czerwonym granitem, a tak źle spojone, że chodzić i jeździć dla wielkiego błota było niegodziwie. Zresztą nie wszystkie ulice miały bruki. Rynek Starego Miasta był dość wielki, lecz sklepami i rzemieślnikami zavalony. Najzamożniejsza klasa mieszkańców osiadała w Starem Mieście. Tu odbywał się cały handel towarami do przepychu służącymi, bogaci kupcy tu najwystawniejsze mieli sklepy, tu były składy drogich towarów i wszelkich kosztowności. W roku 1564 było w murach Starej Warszawy jedenaście ulic, za wałami na przedmieściach dziewięć. Na ulicach tych wogóle murowanych domów było 488.

Nowe Miasto, po większej części drewniane, w rynku i na ulicach razem z browarami, spichlerzami i ogrodami miało 204 posiadłości. Obie Warszawy w r. 1596 zawierały razem domów 692. Kościołów było dziesięć, szpitali pięć. Najważniejszą dobroczynną instytucją tych czasów było założone w roku 1592 Bractwo Miłosierdzia Bożego, a przy niem, na wzór włoskich tego rodzaju zakładów, bank zwany „Komorą potrzebnych“, bo bez lichwy wszelakiej pożyczał potrzebującym na zastaw pieniędzy. Założył go tutaj słynny Piotr Skarga, jezuita, a bractwo niebawem wybudowało. Pod opieką biskupów poznańskich zostawał szpital pod wezwaniem św. Łazarza, przeznaczony dla chorych i ubogich mieszkańców Warszawy. Zakład ten, z którego ubodzy i chorzy wielkie pożytki osiągnęli, uważać można za pierwszy początek i źródło dzisiejszego Towarzystwa Dobroczynności.

Do ozdoby miasta niemało przyczyniały się dwa zamki królewskie: jeden w Warszawie, drugi za miastem, w Ujazdowie. W tym ostatnim za Stefana Batorego pierwszy raz wspomniany jest teatr, chociaż nie wąpimy, że musiał on być tutaj i dawniej znany. W teatrze ujazdowskim w czasie zaślubin Jana Zamojskiego z Krystyną Radziwiłłówną pierwszy raz w dniu 12 stycznia 1578 r. odegraną była tragedia Kochanowskiego pod tytułem „Odprawa posłów greckich“, którą Mikołaj Szarfenberger z Krakowa, pierwszy drukarz

warszawski, tegoż roku z druku tutaj wydał i ta jest pierwsza dotąd znana książka, która z pod prasy warszawskiej wyszła. Jest ona nadto jedyną z tej epoki, śnać więc, iż Szarfenberger, nie mogąc w Warszawie utrzymać się, wkrótce stąd wywniół się.

Mamy ślad o istnieniu w tej epoce dwóch szkół parafjalnych, przy kościołach umieszczonych. Były dwa ratusze. Nad Wisłą stały liczne spichlerze w tem miejscu, gdzie teraz ulica Brzozowa położona.

W Starem Mieście odbywały się trzy jarmarki: po Wielkiej Nocy, na św. Jana i na św. Jadwigę. Na Nowem Mieście też trzy: na św. Agnieszkę, Wniebowstąpienie Pańskie i św. Łucję. Na jarmarkach tych było wiele koni i bydła, liczni kupcy i kramy mnogie. Dniem targowym w Starem Mieście był czwartek, w Nowem poniedziałek.

Za starą Warszawą stały wokół obszerne przedmieścia, lecz niezmiernie błotniste, piękne ogrody i 24 ról miejskich.

Dokoła ciągnęły się wsi, które dziś w skład jej weszły, tak, iż niektórych nawet ślad nazwiska zaginał. Od połowy ulicy Długiej była to już okolica za miastem i przedmieściami leżąca, na której znajdowały się pola, grunta orne i zarośla. Za Wisłą istniała wieś Praskich, od ich imienia Pragą nazwana, która z czasem podzielona była między wielu właścicieli.

Pod względem wygody wewnątrz miasta słynęły w Warszawie szczególnie szynki, warzelnie piwa i miodu, wiśniaków i maliniaków, które wychwała Kromer. Domów gościnnych i oberży wprawdzie jeszcze nie było, ale w czasie sejmów i przyjazdu królów, mieszczanie warszawscy obowiązani byli przyjmować przyjeżdżających panów, szlachtę i dworzan, równie jak i wojsko w domostwach swoich na gospodę, a umieszczanie ich należało do władzy marszałków wielkiego i nadwornego koronnych i obu litewskich. W tym celu każdy z nich miał sobie do rozporządzenia raz na zawsze pewną część miasta przeznaczoną. Domy duchownych lub miejskie za szczególne zasługi, nawet za ozdobne wybudowanie, wolne były od tych powinności i zwały się libertowanemi. Liczba takich domów stale się pomnażała, a w roku 1564 wynosiła już 75.

Podczas pobytu królów i odbywania sejmów najwyższą

władzę policyjną i sądową nad miastem obejmował marszałek wielki koronny, lub, w czasie jego nieobecności, nadworny. Lecz w tym czasie jeszcze niewiele zatrudnienia dawało to marszałkom. I obcy i krajowi pisarze zgodnie zeznają, że kiedy po śmierci Zygmunta Augusta na polu między wsiami Wolą a Powązki koło Warszawy przeszło sto tysięcy szlachty wraz z ich służbą i pachółkami na obiór nowego króla zgromadziło się i przeszło 40 dni tam obozowali, porządek i spokój miasta w niczem naruszony nie został. Tak zaś zamożna i dobrze zaopatrzona była Warszawa, że wszelkie potrzeby tego stutysięcznego tłumu zaspokoić zdołała.

### XXIII

#### ROKOSZE, CZYLI ZWIĄZKI WOJSKOWE

*ALEKSANDER REMBOWSKI: KONFEDERACJA I ROKOSZ  
W DAWNEM PRAWIE PAŃSTWOWEM POLSKIM*

W szeregu różnych konfederacji i sprzysiężeń, w jakie obfitują dzieje Rzpltej, na specjalną uwagę zasługują rokosze, czyli zbrojne związki rycerstwa, zorganizowane w tym celu, aby króla wraz z dygnitarzami pociągnąć do odpowiedzialności za niedotrzymanie „pactów conventów“ i ukrzywdzenie wolności. Rokoszanom wydawało się, że reprezentują w osobie swej wszystką Rzpltę, że przysługuje im władza najwyższa, jako obrońcom zagrożonych praw i swobód.

Z wyrazem „rokosz“ spotykamy się już w XVI w. za panowania Zygmunta Starego, w dekrete sądu sejmowego, który nazywa przywódców wojny kokoszej rokoszami. Groźny rokosz Zebrzydowskiego, pragnący sądzić i karać króla oraz dygnitarzy, obejmował tylko część stanu rycerskiego i to część mniejszą. Lojalna szlachta zawiązała bezzwłocznie konfederację przy królu, a większość senatorów dopomogła do opracowania teorii przeciwrokoszewej, która sejmowi i władzy królewskiej pragnęła przywrócić pierwotną moc i siłę, oświadczając zarazem, że rokosz jest przeciw prawu, lub z gwałtu praw. Wystąpiono z wybornymi traktatami, które dowodziły, że rokosze jedynie zgubę państwu przynieść mogą, że wszel-

kie spory i nieporozumienia przez sejm rozpatrywane i łagodzone być winne. Zjazdy rokoszowe starały się usilnie o zniweczenie uroku, jaki majestat królewski w Polsce wywierał.

Naśladując stan rycerski, przyuczyło się i wojsko zawiązywać konfederacje, gdy skarb pusty nie był w możności wypłacenia im wysłużonego żołdu. Marszałkowie, wybrani przez związkowych, usuwali hetmanów i przedstawiali monarsze prośby, wśród których znajdowała się dość często nagana, mniej lub więcej wyraźna dla jego rządów. Sprzysiężenia wojskowe nie zwykły były czekać na zaspokojenie ich potrzeb i zapłatę należnego żołdu, lecz przywłaszczywszy sobie prawo królewskie i Rzeczypospolitej wszystkie intraty\*), tak z królewskich, jako i duchownych dóbr pochodzące, opanowawszy żupy solne, cła wodne i portowe, akcyzy, wszystkie Rzeczpltej i królewskie dochody zagarnęli, nie dlatego, żeby rozszarpać mieli, lecz żeby prędszą żołdu mogli odebrać należność i wynagrodzenie za niesłuszne rozszafowanie w skarbie żołnierskich pieniędzy.

Rokosze wojskowe były najgroźniejsze ze wszystkich i, sprowadzając na kraj nieobliczone klęski materialne, demoralizowały wojsko, które powinno było świecić przykładem karności i poświęcenia. Związki wojskowe uważały się za władzę, lekceważącą króla i sejmy, a odbierającą drogą samopomocy swoje należności. Królowi wraz z sejmem zwykle nie pozostawało nic innego, jak ugoda z wojskiem, jak odtargowanie czegoś z uroszczonych pretensji, lub potrącenie tego, co z sekwestru majątku Rzpltej samowolnie pobrane zostało. Rokosze wojskowe bowiem zawiązywały się w dobie uciążliwych i nieszczęśliwych wojen. Związkowi reprezentowali zazwyczaj poważną siłę wyćwiczonego żołnierza, który niekiedy, mimo swych pretensji i związku, dawał się namówić do nowej wyprawy przeciw nieprzyjacielowi.

Rokosze i związki wojskowe, ponieważ obejmowały tylko część rycerstwa, a ośmiały utożsamiać się z Rzeczpospolitą, lub uzurpować sobie prawa królewskie, nie zdołały nigdy pozyskać w Polsce nawet skromnych znamion legalności

\*) Dochody.

i napiętnowane bywały nazwą spisku, buntu, sprawiającego w kraju nieład i zamieszanie.

## XXIV

### TURNIEJE I GONITWY

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI:  
OBRAZY STARODAWNE

W narodzie naszym, gdzie duch rycerski z odwagą we krwi krążył, ćwiczenie męskie, ukazywanie w niem śmiałości, zręczności i siły było powszechnem, ulubionem nawet. W wychowaniu młodzieży gry rycerskie rej wiodły, stąd zaledwie pachole chodzić mogło, już dziecinnym szermując orężem, ścinało głowy drewnianym Turkom w zawojach, zrzucalo baranie czapki figurom Tatarów, dosiadało wczesnie koni, nabierając zręczności i siły. Rycerską, a ulubioną zabawą były turnieje i gonitwy. I jedne i drugie odbywały się w zamkniętych szrankach, ale była między niemi różnica.

Jeśli to było przy obrzędzie koronacji króla, albo na weselu, polem rycerskich zapasów był podwórzec zamku krakowskiego. Wysypywano szranki grubo piaskiem, aby szwankujący rycerz w ciężkiej zbroi łatwiejszy miał upadek. Ktokolwiek chciał walczyć, zatykał kopję, a przy niej opierał swą tarczę z herbem lub z napisem. Dotknięcie się tej kopji, lub wyrwanie jej z ziemi, znaczyło wyzwanie, a podanie wzajem ręki, że to wyzwanie przeciwnik przyjmuje. Rycerze, wjeżdżający do szranek, mieli hełmy zawarte, stąd dla łatwiejszego rozpoznania mieli na tych hełmach różne godła, jak kwiat róży, głowę wilczą, trzewik niewieści i t. d.

Na bramie zamkowej przybijano artykuły, wedle których każdy z rycerzy musiał się zachować. Król, królowa, królowy, niewiasty dostojnych rodzin i dziewice zasiadali na zbudowanym umyślnie krużganku w pierwszych ławach. Król sam był sędzią waleczności, lub zdawał władzę swoją t. zw. sędziom obozu. Rycerski przepych rozwijał się tu najokazalej. Każdy z walczących występował w najkosztowniejszej zbroi polerowanej, hełm zdobił w pióra strusie, równie jak łeb

swego rumaka; okrywał konia bogatym pokrowcem, na który kładł rżęd i siodło, wysadzone drogiemi kamieniami, nabijane srebrem i złotem. Każdy z rycerzy do turnieju używał całej zbroi. Prowadził z sobą orszak świetny giermków i dworzan, dudarzy, co mu przygrywali, surmaczy, grzmiących na trąbach; do przepychu tego orszaku należał często karzeł, niosący buzdygan, a często i błazen, czyli trefniś, jeżeli rycerz walczący należał do magnatów.

Przed zaczęciem walki, w szrankach wszyscy rycerze wsiadając na konie, wzajem jeden drugiego przepaszali i odpuszczali sobie, jeśliby który przypadkiem był obrażony lub zabity. Jeżeli razem walczyli w większej liczbie, podzieleni na dwa przeciwne zastępy, każdy miał własną chorągiew. Nagrodą zwycięzcy był wieniec złoty, pierścień, drogi puchar, zbroja kosztowna, lub koń pod sutym rżędem. Zachowało się wiele opisów turniejów, odbytych w czasie zaślubin Zygmunta Augusta z Katarzyną Austrjacką. „Tam już nie postać bitwy, lecz samą prawie bitwę widziano — mówi o tym turnieju Orzechowski. — Ze spuszczonei przyłbicami, w gończych zbrojach lecieli jedni przeciw drugim, na niebezpieczeństwa i rany wzajemne. Naprzód parami kruszyli kopje, potem, zebrawszy się w hulce, uderzali na siebie z tarczą i mieczem“. Na weselu Jana Zamojskiego z Gryzeldą, synowicą Stefana Batorego, w szrankach turniejowych wystąpili zasłużeni dobrze rycerze z pod zwycięskiej buławy Batorego. Była to walka na ostry oręż, więc, nim bój rozpoczęli, przepaszali się wzajemnie i odpuszczali sobie, gdyby który przypadkiem poniósł ranę, lub zabitym został.

Odmienną zabawą rycerską były gonitwy. Tu nie było boju, tylko sposobność dla rycerza okazania zręczności, siły i męskiego wdzięku. Zabroniony był w gonitwach oręż, którym walczone na turniejach. Celem gonitwy było nie tylko zdjęcie pierścienia, ale także okazałe wystąpienie w szrankach i wdzięk rycerski w podniesieniu drzewca, czy kopji. Gonitwy odbywały się częściej, jak turnieje, bo niemal co święta i w czasie zjazdów po dworach nie tylko królewskich, ale panów znakomitszych, a nawet uboższej szlachty, gdyż ćwiczenie takie należało do wychowania młodzieży. Nie budowano

też zawsze szranków, ale podwórzec dworu, czy zamku bywał miejscem gonitwy.

Do czasów Jana III gonitwy były w użyciu powszechnem, ale turnieje od Jana Kazimierza ślad zaginął, w języku tylko pamiątkę po sobie zostawiając. „Mieć z kim turnieje, do turnieju przywieść“ — były to przysłowia XVI i XVII w. Nędzną pamiątką rycerskich gonitw pozostały karuzele. Stanisław August przy odsłonięciu pomnika Jana Sobieskiego w Łazienkach we wrześniu 1788 r. wyprawił turnieje, ale były one tak podobne do starodawnych igrzysk rycerskich, jak Poniatowski odwagą i sercem do Stefana Batorego.

## XXV

### BITWA POD KIRCHHOLMEM

ADAM NARUSZEWICZ: ŻYWOT KAROLA CHODKIEWICZA

Suderman, uwiadomiony o zbliżaniu się Chodkiewicza ku Rydze, zwołał radę wojenną. Myśl jego była, aby wysłać natychmiast ośm tysięcy ludzi przeciw Chodkiewiczowi i bitwę mu wydać, nim więcej wojska ściągnąć zdoła, resztę zaś przy szturmie Rygi zostawić. Zgodzili się na to inni wodzowie, dwaj tylko radzili, ażeby lepiej całe wojsko przeciw Chodkiewiczowi wyprowadził, gdyż znali go dobrze, zwłaszcza jeden, który przedtem wzięty był przez hetmana do niewoli. Nie w smak poszła Sudermanowi ta rada rozumnych generałów, począł na nich podług zwyczaju swego djabłami sypać, wyrzucając im tchórzostwo — ledwo go umitygowano. Zawołał więc: „Niechże tedy wychodzi całe wojsko w pole i rzuca tak pomyślne dotąd oblężenie“.

Potem kazał w trąby dać znak na zwijanie obozu i zlustrowawszy wojsko, przemówił do niego w te słowa:

„Teraz czas pokazać, żołnierze, męstwo wasze. Mamy pod bokiem nieprzyjaciela, ale on nie straszny. Najlepsza pora zaraz się z nim spotkać, póki mu posiłków i ufności nie przybędzie. Uderzmy na Polaków następnej nocy, zewsząd otoczeni nie ujdą rąk naszych. Porzucamy oblężenie miasta,

które i potem musi być nasze. Całe Inflanty nam się dostaną jako nagroda prac i zwycięstwa“.

Na te słowa żołnierze krzycheć poczęli, jedni wołając, że się bić nie chcą, póki obiecany żołd nie będzie im wypłacony, drudzy, w Inflantach pozaciągani, przypominali daną im przed zacięciem obietnicę, że przeciw Polakom ich prowadzić nie będzie. Te wołania okrutnie rozdrażniły Sudermana, który dwóm Inflantczykom szlacheckiego rodu natychmiast głowy ściąć rozkazał. Potem starał się łaskawością usmierzyć nieukontentowanie, upewniając, że nawet bez bitwy taką garstkę zwycięży, obiecując przytem oddać wojsku wszystkie łupy, zdobyte na nieprzyjacielu i podwójny żołd pod Kirchholmem wypłacić. Następnie wyprawił wieczerzę dla starszych oficerów w małej wiosce niedaleko Rygi.

W czasie wieczerzy i pijatyki przywieziono więźnia polskiego, schwytanego w zasadzce, i stawiono przed biesiadnikami. Był to Krajewski, towarzysz chorągwi husarskiej Nowodworskiego, sławnego rotmistrza. Żołnierska jego mina, niezgnębiona niewola, hełm na głowie, zbroja świetna i skóra lamparcia dały okazję szwedzkim generałom do chwaleń wspaniałej postawy rycerskiego męża.

„Miłościwy panie, jeżeli wszyscy Polacy do tego człowieka są podobni, nie wątpię, że się nie ulękną z nami spotkania“ — powiedział jeden z wodzów. Ta pochwała uraziła księcia, który zawołał na niego z gniewem: „Włóż i ty na siebie wilczą skórę, a będziesz straszny! Nie bierz miary z jednego, takich może jest kilkunastu“. Krajewski, sam uprzedzając Szwedów, prosił o pozwolenie mówienia. Gdy mu je dano, rzekł: „Wojsko nasze, najjaśniejszy książę, jest podróżą mocno zmordowane i nieliczne, bo nie ma więcej nad półczwarta tysiąca ludzi, a posiłków dopiero za dwa tygodnie się spodziewa, atoli i z tą garstką nasz hetman bitwę z wami stoczyć jest gotów“. „Gotów! — krzyknął Suderman ze złością — musi być zaiste twój hetman bardzo zuchwały. Wszak to nie młodzik, ani z rozumu obrany, żeby ze swojemi rotami przeciwko memu wojsku, z tylu tysięcy złożonemu, śmiał się postawić!“ Na co tłumacz Sudermana, dwakroć przez naszych w niewolę pojmany, odezwał się: „Znam ich dobrze, królu, nie trzeba tym ludem pogardzać“.

Zdanie to poparli i inni generałowie szwedzcy.

Suderman, chcąc podnieść ducha swego rycerstwa, poił oficerów pełnemi kielichami aż do późnej nocy i do mającej nastąpić bitwy zagrzewał. Płochosć jego i duma dochodziły do tego stopnia, że już zawczasu przewidywane łupy z obozu Chodkiewicza między swoich rozdzielał. Zarozumiałość ta nazajutrz srodze została ukarana.

Strudzone wojsko Chodkiewicza stanęło dla odpoczynku pod Kirchholmem, wioską nad Dźwiną, leżącą o dwie mile od Rygi. Gdy hetman dowiedział się przez szpiegów o zamiarze Szwedów najścia go niespodzianie, wydał rozkaz, ażeby równo ze świtem wszyscy wzięli się naprzód do błagania Boga, potem do koni i oręża.

Z pierwszym brzaskiem dnia, wysłuchawszy mszy św. w swoim namiocie, z wyniosłego wzgórza ujrzał Chodkiewicz rozwijające się liczne zastępy piesze i konne. Rozpatrzywszy szyk nieprzyjaciela, zaczął szykować i swój szczupły hufiec, który wraz z oddziałem rajtarów, przyprowadzonych w pomoc przez wiernego księcia kurlandzkiego Fryderyka, liczył 2310 konnicy, 1040 piechoty i siedm małych armatek. Chodkiewicz podzielił swe wojsko na trzy oddziały. Całą tę siłę Chodkiewicz z umysłu uszykował w szereg bardzo ścisły, ażeby ta garstka jeszcze mniejszą się wywadała i pyszny Suderman, gardząc szczupłością zastępów polskich, reszty ostrożności się pozbył. Około godziny ósmej zaczęły się harce między pojedynczymi jeźdźcami i trwały aż do południa. Chodkiewicz nie śmiał uderzyć na liczne zastępy Szwedów, zajmujące zbyt silne pozycje na wzgórzach; chciał je przedtem koniecznie ściągnąć w dolinę. Rozkazał harcownikom udać popłoch. Harcownicy uciekają, fortel się powiódł, a Suderman uradowany zawołał do swoich: „A co, nie mówiłem, że Polacy uciekną?“ I wydawszy rozkaz, aby całe wojsko się ruszyło, sam skoczył pierwszy, zmieszawszy porządek swych szyków.

Hetman na to tylko czekał. Skoro Szwedzi zeszli z pagórków, rozsunęły się szyki nasze, dotąd ścieśnione, czyniąc pozór wielkiego wojska, z siedmiu działek hetmańskich poczęło gęsto strzelać, huknęły trąby i kotły i całe rycerstwo przy okrzykach „Jezus, Marja“ rzuciło się na Szwedów z niezmierną natarczywością. Husarze skoczyli w sam środek

armji nieprzyjacielskiej na stojącą w szyku piechotę. Daremny był ogień muszkieterów. Husarze zapędem swych dzielnych koni przeskakują pierwsze szeregi, łamią i tratują ten hufiec straszny. Poparci przez rajtarów kurlandzkich, okropną w tem miejscu zadali klęskę nieprzyjacielowi. Zginęło kilku generałów, a dowódca całej piechoty został wzięty do niewoli. Dzielna jazda nasza ze wszech stron uderza ze straszliwym impetem. Chodkiewicz, mając przy sobie księcia kurlandzkiego, sam wiezie rycerstwo, przebiega szyki, głosem i szablą wszystkim przewodzi. Popłoch szerzy się między Szwedami. Jednocześnie lewe skrzydło polskie, korzystając z wichury, która piaskiem od strony morza Szwedom w oczy sypała, wpada na rajtarów szwedzkich, łamie ich, wycina i rozprasza. Ginie młody książę luneburski, zięć Sudermana.

Równocześnie wre krwawa walka na prawem skrzydle. Sam Chodkiewicz o mało nie zginął w tej bitwie. W ogólnem zamieszaniu rajtar szwedzki przypadł do niego i omyliwszy się, zamiast hetmana, jednego z jego przybocznych wystrzałem z pistoletu trupem położył. Uniesiony gniewem Chodkiewicz zwraca konia, puszcza się za nim, dopędza i szablą głowę mu zmiata. Rozbici na wszystkich punktach Szwedzi, nie mogąc przyjść do ładu, w ogólnym popłochu uciekają z pola bitwy. Tu już nie walka, ale krwawa rzeź następuje. Ścigano ich i mordowano aż pod samą Rygę do późnego wieczora. 9000 trupów zostało na placu, reszta na wszystkie strony się rozbiegła. Sam Suderman ciężko ranny, zaledwie z małym oddziałem rajtarów uciec zdołał. Zdobyto 60 chorągwi, cały obóz i artylerję z 11 dział złożoną, kosztowny serwis srebrny Sudermana i wszystkie jego sprzęty.

Cała Europa zabrzmiała sławą i podziwem dla Chodkiewicza. Cesarz Rudolf przysłał hetmanowi powinszowanie, Jakób, król angielski, kosztowne dary i przyjaźń swoją mu ofiarował. Papież Paweł V listem pełnym pochlebnych wyrazów winszował triumfu bohaterowi. Sułtan turecki i szach perski przez posłów swoich złożyli Chodkiewiczowi powinszowanie. We Flandrji zaś wyrobiono jedwabne obicia na ściany, t. zw. szpalerly, przedstawiające szczegóły tej bitwy.

Bój pod Kirchholmem odbył się 26 września 1605 r.

## XXVI

## DOMY SZLACHECKIE W XVII W.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI: PRAWEM I LEWEM

Domy szlacheckie, z rzadka porozrzucane, budowane były w znacznej od siebie odległości. Mieszkało się daleko od siebie, daleko sąsiad od sąsiada, co zresztą często na lepsze, rzadziej na gorsze wychodziło — nie było drogi wcale, a jeżeli była, to bez mostu, a jeżeli z mostem, to z dziurawym i karkołomnym. Miasto dalekie, a w mieście niczego dostać. Czekano się na jarmark. Dom musiał sam sobie wystarczyć. Wszystko robiło się w domu: wódka, piwo, miód, lekarstwa, płótno, mydło, świece, atrament, nawet proch strzelniczy. Czego się nie robiło w domu, tego się nie robiło wogóle w kraju, przychodziło to z zagranicy, kupowało się u Niemca, Włocha, Szkota i żyda, który stał zazwyczaj za tych wszystkich trzech razem, a miał towar najrozliczniejszy i najlichszy. Smutną prawdą były słowa poety: „Nikt do nas, my na wszystkie posyłamy światy — po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty“.

Każdy dom szlachecki był małą forteczką. Był okopany, a otaczał go ostrokół, okna były zakratowane, drzwi bardzo silne i gęsto okute. Każdy zamożniejszy szlachcic starał się mieć na domostwie swoje basztę. Taka baszta bywała zazwyczaj drewniana i służyła do obrony i do straży — gdzie nie było baszty, tam chłopci na dachu kolejno odprawiali nocą warty, śpiewając, trąbiąc, lub dmąc w piszczałki na znak czujności. Choć dom był z drzewa sklecony, a czasem miał nawet chruściane ściany, nie obywat się przecież bez takiej baszty. Czytamy n. p. w inwentarzu wsi Pisarowice, w ziemi sanockiej, z r. 1645, że część dworu składała się z komóreczek, plecionych z chrustu i lepionych gliną, a przecież dom ten miał basztę wysoką na cztery sążnie ze strzelniczką na szczycie o sześciu oknach. Najdzielniejszym i najzwyczajniejszym jednak środkiem obronnym był okop. Opasywał on dom szlachecki fosą i wałem, nie potrzebował ani rzemieślnika, ani kupnych materiałów i kosztował mało, bo

sypali go obowiązani do pańszczyzny poddani. Sztuka sypania wałów, improwizowania okopów, była u nas do wysokiego stopnia rozwinięta, a już osobliwie na Czerwonej Rusi, nad którą wiecznie wisiła trwoga tatarska. Celowało zawsze w improwizowaniu fortyfikacji ziemnych wojsko polskie, w którym był piękny zwyczaj, że pierwszy do sypania szaniców stawał z rydlem w dłoni sam hetman; celowała w tem szlachta, mieszkająca w okopach, celował chłop, któremu tylko puszcza leśna albo okop dawały ochronę przed Tatem. Zwyczaj miał taki okop wszerz 4 łokcie, w głąb 3 łokcie, a ziemia, wyrzucona na wierzch, tworzyła wał wysokości 6 łokci.

Dwór wraz z głównem podwórzem opasany był wysokim ostrokołem z dębowych palów, u góry w groty zaciowanych, a od ziemi do pasa płotem podgrodzony. Za tym ostrokołem było dokoła drugie podwórze, które znowu obwarowane było t. zw. tynem. t. j. wysokiem i zaciernionem u góry ogrodzeniem, wzdłuż którego biegła głęboka fosa i wał wysoko usypany. Z licznych opisów zajazdów i napadów wynika, że do takiego domostwa napastnik tylko z wielkim trudem mógł się dostać, że okop trzeba było wziąć szturmem, ostrokół wyrębać, drzwi wystrzelać, podpalić, czasem prochem wysadzić. Bardzo często czytamy, że szlachcic tak napadnięty wytrzyma obłężenie; czasem nawet sama kobieta pod nieobecność męża skuteczny stawia opór szturmowi. Ubogi nawet szlachcic ma w domu mały arsenał i odpowiedni zapas żywności, a utrzymywać musi bardzo liczną służbę. Na sygnał, dany w domu dziedzica, uderzają we wsi dzwony kościelne, a poddani mają wtedy obowiązek z siekierami, kosami i pałkami śpieszyć na odsiecz dworowi. Zamożniejsza szlachta posiada zameczki, drewniane wprawdzie najczęściej, ale opatrzone w basztowe czatownice, otoczone wałem, lub ostrokołowym parkanem.

Już sama obronność takiego zameczka, a tem bardziej zwykłego domostwa, wymagała bardzo licznej czeladzi, jakoż był to największy ciężar w wydatkach każdego możniejszego szlachcica. Nie tylko bezpieczeństwo w domu, ale jeszcze bardziej bezpieczeństwo w podróży wymagało zbrojnego towarzysztwa, a z tej potrzeby wyrobił się z czasem zwyczaj re-

prezentacyjny i szlachcic, który się szanował, nie wychylał się z domu bez orszaku. Do grodu, na sejmik, na pogrzeby, w gościnę do sąsiada, na nabożeństwo do kościoła wyjeżdżało się jakby na małą wojnę i miało się też wojnę za lada okazją. Największa część krwawych burd powstawała z powodu takiego zwyczaju; bo jeśli nie zwadzili się pomiędzy sobą panowie, pewnie powadziła się służba, a jak przykazaniem było sługi mścić się krwawo obrazy pańskiej, tak znowu uchodziło to za honorowy obowiązek pana ująć się krzywdy swego sługi.

Służby szlacheckiej dwa były rodzaje: szlachciców i poddanych. Sługa szlacheckiego rodu, przystając do pana, ślubował mu wierność i posłuszeństwo podaniem ręki i stąd powstała nazwa: sługa rękodajny. Stosunek służby do pana był przychylny, nie brak nawet w aktach wzruszających przykładów serdecznego przywiązania czeladki do państwa, państwa do czeladki, wierności z jednej, rodzicielskiej prawie opieki z drugiej strony.

Średnio zamożna szlachta naśladowała chętnie wielkie domy magnackie, które roiły się od służby. Nieszczęsny ten nałóg rujnował szlachtę, a zamiast dodawać splendoru domowi, okrywał go często śmiesznością. Ciekawy obraz takiej pompy nad stan daje nam pewien szlachcic w liście do przyjaciela z r. 1606:

„W mieszkaniu nie proporcja to — czytamy — kiedy izba wielka, a chłopów we wsi mało. Mieszkanie ma być szlacheckie według wsi i według poddanych. Życie szlacheckie: oliwki, cukry, dobre to rzeczy, ale kto nie ma 1000 kóp żyta, dobry mu ogórek, kiełbasa, chrzan, rzodkiew i rzerzucha. A cóż dopiero sług niepotrzebnych chowanie, co jeno wąsy kręcą, a nic więcej nie umieją, jeno się z miednicą, a nalewką kłaniają. Więc nie proporcja: na gumnie pięć brogów żyta, a dziesięć kręciwągów w izbie. Według gumna mają być pacholarze, barwa i honor; kiedy kto ma 1000 kóp żyta, może chować pacholków trzech i chłopiąt dwoje. A koni, ile set kóp owsa, tyle koni chować, a na dwa folwarki, niech będzie kolebka o dwu skrzyniach, a jeśli jeden folwark, tedy karetą o jednej skrzyni, a na trzy folwarki, niech parą koni za kolebką wózek idzie“.

## XXVII

## HETMAN W NIEWOLI

KAROL SZAJNOCHA: SZKICE HISTORYCZNE

W nieszczęśliwej wojnie cecorskiej nadzwyczajnie bogate było zniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomysłny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, zrzec się wszystkiego, co przypominało dawną świetność i chwałę. Błakając się niepoznany między rozsypaną dokoła pobojowiska tłuszczą łupieżników wołoskich, zrzucił z siebie dla utajenia osoby wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień diamentowy, ale nie mógł postąpić równie z diamentowym krzyżykiem z relikwiami na piersi. Ten zdradził go oczom drapieźców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstąpili srogiemu Iskander-baszy.

Uprowadzony przez tegoż do Białogrodu, wtrącony został hetman do dziwnie brudnej i niewygodnej turmy. Pośrodkiem więzy przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kółkach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch wsadzono hetmana i w okowy. Okienko tylko było małe, którem więźniom jałmużnę podawano. Po rychłej śmierci Iskander-baszy uwieziono jeńca z tatarskiego obozu do Carogrodu.

Tam niewola pogańska, w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych, dręczyła jeszcze cięższymi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan więźnia rzecze wezyr: „Na muzulmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50.000 wojska. Pójdiesz do Persji, co kosztem pana mojego zdobędziesz, twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz“. Powiedział na to hetman: „Uczynić tego nie mogę, bo gdybym Bogu i Panu memu wiarę zламаł i waszej pewnie nie miałbym wiary“. Na to rzekł wezyr: „Idźże na więzienie wieczne! Nie moja wina, na mnie nie narzekaj“. Porwali się z dywanu wszyscy, odeszli Koniecpolskiego, którego wnet



z rozkazu wezyra odwieziono na barce milę za Konstantynopol, do Czarnej wieży.

W tem oślawionem na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie, niż się obawiał. Siedział w jednej sali z dwunastu innymi więźniami różnych narodów. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się po górnej sali nad morzem, resztę zaś dnia skracano sobie modlitwą, rozmową albo grą w karty. Na czas niejaki stała się hetmanowi niemałą rozrywką jaka taka znajomość zegarmistrzostwa. Aga tej wieży miał kilka zegarów, z którymi nie umiał się obchodzić. Przyszedł do więźniów i pytał się, czyby który nie umiał postawić zegarów. Hetman koronny rzekł: „Gdybym widział, zrozumiem“. Rad aga kazał mu iść za sobą. Dwa mu z nich naprawił. Nazajutrz, przywołany do agi, znowu mu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie za- stanowił. I tak dłuższy czas wychodził do owych zegarów.

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następująca. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł jednego razu jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu maca hetman kupioną odzież i znajduje coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze z Białogrodzkiej wieży powiodło mu się przestać wiadomość o sobie królowi i przyjaciółom, którzy teraz tajną wywzajemnili się odpowiedzią. Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnej zapłaty i niechybnej wolności za powrotem poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż, jako jeden z wodzów podjętej przeciw sułtanowi wojny cecorskiej, miał przeciw sobie osobisty gniew padyszacha i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie dozwolano porozumiewać się z krewnymi o wykupno. Owoż donoszono teraz z domu Konięcpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielka legacja z Polski do Turek. Też zalecono będzie posłowi traktować o wykupienie hetmana, przez co jest wszelka nadzieja ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych. Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia niewola w Czarnej wieży. Raz usłyszał Konięcpolski przez ścianę jęki cecorskich współtowarzyszy niewoli, duszonych

w bocznej sali za wyrokiem dywanu. Więzy bisurmańskie zaczęły coraz ciężiej przygniatać duszę.

Aż nakoniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wystawnicy od rodziny hetmańskiej, wiozący pisma instancjonalne do różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30.000 talarów. A gdy wychodził z wieży, aga kilka baranów kazał zarznąć na wyjście więźnia polskiego i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu darował z powinszowaniem, aby, w dobrem zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską po swoim chodził ogrodzie, a hetman nawzajem sto talarów kazał mu dać.

## XXVIII

### WAWEL

AMBROŻY GRABOWSKI: KRAKÓW  
I JEGO OKOLICE

Z którejkolwiek strony zbliżamy się do Krakowa, widzimy wznoszące się nad miastem wzgórze, zwane Wawelem, a na niem katedrę i starożytny zamek, dawne książąt i królów siedlisko.

Niewiadomo, kiedy w tem miejscu pierwsza powstała osada. Starożytne podanie mówi, że Krakus, wódz Chrobatów, upodobał sobie ten obszerny i rzeką oblany wzgórek, z którego piękny dokoła roztacza się widok na urodzajną równinę, i że tutaj na mieszkanie dla siebie zamek drewniany wystawił. W ciągu wieków książęta i królowie polscy pierwotny zamek coraz bardziej rozprzestrzerali i obwarowywali, aż wreszcie z biegiem czasu, dla pomieszczenia coraz liczniejszego dworu, całą zabudowali górę.

Wielu władców mogło w świetniejszych przemieszkiwać gmachach i górować nad skromnem życiem królów naszych przepychem dworu, wytwornością sprzętów i zbytkiem stołu, lecz nie wiedzieć, czy który monarcha miał mieszkanie, odznaczające się piękniejszym położeniem, niż zamek krakowski.

Składał się on niegdyś z licznych i wielkich gmachów, a z rozległości swej raczej do miasta, niż do zamku był podobny. I teraz wznoszą się na Wawelu obok kościoła katedralnego i dawnego pałacu królewskiego liczne inne gmachy, które już później powstały. Mur, okalający niegdyś górę od strony południowej i zachodniej, już nie istnieje, tylko stoją baszty, czyli wieże, zadziwiającej wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski, zajmujący blisko trzecią część powierzchni Wawelu, tworzą gmachy o dwu piętrach, galerjami opasanych: stoją one w czworobok około obszernego dziedzińca, będącego w środku.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się bez uszkodzenia tylko kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona i ozdobiona. Obejmuje ona 18 kaplic, w których się mieszczą wspaniałe grobowce i pomniki królów, niemniej pomniki, uwieczniające pamięć mężów sławnych dziełami cnoty, nauką lub walecznością.

Pośrodku kościoła wznosi się, jakby kościół w kościele, kaplica św. Stanisława, patrona Polski, okryta kopułą wyłancaną, wspartą na brązowych słupkach. Na ołtarzu jej w srebrnej trumnie, unoszonej przez aniołów, złożone są kości św. biskupa.

Bywała ta katedra królom naszym kolebką ich chwały za życia, a teraz jest miejscem spoczynku ich popiołów. Wychodząc z rycerstwem na obronę granic, tu oni uzbrajali się błogosławieństwem niebios, a powracając, tu składali dawcy zwycięstwa dziękczynienia i znaki triumfów na ścianach jej zawieszali.

Pod posadzką świątyni spoczywają prochy mnogich książąt i królów polskich, oraz ich rodzin: najbliżej wejścia obok pogromcy Turków, Jana III, w marmurowych grobowcach śmiertelne szczątki Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. W r. 1890 złożono też w osobnej krypcie zwłoki Adama Mickiewicza, największego naszego poety narodowego.

Równie ważnym i oglądania godnym jest skarbiec, w którym znajdują się szacowne pamiątki starożytne, jak ubrania kościelne, krzyże, kielichy i t. p., sadzone perłami i drogiemi kamieniami, przypominające dawną zamożność,

oraz pobożność książąt i biskupów, z których darów pochodzą.

Przy wielkich drzwiach kościelnych wznoszą się dwie wieże, a trzecia obok zakrystji. Na tej znajduje się dzwon największy w Polsce, zwany Zygmuntem. Ma on blisko ośm metrów w obwodzie, a do poruszenia go ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne jego brzmienie rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonję nad całym miastem i dalszą okolicą.

Stawna w dziejach bajecznych Polski „Smocza jama“ w skalistym łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, znajduje się od jego strony zachodniej, t. j. od Wisły. Wejść do niej można po drewnianych schodkach. Jest ona zupełnie sucha, ma kilkadziesiąt kroków długości i znaczną zajmuje przestrzeń.

I tak co krok niemal napotkasz tu na jakąś szacowną, sercu drogą pamiątkę. Kraków bowiem, a w szczególności Wawel jest tem dla Polaków, czem Rzym dla świata.

## XXIX

### LWÓW DAWNY

WŁADYSŁAW LOZIŃSKI: LWÓW STAROŻYTNY

Kiedy się wszystko waliło na Rusi polskiej, Lwów stał prosto, jedyna przystań dla rozbitków wśród burzy. Wśród zamieci kozackich buntów, kiedy w odmęcie strachu i pożogi zniknęło wszystko, co w tej części ziem polskich było władzą, ładem, bezpieczeństwem i nadzieją jakiegoś jutra, Lwów jeden widniał na horyzoncie, a jego baszty i wieże unosiły się jak arka na falach potopu.

Niemniej słynna, jak waleczność, była oświata lwowska. Wśród mieszczaństwa, które wydało tylu znakomitych uczonych pisarzy i poetów, niemal każdy większy kupiec był za dobrych czasów doktorem filozofji, a każdy doktor praw lub medycyny także kupcem. Nie miał Lwów tych samych środków naukowych co Kraków, ale szkoła miejska przy farze, której rektorami bywali znakomici i głośni swego czasu mę-

zowie, była zakładem wyborym i dawała dobre podstawy wiedzy, którą rozszerzał następnie Kraków, a uzupełniały uniwersytety zagraniczne w Bolonji, Padwie, Rzymie i Paryżu.

Wiedzy pragnęli niemal wszyscy zamożniejsi i nie znamy prawie patrycjuszowskiej rodziny we Lwowie, któraby nie wysyłała swych synów za granicę. Było to tradycją rodową, a zarazem ambicją osobistą każdego młodego patrycjusza, aby być doktorem; przyczem doktorat nie odwodził od handlu. Jeszcze z początkiem XVII w. każdy z tych patrycjuszów lwowskich byłby szczerze powiedział, iż gdyby nie był mieszczańcem, chciałby nim zostać. Szlachta i szlachectwo długo mu nie imponowały, miał swoje cenne przywileje, majątkiem i oświatą stał wyżej od szlachcica miernej kondycji, czasem nawet od senatora, nie kontentował go klejnot szlachecki.

Szlachta często ubiegała się o córki mieszczańskie, nawet jeszcze w XVII w., kiedy mieszczaństwo upada, a szlachta przybiera w bucie; ale za pierwszej epoki, t. j. do pierwszych dziesiątków lat XVII-go stulecia, nie spotykamy śladów, aby mieszczaństwo lwowskie uważało to sobie za szczególny zaszczyt. Te „tyki“ lwowskie bogate i rozumne, opasane warownymi murami i basztami, obeznane równie dobrze z wagą, jak z armatą, władające równie dobrze łokciem, jak mieczem, a co także znaczyło dużo, piórem i językiem, budziły w średniej i małej szlachcie zazdrość i szacunek.

Jeszcze do pierwszych lat XVII-go stulecia niema otwartego antagonizmu między mieszczaństwem a szlachtą, przeciwnie, dostrzec można ślady wzajemnej sympatji i ufności, Lwów przybiera pozory jakiegoś całkiem samoistnego, niemal udzielnego organizmu, jest aż do swego upadku dla mieszczaństwa ojczyzną, Rzeczpospolitą, światem całym. „Ma to miasto wszystko — pisze ówczesny historyk — co tylko do ludzkiego użytku jest potrzebne“. Tu byli wszelkiego rodzaju rzemieślnicy, o wielkiej biegłości w swojej sztuce, tu były składy hurtowe wszelkich możliwych towarów, olbrzymie piwnice win greckich, włoskich, węgierskich i wołoskich, bogate kramy, obfitujące w najrzadsze i najkosztowniejsze przedmioty zbytku. Złotnicy i jubilerowie lwowscy sławni byli z doskonałości w swej sztuce, architekci włoscy, niemieccy i polscy, osiedli we Lwowie, na daleki promień dokoła wznosili kościoły,

zamki i pałace; ludwisarstwo dochodziło do wysokiego rozwoju — Lwów odlewał działa, dzwony, a nawet spiżowe pomniki dla znacznej części Polski; tu wykonywano wspaniałe hafty, aplikowano pyszne namioty, wyrabiano sławne złociste rzędy, oprawiano prześliczne szable. Gdy chodziło o szybkie wyekwipowanie wojska, żadne miasto polskie wyrównać nie mogło łatwością i szybkością dostaw Lwowowi, a było to niejako dobrą tradycją i dumą rzemieślników lwowskich, okazywać swą dzielność w śpiesznym dostarczaniu oręża.

Lekarze lwowscy słynni byli w całej Polsce, gromadziła się do nich najznakomitsza magnacka klientela, a wielu z nich było lekarzami nadwornymi. Miał Lwów zawsze drukarnie; księgarze zaopatrywali ludzi czytających w nowe książki, a na słynne jarmarki lwowskie zjeżdżali zawsze księgarze z Krakowa, Gdańska, Lubeki i t. d.

Magnat i szlachcic mógł tutaj wydzierżawić dobra, sprzedać produkty, wypuścić stawy, znaleźć przedsiębiorcę do eksploatacji lasów, a jego żona i panny znalazły tu wszystko, czego zapragnąć tylko może serce elegantki, począwszy od gronostajów i soboli, od indyjskich i pajęczych tkanin, wschodnich złołogłowiów, genueńskich aksamitów aż do pereł, niderlandzkich koronek, francuskich pończoch i perfumowanych rękawiczek.

Lwów był niewątpliwie pod względem handlowym jednym z najważniejszych punktów na europejskim kontynencie. Przez Lwów prowadziła główna handlowa droga na Wschód — tu była stacja handlowa wschodnich kupców. Niemcy przez długi czas nabywali tu wszystko, czego im potrzeba było z dalekiego Wschodu, nawet Włochy były niekiedy ograniczone do przewozowego szlaku, który przez Lwów przechodził.

Mieszczaństwo lwowskie za dobrych swoich czasów miało upodobanie w sztuce i zbytku. Domy patrycjuszów odznaczały się bogatą architekturą i prawdziwie niekiedy artystyczną dekoracją. Okryte szczodrą aż do przesady rzeźbą, z dumnie sklepionymi sieniami i krużgankami, o kamiennych arkadach od podwórza, nie ustępowały najpiękniejszym mieszczańskim domom zagranicy. Najbardziej ulubionym motywem dekoracyjnym był lew, herb i mianodawca miasta, ukochany przez wszystkich Lwowian, jako symbol siły i waleczności

ojczystego grodu. Niestety pożar i wandalizm zarówno wysłał się na to, aby zniszczyć najpiękniejsze domy patrycjuszowskie. To, co się zachowało, świadczy dobrze o lwowskim mieszczaństwie, a nie zapominajmy, że żyło ono tuż „u paszczki tatarskiej“, że było załogą fortecy, w którą tak często biły kule obłąnnicze.

Zewnętrzne dekoracje przygotowywały na coś jeszcze bogatszego w samym wnętrzu domu, w komnatach pana i pani. Poza rzeźbionymi obramowaniami drzwi i okien uderza prawdziwie mnogość olejnych obrazów, która się znajdowała w każdym patrycjuszowskim domu. Lwów posiadał zawsze dobrych i średnich malarzy, głównie portrecistów, o czym świadczą dochowane do dziś portrety patrycjuszów. Przy niektórych znajdujemy wyraźne objaśnienia, że malowane przez włoskich lub niderlandzkich malarzy. Zdumiewające jest prawie bogactwo obić, makat i kobierców. Nigdzie zapewne na całym obszarze Rzeczypospolitej tak się nie miłowano w kobiercach wschodnich i tyle ich nie posiadano, co we Lwowie, który miał je sam z pierwszej ręki, a zaopatrywał w nie najdalsze strony nie tylko Polski samej, ale prawdopodobnie i Europy. Obijano niemi ściany i podłogi; każdy sprzęt, każdy zydel i stół nakryty był kobiercem wschodnim. Najwyżej cenione były jedwabne na złotem tle. Obok najróżnorodniejszych kosztowności, jak meble rzeźbione, ozdabiane kością słoniową, złociste łoża i zwierciadła, szafy norymberskie i gdańskie, świeczniki zawiesziste z brązu; także najzaczniejszy sprzęt w domu cywilizowanym: książka, zajmowała szanowne a obszerne miejsce w mieszkaniu patrycjusza lwowskiego, który uważał to za dumę i za obowiązek swojego stanu być miłośnikiem nauk i oświaty. Każdy mieszczanin ma w swoim domu zapas książek, niektórzy posiadają obszerne biblioteki.

W społeczeństwie tak zamożnem, cywilizowanym i zamilowanym we wszystkim, co upięknia i uszlachetnia życie, kobieta niewątpliwie musiała mieć tyle pozycji, aby rozwinąć w pełni nie tylko urok, ale i godność płci swojej. Mieszczanin lwowski posiadał w znacznym stopniu zmysł rodzinny, a szukać żony znaczyło dla niego tyle, co szukać „przyjaciela“. Mieszczka lwowska nie ustępowała wykształceniem swoim szlachciance, tak, jak nie ustępowała jej

pewną elegancją stroju, a przewyższała niewątpliwie praktyczną znajomością życia, bo umiała zastąpić męża za ladą sklepową i przy księdze rachunkowej. Rozumiała dobrze handel i potrafiła robić pieniądze. Zimorowicz pisze, że od czasu założenia szkół we Lwowie i dziewczęta miejskie szczebiotały po łacinie. Sławne były mieszczki także z elegancji, przepychem swoich strojów i bogactwem klejnotów budziły zazdrość szlachcianek. Zdaje się, że mieszczki lwowskie, kiedy były w pełnej toalecie, musiały wyglądać jak madonny bizantyńskie, tyle było na nich złota, pereł i brylantów.

Cudzoziemcy, osiadający we Lwowie, a osobliwie Niemcy i Włosi, szybko i szczerze przywiązywali się do miasta i zlewali z jego społeczeństwem. To samo powiedzieć można o Grekach, którzy ruszczyli lub polszczyli się zaraz w drugim pokoleniu. Aż do pierwszych lat XVII w. było w mieście wiele rodzin włoskich, greckich i angielskich, nie chwilowo, lecz stale osiadłych, utrzymujących wprawdzie ciągle stosunki z ojczyzną pierwotną, ale mieszczan zaprzysięgłych, ożenionych z Lwowiankami, mówiących i piszących tak dobrze po polsku, jak po włosku lub po angielsku.

Niestety niedługo trwała ta świetność handlowa i mieszczańska Lwowa. Jeszcze nim go powaliły katastrofy wojen kozackich, upadek jego handlu i dobrobytu staje się coraz widoczniejszy. Koniec to już Lwowa jako silnego i bogatego miasta; wraz ze schyłkiem XVII wieku upadek dojdzie do ostatecznego ubóstwa.

### XXX

## ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE ZA WŁADYSŁAWA IV

WIKTOR CZAJEWSKI: WARSZAWA

Z przeniesieniem stolicy do Warszawy nowe życie weszło do miasta. Spalenie zamku krakowskiego stanowiło tylko pozór, dla którego król mógł chwilowo niby opuścić dawną stolicę. Nie dla braku pomieszczenia porzucił Zygmunt Kraków. Chodziło mu przedewszystkiem o to, aby był bliżej granic dzie-

dzicznego państwa swego — Szwecyi, o którym nie przestawał myśleć. W Warszawie dwór królewski był na wskroś cudzoziemski. Sam król nosił obce ubiory, wielka biała kryza otaczała codziennie jego szyję.

Zamek warszawski okazał się przedstawiał. Już Zygmunt August dużo pieniędzyłożył na rozszerzenie i przebudowanie zamku. Zygmunt III znów przebudował, aż trzy nowe skrzydła wystawił i zamek pięknie urządził.

Żyjący za panowania Władysława IV historyk i poeta Jarzębski w dziele swem p. t. „Gościna, albo krótkie opisanie Warszawy“, tak zamek ten opisuje:

„W jednej komnacie wszystkie ściany wysadzone są zwierciadłami. W pokoju królewskim komin na kształt fontanny, cały z metalu, inne pokoje pokryte obrazami, wyobrażającymi zwycięstwa Polaków. Ujrzeć tam można wszystko, co działo się na Moskwie, wojnę turecką i świeże zwycięstwa dzisiejszego Władysława, co uspokoił Turka i Szweda.

Mamże mówić o sali, gdzie odprawiają wesela, o przepysznym teatrum, gdzie komedja i tragedja, a skoki włoskie wyprawiają. Teatrum to jest z perspektywami, budowane znacznie w kolumny. Tam kunszty podnoszą się, schodzą na dół, inne śrubami w rozmaite obracają się strony. Raz ukazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość, na wierzchu lazuruwe niebo z słońcem albo miesiącem, gwiazdami i planetami. Tam ujrzysz okropne piekło i morze burzliwe; żeglują po niem łodzie, a syreny, pływając, ślicznie śpiewają. Tu postacie spuszcza się z nieba, inne wychodzą z ziemi. Następują inne sceny: postacie rozmawiają z sobą, potem po włosku drgają nogami i skaczą, a wszystko przy muzyce i klawicymbałach. Raptem otwiera się drzewo, wyskakuje z niego osoba cała w klejnotach, z utrefionym włosiem i śpiewa jak anioł.

Dziedziniec w zamku jest w kwadrat brukowany, za nim kuchnia, tuż pacholeta królewskie. Od Wisły nakształt twierdzy podnoszą się mury, wzniesione przez króla Zygmunta ku hamowaniu rzeki. Tu królewicz Karol postawił zacny budynek. Nad kuchnią jest łaźnia. Tam do cynowej jakby sadzawki rurami leje się woda, ubywa albo przybywa, tak, że w niej i chodzić i pływać możesz. Państwo zwykło się tam kąpać.

Za bramą zamkową jest ogród niewielki z kwiatami, owocami i krynicą, która kołem zamkowi wodę daje“.

### XXXI

### KOZACZYŻNA

MARJAN DUBIECKI: OBRAZY I STUDJA HISTORYCZNE

Wyraz „Kozacy“ spotyka się już w ostatnich dwudziestu latach XV wieku. Owi „Kozacy“, wspomniani w ówczesnych aktach kijowskich, byli to przybysze ze stepu, zawsze z nad Dniepru, bądź z północy, bądź z południa do Kijowa. Jedni trudnili się handlem i dlatego do Kijowa zajeżdżali, drudzy żyli w stepie, utrzymując się z myślistwa i rybołóstwa. Okolice Kaniowa i Czerkas i dalsze ku południowi więcej od innych nęciły rozlicznych włóczęgów i „ludzi swawolnych“, którzy w stepie wolni byli od wszelkiej odpowiedzialności i jakiegokolwiek władzy. Resztki dawnych Połowców, Rusini, Polacy, Litwini, Tatarzy, każdy kraj sąsiedni dostarczył trochę zbiegów dla zaludnienia stepów dniewprowych. Wszyscy tu byli wolni, wszyscy równi, każdy panem stepu, przestrzeni, jak okiem sięgnąć. Rzecz naturalna, że zlewały się tutaj szumowiny każdego społeczeństwa, często zbiegi przed zasłużoną karą, złoczyńcy, ludzie bez domu i bez ziemi. Tu dla wszystkich było przestronnie i swobodnie. Imiona i nazwiska tych Kozaków spotykane po źródłach i aktach z XV i XVI stulecia, świadczą o swej różnorodności pierwiastków składowych, owej mieszaninie plemion, ras i wyznań.

Gdy „Kozacy“ do Kijowa przychodzili, pilnie ich strzeżono, bo byli to ludzie rozpustni, do wszystkiego gotowi, na wszystko się odważający. Samo wyrażenie „kupiec chrześcijanin“ i „kupiec Kozak“ wymownie świadczą, jaką czyniono różnicę i jak się zapatrywano na tych wędrowców ze stepu. Wyraz Kozak, pochodzenia tatarskiego, oznaczał „chudy pacholek, zdobywca szukający, nikomu nie poddany, który za pieniądze, komu chce, służy“. I w rzeczy samej długo Kozacy dniewprowi nikomu poddani nie byli, ale są pewne już

ślady, że pod koniec wieku XV-go ulegać zaczęli zwierzchności urzędników królewskich, a nawet używani już byli do wypraw przeciw Tatarom. Przedtem jeszcze Kozacy, znudzeni nieraz rybołostwem i handlem, w liczniejsze zbierali się gromady i biegli daleko na Wschód szukać łatwych zdobyczy i łupów, albo też czynili zasadzki, aby obdzierać kupców jadących wzdłuż Dniepru. Od wieków szła tamtędy droga handlowa z Kijowa na Wschód, tamtędy ciągnęły karawany, wiozące produkty wschodnie; wprawdzie nie był to już Kijów dawnych czasów, zawsze przecież utrzymywał stosunki ze Wschodem, korzystali więc z tego Kozacy, aby złupić, jak się uda, prowadzone towary. Pokrzywdzeni wynagrodzenia znikąd otrzymać nie mogli, póki na kresach dniewprowych silniejsza zwierzchność ustanowiona nie była.

Zmieniły się rzeczy, odkąd namiestnicy królewscy, osiadłszy po główniejszych stacjach drogi dniewprowej, a mianowicie w Kaniowie i w Czerkasach, usiłovali utrwalić tam pewną władzę, ba nawet podciągnąć owych Kozaków i ludzi swawolnych pod swój zarząd i swoją zwierzchność. Kiedy to nastąpiło, jacy to byli owi pierwsi starostowie królewscy, w jaki sposób wzięli się do dzieła, to wszystko najzupełniejsza pokrywa ciemność, tyle tylko wiemy, że nie tak łatwo im przyszło poskromić te tłumy niesforne, zaprowadzić pewien ład i porządek. Dobrze przed końcem XV wieku myślano już o zorganizowaniu obrony kresowej za pomocą Kozaków, używano ich do walk z Tatarami, lecz długo jeszcze nawyknąć nie mogli do posłuszeństwa. Za Zygmunta I poczęto po zamkach, szczególnie na pograniczu, stale trzymać załogi, tak zwany lud słuźebny, draby, pacholki i innych nazwisk, które to załogi, uzbrajane kosztem skarbu, były zawsze w pogotowiu do obrony zamku lub do zaciągnięcia w pole. W Kaniowie i Czerkasach załogi zamkowe rekrutowały się głównie wśród Kozaków, od czasu do czasu jednak przysyłało tu żołnierzy polskich. Ciągłe boje z Tatarami ułatwiały drogę do wyniesienia się, mnóstwo też jest przywilejów donacyjnych na grunta nad Dnieprem dla wystużonych żołnierzy kresowych. Z czasem kozactwo dniewprowe i kozactwo niżowe zlewać się zaczyna w jedną całość, a przeprowadzona potem or-

ganizacja tworzy odrębne ciało, opatrzone prawami i prerogatywami na przyrzeczoną służbę.

Z usadowieniem się namiestników królewskich u kresów dniewprowych rozpocząć się musiała kolonizacja. Wcześniej zapewne rozdawać poczęto puste uroczyska i rzecz naturalna, że wojewodowie kijowscy, jak i królowie, gorliwie wspierali kolonizację nad Dnieprem, z osiadających tu bowiem ziemian powiększała się straż kresów ukraińskich. A że ziemie te wcześniej już nęciły przybyszów urodzajnością i żyznością, a „taniec“ z pohańcami otwierał drogę do sławy i zaszczytów, zawsze przeto znajdowali się ludzie, którzy chętnie tutaj osiadali. Aby zaś zachęcić do tego, zwalniano nowych przybyszów od różnych powinności i zobowiązań. Tak np. ci, którzy zajmowali dalsze „pustowszczyzny stepowe“, wolni byli na czas pewien od wszystkich opłat i danin, stąd wyraz „słoboda“, który aż dotąd się przechował jako nazwa rozlicznych osad na Ukrainie. Starostujący po ojcu w Kaniowie i Czerkasach Aleksander Wiśniowiecki gorliwie wspierał kolonizację na kresach i mnóstwo miast i włości zakładał. Przy miastach wznosiły się zamki, przy nich skupiały się siły obronne danej miejscowości: z powiększeniem więc osad i miasteczek wzrastała obrona kresów ukraińskich.

Z tej przyczyny kolonizacja przedsięwzięta przez Wiśniowieckiego gorliwie była wspierana przez Stefana Batorego i Zygmunta III. W akcji tej chodzi głównie i jedynie o zwiększenie sił obronnych, o skupienie jak najwięcej rąk do obrony kresów. To też ostatnich lat XVI wieku całkiem inny już widok przedstawia kraj dniewprowy, o wiele różny od tego, cośmy tutaj widzieli w wieku XV. Prawda, że jeszcze dużo jest stepów, bo tak wielkie przestrzenie niełatwo zaludnić, ale już niema jednego wielkiego stepu wzdłuż Dniepru, od Kijowa aż po Oczaków, — już niema bezludnych „dzikich pól“, a większe lub mniejsze osady, rozrzucone choć zrzadka, lecz na całej przyszczeni. Mimo najazdów, mimo ciągłych bojów z Tatarami, kraj się zaludnia, uprawia, wzbogaca i wzmacnia. Jeszcze przez parę dziesiątków lat XVII już wieku widzimy ten sam postęp. Nagle praca się urwie, a kraj dniewprowy krwią zlany, spustoszony, wyludniony, znowu pustką zabłyśnie, znowu tylko „dzikim zwierzętom bezpieczne ukocha-

nie dawać będzie". Burza kozacka zniszczy dwuwiekową pracę, zniszczy owoc długoletnich trudów. Z czasem raz jeszcze rozpocznie się kolonizacja, ale nie tak już jednolita, nie tak ogólna — a żywioły niszczące raz po raz przerywać będą tę pracę i wysiłki.

## XXXII

### BITWA POD BERESTECZKIEM

LUDWIK KUBALA: SZKICE HISTORYCZNE

Dnia 27 czerwca, kiedy cały obóz ruszył się w drogę do Dubna, nadbiegł goniec z doniesieniem, że han i Chmielnicki się zbliżają. Wystano natychmiast Czarnieckiego, aby wozy do obozu nawrócił, wojsku kazano wracać na wały, wysłano silne oddziały do obsadzenia wszystkich przejść i przepraw, a inżynierowie rozbiegli się do naprawy okopów i szańców. Nie było żadnej wątpliwości o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Co chwilę nadbiegały nowe zwiastuny nadchodzącej burzy. Podjazdy polskie, zetknąwszy się z tatarskimi, chrońły się do obozu, pospolite ruszenie przeprowiło się co prędzej, wozy z łoskotem napowrót wracały, a nad wieczorem dalekie łuny dokoła horyzontu i głuchy szmer w powietrzu zwiastowały o zbliżającej się potęgde 300.000 nieprzyjaciół. Piechota i luźna czeladź sypały przez całą noc szańce i okopy, całe wojsko spało pod bronią, a nikt pod gardłem z obozu oddalać się nie ważył.

Nazajutrz całe tłumy słuchały z wielką skruchą nabożeństwa, w obozie otrąbiono całodzienny post z powodu wigilji św. Piotra i Pawła i żaden żołnierz nie tknął się jadła. O 10 godzinie zrana straż polska przybiegła z tem, że nieprzyjaciela na oko widziała. Wystano na zwiady Bogusława Radziwiłła, jenerała infanterji. Ten ujrzał zrazu wielkie tumany, poczem około południa pokazały się pierwsze oddziały tatarskie.

Jazda polska stała w pogotowiu pomiędzy wałami a szańcami obozu. Zamojski, strażnik koronny, przebiegał szeregi polskie, wołając w imieniu króla, aby nikt na harce wyjeżdżać

się nie ważył. Dopiero o 5 godz. popołudniu, kiedy już była pewność, że nieprzyjaciel więcej sił na pole bitwy nie przyprowadzi, pozwolono doświadczonym weteranom wyjechać na ochotnika i przyjąć wezwanie. Rozpoczął się tedy taniec tatarski, a raczej polowanie na ludzi, w którym nie chodziło o to, aby zabić przeciwnika, ale aby go żywcem pochwytać. Podjeżdżali do siebie, gonili się nawzajem, naganiali, czyhając jeden na drugiego, z wielką pociechą i zabawą całego wojska, które się z wałów, szańców i szyków z ciekawością temu widowisku przypatrywało.

O świcie, dnia 29 czerwca, ruszyła cała jazda królewska w pole. Ustawiono ją w znacznej odległości od okopów, podczas gdy reszta wojska stała gotowa w obozie. Lewem skrzydłem dowodził hetman polny Kalinowski, w środku stało pospolite ruszenie, wojewoda braclawski na prawem. Król i wojsko życzyło sobie stanowczej bitwy.

Dzień był jasny, jak nadzieja zwycięstwa. Równo z dniem pojawiły się od Horynia oddziały tatarskie. Bito do nich z dział i ręcznej broni. Około jedenastej uderzył nieprzyjaciel większemi siłami i opanował przeprawy, słabo bronione. Liczne oddziały ruszyły na równinę i rozpoczęły, jak zazwyczaj, harce, podbiegając pod szyki i wywołując do walki. Wkrótce potem wzniosły się ze wszystkich stron słupy dymu. Kościoły, dwory, wsi na kilkumilowej przestrzeni stanęły w ogniu. Stutysięczna orda i cała jazda kozacka rozlała się po równinie w odległości półtory mili od szyków polskich: pola i lasy pokryły się nieprzyjacielem. W pół godziny nadbiegło mnóstwo drobnych oddziałów tatarskich, gęściejszych niż w dniu poprzednim i stanęły szeroko rozwartem półkolem, jakie pół mili od szyków polskich, zapaliwszy wszystkie sąsiednie wsi dla postrachu Polaków. Na środkowym wzgórzu pokazał się główny korpus ordy i jazda kozacka, kierując się ku lewemu skrzydłu wojsk polskich. Podczas gdy han wraz z hetmanem kozackim z daleka przez perspektywę początku fortuny wojennej wypatrywał, rozpoczęła się bitwa, jakiej nikt nie pamiętał, bitwa 200.000 jeźdźców.

Przeraźliwy okrzyk Ałłah! Ałłah! wstrząsnął powietrzem, ziemia zdrząta pod kopytami stu tysięcy koni. Lewe skrzydło polskie posunęło się naprzód, środek i prawe skrzydło

stały nieporuszone. Główna siła tatarska uderzyła na lewe skrzydło, które zaraz przy pierwszym starciu zupełnie zostało ogarnione. Zdawało się już, że lewe skrzydło nie wytrzyma, kiedy silny atak wojewody podolskiego ocalił je. Cała potęga tatarska rzuciła się wtedy na środek. Z samego środka centrum wysunęły się pułki hetmana wielkiego i rzuciwszy się na następującą ordę, rozerwały całą wstęgę tatarską i zmieszaly się tak z poganami, że niepodobna było rozróżnić Polaka od Tatara, tylko buńczuki i chorągwie migaly się w powietrzu.

W lewym centrum wrzała walka najsilniej. Dwie chorągwie, które ruszyły bronić zmęczonych pułków, wróciły posiekane. Obaj dowódcy zginęli, a wraz z nimi dużo znakomitych rycerzy. Na całej linii bojowej wrzała walka bez planu, bez rozkazów. Każdy dowódca robił co chciał, jeden bronił drugiego. Bitwa wznawiała się kilkakrotnie. Niektóre chorągwie w zapale wojennym zapędziły się dalej, niż potrzeba, zostały otoczone i w pień wycięte.

Trwał bój do drugiej południu, poczem orda odeszła, zadawszy klęskę Polakom. Padło 200 znakomitych rycerzy z polskiej strony, a co najgorsza, nieprzyjaciel pozostał panem pozycji, zajmwszy wzgórze i odciawszy pole i paszę dla koni. Był to ciężki dzień z powodu straty tyłu rycerstwa, ale i pogaństwu dał się we znaki. Mieli do tysiąca zabitych i rannych, zginęło wielu murzów. Tego dnia na radzie wojennej postanowiono wystąpić nazajutrz z całą siłą i ostatniej próbować decyzji.

O godzinie 2 po północy 30 czerwca słuchał król mszy świętej i zaraz potem wyjechał z inżynierami w pole, aby miejsce rozpatrzeć. O 3 godzinie, zostawiwszy 3000 piechoty w zawartym obozie, wyciągnął w pole ze wszystkiem wojskiem 80.000 i zaczął je szykować. Chmielnicki niemniej był czynny. Całą noc przeprowadzał swoje tabory, armaty i piechotę, a z brzaskiem dnia wraz z hanem wojska swoje szykować zaczęli. Silna mgła, która pola i las zaległa, zdawała im się być przepowiednią wygranej, bo w takim czasie Tatarzy najszcześliwiej wojowali. Obie strony, gotujące się do ostatecznej rozprawy, stały w tej strasznej mgle od 3 z rana i nie widziały się wzajemnie. Dopiero o 10 godzinie, kiedy mgła nagle opadła, ujrzały ze zdumieniem swoją i nieprzyjacielską potęgę.

Oba wojska pomknęły się cośkolwiek ku sobie. Polacy stanęli przy ostatnim szańcu, a Tatarzy rozpoczęli zwykle harce, na które król pod gardłem wyjeżdżać zakazał. Aż do godziny 3 popołudniu stały tak oba wojska nieczynne, harcowników tatarskich spędziły z pola armaty. Król wysłał do hana parlamentarza, wzywając go do bitwy, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Kazał więc król, aby ks. Wiśniowiecki zaczynał. Za chwilę usłyszano trąby i bębny. 18 chorągwi wybiegło z frontu lewego skrzydła, na czele ks. Jaremi z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie, pędził jak w taniec po piaszczystej błoni. Wicher niósł przed nim tumany piasku nieprzyjaciółom w oczy, słońce biło w nich promieniami. W tym samym czasie uderzono w bębny na prawem skrzydle nieprzyjaciela, a sułtani na czele Tatarów sułtańskich i Turków ruszyli naprzeciw chorągwiom Wiśniowieckiego. Wraz z Tatarami ruszyły konno pułki kozackie i wyprzedziwszy ich w biegu i pomieszawszy się z nimi, skoczyły na Wiśniowieckiego. 18 chorągwi polskich zniknęło w tłumie nieprzyjaciół, pył, poruszany kopytami końskimi i tuman piasku wichrem niesiony, owinął całą tę masę, w czarnej mgle nie było widać nikogo i zdawało się, jakby już stamtąd nikt nie miał powrócić. Na pomoc Wiśniowieckiemu leciały województwa krakowskie i sandomierskie, pułk za pułkiem leciał i ginął w tej trąbie powietrznej z kurzu i piasku.

Tymczasem król przelatywał szeregi i zachęcał do walki za wiarę, za świątynie zrabowane, za prawo Boskie. „Ruszajcie — wołał — pamiętajcie na przodków waszych odwagę i męstwo! Przysięgam, że albo z wami zwyciężąc z pola powrócę, albo razem z wami zginę!“ Kiedy tak wołał przebiegając szyki, kanclerz, otoczony duchowieństwem, kazał podnieść znak krzyża św. i z wałów ostatniego szańcu błogosławił całemu wojsku... Chorągwie skłoniły się do ziemi, huk armat wszystkich zatrząsł powietrzem, centrum i prawe skrzydło ruszyły naprzód.

W szykach polskich wielka była otucha i męstwo. Czy to słowa królewskie, czy szczęśliwe przecucie, czy wrodzona Polakom w chwilach ostatecznych odwaga — dość, że żołnierze, niewypowiedzianie weseli, niezwyciężonego prawie nabierali serca. Chorągwie Wiśniowieckiego naprzód zetknęły się



z Kozakami z wielką zapalczywością. Sułtan Nuradyn, rozpedziwszy jednym natarciem województwo łęczyckie, zwrócił się na krakowskie i sandomierskie. Walczyła szlachta z zaciekłością, ale nie mogła podolać przeważającej sile tatarskiej. Dopiero książę Wiśniowiecki, rozgromiwszy Kozaków, ruszył jej w pomoc i Nuradyna zmusił do ucieczki.

Podczas gdy lewe skrzydło z taką energją odparło nieprzyjaciela, centrum pod dowództwem króla posuwało się bardzo powoli i to tylko lewym bokiem, bo prawe całe skrzydło stało w miejscu i nie można go było skłonić do pośpiechu. Król prosił, groził, napróżno, powiadali, że wolą gardło stracić, niż ojczyznę i pana, że ruszyć z miejsca nie mogą, bo w lesie jest zasadzka. Istotnie w lesie był sam Chmielnicki z całym korpusem strzelców. Słyszając o zasadzce w lesie i widząc posuwającą się armję Chmielnickiego i zbliżającą się noc, zaczęli dowódcy pojmovać plan nieprzyjaciela i całą grozę położenia. Nie było czasu do namysłu, tylko wielka śmiałość mogła uratować od wielkiego nieszczęścia. Centrum i lewe skrzydło ruszyły gwałtownie naprzód, strzały armatnie padały raz po raz, coraz częściej i coraz trafniej. Kilkudziesięciu murzów zanesiono przed nogi hana, wreszcie sułtan Amurat, brat hana, uderzony kulą armatnią w piersi, padł wśród okrzyku zgrozy tatarskiej i zaraz cała orda zaczęła się mieszać jak spłoszone stado wilków. Wkrótce też, jakby na dany znak, pierzchła na wszystkie strony, a sam han, ranny w nogę, zostawiwszy rydwan i wielki bęben, „balt“ zwany, którego głosu Tatarzy słuchali, i namiot swój na wzgórzu, dosiadł konia i z wiatrem uleciał do Leśniowa.

Na widok uciekających mas tatarskich tabor kozacki stanął, a potem z wolna cofać się począł. Chmielnicki zostawił swoich w lesie i popędził za hanem, aby go z drogi nawrócić. Otoczony trupami swoich dowódców zmieniał właśnie han konia i spieszył w dalszą drogę, kiedy się hetman pokazał. Wstyd, strata brata i ludu, dokuczliwa rana i przepadła wyprawa — wszystko to zatrzęśło Tatarem na widok sprzymierzeńca i przyjaciela. Nie dał mu przyjść do słowa, zakrzyknął zdrajcą, kazał pochwyć, do konia przywiązać i popędził przed sobą cztery mile jeszcze tego samego dnia w stronę Wiśniowca.

Ten niespodziany wypadek rozstrzygnął ostatecznie całą bitwę: połowa nieprzyjaciół uciekła, połowa została — bez głowy. Wojsko polskie zajęło wszystkie wzgórza, chorąży z lekkimi pułkami ruszył w pogoń za Tatarami, a o godzinie 9-tej zostały puste pola po nieprzyjacielu. Niebo zasłoniło się ciężkimi chmurami, błyskawice latały w powietrzu, deszcz jak z cebra puścił się na pole bitwy, kiedy król i wojsko upadli na kolana i zaczęli śpiewać „Te Deum!“

Był to szczęśliwy dzień dla Rzeczypospolitej; cały ogrom niebezpieczeństwa przeszedł jak chmura, wichrem w inną stronę pędzoną.

### XXXIII

#### CHMIELNICKI POD LWOWEM 1655 R.

FRANCISZEK JAWORSKI: OBRONA LWOWA 1655

##### 1. POCZĄTEK OBLĘŻENIA

Ze śmiercią Władysława IV w r. 1648 zamknął się złoty okres dziejów Polski, „okres szczęśliwości polskiej“ — jak powiadali współcześni. Jak dom, na czterech węglach zapalony, płonie jasnym płomieniem, a mieszkańców jego błąd strach ogarnia, tak od lipca 1655 r. płonęła Rzeczpospolita ogniem najazdu i, co najstraszniejsze, hańbą swoich obywateli. Szwedzi zajęli Wielkopolskę, a szlachta wielkopolska haniebną podpisała kapitulację. Starożytna stolica Piastów, Poznań, otworzył im swe bramy. Mińsk, Wilno, Grodno i Kowno były w ręku Moskali, którym poddał się w roku 1654 Chmielnicki i z rozkazu cara wraz z bojarem moskiewskim Buturlinem ruszył na Ukrainę. Hetman litewski Janusz Radziwiłł całą Litwę wydał Szwedom w Kiejdanach. Warszawa poddała się Szwedom, a w kilka tygodni potem Kraków po dzielnej obronie otworzył im swe bramy — tłumnie składano przysięgę na wierność nowemu panu — królowi szwedzkiemu. Dla Jana Kazimierza nie stało kąta na ziemi polskiej, z nieliczną garstką, co mu wiary dochowała, szukał schronienia na Śląsku.

Wieści te niby grom po gromie spadały na Lwów, rzu-

cając popłoch i trwogę w pospólstwo, jakby się zbliżał już koniec świata i dzień sądu ostatecznego, a dzień bliski bardzo, bo oto od wschodnich rubieży szedł Chmielnicki z Buturlinem, a po przejściu wojsk jego step ukraiński znowu wiał tylko pustką i zniszczeniem. Dzień za dniem nową przynosił trwogę: padł Husiatyn, Czortków, Jagielnica, Chmielnicki dostał w swe ręce Podhajce, własność hetmana wielkiego koronnego Stanisława Potockiego, który mając wszystkiego 4000 żołnierza cofnął się pod Gródek. I tak szła wieść za wieścią do Lwowa o coraz nowych nieszczęściach, spadających na Rzeczpospolitą i padła trwoga na miasto, ale w tej trwodze jakoś dziwnie zapiekły się serca ludzkie rezygnacją na śmierć, na utratę mienia, na pożogę, na mord, na zniszczenie.

Lwów czuwał i gotował się do obrony.

Opasujące podwójnym pierścieniem obszar dzisiejszego śródmieścia mury tak były silne i potężne, że patrzącym zdawało się, że to opoka niezdołana, o którą wróg każdy, swój czy obcy, pierś swą rozbije. A na murze 19 baszt wznosiło się dumnie ku niebu, baszt najeżonych działami, opancerzonych pierśią rzemieślników lwowskich, co stawali cechami — każdy cech na swojej baszcie. I znowu wał potężny, forteczny, dwoma fosami ogrodzony — istny pas rycerski dawnego Lwowa. A jednak ówczesny Lwów nie był i nie mógł być nigdy niezdołaną fortecą. Położony w kotlinie o wieńcu wzgórz okolicznych, z których nieprzyjaciel wygodnie mógł zasypać pociskami obrońców, całe miasto i śledzić jak na dłoni wszystkie poruszenia załogi i upatrywać najdogodniejsze punkty do ataku — nie mógł bezwzględnie ufać murom swoim, a raczej tylko odwadze i duchowi mieszczan. W samym mieście stała zawsze załoga królewska z królewskim komendantem na czele. W chwili, kiedy Chmielnicki z Buturlinem zbliżali się pod Lwów, był takim komendantem Krzysztof Grodzicki, generał artylerji, nieporównany w obronie miast. Żołnierz szczery, posępny, jednooki, bo go strzała tatarska drugiego oka pozbawiła, z twarzą posiekaną od szabli i oszpeconą od ospy, straszny w swojej nieustannej czujności i odwadze, zawsze na śmierć gotowy.

Jeszcze nie było słyhać o nieprzyjacielu, gdy pan Grodzicki wziął się do opatrzenia fos i wałów miejskich, a skoro

pierwsze przysły wieści, na jego rozkaz tłumy mieszczan i przedmieszczan rzuciły się do ostatecznej naprawy fortów. Oporządzano mury i baszty, wytaczano na nie działa. Lato było właśnie, które ma się ku jesieni. Cała okolica Lwowa, wszystkie jego przedmieścia zarumieniły się ciężkim owocem sadów, zieleniły się bujne winnice. Nie czas jednak było na sady i winobrania w obliczu wroga, co wichry pożogi zapalał. grody wywracał, morze krwi rozlał po świecie. Nie czas na żniwa, kiedy dobytek i tak na pastwę wroga pójdzie, a dworki kościoły, domostwa zastaną mu będą i punktem dogodnym do szturmowania, do posunięcia się aż pod same mury miejskie. Kazał więc Grodzicki niszczyć na przedmieściach wszystko, co tylko utrudniłoby mogło obronę miasta. Burzyli żołnierze budynki okazałe, wycinali sady, winnice, gaje i ogrody, codziennie płonęły słupami dworki mieszczkańskie i gospodarstwa, aż dopóki w promieniu armat miejskich nie zostało tylko jedno — czarne, puste pogorzeliisko, cmentarz mieszczkańskiego dobrobytu, ale i cmentarz także dla wrogów, coby tem pustem polem chcieli przystąpić do miasta. Nad tem pogorzeliiskiem królował wysoki zamek dopiero co odnowiony, otoczony głębokimi fosami i wysokim ostrokołem z wykopaną niedawno studnią.

Szczupłe siły posiadał Lwów na swą obronę. Bo oprócz nielicznego garnizonu królewskiego, złożonego z wojsk zaciężnych, pozostawało tylko mieszczaństwo i cechy dla obrony murów, baszt i wałów. Dragonja piesza, zaopatrzona w dalekonośne samopasy, obsadziła klasztor Bernardynów, pułk piechoty pod dowództwem Ernesta Grotusa, człowieka mężnego i nieustraszonego, stanął na Wysokim Zamku, mieszczaństwo, pod przewodnictwem rajców i burmistrza, gotowało się do krwawych zapasów.

Lew lwowski pazury nastawił i czekał.

Niedługie było to czekanie, bo już 25 września pojawiły się od strony Winnik i gościńca Łyczakowskiego pierwsze pułki kozackie i moskiewskie. Na widok nieprzyjaciela huknęły wszystkie działa z Wysokiego Zamku. To dzielny Grotus dawał znak, że czuwa. Na to hasło zagrały wszystkie działa z murów miejskich, z baszt, z wieży cerkwi wołoskiej i ze wszystkich wież kościelnych. Lwów deszczem kul powitał nieprzyjaciela, nie żałował prochu i ognia, więc padło odrazu

sporo mołojców, a wojenna ochota obleciała szeregi obrony. Tymczasem Chmielnicki z połową wojsk ruszyli pod Gródek na spotkanie z wojskami hetmana, podczas gdy druga połowa opasywała Lwów, gotując się do długiego oblężenia. Po krwawej całodziennych walce uległy szczupłe zastępy wojska koronnego dziesięciokrotnej przewadze nieprzyjaciela i cofnęły się w nieładzie aż pod Jarosław. Chmielnicki i jego sprzymierzeniec, zagrzeni nowym zwycięstwem, wrócili pod Lwów.

W dniach 30 września i 1 października pełna już była cała kotlina lwowska nieprzyjaciół, tak, że, jak okiem zajrzeć, wolnego miejsca nie było w dwumilowym okręgu. Sam Chmielnicki stanął na górze koło cerkwi św. Jura, a obok niego i wkoło 30 chorągwi kozackich gęsto ustawionych przez ulicę Sykstuską, za górą Cytadelną, aż pod lasek Cesarski. Las chorągwi powiewał nad nimi różnobarwnych, a od św. Jura chorągiew czerwona, buńczuk z białego końskiego ogona i chorągiew ze św. Michałem wskazywały kwatery hetmana Ukrainy. Ale wszystkie te pułki kozackie nikły wobec ogromu zastępów Buturlina. One to otoczyły miasto i rozlały się szeroko, rozpuszczając zagony aż po okolicznych wsiach, bez nich Chmielnicki ani marzyć mógł o otoczeniu Lwowa. Wojska moskiewskie liczyły do 60.000 dobrze zorganizowanego żołnierza, pułki kozackie miały 20.000 ludzi, razem tedy do 80.000 wojska stanęło pod Lwowem. Przeciwno tej ogromnej sile wojennej posiadał Lwów wszystkiego około 1500 piechoty królewskiej, t. j. dragonji pieszej i drugie tyle może uzbrojonych mieszczan. Mimo jednak tak ogromnej różnicy, która osłabić mogła serca najmężniejsze, załoga lwowska nie traciła odwagi. Wśród gwaru wojennego i powszechnego przygotowania na śmierć unosił się dym kadzideł wraz ze śpiewem procesji po murach miejskich, polecających gród całej opiece patronów niebieskich.

Nie próżnował i Wysoki Zamek. Jeszcze pułki nieprzyjacielskie nie zdołały się dobrze ulokować, a już od bram jego spadła na nie wycieczka obrońców. Odpowiadały działa nieprzyjacielskie z wysokości góry Wronowskiej, ale puszkarze moskiewscy źle trafiali; z humorem też powiada współczesny świadek, że z tej strzelaniny „babina stara, bydląt dwoje: kwiczące i ryczące, śmierć spotkali“.

Następnego dnia ze świtaniem ozwał się na nowo huk armat nieprzyjacielskich. Przez cały dzień przelatywały kule nad wieżą kościoła katedralnego i ratuszową, spadały na mury miejskie i dachy kamienic. Nie próżnowali też puszkarze miejscy, rażąc przez cały dzień celnymi strzałami przewijające się grupy najeźdźców.

Był wieczór, gdy pod furtą jezuicką stanął trębacz z białą chorągwią i listem Chmielnickiego do miasta.

## 2. UKŁADY

Nieustraszona postawa obrońców, pewność że Grodzicki zdolny jest raczej do wysadzenia siebie i miasta w powietrze, aniżeli do wydania go w ręce nieprzyjaciela, głucha zresztą niechęć do Moskali, odbierających mu wawrzyny wszystkich zwycięstw, a zwłaszcza zwycięstwa pod Gródkiem, poddały Chmielnickiemu myśl, że lepiej rozpocząć układy. List jego z 3 października, jak i następne, nacechowane były tą wschodnią przebiegłością, w której Chmielnicki był mistrzem. Zaczynał zwykle od łagodnych zapewnień życzliwości, potem wspominając to na zwycięstwo pod Gródkiem i na to, że żadnego ratunku miasto znikąd spodziewać się nie może, to na obsadzenie Krakowa i ucieczkę Jana Kazimierza, żądał upokorzenia się i zdania na łaskę i niełaskę jemu „hetmanowi wojsk zaporoskich jego carskiej mości“.

Odpowiedzi miasta były grzeczne, z całą elegancją zredagowane; nic dziwnego, pisali je przecież doktorowie praw najróżnorodniejszych uniwersytetów. Ale było w nich dużo stanowczego tonu, a przede wszystkim konsekwentnego stanowiska, że od przysięgi wierności, złożonej Janowi Kazimierzowi, miasto nie ustąpi. Na żądanie Chmielnickiego, by mu przysłali posłów swoich do pertraktacji, proszą o zakładników, dając tem niedwuznacznie do zrozumienia, że, mimo wszelkich zapewnień przyjaźni, uważają go za wroga. A kiedy Chmielnicki, obrażony, zapewnia uroczyście, że posłom włos z głowy nie spadnie, zwołują na ratusz zgromadzenie rajców, ławników, wojskowych znaczniejszego stopnia i wszystkie stany miasta dla naradzenia się nad wyborem posłów.

W ten sposób oni do siebie listy pisali przez całe trzy dni, a równocześnie z obu stron ani na chwilę nie zaniechano

kroków nieprzyjacielskich. Wśród gradu kul, spadających na miasto, śpieszyli wieczorem 5 października do ratusza na narady rajcowie miasta, ławnicy, wszystkie „stany i narody“, mieszkające w mieście. Narady były burzliwe. Grodzicki i pułkownicy jego i słyszeć nie chcieli, by posłowie miejscy szli do Chmielnickiego bez zakładników, ale sprytni mieszczanie byli innego zdania. Wszak oni kupczyć i handlować przywykli wśród najniebezpieczniejszych okoliczności, ich karawany kupieckie to były prawdziwe wyprawy wojenne; z równą obrotnością dzierżyli miecz w dłoni, jak język w gębie. Wybrano więc posłów w osobach mieszczan Kuszewicza, słynnego mowcy, pisarza miejskiego, Zachnowicza, Ormianina, co ród swój z seniorów ormiańskich wywodził i Ławrysiewicza, seniora Rusinów, kupca bogatego. Nie zdało się braci szlachcie i duchowieństwu puszczać tych zacnych ludzi na niebezpieczną rozmowę z Chmielnickim, ale oni oświadczywszy, że „nierozumieją, aby większe ich niebezpieczeństwo w taborze, aniżeli na wale spotkać miało“ i przybrawszy sobie jeszcze dwu towarzyszy, ruszyli dnia 6 października przez furtę jezuicką do kwatery Chmielnickiego u św. Jura.

Za murami miasta przywitał ich trębacz wojska zaporoskiego Kowalowski. Poszli tedy posłowie ulicą Sykstuską do św. Jura. Po drodze mijali pułki najpierw moskiewskie, potem kozackie wśród grzecznych wzajemnych ukłonów — zwyczajnie jak to bywa między stronami wojującymi, gdy idą posłowie pod białą chorągwią. Wiadomość o ich przybyciu rozbiegła się lotem błyskawicy, tak, że niebawem góra świętojurska zarojła się tłumem Kozaków, żądnych oglądania oblicza posłów miasta Lwowa. Ich samych uroczyście zaprowadzono do Chmielnickiego, który w namiocie w otoczeniu swoich pułkowników siedział przy stole, a obok niego poseł króla Jana Kazimierza, poseł tatarski i chytry Grek, pośrednik między Moskwą a Chmielnickim. Po wymianie wzajemnych grzeczności kazał Chmielnicki przywołać, widocznie dla podniesienia powagi chwili i wywołania odpowiedniego nastroju dla słów swoich, wojewodzica Potockiego, wziętego do niewoli w Czortkowie, i Bykowskiego, wziętego do niewoli pod Gródkiem, a nadto posłał umyślnie po dwóch pułkowników moskiewskich.

Jeżeli jednak myślał wódz Zaporozza, że tak imponującym zgromadzeniem, a najbardziej kłęską hetmańską pod Gródkiem, od czego zaczął przemowę do posłów, przytłoczy skromnych „łyków“ lwowskich i olśni swym majestatem, to się bardzo pomylił. Była w mieszczaństwie lwowskim zbyt duża siła kultury, wykształcenia, powagi nabytej nauką, było zwyczajne obcowanie z najznakomitszymi ludźmi w Rzeczypospolitej, było obycie z ludźmi i ogłada cywilizacyjna. Nie stropili się przeto posłowie miasta Lwowa wobec tak groźnego zgromadzenia, ale płacąc za grzeczność grzecznością, usiedli swobodnie przy stole, przysłuchiwali się skrzętnie dyskusji, która toczyła się głównie koło pogromu gródeckiego i notowali skrzętnie a sprytnie swoje obserwacje. Już im wtedy z rozmowy stało się jasnym, że między Chmielnickim a Buturlinem wre głucha zawiść o pierwszeństwo i laury zwycięstwa gródeckiego. O wydaniu miasta nie było mowy nawet na tem posiedzeniu. Nastąpił wielki traktament i znowu wymiana naszpikowanych grzecznościami listów wzajemnych, a zarazem to samo przypieczętowanie ich gwałtowną strzelaniną na miasto w chwili, gdy posłowie z listami wracali do domu.

Nazajutrz rano ruszyło znowu to samo poselstwo do obozu Chmielnickiego, trzech z grona posłów złożyło też wizytę Buturlinowi, który przyjął ich groźnie, z fukiem, żądając natychmiastowego poddania miasta i przysięgi od mieszczan i Grodzickiego na imię cara moskiewskiego. Wysłañcy odpowiedzieli krótko i stanowczo a odmownie, poczem wróciwszy do swoich, do kwatery Chmielnickiego, powtórzyli im całą rozmowę. Chmielnicki znajdował się w tym samym orszaku, co dnia poprzedniego. Kuszewicz, dowiedziawszy się o wyniku wizyty Buturlina, zapytał ze zdziwieniem, czyby to była prawda, że wódz moskiewski żądał wydania Lwowa Moskwie. Cała grzeczność, afekty przyjaźni dla miasta znikły u Chmielnickiego — został tylko nieprzyjaciel dumny, pewny zwycięstwa. Suchym więc i rozkazującym tonem odparł, że tak być musi, że Lwów musi się poddać i przysiąc wierność Moskwie. W tej chwili dziki kozak odezwał się i u pisarza kozackiego, Wyhowskiego. Począł bić pięścią w stół i z wielką furją wołać: „Musi tak być, jak chce Buturlin — dla was, Lwowianie, żadnego niema ratunku, już wam nawet i Bóg nie pomoże, bo

Go niema przy was. Całe królestwo wasze padło — króla nie macie — a dokąd kozacka szabla zaszła i kozackie panowanie też być musi“.

Na to powstał Kuszewicz i poprosił, aby mu wolno było mówić imieniem kolegów swoich i miasta całego. Piorunująca cisza zapanowała w zgromadzeniu, a Kuszewicz zaczął: „Miłościwy panie hetmanie! Długimi słowy nie będę bawił wielmożności waszej. Zdrowia nasze, którzy tu jesteście, są w rękach waszmości pana i tak rozumiemy, że do swoich już nie powrócimy. Ale żebyśmy na imię cara przysięgać i miasto oddawać mieli, tego nigdy nie uczynimy. Przysięgliśmy raz królowi Janowi Kazimierzowi i onemu, w jakimkolwiek szczęściu schowa go fortuna, wiary naszej dotrzymać chcemy. Mamy nadzieję, że łaską Boga, za staraniem waszmości i wojska zaporoskiego wróci on do swoich dzierżaw. Uniżenie tedy prosimy, nie racz po nas tego wymagać, czego, szanując naszą wierność i sumienie, uczynić nie możemy“... Tu przerwał, a równocześnie inni posłowie, a więc pan Zachnowicz, Ormianin, i pan Ławrysiewicz, Rusin, poczęli wołać wielkim głosem: „Przy królu Janie Kazimierzu, panie naszym miłościwym, krew naszą wylewać zawsześmy gotowi!“

I uśmiechnęło się w tej chwili niebo chmurne nad Polską, a obecnych przeszedł dreszcz grozy i powagi historycznego momentu. Słuchał tych słów z rozkoszą poseł króla Jana Kazimierza, patrzył z podziwem na rycerskich mieszczan poseł tatarski, a w duszach starszyny kozackiej zagrało coś niby surma rycerska, niby wspomnienie onych dawno minionych lat, kiedy to pułki zaporoskie z koronnym wojskiem stawały w koronnej potrzebie. Sam stary Chmiel jakoś się zadumał.

Oświadczenie posłów w takiej wyrzeczone chwili stało się wiekopomnym czynem historycznym. Podziwiać nam trzeba nie tylko niezachwianą wierność, ale i mądrość polityczną tych lekceważonych „łyków“, którzy w chwili ogólnej zdrady i ponizienia nie tylko sami spełniali i krwią własną pieczętowali wierność królowi, ale w sposób skromny a niedwuznaczny przypomnieli ją Chmielnickiemu i jego pułkownikom. I któż to powiedział: Kuszewicz, Zachnowicz i Ławrysiewicz, nazwiska

nieherbowe, pochodzenie gminne, ich przodkowie i potomkowie takie same „łyki“, jak oni.

Niemniej dumne i stanowcze było zakończenie układów dnia tego: „Szkoda czasu trawić więcej, miłościwy panie hetmanie. Nic innego nie powiemy, tylko po tysiąc razy powtarzamy, że my, póki żyje Jan Kazimierz, komu innemu przysięgać nie będziemy“. Było to ostatnie słowo. Tak też rozumiał Chmielnicki, bo posłowie nie zdołali jeszcze wrócić do miasta, gdy wtem ze wszystkich stron zagrzmiały działa i ręczna strzelba, nie wyrządzając jednak miastu żadnej większej szkody.

### 3. NOWE WARUNKI PODDANIA MIASTA

Noc z 7 na 8 października przeszła w trwodze i oczekiwaniu. Oto już się zdawało, że miecz zawisł nad Lwowem. Przeszło tydzień trwało oblężenie, a teraz układy zerwane i przyjść musiało do stanowczej rozprawy orężnej. To też niemałe było zdziwienie w mieście, gdy rankiem 8 stanął u furty jezuickiej trębacz, jak zwykle do posłów. Miasto jednak nie miało nic do powiedzenia nad to, co powiedzieli dnia poprzedniego posłowie, więc, zamiast nich, wysłał magistrat list tylko z oświadczeniem, że się zgadza na postępowanie posłów swoich, oraz „że wszyscy obywatele miasta Lwowa płci obojej i mali i wielcy gotowi się dać pozabijać i trupami położyć wprzód, aniżeli na imię cara przysięgać“.

Nastały dwa dni piekielne. Huk armat nie milkł ani na chwilę z obu stron, a na miasto padał grad kul, które niby ptaki gęsto latały nawet po rynku. Równocześnie Moskale zaczęli ustawiać baterje w Jezuickim ogrodzie i robić podkopy na miny podziemne. Armata miejska grała bez przerwy, a celny strzał, wymierzony z wieży kościoła katedralnego, rozerwał działo moskiewskie w Jezuickim ogrodzie na sztuki. Wściekłość targała sercami nieprzyjaciół. Zgrzytał zębami Buturlin, skakał Chmielowi do oczu pułkownik Nosacz z żądaniem powszechnego szturm, ale on, wódz doświadczony, nie chciał pchać mołojców swoich w objęcia matki śmierci. Drugiego dnia, 9 października nad wieczorem, wśród największego gwaru wojennego, przyszedł nowy list od

Chmielnickiego z żądaniem nowych układów. Zaczęła się nowa korespondencja z żalami nad przerywaniem układów i zapewnieniem przyjaźni ze strony Chmielnickiego. Zapewnieniom tym jednak nie przeszkadzały wcale granaty, które wyrzucał Grodzicki do taboru kozackiego, czyniąc Kozakom dotkliwie szkody. Poszli znowu posłowie do kwatery Chmielnickiego, gdzie wysłuchać musieli jego przemowy, że oto on, Chmielnicki, jest już panem całej ruskiej ziemi i nikomu jej nie puści. Z tytułu zapewne tego panowania zapytał wreszcie, czegoby miasto od niego potrzebowało, ale odpowiedź była krótka, dosadna: „aby jako najprędzej wojska zaporoskie, a najbardziej moskiewskie stąd ustąpiły“.

Wtedy po raz pierwszy padło z ust Chmielnickiego słowo „okup“, jako nowa podstawa rokowań i żądanie, by dla tych rokowań przysłało miasto ludzi wszelkiego stanu. Nastąpiła nowa serja listów, ale i nowa strzelanina z obu stron tak gęsta i zapalczywa, że nawet sami posłowie, wracający do domu, znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. Tymczasem Grodzicki zawsze uważał, że jednak najlepszym układem jest szabla, a bardzo wymownym listem pocisk armatni. To też kiedy na ratuszu pisarze pocili się nad przepisywaniem listów kwiecistych do Chmiela, on urządził wycieczkę, wyrznął sporo żołnierzy moskiewskich, a dwu żywcem w triumfie do miasta sprowadził. Tak to oni bawili się, gdy na drugi dzień wśród nieustannego huku armat znów poszło poselstwo do Chmielnickiego. Chmielnicki to groził, to czule do stołu na pijatykę zapraszał. Gróźb słuchali wystawni obojętnie, kieliszkiem wina nie pogardzili. Bo się zabawić umiała brać mieszczańska hucznie i buńczucznie, więc wśród grzmotu armat nierzadko rozlegały z kwatery Chmielnickiego biesiadne odgłosy. W dwa tygodnie po rozpoczęciu oblężenia wystylizował wreszcie Chmielnicki warunki, pod którymi gotów był odstąpić od miasta. Warunki te były następujące:

1) Mieszczanie i załoga mają wykonać przysięgę, że wojsk kozackich ani moskiewskich gromić nie będą, ani zabierać w niewolę.

2) Okupu wypłaci miasto 400.000 złp., a nadto mnóstwo sukien, kożuchów i butów dla wojska, a lepszych sukien dla

starszyny; dalej wyda miasto 50 cetnarów ołowiu, oraz wszystkich jeńców kozackich i moskiewskich.

3) Żydów, iż są nieprzyjaciele Chrystusa i wszystkich chrześcijan, żeby ze wszystkimi majątnościami, z dziećmi i żonami wydani byli.

4) W razie, gdyby rycerstwo, szlachta i obywatele lwowscy, po jego ustąpieniu, Kozaków i Moskali gromili i w niewolę brali, będzie Chmielnicki miał prawo zostawić pod miastem załogę.

Tak po dwu tygodniach oblężenia, przekonawszy się, że Lwowa nie dostanie tak łatwo ani siłą, ani groźbą, ani podstępem, zapragnął przynajmniej Chmielnicki zakosztować bogactw miejskich, mołojcom swym rzucić żydów lwowskich na rzeź, a gdy się nie udało wymusić przysięgi wierności dla cara, to chciał byle jakiej przysięgi, bodaj na to, że skromna liczba mieszczan nie będzie gromić tysięcznych jego zastępów.

Miasto potraktowało te skromne życzenia z pewnego rodzaju humorem. Niech sobie wojsko zaporoskie i moskiewskie pójdzie z pod Lwowa, to może być pewne, że mu ani włos z głowy nie spadnie. Nawet przysięgi na to nie trzeba i miasto żadnej nie da. Co się tyczy okupu, to w takich ciężkich wojennych czasach możeby się znalazło ze 20.000 złp., ale i to nie w gotówce, tylko w towarach i ruchomościach. Natomiast niema mowy o wydaniu ołowiu na uzbrojenie nieprzyjaciela, zresztą może się Chmielnicki zadowolnić tym ołowiem, którzy jego i moskiewscy żołnierze... zdarli już z dachu kościoła św. Krzyża; jeńców wydadzą z ochotą, jeżeli w zamian swoich otrzymają z powrotem. Natomiast z całą stanowczością odrzucają warunek wydania żydów w ręce wojska zaporoskiego — w żaden sposób nigdy na to nie pozwolą. Załoga kozacko-moskiewska pod miastem wcale jest niepotrzebna, bo wystarczy ta, jaka jest... królewska.

#### 4. ODWRÓT CHMIELNICKIEGO

Nadszedł wreszcie ostatni akt tego pamiętnego oblężenia, którego dzień każdy okrywał coraz to większą chwałą miasto, coraz nowy mu dorzucał liść wawrzynu. Na górze Świętojurskiej, w kwaterze Chmielnickiego, toczyły się nieprzerwanym

ciągami układy. Codziennie z rana wychodzili posłowie przez furtę jezuicką i wieczorem wracali do domu, codziennie też witał ich wyjście i powrót grzmot armat i szcęk oręża. Tak już przywykli do nieustannej strzelaniny posłowie, że nie robiła ona na nich najmniejszego wrażenia. Kule im między konie padały, przelatywały nad głowami, a im to nawet rozmowy nie przerywało, ani zadumy nad dalszym planem działania. A wielkiego trzeba było wysiłku myśli do przeprowadzenia układów, bo Chmielnicki, zrezygnowawszy ze zdobycia miasta, chciał wytargować jak najdalej idące korzyści. Każdy dzień przynosił nowe groźby: raz wysłańcom do oczu skakał Wyhowski, jakoby miasto Lwów uciskało wyznawców obrządku wschodniego — zarzut ten nieprawdziwszy, że przecież sam władca Żeliborski chronić się musiał ze swej stolicy u św. Jura do miasta, a między wysłańcami znajdował się jeden z najwybitniejszych Rusinów ówczesnych, Ławrysiewicz. Innym razem Chmielnicki, wsparłszy się pod boki, przedstawiał nieszczęścia i klęski Rzeczypospolitej, upadek Krakowa, a własną potęgę, to opowiadał, z jaką trudnością wstrzymuje Moskali, a nawet własne wojska od uderzenia na miasto szturmem; a kiedy się wyczerpały inne argumenty, uznał, że Lwów wyraża mu impertynencję, nie wysyłając do traktowania z nim nikogo ze szlachty ani z duchowieństwa.

Kiedy ten ostatni zarzut podniesiony został na zgromadzeniu wszystkich stanów w ratuszu, oświadczył pierwszy władca ruski Żeliborski, że gotów się podjąć pośrednictwa, a za nim co znakomitsi ze szlachty i duchowieństwa. Wspomniały był więc widok dnia następnego, 16 października, gdy od furty jezuickiej konno wyjechało na górę Jura to poselstwo liczne i poważne. Na czele biskup ruski, za nim podkomorzy lwowski, dalej kanonik kapitulny, burmistrz, rajcy, dwu jezuitów, wreszcie ci sami posłowie, co od dwu tygodni codziennie prawie odbywali podróż do kwatery Chmielnickiego. Ruszył się tedy, kto żyw, na widok pasterza, mołojcy mu czołem bili, kłaniały mu się znaki pułkowe, u progu cerkwi św. Jura witali go pułkownicy. Pomodlił się biskup w cerkwi swojej władcy, do której wstęp przez tak długi czas zamknięty mu był przez własnych współwyznawców, takich samych, jak on

Rusinów, a potem z pompą odprowadzony został do namiotu Chmielnickiego.

Ale nie odrazu przystąpiło poselstwo do rzeczy. Przez dwa dni trwały bankiety, a podczas nich rozmowy o stanie Rzeczypospolitej, trzeciego zaś dnia od rana zaczęła się gwałtowna z obu stron strzelanina. Dziwnym jednak trafem kule nieprzyjacielskie, jak o tem świadczą współczesne relacje, trafiały tylko osoby cywilne. Muzyce tej przysłuchiwało się poselstwo miejskie z namiotu Chmielnickiego, do którego raz wraz wpadał ktoś ze starszyny kozackiej lub moskiewskiej z doniesieniem o nowych stratach.

Nareszcie po długich targach i groźbach stanęła 20 października ugoda. Zadecydowała ją zdaje się wiadomość o wejściu Tatarów na Ukrainę. Chmielnicki uczuł, że mu się grunt palić poczyna pod nogami. Zbliżająca się zima, trudność zaopatrzenia wojska w żywność, nieporozumienia z Moskwą, wszystko to uczyniło umysł wodza kozackiego przystępnym do zgody, zwłaszcza, że nie było nadziei przełamania oporu miasta, ani wytargowania na niem więcej ponad to, co mieszczanie dobrowolnie dawali. Stanęło więc na okupie 60.000 złp. O innych żądaniach Chmielnickiego nie było mowy.

Miasto odetchnęło spokojnie. Posłowie wrócili do domu, a towarzyszył im Wyhowski z wielu atamanami i tłumem żołnierzy. U furty jezuickiej witał go magistrat, już nie jako wroga, ale jako przyjaciela, podejmując winem. Przez kilka dni następnych wybierali pułkownicy kozaccy okup w mieście, a tymczasem sprytni kupcy lwowscy rozpoczęli ożywiony handel z Kozakami, sprzedając im, co tylko się trafiło.

8 listopada Chmielnicki ruszył się z pod Lwowa. Na widok odchodzących pułków kozackich wszystko, co żyło, ruszyło na wały z radosnem obliczem i okrzykami. Patrzyli, jak zakotłowała nagle dolina lwowska, a gwar na niej powstał, a powiały sztandary kwieciste, do odwrotu gotowe. A oni tymczasem wieńcem barwistym stanęli, mołojcy wokół miasta, z rozwianemi chorągwiemi, z pułkownikami, atamanami przy dźwięku trąb. Pieśnią rozgwarzyło się miasto i jego wzgórze, a ze złoconych krzyżów kościelnych, z zębatych baszt, z całego pogorzelska, z całej kopytami końskimi stratowanej ziemi, płomyki chwały wykwitły: na pokłon, na cześć, na

„hosanna“ miastu naszemu. I stała się ziemia lwowska pełna srebrzystych skrzydeł, na których po całej znękaney Rzeczypospolitej szła gloria nieśmiertelności i nadziei. Było górnje i chmurnie i rycersko w owej wiekopomnej chwili. Naraz spadła cisza ogromna na ożywione ludzkie zastępy. Opodal bramy krakowskiej stanęły „łycary“ kozackie, pułkownicy wojsk zaporoskich, same marsowe, w długiej wojnie stwardniałe i zakrzepłe twarze, a od nich Wyhowski płynną wygłosił przemowę do miasta i jego obrońców, z żegnaniem i słowy dobremi.

Potem ruszyły się pułki i jeden za drugim przepadał za wzgórzami Wysokiego Zamku. I znowu dziw obleciał widzów z miasta, gdy pod samym wałem okazał się mąż na srokatym bachmacie, a groza jakaś biła od niego i niezwykła moc. Jechał pod białym buńczukiem, chorągwie nad nim wiały malinowe, a on sam z buławą, chmurny, zadumany, groźny i potężny jako hetman wojsk zaporoskich, półbóg czerni chłopskich, władca dusz milionów... „Dziw-dziw! — szemrało w tłumach miejskich — Chmielnicki“. Matki pokazywały go dzieciom, kto go jeszcze nie widział, patrzył długo, długo, a w duszy mu zostawał niezapomniany obraz męża, którego słup krwi i dymu w pochodzie zawsze wyprzedzał.

Patrzył też na odwrót wojska zaporoskiego z kwatery swojej, od kościoła św. Krzyża, Buturlin. Patrzył i rozmyślał dwa dni, a trzeciego... ruszył także swoje zastępy i znikł z pod Lwowa, rzuciwszy mu przez oficerów swoich słów kilka pożegnania.

W sam dzień św. Marcina 11 listopada zagrzmiało we wszystkich kościołach lwowskich uroczyste „Te Deum“.

#### XXXIV

### WZIĘCIE WYSPY ALSEN

JAN CHRZYSTOM PASEK: PAMIĘTNIKI

Rok Pański 1659 zaczęliśmy szczęśliwie. Zażywaliśmy mięsopustu, lubo nie z taką przecie jak w Polsce wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę Alsen, która, że

nam w tyle zostawała, dlatego też nam na wielkiej była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koto niej wojsko brandenburskie, z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nią nie śmieli, czy też nie chcieli, jak to powiadają, „Kruk krukowi oka nie wykole“. Wojewoda pojechał raz na zwiady w trzysta koni, niby na przejażdżkę; nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka i wsiadać na koń. Jużemy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku: bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności i takeśmy jechali. W pewnym miejscu odcięliśmy lód siekierami: bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne. To samo uczyniła dragonja na drugiej stronie, a stało to się w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedzieli w mieście i po wsiach.

Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku tej odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę, pułki za nim, których jeno było trzy, nie całe wojsko; każdy za kołnierz zatknawszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przyplłynął na środek, stanął i kazał chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania próbowane, który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć. Dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu, już była trochę odwilż poczęła następować, choć potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać zaczęli, chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecież strzelba nie zmokła, ale strzela i zabija — w nogi. Owych też, co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym. Powiadali zaś więźniowie: „Rozumieliśmy o was, żeście djabli, nie ludzie!“

Po owej robocie jak się wojsko dorwało do ciepłej izby, kto kogo mógł złapać, to zaraz odarł z koszuli, żeby się prze-wlec. Przetrzęsawszy ową wyspę, bo to niewielka, jeno jej siedm mil, miast kilka, a wsi kilkadziesiąt, osadził tam woje-



woda na komendzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego z ludźmi nowozaciężnymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały.

Wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomieszał ich między dragonję, w nagrodę tych, co przecie tu i ówdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają. — Potem wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy tamten rok pięknie się skończył wzięciem Koldynga z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunie zaczął, wzięciem tak chwalebnie tej wyspy Alsen.

## XXXV

## LIST JANA III SOBIESKIEGO DO KRÓLOWEJ PO ZWYCIĘSTWIE POD WIEDNIEM W R. 1683

W namiotach wezyrskich, 13 septembra w nocy

„Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza  
i najukochańsza Marysienko!

„Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem przekopy, pola i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydła, owce, które to miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą, drudzy zaś, osobliwie renegaci, na dobrych koniach i pięknie ubrani, od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospółstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno, że nieprzyjaciel nazad się wróci. Prochów samych i amunicji porzucił więcej, niżeli na miljon. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którą sobie zawsze widzieć pragnąłem. Kanalja (ciury obozowe) nasza w kilku miejscach zapaliła tu prochy, które całe sądny dzień

reprezentowały, bez szkody cale ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nieszczęście wielkie, bo pewnie na miljon w nich uczyniło szkody.

„Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam zostałem jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za wezyrem postępując, sprzedał się jeden pokojowy jego i pokazał namioty jego, tak obszerne, jak Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszą: chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziśże posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego\*) pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało. Niema porównania ze zdobyczą chocimską. Kilka samych sajdaków, rubinami i szafirami sadzonych, stoją się kilku tysięcy. czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszko, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom, bez zdobyczy wracającym, żeś „ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił“, bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkim siedzeniem i samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kihaję jego, t. j. pierwszego człowieka po nim, zabito i paszów nie mało. Złotych szabel pełno po wojsku i innych wojennych rynsztunków. Noc nam ostatka przeszkodziła i to, że uchodząc, okrutnie się bronią.

„Ja ich rachuję, prócz Tatarów, na trzykroć sto tysięcy, drudzy rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcję trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niestychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie noce i dzień rozbierają je, kto chce już, i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą. Ale to trefna, że wezyr wziął tu gdzieś w którymś cesarskim pałacu sęstrusia żywego, dziwnie ślicznego, tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć. Co zaś za delicje miał przy swych namiotach, wypisać

\*) Sekretarz Jana III

nie podobna. Miał łąźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać.

„Dziś byłem w mieście, któreby już nie było mogło trzymać dłużej nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z szaińców podmurowanych, okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowały, że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski wniwecz od kul zepsowany.

„Wojska wszystkie, które dobrze bardzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przełamać, przybiegały tedy do mnie książęta, ściskając mię za szyję, a całując w głębę, generałowie zaś w ręce i w nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji wołały: „*Ach, unzer brave Kenik!*“ Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero i to dziś rano książę lotaryński, saski; cóż komendant Starhemberg tuteczny! Wszystko to całowało, swym salwatorem zwało. Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek popolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali wołając: „*Ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!*“ Padre d'Aviano\*), który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą, nad wojskami się naszymi przelatującą.

„My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie odstąpić mię nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże, zaco niech mu będą na wieki cześć, sława i chwała! Kiedy już postrzegł wezyr, że wytrzymać nie może, zawołałszy synów do siebie, płakał, jako dziecię. Potem rzekł do hana: „Ty mię ratuj, jeśli możesz“. Odpowiedział mu han: „My znamy Króla, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli“.

„List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej. Jużte tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca najśliczniejszą moją Marysienkę. Niech się wszyscy cieszą, a P. Bogu dziękują, że pogaństwu nie dozwolił pytać się: „A gdzie wasz Bóg?“.

\*) Kapucyn.

## XXXVI

## FRYDERYK II I AUGUST III

SZYMON ASKENAZY: DWA STULECIA

Fryderyk II i August III — trudno o większą sprzeczność i gorzej wróżącą. Dość spojrzeć na tych dwóch ludzi, aby z góry osądzić, któremu z nich przeznaczono być młotem, a któremu kowadłem. Tamten suchy, nerwowy, ruchliwy, wytrzymały fizycznie i duchowo, choć w niezdrowym ciele nosi niezdrową duszę, w jego sępiej twarzy błyszczą para ogromnych, głęboko osadzonych oczu, niespokojnych i niepokojących. W rysach twarzy Augusta jest pewna powaga, są nawet ślady dobroci, lecz tej nalanej, szerokiej, mięsistej bryły, spoczywającej na tułowiu nienaturalnej tuszy, nie rozświeca najmniejszy błysk inteligencji.

Trzeba wyznać, że Rzeczpospolita niewiele zyskała na zamianie, kiedy po ojcu Sasie oddała się synowi. W miejsce króla, który przemyślał nad jej zgubą, otrzymała takiego, który nic nie myślał. Ojciec zapijał się węgryzmem, układał plany podziałowe; syn gustował w ciężkich piwach niemieckich, zadawał się planowaniem łowów, parad, operowych widowisk. W obu zwierzę brało górę nad człowiekiem. Tylko w Augustie Mocnym zwierzęcość burzliwa, namiętna rzuciła się na charakter, zgangrenowała sumienie, nie naruszyła umysłu. W Augustie Otyłym zwierzęcość ociążała, bierna, nie tknąwszy wdrożonego wychowaniem katechizmu moralnego, całkiem obezwładniła inteligencję. Był w nim może piękny materiał na monarchę. Były za młodu w królewiczu piękne rysy duchowe, wręcz przeciwne najspełniejszym ojcowskiem. Była powaga, umiarkowanie, dobra wiara. Syn brzydził się sposobem życia ojca. Ale te przyrodzone, zdrowsze skłonności duchowe Augusta III były pograżone w przyrodzonej, chorobliwej bierności i bezwładzy ducha. Jego głowa, z urodzenia nie tęga, do reszty została przytępiona przez liche i szkodliwe wychowanie. „Duma i lenistwo były głównymi wadami króla“ — powiada o Augustie III jego następcą, król Stanisław August w swoich pamiętnikach. Darowaćby dumę,

gdyż ta wada, od której wolny był elekt Poniatowski, dosyć przystoi królom. Ale leniwa, bezmyślna apatja Augusta istotnie u panującego była kalectwem.

Aby uniknąć fatygi, wielki miłośnik polowania, strzela w lot do niedźwiedzi i jeleni, zrzucanych z wysokości, albo przez okno do psów, zwabionych padliną na dziedziniec zamkowy. Cóż dopiero, kiedy chodzi o wstrętne mu sprawy rządzenia, gdzie trzeba fatygować głowę: zdaje je całkiem na łaskę ministrów i tyle tylko bierze w nich udziału, że na prezentowanych przez ulubionego ministra papierach kładzie wykaligrafowany podpis „Augustus Rex“, tak staranny i okrągły, że odrazu wyczytać w nim można nieobecność wszelkiej myśli w piszącym. Nigdy prawie nie udziela audjencji, nawet pierwszym dygnitarzom obu państw ukazuje się zdaleka, przy paradnych jeno okazjach, natomiast długie, najszcześniejsze godziny spędza w towarzystwie trefnisiów i lokajstwa. Takim odmaluje go Fryderyk, sam rozgospodarowany w zamku drezdeńskim, skąd ujść musiał pokonany August III. „Myślę — odezwie się z sarkastycznym uśmiechem, odkładając na bok tragedję, którą czytał, — że w tych komnatach nie czytano nigdy żadnej tragedji. Czy wiecie, jak się zabawia mój najukochańszy brat August? Każę sprowadzać swoich biaznów, jednego wali po twarzy, drugiemu z tyłu wymierza trafne kopnięcie, oni wrzeszczą: »gwałtu, jak boli!« — mój dobry brat August pokłada się od śmiechu... zaś ci, co pragną rządzić za niego, utwierdzają go w tych szlachetnych rozrywkach“. Ci, co za niego rządzą, nazywają się: Sułkowski, Henricke, Brühl. „Wir sind unserer drei, zwei Pagen und ein Lakai\*)“ — taki napis okala popiersia trzech ministrów na medalu, wybitym na ich cześć w Holandji.

\*) Jest nas trzech, dwóch paziów i jeden lokaj.

## XXXVII

## SZKOŁY ZA AUGUSTA III

JĘDRZEJ KITOWICZ: OPIS OBYCZAJÓW I ZWYCZAJÓW ZA PANOWANIA AUGUSTA III

Lubo niektóre pojętniejsze dzieci zaczynano uczyć czytać w domu, nie oddawano ich powszechnie do szkół aż w roku siódmym zaczętem albo skończonym. Dla mieszkających po miastach pierwsza szkoła była parafjalna, przy farze lub katedrze, po wsiach rzadko przy farze znajdowała się taka szkoła. Dlatego szlachcic, mieszkający na wsi, nim oddał dzieci do szkół, musiał w domu wprzód nauczyć je czytać, przyjmując w tym celu nauczyciela, o ile nie miał nikogo między domownikami do tego zdatnego.

W szkole parafjalnej uczono tylko chłopców, dziewczęta zaś oddawano do niewiast statecznych, które je uczyły czytania po polsku, robienia pończoch i szycia różnego. Majętniejsze córki uczono języka niemieckiego i francuskiego, który już zaczął wchodzić w modę. Córki wielkich panów uczone były wszystkiego przez ochmistrzynie, a przytem przez metrów — pisania i tańcowania.

Chłopców w szkole parafjalnej uczono czytać na elementarzu i pierwszych początków łaciny na gramatyce. Katechizm, czyli nauka religji, była najpierwszą przed innemi. Kara szkolna na tych, którzy się uczyć nie chcieli, albo swawolę jaką popełnili, była: niedanie obiadu, klęczenie albo plagi. Narzędziami kary były: placenta, to jest skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku podłużnym osadzona, którą bito w rękę. Za zupełne nie-nauczenie się lekcji, lub za swawolę, albo inne przestępstwo praw szkolnych, narzędziem kary była różga brzoza, albo dyscyplina, pospolicie rzemienna; u surowszych nauczycieli zaś ze sznurków nicianych tego spleciona, siedm lub dziewięć odnóż mająca, którą to różgą lub dyscypliną bito na ciało, uderzając najmniej trzy, najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, cierpliwości ciała i surowości nauczy-

ciela. Na chłopczyków starszych nad siedm lat używano kańczuga, a tym nie bito na ciało, któreby kaleczył, ale przez suknie, a przynajmniej przez spodnie, a i tak, silnie przyłożony, dosyć bolu zadawał.

Jeszcze był jeden rodzaj kar w szkole parafjalnej, ale ten rzadko był używany. Kiedy który chłopiec nieprzyzwoicie w izbie się sprawiał, tedy oskarżony musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku, na środku szkoły wystawionym, tam każdy współstudent, zdjawszy but z nogi, uderzał go raz cholewą i to była kara wstydzająca, nieboląca, występki równa.

Przyuczonych w szkołach parafjalnych początków łaciny oddawano do szkół publicznych, jezuickich albo pijarskich, które po wszystkich miastach, w których się znajdowały, były tak liczne, że się w niektórych po tysiąc studentów znajdowało. Wszyscy mieszczanie i szlachta i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja i karność dla wszystkich była równa, bez względu na panicza i chudego pachotka, na szlachcica i mieszczanina albo chłopca. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszymi zrównani, mieli jednak dla siebie ten przywilej, że zajmowali w szkole pierwsze ławy, chyba że się który źle uczył, to szedł do ławki osłej. Była to ława przy piecu, przeznaczona dla tych, którzy się uczyć nie chcieli, a jeżeli i to nie pomagało gnuśnemu, wtedy wkładano mu na głowę słomianą koronę, na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich klasach, wołając za nim: Osioł nad osłami na wieki wieków (*asinus asinorum in saecula saeculorum*). Do tej jednak ostatniej hańby rzadko przychodziło, bo jeżeli który doszedł do korony słomianej, już się tak pocił i mozolił nad książką, że oprowadzenia uniknął i wkrótce się z ławy osłej wydobył, oddając koronę kołkowi, na którym zawsze wisiła, ile razy głowy do niej nie było. Zapatrywali się zaś na nią leniwi do nauki jak na straszdyło, chętni zaś jak na figiel dla śmiechu wymyślony.

Nie dość było lekcji w szkole dawanej i na nauczycielach szkolnych, byli inni nazwani dyrektorami, którzy na jednych stancjach z uczniami mieszkali, tam im lekcję, przez profesora w szkole zadaną, tłumaczyli, powtarzali i do zrozu-

mienia jej i nauczania się dopomagali. Ze stancji do szkoły i ze szkoły do stancji studentów swoich prowadzili, na zabawy lub w odwiedziny zawsze z nimi chodzili, zgoła zawsze ich na oku mieli. A kiedy studentów zaprowadzili do szkoły, potem szli do swojej. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni przez ojców studentów.

Trzeci gatunek studentów był chłopcy służący, synowie ubogich rodziców, zazwyczaj szlacheccy, będący na służbie u synów pańskich i majątniejszej szlachty. Ci, służąc panom swoim, często z nimi do szkół chodzili i ich w nauce przewyższali. Posługa ich była: panięciu, u którego, lub u których chłopiec służył, a przytem i panu dyrektorowi łóżko posłać, izbę zamieść, suknie i buty wyczyścić, do stołu służyć, książki za panięciem do szkoły i ze szkoły nosić i pójść po sprawunki, gdzie posłano. Tym sposobem bardzo wielu edukowało się szlacheckich synów i wychodziło na wielkich ludzi. Lecz skoro księża pijarowie założyli osobny konwikt dla paniąt, a za ich przykładem, z początku ganionym, poszli i jezuici i wystawili drugi taki, szkoły publiczne straciły na znaczeniu.

Czwarty gatunek studentów był kalefaktorowie. Byli to chłopcy sporzy, po lat 20 i więcej mający, którzy powinność mieli w piecach palić i drwa rąbać, i jeżeli który student zasłużył na karę, tedy kalefaktor w końcu zapiecka, za zasłoną, sprawiał takiego winowajcę. Narąbawszy drew i napaliwszy w piecu, resztę czasu kalefaktor z innymi studentami obracał na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwyczaj tępego dowcipu będących, rzadko który do wyższych szkół szedł, nauczywszy się czytać, pisać i cokolwiek liznąwszy łaciny, porzucali szkoły, udając się do innego trybu życia.

## XXXVIII

## OSTATNIA ELEKCJA

JOACHIM LELEWEL: DZIEJE POLSKI

Na elekcję w zwykłym miejscu w polu, między Warszawą i Wolą, zebrały się stany\*). Pośrodku stała ogromna szopa, pod którą zasiadał senat. Blisko szopy oznaczone było miejsce, czyli koło dla posłów ziemskich, a dalej rozbite na wszystkie strony stały namioty, pod którymi szlachta z województw przybyła, województwami się mieściła, a z nią i deputowani od siedmiu miast głównych. Cały obręb pola opasany rowem i wałem, miał trzy bramy do wniścia, od wschodu dla Wielkopolski, od południa dla Małopolski, od zachodu dla Litwy.

Po nabożeństwie rannem w kościele św. Jana w Warszawie, prymas, w czasie bezkrólewia miejsce króla zajmujący, poprzedzony swym dworem, prałatem, który przed nim konno krzyż trzymał i jednym z kasztelanów, marszałkiem dworu swojego, w poszóstnej karecie jechał na pole elekcji. Za nim senatorowie, posłowie i rycerstwo ze stosownym przepychem. Wszyscy zajęli miejsca. Wiadomo już było, że dwory petersburski i berliński zalecają do tronu Stanisława Augusta Poniatowskiego, stolnika litewskiego. Przyjaźń jego ojca z królem Leszczyńskim, związki z domem Czartoryskich, a nadewszystko zalecanie obcych dworów, były mocne pobudki, dlaczego na polu elekcji na niego powszechnie głosowano.

Prymas, odśpiewawszy wezwanie Ducha Świętego, rozpuszcza senatorów i posłów do województw, które, z pod namiotów wystąpiwszy, stoją pod swemi chorągwiami skupione. Poczem prymas siadł na konia i objeżdżał wkoło województwa, pytając, kogo chcą mieć za króla. Jednogodnie wszystkie województwa na Stanisława Augusta głosowały, albo na niego przyzwoliły. Zaczem prymas mianował nowoobranego, a marszałek wielki koronny wybór z trzech bram ogłosił. Poczem pieśń do „Ciebie Panie“ odśpiewano. W kilka

\*) t. j. senatorowie, posłowie ziemscy i deputowani miast

dni potem Stanisław August „pakta konwenta“ zaprzysiął i na koronację się gotował.

## XXXIX

## OŚWIATA ZA STANISŁAWA AUGUSTA

JOACHIM LELEWEL: DZIEJE POLSKI

Król, miłośnik nauk i światła, stawał się niemałą podniętą do rozszerzenia poluru i gustu. Lubo francuski obyczaj mieszał się do narodowego, lubo wiele dzieł francuskich czytano, wszelako narodowość i język narodowy były dla każdego obywatela najulubieńszym przedmiotem. Rozpoznawano rzeczy narodowe i król pragnął, aby dzieje narodowe wypracowane były. Dlatego Naruszewicz począł historję polską pisać. Bardzo wielu pisarzy było, co się dziejami narodowymi trudnili. W potocznym języku polskiego użyciu zaprzestano jak dawniej mieszania łaciny albo francuszczyzny, mówiono czysto po polsku, tak na dworze u króla, jak w kompanjach obywatelskich. Język pod piórem utalentowanych a licznych pisarzy nabywał poluru i gładkości. Było wielu poetów: Krasicki, Trembecki. Na sejmach wyborną przemawiano polszczyzną i urzędowe pisma dobrą były pisane polszczyzną. Po szkołach nauki wykładane były w narodowym języku. Uczono łaciny, ale lżejszym i pożyteczniejszym sposobem, a przytem dawane były wszelkie nauki. Komisja Edukacyjna\*) szkoły świeckie zakładała. Znajdując pomoc w gorliwym zgromadzeniu księży pijarów, wskazała plan edukacji, w którym na celu było kształcić obywateli krajowi pożytecznych. Jakoż coraz więcej wychodziło ludzi pięknie usposobionych do posług Rzeczypospolitej, Polska sił i czucia nabierała i do nowych gotowała się usilności.

\*) edukacja = wychowanie

## OBLICZENIE I CHARAKTERYSTYKA STANÓW W POLSCE W EPOCE STANISŁAWA AUGUSTA

TADEUSZ KORZON: WEWNĘTRZNE DZIEJE  
POLSKI ZA STANISŁAWA AUGUSTA

Od XVI w. składała się Rzeczpospolita faktycznie, a od r. 1768 z mocy wyraźnego prawa z trzech stanów: króla, senatu i stanu rycerskiego. Podano do tej konstytucji humorystyczny komentarz\*): „Król jestże szlachcicem?“ Odpowiedź: „Jest“. Pytanie: „Senator, jestże szlachcicem?“ Odpowiedź: „Jest“. A więc na pytanie, kto dzierży władzę prawodawczą i wykonawczą w Rzeczypospolitej, wypada niewątpliwa odpowiedź: „Król, senat i rycerstwo, trzy stany, a jeden szlachcic“. Na ten wywód godzimy się w zupełności ze stanowiska prawa państwowego, ponieważ jednak chodzi nam obecnie nie tyle o stosunki prawne, ile o porachowanie sił, jakie rząd mógł do działania w razie potrzeby powołać: przeto usuwamy z oczu wspomnianą konstytucję i zrobimy przegląd ludności podług tych stanów, jakie istniały w rzeczywistości, w życiu, chociaż bez uznania lub troskliwości prawodawstwa.

I. Szlachta jest bardzo liczna, liczniejsza, niż gdziekolwiek w Europie. Mieściła ona w łonie swem wszelkie różnice zamożności, wykształcenia, stanowiska towarzyskiego, od magnata aż do szlachcica, co służywał za laufra lub hajduka. Na szczycie stali:

a) panowie, taki Radziwiłł „Panie Kochanku“, który, prócz niezmiernych dóbr własnych dziedzicznych, posiadał 16 miast, 583 wsi, 25 wójtostw; taki Szczęsny Potocki, którego dobra położone w trójkącie między Targowicą, Mohilowem i Tulczynem wraz ze starostwami zawierały 3,000.000 morgów, a w tej liczbie przeszło milion ziemi ornej i liczyły 130.000 osadników pańszczyźnianych, którego dwór liczniejszy był od królewskiego, bo składał się z 400 osób dworzan i służby.

\*) Książd Jeziński.

Nie mniejsze, jeśli nie większe intraty odziedziczył po ojcu książę Adam Czartoryski, który mieszkał po królewsku w Puławach, a podróżował zwykle z orszakiem szlachty w strojach tatarskich, z 14 wielbłędami i całym taborem powozów różnego gatunku. Braniccy, Sapiehowie, Małachowscy, Lubomirscy, Poniatowscy etc., to jeszcze rody magnackie za Stanisława Augusta. Nie wszyscy wprawdzie członkowie tych rodów są zarówno bogaci, ale co do trybu życia wszyscy zarówno starali się urządzać je na stopie jak najwyższej i najokazalszej: mieszkali pałace na wsi i w stolicach, trzymali roje służby od kamerdynera Francuza i galonowanych lokajów do posługaczy stajennych i kuchennych w brudnych koszulach lub sukmanach; rezydenci, rezydentki, dworzanie szlachta, sekretarze, metrowie cudzoziemscy, stanowili też niezbędną atrybucję dworu pańskiego. Więcej niż inne arystokracje europejskie traciłi polscy panowie pieniądze na zbytek, a rządność i gospodarność nie była ich ogólnym przymiotem.

b) Klasa ziemian, czyli dziedziców, posiadała też na ogół znaczne zasoby zamożności. Uderzała zamożność ta cudzoziemców, zwłaszcza podczas sejmów. Podróżujący po Polsce Niemiec, Schultz, zapewnia, że w żadnym mieście europejskiem nie można było widzieć na ulicach tyle powozów, co w Warszawie. W dniu, kiedy jest sesja, lub też bal jaki, naliczy się ich więcej w ciągu dnia jednego, niż w Berlinie w ciągu tygodnia. Inny, opisując jarmarki poznańskie, zauważył, że na gościńcach spotykał najpiękniejsze powozy i najbogatsze liberje, takie, „jakich w Niemczech prawie nigdy nie widzisz, chyba tylko w Anglii“. Naturalnie zamożność nie mogła być jednokowa u wszystkich, szczebli było bez liku. Stanisław August, spisując w Pamiętnikach swoich wspomnienia młodości, a mianowicie pierwszą wyprawę swoją w Łomżyńskie dla zdobycia sobie poselstwa na sejm 1748 r., kreśli wcale niepoehlebny obraz zgromadzenia tych właścicieli ziemskich całego powiatu. Wróciwszy z podróży zagranicznych, ubrany po francusku młody panicz doznawał wstrętu w zetknięciu ze szlachtą, gdy musiał „ściskać ich brudne, kapcańskie osoby... wysłuchiwać szczegółów ich drobnych kłótni domowych, układać się z nimi, ile i któremu ze szlachetnie urodzonych wyborców dać trzeba pieniędzy... jeść śniadania, obiady, podwieczorki, wieczerze za

stołami równie brudnymi, jak lichy usłużonemi“. Bądź co bądź jednak, z nielicznymi chyba wyjątkami, cała ta masa posiadała elementarne przynajmniej wykształcenie, sprawowała urzędy, jeśli nie państwowe, to wojewódzkie, powiatowe i t. p.

c) Duchowieństwo oprócz posług religijnych pełniło też w społeczeństwie czynność stanu uczonego. Wyszła z niego bodaj większa część znakomitych autorów, n. p. Krasicki, Naruszewicz, Kołłątaj, Staszic, Piramowicz i i. Nie zapominajmy też, że i po zniesieniu jezuitów duchowieństwo utrzymywało mnóstwo szkół, zajmowało mnóstwo katedr w zakładach Komisji Edukacyjnej i w obu uniwersytetach. Miało też duchowieństwo przez wyższych swoich przedstawicieli niemały udział w działalności politycznej. Księżę prymas bywał królem tymczasowym przez cały czas bezkrólewia, a i po koronacji był pierwszą osobą po królu, ukazywał się publicznie, otoczony pompą niemal królewską. Niektóre ministerja, jak kanclerstwo i podkanclerstwo, należały do stanu duchownego po połowie ze świeckim, tak, że musiała być przestrzegana kolej, aby po śmierci świeckiego ministra następował duchowny i odwrotnie. Nareszcie każdy biskup miał swój fotel w senacie, a wszyscy razem tworzyli kolegium biskupie, władzę, która posiadała głos przeważny, górujący, niemal stanowczy w sprawach, dotyczących interesów duchowieństwa lub kościoła katolickiego. Uposażenie duchowieństwa katolickiego było bardzo dobre, zwłaszcza wyższe duchowieństwo używało dostatków wyższych nad średnią skalę zamożności krajowej. Miał więc słuszność cesarz Józef II, odpowiadając na pytanie matki swej Marji Teresy, co widział w Polsce: „Księdza bogatego, szlachcica dumnego i chłopca uciemiężonego“. Już po zabranii na cele edukacyjne dóbr jezuitów, których wartość była szacowana na 32 milionów złotych polskich, było w dobrach duchowieństwa katolickiego 921.300 dusz, tak, że przy równym podziale według liczby głów duchowieństwa przypadłaby na każdego księdza, tak świeckiego jak zakonnika, wcale niezła wioska o przeszło 14 dymach\*). Przyznać jednak trzeba równocześnie, że duchowieństwo na ogół z mniejszą dla kraju szkodą, a większym pożytkiem, niż szlachta, użytkowało nada-

\*) Chatach.

nych mu dóbr. Wspomnieliśmy już o zakładach naukowych, nie zapominajmy, że większa część pozostałych z przeszłości skarbów naszych bibliotecznych pochodzi z księgozbiorów klasztornych, że pierwszą bibliotekę publiczną utworzył biskup Załuski.

Szlachta i duchowieństwo, to dwie grupy ludności polskiej, w których skupiały się wszystkie zasoby materialne i umysłowe kraju. Liczebna ich siła nie dosięgała 400.000 głów płci obojej. We współczesnym herbarzu naliczyliśmy tylko 10.067 nazwisk rodowych.

d) Należała do tych rodów i szlachta zagonowa; teoretycznie mogła ona używać wszystkich przywilejów klejnotu szlacheckiego, ale w rzeczywistości niewiele pożytku, a dużo trudności przyczynić mogła władzom rządowym XVIII w. Powtarzano, że „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie“, a doświadczano nieraz, że ten szlachcic był służalcem i ślepe narzędziem możnowładcy, tem bardziej, że nie każdy miał własną zagrodę, że tłumy siedziały na rolach czynszowych. Istniało przysłowie, „że szlachcic nie umie czytać, ani pisać, ale królem może zostać“; rzeczywistość świadczyła, że królem żaden nie został, ale bardzo wielu podpisywało się krzyżykami, np. na elekcji Stanisława Augusta, a potem na manifestach Targowicy. Bieda i ciemnota czyniły tę liczną, bo przeszło 300.000 głów zawierającą grupę, żywiołem raczej niebezpiecznym, niż pożytecznym. Nie godzi się jednak zapominać, że ta masa szaraczkowa pochopną i dzielną była do korda, że pomimo ciemnoty żywiła w sercu iskrę miłości ojczyzny i gotowość do poświęceń.

II. Mieszczanie tworzyli oddzielny stan, tak silnie od innych odgraniczony, że zwał się czasem oddzielnym narodem. Obliczenie ilości mieszczan połączone jest z powodu braku odpowiednich źródeł z wielkimi trudnościami. I tak jedni, jak poseł krakowski Sołtyk, podają cyfrę milion, inni 40—50 tysięcy. Oba obliczenia wielce niedokładne i przesadne; wnioskujemy, że właściwych mieszczan—chrześcijan nie było więcej niż pół miliona. Według tabeli ludności Kraków liczył w roku 1790 20.000 dusz. W tym samym mniej więcej czasie liczył Lublin około 12.200, Poznań w roku 1777 osób 8355, Sandomierz 2062, Kalisz około 5000. O Warszawie, jaką była

w połowie XVIII w., niełatwo jest powziąć wyobrażenie nam, co ją oglądamy dzisiaj. W roku 1740 samo miasto, czyli t. zw. Stara Warszawa, było niewielkim murem opasane, ale na przedmieściach błotem zalane bruki, osobliwie podczas jesieni i na łokieć nad brukiem. Około roku 1780 liczone w Warszawie 48.000 ludzi, Wilno miało 10.763 głów płci obojej. Gdańsk 36.700 głów, Toruń 13.000. Prócz tych znaczniejszych istniały też miasta małe, które scharakteryzować można jednym frazesem: „pośród kilku chałup karczmy, przy których w pewne dni przetaki, miotły i garnki sprzedawane bywają“. W istocie spotykamy miasteczka o 9 czy 7 dymach (jak Łęczna i Granica), o 300, czy 400 mieszkańcach, jak Wierzbołów, czy Władysławów (ten ostatni liczył 95 głów chrześcijańskich i 68 rodzin żydowskich). Mieszkańcy takich małych miasteczek nie różnili się prawie niczem od włościan, bo nawet głównem ich zatrudnieniem była uprawa gruntów, rolnictwo, nie zaś przemysł lub handel, oprócz żydów naturalnie, którzy tu się roili najliczniej.

Mieszczanie stanowili za Stanisława Augusta klasę ludności, która z każdym niemal rokiem coraz żywszy udział w życiu społecznym i państwowym zdobywała i coraz większy pochop do usług obywatelskich okazała.

Nakoniec ostrzec winniśmy, że nie należy mierzyć ówczesnej ludności miejskiej skalą XIX w. Europa nie znała jeszcze miast tak olbrzymich, jakie dzisiaj urosły. Paryż liczył wprawdzie 600.000 mieszkańców w r. 1789, ale Berlin mieścił tylko w tym czasie 138.225 osób. Wiedeń podobno przewyższał o  $\frac{2}{3}$  ludnością Warszawę z epoki sejmu czteroletniego. Kraków równał się Wrocławowi, a Stare miasto ze Stradomiem całemu Lipskowi.

III. Żydzi tworzyli już nie stan, ale oddzielny naród żydowski, liczący około 900.000 głów. Mieli swoje kahały i swoją reprezentację wobec władz rządowych. Nie powoływani wcale do służby wojskowej, nie uczestnicząc wcale w życiu publicznym, przynosili państwu specjalny podatek zwany pogłównem żydowskim. Nie tylko religja, ale też mowa, strój, obyczaj, stawały pomiędzy nimi i resztą ludnością niewzruszoną przegrodę. Stosunki obustronne były cierpkie i wcale niezadawalające. Mimo to jednak twierdzi wspomniany już po-

dróżnik niemiecki Szultz, „że żydzi posiadają w Polsce więcej swobód, niż gdziekolwiekbądź indziej z wyjątkiem Holandji i Anglji“.

IV. Włościanie tworzyli masę liczebnie największą. Oznaczenie ich liczby nie przedstawia szczególnych trudności. Niemcewicz podaje ich liczbę na 6 milionów. Przyzwyczajono nas oddawna do wyobrażenia, że cała ta masa jest jednakowo szarem, nędznem, biernem i zgnębionem chłopstwem, bez żadnych różnic w wewnętrznym swym składzie. W istocie jest ten tłum bezimienny, dziejopisom z czynów jednostkowych nieznany. I my w ciągu całego badania na przestrzeni epoki Stanisławowskiej z kilkoma zaledwo spotkaliśmy się imionami: oprócz okropnej pamięci Żeleźniaka i Gonty, znanych z rzezi humańskiej 1768 r., wiemy o Danile Szczerbinie, wynagrodzonym za wierność, jaką okazał podczas tejże „koliszczyzny“, o Bartłomieju Głowackim, który wsiadł na działo rosyjskie w bitwie racławickiej, o towarzyszu jego Świśtackim, o Pajaku, który wynalazł dowcipnie sposób robienia stali, i o chłopie z Pawłowa, który dobrą wcale i serdeczną mowę powiedział po ogłoszeniu konstytucji trzeciego maja, ale imię tego ostatniego nie jest nam znane. Tryb życia, codzienna praca fizyczna od wschodu do zachodu słońca z lemieszem, broną, kosą, cepem nie uzdatnia do czynów rozgłośnych, jakie zapisywać zwykła historia. Głównem powołaniem tego rolniczego ludu było wyżywić tych, co nie orzą i nie młócą, utrzymać na swych barkach i bogacić dwa „narody“: szlachecki i żydowski, nie mówiąc już o własnych rodzinach.

Zamykamy na tem statystykę i charakterystykę różnych warstw ludności. Dodamy tylko, że w terminologii urzędowej stany były odróżniane tytułami: „urodzony“ dla szlachcica, „szlachetny“ dla mieszczanina, „niewierny“ dla żyda i „pracowity“ dla chłopca.



## PAŃSZCZYŻNA W POLSCE

OSWALD BALZER: KONSTITUCJA  
TRZECIEGO MAJA

Pokój toruński z r. 1466 przez przyłączenie Prus Królewskich oddał w ręce Polski oba ujścia Wisły, zyskała przez to Polska bezpośrednio połączenie handlowe z Bałtykiem. Dla handlu zbożowego otworzyła się nowa droga zbytu, najdogodniejsza, jaką sobie pomyśleć można było, bo dająca bezpośrednią komunikację z Zachodem, który, nie mogąc sam podołać własnej konsumpcji, szukał zboża polskiego i dobrze za nie płacił. Otwierały się dla gospodarstwa rolnego w Polsce nowe, świetne widoki, ale urzeczywistnienie ich wymagało w tym gospodarstwie zasadniczej zmiany. Trzeba było gospodarstwo folwarczne rozszerzyć, trzeba było produkować jak najwięcej zboża na własny rachunek, ażeby jak największą jego ilość przeznaczyć na zyskowny wywóz.

Potrzebę tę odczuła i zrozumiała dobrze szlachta, rzuca się ona gromadnie do powiększenia produkcji rolnej, gromadzi w swem ręku w miarę możliwości grunta. Grunty, zjednoczone w ręku pana, potrzebowały rąk do uprawy, zadanie, któremu teraz nie mogła już podołać nieliczna czeladź, dawniej potrzebom tym wystarczająca, a dla którego z drugiej strony nie można było znaleźć odpowiedniej ilości najemnika, wobec niedostatecznego w stosunku do ziemi zaludnienia ówczesnego. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przymusić kmięci, mieszkających po wsiach, do obowiązkowej uprawy gruntów folwarcznych.

W ten sposób zrodziła się pańszczyżna w Polsce. Pańszczyżna rozpowszechnia się w ciągu XV w., z początku oczywiście w formie łagodniejszej, ażeby potem przybrać coraz ostrzejszy charakter. Z początkiem XVI w. statuty toruński i bydgoski, oba z 1520 r., stanowią, że chłop z każdego łanu obowiązany jest odbyć co najmniej jeden dzień pańszczyżny w tygodniu, gdzie

zaś wytworzył się zwyczaj dalej pod tym względem idący, t. j. dwa lub więcej dni pańszczyżny, zwyczaj ten ma być i nadal przestrzegany. Powstała w ten sposób zasada przymusowej i bezpłatnej robocizny dla pana. Była ona w pierwszej linii stratą materialną dla kmięcia, odrywając go częściowo od pracy na własnej roli, ale bardziej doniosłe znaczenie miała pod względem prawnym, stanowiąc pierwszy ważny wyłom w tej wolności osobistej, jakiej używał dotychczas.

W ślad za nim poszły i inne, a o wszystkich można powiedzieć, że stoją w ścisłym związku z tą przemianą gospodarczą, na którą wskazaliśmy. Skoro trzeba było pańszczyżną obrabiać grunty pańskie, oczywiście tem korzystniej było dla pana, im we wsi więcej było ludzi i im więcej rąk do pracy. Stąd dążność szlachty, uwieczniona pomyślnymi wynikami na sejmach z końca XV i początków XVI w., ażeby prawo wychodu kmięci jak najbardziej ograniczyć, a choćby nawet zupełnie usunąć. Nie tajono się wcale z motywami tej dążności, przyznawano się do nich wyraźnie w aktach ustawodawczych, podnosząc, „że szlachta nie może powiększyć swego majątku inaczej, jak tylko przez pracę kmięci“, albo że „szlachta w braku pracujących kmięci nie znajduje zaspokojenia swych potrzeb“. I tak w r. 1496 na sejmie wychodzi statut, stanowiący, że rocznie nie więcej jak jeden kmięć samoistny może się ruszyć ze wsi i na tym samym sejmie staże i druga uchwała, wprowadzająca rzecz zupełnie nową, że nawet synowie chłopscy nie mogą opuścić gruntu, z wyjątkiem jednego w każdej rodzinie i to tylko wtedy, jeżeli to nie jest jedynak. Wreszcie całą tę akcję zamyka ustawa z r. 1532, która ogólnie stanowi, że żadnemu chłopu nie wolno się ze wsi ruszyć bez pozwolenia pana. Upadła zatem do szczętu średnio-wieczna swoboda kmięcia; chłop został przywiązany do gleby węzłem tak ścisłym i trwałym, że nic go od niej już oddzielić nie zdołało — chyba łaska pańska; ale ta nie często się objawiała.

Tak załatwiła się jedna strona kwestji chłopskiej, pozostawała jeszcze druga niezłatwiona. Chłop musiał pracować dla pana i dla tego obowiązku nie wolno mu było ruszać się

z gruntu, ale miał jeszcze swoje sądownictwo we wsi i miał prawo upomnieć się o krzywdę, wyrządzoną mu przez pana, przed sądem publicznym. Było to panom nie na rękę, bo dawało chłopom pewną samoistność i niezależność na zewnątrz, przeszkadzało do coraz większego ograniczenia i wyzysku poddanych. Trzeba było i tę zawadę usunąć z drogi. Najważniejszym filarem samoistności kmieci w tym kierunku były sądy sołtysie z naczelnikiem sołtysiem na czele, wobec pana niezależnym. Chodziło więc o złamanie tego stanowiska sołtysów. Statut, wydany w połowie XV w., orzekał, że sołtysi „nieużyteczni, lub oporni“, mogą być przez pana skupieni, lub zmuszeni do sprzedaży sołtysstwa komu innemu. Przepis ten odnosił się do sołtystw nieużytecznych i opornych, ale cóż się pod te wyrazy podciągnąć nie dało! Panowie nie omieszkali korzystać z tego upoważnienia, zyskiwali przez to dwie rzeczy: wcielali grunt sołtysi do swego folwarcznego gospodarstwa, a przez usunięcie sołtysa dostawali w swe ręce sądownictwo nad poddanymi. Bo pan, który skupił sołtysa, wchodził we wszystkie jego prawa, a zatem wykonywał sądownictwo nad chłopami swojej wsi, tak, jak dawniejszy sołtys. Z czasem zatraciło się poczucie, że wykonuje je jako sołtys i wyrobiło się przekonanie, że panu, jako takiemu, przysługuje prawo sądenia swoich poddanych. I tak upadło samoistne sądownictwo wiejskie, a na jego miejscu wytworzyło się sądownictwo, wykonywane przez pana jako takiego nad poddanymi. Spotykani po wsiach sołtysi i ławnicy, którzy rozsądają spory kmieci są to tylko funkcjonariusze, ustanawiani z ramienia samego pana, we wszystkim mu podlegli i od niego zależni, zwykle z miejscowych kmieci obierani. Mają oni wyręczać pana w jego zajęciach sądowniczych, ale pan, każdej chwili, kiedy chce, wyrok sam wydać może.

A wyrok ten pański jest wyrokiem niewzruszalnym, niema przeciw niemu środka prawnego. Pan mógł orzekać nie tylko o majątku, ale i o życiu kmiecia. Dawniej chłop, ukrzywdzony przez pana, mógł go pozwać przed sąd publiczny, obecnie możność ta ustała. Chłop nie ma więc środka usunięcia krzywdy, wyrządzonej sobie przez pana, gdyż pan jest wobec niego i kogokolwiek innego

nieodpowiedzialnym. Wolno mu robić, co chce, a chłop musi mu się poddać, bo nie ma do kogo udać się o pomoc przeciw niemu.

Temu też zawdzięczać głównie należy, że z biegiem czasu zwiększyły się daniny chłopskie do bardzo wielkich rozmiarów, że pańszczyzna gdzieniegdzie doszła do 6 dni w tygodniu, że wreszcie panowie stanowią formalne dla swoich poddanych ustawy, jak się mają zachować, w jaki sposób pracować, co świadczyć. Pan kazał — chłop nie miał innego wyboru — jak słuchać.

Na tem stanowisku stała sprawa chłopska już od końca XV w. i w początkach XVI w. Czy w wiekach następnych posunęła się dalej? Nie, bo nie mogła się posunąć. Przywiązano chłopca nierozzerwalnymi węzłami do gruntu, wyjęto go z pod wszelkiej opieki prawa, tak, że nie było dla niego żadnego właściwie prawa, chyba niem nazwiemy wolę pana. Oddano w ręce pana nieograniczoną dyspozycję osobą, majątkiem, życiem chłopca; — cóż więc było mu można jeszcze oddać? Zyskali panowie wszystko, czego tylko zapragnąć mogli; nic więcej nie dało się zdobyć, bo nic nie było już do zdobycia. Na przelomie wieków średnich i nowszych przybrała więc sprawa chłopska jasno określone kształty i w tej formie przetrwała już bez zmiany całe dalsze dwa wieki z górą. Kwitł handel zbożowy Polski w stuleciu XV, XVI i XVII, ale ten rozkwit ekonomiczny trzeba było okupić niewolą całego, miliony głów liczącego stanu chłopskiego. Niewiele bolała nad strasznym tem zjawiskiem szlachta polska. „Szlachcic szczyć się może, iż jest niejako udziałnym monarchą wiosek i poddanych swoich“ — pisał z lekkim sercem autor XVII w., Fredro. Był więcęj niż monarchą, był — właścicielem.

## XLII

### O ZNACZENIU KONSTITUCJI TRZECIEGO MAJA

OSWALD BALZER: KONSTITUCJA TRZECIEGO MAJA

Jest w dziejach Polski wypadków wielkich poczet niemały: czy to owa wielka praca organizacyjna, dokonana przez

Chrobrego, która na długie czasy tchnęła w młody organizm Polski siłę życia i rozwoju, czy dzieło zjednoczenia, przeprowadzone przez Łokietka, które rozbite dzielnice Polski sprzęgło w jedną całość, czy owa praca gospodarcza i cywilizacyjna wielkiego Kazimierza, która Polskę podniosła do znaczenia potęgi, czy dzieło unji Jagiełłowej, Litwy i Rusi z Polską, która cywilizacji zachodniej szerokie na wschód rozwarła wrota, czy ów pogrom nawały germańskiej, na polach Grunwaldu poczęty, toruńskim traktatem dokonany, czy zwycięstwa moskiewskie Batorego, czy wreszcie pamiętne zwycięstwo Sobieskiego. Ale już w zestawieniu tych najjaśniejszych kart historii naszej uderza, że ich najwięcej przypada na czasy dawniejsze, że od końca wieku XVI niema żadnej tak świetlanej jak tamte, bo i zwycięstwo wiedeńskie to raczej błysk wojennego geniuszu wodza i zamierającego już rycerskiego ducha szlachty, aniżeli korzyść narodu, istotna i w skutkach trwała, taka, jaką każdy wielki fakt historyczny przynosi ze sobą. W tym więc długim okresie dwu przeszło wieków, w którym wypadków wielkich prawie niema, pięknych wcale nie wiele, a smutnych i — czasem wstrętnych, nadto — konstytucja trzeciego maja, okres ten zamykająca, jest jakby czemś niespodzianem, zjawiskiem olbrzymim po całym szeregu karłowatych widoków. Takie wrażenie sprawia ona już przez samo swoje zjawienie się.

Dokonała ona dzieła wielkiej reformy nierównie lepiej, niż zdołano to uczynić dawniej. Była pod każdym względem znacznym krokiem naprzód, wielkim postępek nie tylko w stosunku do tego, co u nas istniało w epoce upadku, ale i w stosunku do wszystkich reform, jakie przed nią celem naprawy Rzeczypospolitej przedsięwzięto. Była pośród wszystkich tych reform największą, najdalej sięgającą, była przetworzeniem całego ustroju Rzeczypospolitej. Dawniejsze wszystkie reformy poruszały się więcej na powierzchni, nie dotykając zarodków złego, a przez to nie miały warunków trwałego bytu, ta sięgnęła w głąb rzeczy, naprawiła wszystko, co się dało, w układzie społecznym, którego nieprawidłowa formacja była źródłem i początkiem wszystkiego złego. Dokonała odrazu wszystkiego, czego przedtem nawet z osobna nie odważono się przeprowadzić: uprawniała stany niższe, uchyliła

liberum veto i konfederacje, zniósła elekcyjność tronu i niemoc rządu; usunęła wszystko, na co Polska od kilku wieków chorowała i umierała, stworzyła jej warunki dalszego bytu. Była wielkiem odrodzeniem narodu, społecznym i politycznym przełomem, od którego począwszy nowe miał rozpocząć życie. Była jedną z tych chwil, na które Bóg wieki każe czekać narodom, o których potem wieki pamiętać muszą. Konstytucja była i jest czemś, co z nas samych powstało, za co, jeżeli to złe, odpowiadamy my sami, a jeżeli to dobre, to nasza w tem zasługa i chluba. Z taką kartą konstytucyjną mógł naród śmiało ruszyć dalej w pochod dziejowy.

Czy mógł w istocie? Czy byłby z nią wytrwał? Czy nie byłby jej porzucił, jak porzucił wiele ustaw dawniejszych? Czyż w rok potem nie przyszła Targowica, przez naród sam przeciw konstytucji zawiązana? Przyszła, zapewne — ale jak przyszła! Przyszła pod naciskiem obcych bagnetów, za sprawą kilku niecnych, pociągnęła za sobą tych niewielu stosunkowo, co świadomie nowego porządku rzeczy uznać nie chcieli, a następnie całe masy tłumu ciemnego. Odliczmy tłum — cóż pozostanie przy Targowicy? Mała garstka przywódców i pewna suma ludzi słabego charakteru, którzy wbrew przekonaniu, pod grozą niebezpieczeństwa osobistego do niej przystąpili. Ale większość tej warstwy narodu, która duchem stała wyżej, która życiu publicznemu nadawała kierunek i według której przedewszystkiem wartość jego oceniać należy, była po stronie przeciwnej, za konstytucją. Wszak na sejmie ledwo kilkunastu postów sprzeciwiało się ustawie rządowej: wszyscy inni przyjęli ją z zapalem. Czy zresztą sama Targowica byłaby przyszła do skutku i czy byłaby zdołała pociągnąć za sobą masy — bez obcej pomocy? A czy nawet po niej nie zbudził się jeszcze do obrony ojczyzny i konstytucji — naród i jego bohaterski naczelnik, autor połanieckiego uniwersału? Że uległ, to już było rzeczą przewagi oręża nieprzyjacielskiego; ale oręż ten w tym właśnie wypadku nie był — ramieniem sprawiedliwości.

Upadła więc konstytucja. Niemniej przeto przyniosła korzyść najdonioślejszą, była bowiem odrodzeniem moralnym narodu. Była pogrzebaniem szkodliwych,

ale przez długi czas najdroższych narodowi, wiekową przeszłością wypieszczonych ideałów złotej wolności i wyłączości szlacheckiej. A dokonała się nie przez kogo innego, tylko przez tych, co te ideały sami nosili w swem sercu. Przyszła do skutku nie przez siłę i przemoc dobijających się o swe prawa klas upośledzonych, nie przez nacisk ze strony rządu, dążącego do wzmocnienia swej władzy, nawet nie za wolą lub poparciem jakiegokolwiek potęgi obcej, a owszem przeciwko ich woli; zrodziła się bez rewolucji, bez kropli krwi rozlewu, w formie łagodnego zamachu stanu, z własnej, niczem niekrępowanej woli narodu samego. W swoim rodzaju jest to wypadek jedyny i nigdzie na tak wielki rozmiar w dziejach nie powtarzający się.

Musił ten naród mieć wiele siły i hartu w sobie, niestartych całkiem i niespożytych dawniejszym upadkiem, kiedy dzieła takiego dokonać potrafił.

### XLIII

## Z DZIEJÓW GDAŃSKA

*SZYMON ASKENAZY: WCZASY HISTORYCZNE*

Sprawy gdańskie, choć leżą jakby poza nawiasem dziejów nowożytnych, zawsze mieściły w sobie dla nas jakiś osobliwy urok. To stare miasto polsko-niemieckie, wyniosłe, uparte, przekorne, a przecie roztropne, uczciwe i wierne, to przecie perła świetna w koronie dawnej Rzeczypospolitej, arcyważna placówka gospodarcza dawnej Polski, okazowy punkt przyjaznego dwu sąsiednich narodowości: polskiej i niemieckiej współżycia i pokojowego przystosowania się Niemczyzny do opiekuńczych rządów polskich.

Zmienne koleje i twarde doświadczenia dziejowe przechodził Gdańsk. Od najdawniejszych czasów handlowało miasto to z Polską, żyło z Polski. A w owych nawet czasach dalekich, półdzikich znajdowało tam zawsze w ksiądzętach i pannah polskich dostawców dobrych, pewnych, „opiekę prawną szybką, troskliwie czuwającą nad interesem kupców obcych“ — jak stwierdza, nie bez zdziwienia, nowożytny pruski historyk.

Ledwo jednak zaczynało rozkwitać miasto, kiedy w początku XIV w. spadła na nie żelazna pięść *Zakonu*. Zdobyto miasto morderczym nocnym napadem, wycięto część ludności, precz wygnano niedobitków, zburzono, z ziemią zrównano spokojne siedziby, zostawiono pustkowie i zgliszcza. Półtora wieku musiał wytrzymać Gdańsk pod surową władzą zakonną. Dotkliwie, rzecz prosta, zostało skrępowane i powstrzymane w zdrowym gospodarczym rozwoju swoim miasto czysto handlowe, pośrodku czysto militarnej organizacji państwa krzyżackiego. Zapewne z samej natury rzeczy, dzięki swemu wyjątkowo szczęśliwemu położeniu geograficznemu i w tym nawet fatalnym okresie pozostawało ono ważną europejską arterją handlową, goszcząc u siebie po paręset okrętów angielskich, dochodząc do obrotów milionowych, wybijając się na czoło wszystkich miast pruskich.

Ale ten przyrodzony wzrost dobrobytu miejskiego dotkliwie był opóźniany i tamowany nie tylko twardą, ale i chciwą nadmiernie ręką zakonną. Gdyż Zakon nie tylko w żelaznym rygorze trzymał swoich Gdańszczan i nie tylko wysokimi opłatami obciążał ich handel, ale na dobitkę sam prowadził handel na własną rękę, a na skalę coraz większą, stając się tym sposobem, zamiast protektora, nie tylko ciemieżcą, lecz nadto współzawodnikiem miasta, współzawodnikiem nieznosnym, bo panującym, więc uprzywilejowanym. Nie dziwota też wśród podobnych warunków, że odgłos wielkiego zwycięstwa Polski nad Zakonem powitany był przez Gdańszczan jako błogosławiona zapowiedź wyzwolenia z pod jarzma krzyżackiego. Natychmiast, aż nazbyt skwapliwie, bo aż ze śmiertelnem narażeniem się na mściwość nierozbrojonego jeszcze do szczętu Zakonu, pośpieszyli burmistrz i rajcowie gdańscy stawić się w obozie *Władysława Jagiełły*, gdzie dobrotliwie przyjęci, ważne i hojne odebrawszy łaski dla swego miasta, pokwapili się nieboracy z hołdem, jeszcze niestety przedwczesnym. Czekala ich w domu straszliwa pomsta Zakonu.

Wiadomo, jak krwawy komtur, brat wielkiego mistrza, siedzący na zamku gdańskim, przyjaznem zaproszeniem ściągnął do siebie w gościnę owego nierozważnego burmistrza i rajców, jak ich wymordował bez zmiłowania i jak dopiero w tydzień trzymane u siebie trupy wydał przerażonemu

miastu. Dobrze to opowiada stary kronikarz, jak zdjęci zgrozą mieszczanie w milczeniu stoją przed pogardliwym komturem i jak jedna tylko nieszczęsna burmistrzówna Anna Gross, rozpaczłą wybuchła skargą. „Gdybyś była mężem, jakoś jest kobietą — rzekł gniewny komtur — byłbym ci uczynił, jakom to uczynił ojcu i małżonkowi twemu“. „Gdybym była mężem, jakom jest kobietą — odparła pani Anna — i z tobą komturze sama w polu stała, byłabym tą oto ręką pomściła na tobie małżonka i ojca“. Poczem podniosła — dodaje kronikarz — głos wielce żalony: „Bogu się skarżę na wysokościach niebieskich na tę okrutną przemoc i bezprawie, jakie stało się mnie, niewieście biednej i dzieciom moim małym wbrew Bogu i prawu wszelkiemu. Wyzbyłam ojca i małżonka i mienia i prawa, ja i dzieci moje sieroty, bez wszelakiej winy ani wyroku. Ty, Boże wszechmocny, miejże zmiłowanie i ześlij karę przynależną za bezprawie tak wielkie“.

Przyszła nareszcie i kara i odwet. Kiedy stany pruskie wypowiedziały wojnę Zakonowi, odrazu w pierwszym szeregu pojawili się Gdańszczanie, chowający w sercu pamięć tylu krzywd okrutnych. Oni to wtedy, jak może nikt inny, zaciekli się na zgubę, na śmierć Zakonu. W okamgnieniu wzięli nienawistny swój zamek zakonny, nie zostawili w nim kamienia na kamieniu, zrównali z ziemią to gniazdo drapieżne, jak ich spokojne miasto ongi było starte. W wojnie trzynastoletniej nie żałowali ani krwi ani mienia, byle dopomóc królowi polskiemu w doszczętnem zmiążdżeniu potęgi krzyżackiej, niezmordowani w swej dobrowolnej służbie posiłkowej, a dla nich odwetowej i wyzwoleniczej i najczynniejsi aż do końca jeszcze przy wzięciu Malborga, jak świadczy dziś jeszcze stary obraz przechowany w Gdańsku i stare pod nim rymy. Sowił też, iście królewską nagrodę za pocziwą, ofiarną i mężną tę służbę odebrali wnet z rąk wdzięcznego Kazimierza Jagiellończyka: obszerną autonomję wewnętrzną, rozległe przywileje handlowe, własną moc prawodawczą, własne prawo mennicze, bezpośrednie traktowanie z obcimi państwami, koronę w herbie miasta, czerwony wosk w burmistrzowskiej pieczęci, wolność trzymania fortecy, odmykania i zamknięcia portu wiślanego. Tak odrazu z półtorawiekowej niewoli krzyżackiej wstępowali Gdańszczanie na blisko pół-

czwarta stulecia w okres swobody i rozkwitu pod berłem polskim. Natychmiast też podwoiła się i potroiła liczba przebywających okrętów, prawie do 30 tysięcy łasztów\*) ładunku i dwudziestu milionów talarów wartości dochodził wywóz roczny zboża polskiego z Gdańska. Jeden tylko Amsterdam mógł się równać podówczas z polskim Gdańskiem, jako ogniskiem wszechświatowego handlu zbożowego.

Ze wzrostem reformacji w mieście drażliwą sprawę wyznaniową wyrozumiale ułatwił przywilej religijny Zygmunta Augusta, cichym na razie, tymczasowym a najpraktyczniejszym i najdogodniejszym wtedy sposobem. W łagodnej, pokojowej też drodze, bądź co bądź bez krwi przelewu, umiał ostatni Jagiellończyk przełamać opór Gdańska przeciw unji realnej. Okazało się wtedy, że masa mieszczańska handlująca, cechowa i wyrobnicza, zwłaszcza drobniejsi kupcy, rzemieślnicy, rybacy, ludzie prości, żyjący z portu, Wisły i morza, czuli się już nie tylko unją osobistą związani ze swoim polskim monarchą, ale rzeczywistą unją materjalną i duchową coraz bardziej zespoleni z Rzplłą polską.

Raz jeszcze stanąć miał Gdańsk w ostrym zatargu wojennym z całą Rzplłą, z nieuznanym przez siebie elektem Batorym, bronił się uporczywie, ale poddał się wreszcie bez krzywdy dla siebie i zamiast kary, zamiast pomsty na modłę krzyżacką raz jeszcze otrzymał potwierdzenie wszystkich swych przywilejów, a nawet nowe łaski z rąk zwycięskiego króla. W przyspieszonym odtąd tempie dokonywał się dalszy wspaniały rozkwit dzielnego i przemysłnego miasta, które w dobrze zrozumianym interesie własnym szczęśliwie złączone z Rzplłą odzyskało dopiero przyrodzoną podstawę dobrobytu i świetności, odzyskało właściwy swój charakter wyznaczony mu przez samą przyrodę jako łącznik i pośrednik pomiędzy kulturą rolniczą Rzpltej a przemysłową Zachodu. Nie skąpiła też Rzplła miastu coraz innych szacownych przywilejów, utrwalających wyjątkowe jego stanowisko gospodarcze. Szły tutaj zboża i wszelkie płody rolnicze, woły, dębowe maszty do Holandji i Angliji. Miało miasto drogocenny wyłączny przywilej, aby sukna angielskie i inne zamorskie jedynie przez gdański

\*) Miara do mierzenia zboża = 60 korców.

port przypuszczane były, a to pod grozą konfiskaty towaru, przywiezionego przez inne miejsce i nieopatrzonoego cechą gdańską. Nie dziwota znów, że wśród takich warunków to samo miasto, które ongi, cierpiąc straty i krzywdy, wyrывało się z pod krzyżackiego wyzysku i ucisku, obecnie, opływając w dobrobyt i wolność, przywiązywało się coraz mocniej do bogacącej je i osłaniającej Rzpltej.

W rzeczy samej zacni Gdańszczanie nie przestawali odtąd dawać najpiękniejszych dowodów tego wdzięcznego, niewzruszonego przywiązania. Już w pierwszej wojnie szwedzkiej, blokowani przez groźną potęgę Gustawa Karola, nie dali się wziąć na lep czułym przemówieniom wielkiego apostoła protestantyzmu, głusi zarówno na jego kuszenia i postrachy, poważnej udzielili mu odprawy i w dodatku nawet zażartowali sobie z zawiedzionego kusiciela i straszdyła szwedzkiego w szyderczych piosenkach pod jego adresem, ściśle dochowując wiary zaprzysiężonej Rzpltej i zyskując sobie słowa podzięk i uznania od króla Zygmunta. Wnet po raz wtóry w wielkiej wojnie północnej dzielne miasto nie zachwiało się ani na chwilę przed sztuką oblężniczą Karola Gustawa i przez cały czas najokrutniejszych przejść krajowych trzymało się jak wyspa wśród powszechnego potopu. Jest to jedna z najpiękniejszych kart dziejów gdańskich, kiedy przezorni Gdańszczanie sami podpalają swoje przedmieścia, byle nie dopuścić do usadowienia się Szwedów, kiedy pełni otuchy, choć otoczeni przez nieprzyjaciela, walą mu nad uchem z armat na wałach i z muszkietów na rynku na pierwszą wieść radosną o powrocie prawego monarchy Jana Kazimierza.

W przedostatnim zatargu elekcyjnym mieli Gdańszczanie sposobność złożyć dowód, że i pod względem moralno politycznym zespolili się prawdziwie z duchem narodowym Rzpltej. Nieszczęsny król Stanisław Leszczyński, ledwo obrany, natychmiast wypędzony z Warszawy przez elekcję Augusta III, dokonaną pod osłoną broni cudzoziemskiej, opuszczony od szczęścia i zwolenników, schronił się przed pościgiem do warownego Gdańska. Nie miało zapewne miasto to żadnych obowiązków dla Leszczyńskiego, nie miało też żadnego interesu przyjmować u siebie króla wygnańca, bez władzy, bez wojska, nawet bez funduszków. Nie mogło też żywić żadnej

wątpliwości, że wraz z takim gościem będzie musiało narazić się na ciężkie przeprawy, na niebezpieczną a beznadziejną walkę zbrojną. Ale Stanisław Leszczyński miał wtedy bądź co bądź za sobą ogromną większość opinii szlacheckiej, był prawym elektem — monarchą. To też szlachećni rajcowie gdańscy, w poczuciu wiernopoddańczego obowiązku, nie tylko nie odmówili gościny Leszczyńskiemu, lecz postawili sobie za punkt honoru wytrwać przy nim do ostatka, bronić do upadłego jego osoby. W istocie, jak było do przewidzenia, wnet okolone zostało miasto żelaznym pierścieniem wojsk rosyjskich, lecz z tęgością i uporem, jak ongi Szwedom, tak teraz broniło się skutecznie potężnej sztuce oblężniczej groźnego wodza rosyjskiego. Wytrwale, odważnie, czujnie we dnie i w nocy pełnili służbę w kompanjach obywatelskich, obsługując działa, luzując się na wartach, bez różnicy stanu i cechu, bogaci patrycjusze na równi z prostymi tragarzami portowymi, ba nawet dzielne niewiasty, mężne mieszczyki gdańskie miały w tej wielkiej potrzebie próbować się w rzemiośle wojennem. A kiedy król potajemnie uciekł z miasta, mieszkańcy, zamiast zrozumiałego uczucia odetchnienia, odczuli szczerzy żal, prawie rozpacz. Wtedy dopiero, gdy już nie było kogo bronić, poddali się Gdańszczanie, po oblężeniu 4 i pół miesięcznym, po wytrzymaniu przeszło 4000 rzuconych bomb, przed armją z górą 50.000. Opłacili się ciężko: sporą ilością przelanej krwi, znacznem zniszczeniem miasta, miljonową kontrybucją wojenną, ale znowu czynem pięknie dowiedli, że są dobrymi obywatelami Rzpltej.

Tymczasem po upływie ćwierć wieku od zawieruchy Stanisławowskiej poważna groźba zawisła nad Gdańskiem. Król pruski, sukcesor Zakonu, przychodził zgłosić się po tamtą utraconą grabież zakonną z przed czterech wieków.

Fryderyk II oddawna na Gdańsk oglądał się i łakomił. Z mistrzowskimi wyrachowaniem, pod najrozmaitszemi pozorami zaczął dławić miasto. Gdańsk żył z handlu polskiego, z wolnego wiślanego spławu. Fryderyk po środku założył komorę, zaprowadził niepomierne cła, zarządził nieznośne szykany rewizyjne, ustawił działa i odrazu w swoją twardą rękę wzięwszy arterję życionośną miasta, jął ścisnąć bez miłosierdzia. Szykanował obywateli przy wyjeździe do ich willi podmiejskich, utrudniał dowóz żywności z okolicy, pod pozorem

szukania dezertersów posyłał do miasta od czasu do czasu oddziały werbownicze i wybierał przemocą rekruta, a przede-wszystkiem zabijał handel. Gdańszczanie zwrócili się po ratunek do bezsilnej Rzpltej, do dalekich swoich odbiorców Anglików i Holendrów, lecz wszędzie spotykali tylko puste wyrazy współczucia.

Tymczasem nadszedł pierwszy podział Rzpltej. Fryderyk wyteżył całą swoją politykę i swój spryt, by za jednym zachodem w spokojnej drodze traktatowej włożyć do kieszeni Gdańsk jako przydatek. Zaczął umizgać się do Gdańszczan, występując jako obrońca wspólnej wiary protestanckiej. Gdańszczanie zaklinali się, że im się żadna krzywda na wierze nie dzieje, a gdy król pruski okazał gotowość zagarnięcia ich pod swoje berto, podnieśli lament na całą Europę i wspomóceni przez Holendrów znaleźli drogę do dworu petersburskiego. O opozycję Rosji rozbiły się widoki gdańskie Fryderyka. Nie mogąc sam urzeczywistnić swej ulubionej myśli, zostawił to zadanie swoim następcom, radząc i w testamencie obierać Rzpltą jak karczoch albo głowę kapusty „liść po liściu, miasto za miastem“ i wyraźnie wspominał o smacznym listku gdańskim. Pamiętał o tem zaleceniu Fryderyk Wilhelm II, kiedy w swoich rokowaniach z sejmem czteroletnim nie przestawał dopraszać się gdańskiej nagrody. Polacy wyprosili się wprawdzie grzecznie od natrętnych nagabywań pruskich, ale, jak wiadomo, na nic się nie zdał protest, dokonano drugiego podziału Polski. Gdańsk dostał się do Prus. Już w marcu 1793 stawiło się u wrót miasta wojsko pruskie. Doszło do krwawych zamieszek na ulicach, a w maju przyszła fatalna chwila złożenia przysięgi koronie pruskiej. Pokojem w Tylży Gdańsk został wolnem miastem, ale naprawdę stał się najdalej wysuniętą twierdzą francuską.

Po katastrofie moskiewskiej nadeszła dla Gdańska ostatnia, najcięższa próba wojenna. W styczniu 1813 miasto zostało oblężone przez wojska rosyjskie i po rocznem oblężeniu kapitulowało. W lutym 1814 zostało oddane w ręce Prusaków. Takie rozwiązanie sprawy gdańskiej było bardzo niepomysłne. Gdyby Gdańsk był został wolnem miastem lub złączony z Królestwem pod władzą Aleksandra, byłby uniknął spruszczenia, a niezawodnie pod względem ekonomicznym byłoby

mu to wyszło niewątpliwie na dobre. Później, mimo wszelkie rzekome dobrodziejstwa kultury pruskiej, w gruncie rzeczy wyrugowane z przedniego swego stanowiska, upośledzone na rzecz Szczecina i Kilonji, wyprzedzone z drugiej strony przez Libawę i Rygę, zacne, stare miasto w niewesołą spoglądać musiało przyszłość.

#### XLIV

### OSTATNIA NOBILITACJA

JÓZEF SZUJSKI: *OPOWIADANIA I ROZTRZĄSANIA*

Było to w kwietniu 1794 roku, w śliczny dzień wiosenny. Chociaż był to wyborny czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą, narodową niedzielą dla Rzędowian.

Miano powitać wracającego z pod Raclawic Kościuszkę i jego zwycięskich wiarusów. Jakoż ruch niezwykły panował we wsi: kobiety pomagały staroście gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławy i stoły; ba nawet pacholęta i dziewczątka stawiały z gorączkowym pośpiechem bramę triumfalną z świeżo rozpekłych wiklin i wiecznie zielonej choiny. Przez tę to bramę triumfalną przeciągnęła tęgim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie przybycie Kościuszki. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział śpiesznie kontusz i żupan swego województwa, przypiął karabelę i podając rękę staroście odrzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pośpieszyło ku bramie, a z kościoła parafjalnego ozwały się radośnie dzwony.

Na czele kosynierów, w białe sukmany odzianych, jechał na siwej kłaczy pan Tadeusz Kościuszko, w stroju tychże kosynierów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał

spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafią.

Potrójne: „Niech żyje!“ ozwało się po obu stronach bramy; deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjawszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól.

Starosta ujął Kościuszkę w długi serdeczny uścisk. Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypiec i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego muzyka wiejskiego.

Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu, a gdy wreszcie wstano od stołu, Kościuszko, podając rękę staroście, szepnął adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patryjotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę: „Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi przez Bartosza Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów“.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Głowackiego, praca kilku lat, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego. Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka. W środku powiewał sztandar z orłem białym.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartosza Głowackiego.

Oficer kosynierski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożwszy rękę na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście: „Mój kochany Bartoszu, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze pracowitym a pocziwym rol-

nikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmiecia rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogostawi!“

Bartosz skłonił się, a wnet Naczelnik ozwał się w te słowa:

„Żołnierze! widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina Bartosza Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa, na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającym potomkom obowiązek podobnej służby. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce dziś piastujący, czynię cię, Bartoszu, wraz z potomkami twymi szlachcicem i nadaję ci herb mój własny, herb Roch. Niech żyje porucznik Głowacki.“

Głośno: „Niech żyje!“ rozległo się w powietrzu.

„A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego! Wiedźcie, że powołani przez ojczyznę, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi“.

Kosynierowie z krzykiem garnęli się ku Kościuszcze, całując jego ręce i szaty. Bartosz, ocierając oczy sukmaną, chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszko objął go i uściśkał.

Przy wieczerzy Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych. Trudno go było nakłonić do tego, ale narzeczcie ustąpił naleganiom starosty.

Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— Mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartosz zaczerwienił się jak dziewczyna.

— Stąd mój Bartoszu — dodał Kościuszko — żeś był szlachcicem pierwszej, nimeś nim został.



## XLV

## UNIWERSAŁ POŁANIECKI

TADEUSZ KORZON: WEWNĘTRZNE DZIEJE  
POLSKI ZA STANISŁAWA AUGUSTA

Dnia 7 maja wydany został w obozie pod Połańcem „Uniwersał“, urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość.

Obejmuje on 14 artykułów.

1) Ogłosi się ludowi, że zostaje pod opieką rządu krajowego.

2) że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu się wolno przenieść, gdzie chce, byleby oświadczył Komisji Porządkowej swego województwa, gdzie się przenosi i byleby długi należne i podatki krajowe opłacił.

3) że lud ma ulżenie w robociznach, tak, iż ten, który robił dni 5 lub 6 w tygodniu, ma mieć dwa dni opuszczone w tygodniu; który robił dni 3 lub 4 w tygodniu, ma mieć opuszczony dzień jeden, kto robił dwa dni, ma mieć opuszczony dzień jeden. Kto robił w tygodniu dzień jeden, ma teraz robić w dwóch tygodniach dzień jeden.

4) Zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzpltej gospodarstwa nie upadały i żeby ziemia, która jest źródłem bogactw naszych, odłogiem nie leżała, do czego zarówno dwory, jak gromady przyczyniać się winny.

5) Od tych, którzy będą wezwani na pospolite ruszenie, póki zostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wymagana.

6) Własność posiadanego gruntu, z obowiązkami do niego przywiązanimi, nie może być przez dziedzica żadnemu włościaninowi odjęta, chybaby dowiódł, że włościanin obowiązkom swym zadość nie czyni.

7) Podstarości, ekonom lub komisarz, wykraczający przeciw niniejszemu zarządzeniu i czyniący trudności ludowi, ma być przed Komisję stawiony i sądowi kryminalnemu oddany.

8) Gdyby dziedzice, czego się nie spodziewam, nakazywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwni celowi powstania, będą do odpowiedzialności pociągnięci.

9) Wzajemnie lud wiejski, doznając sprawiedliwości i dobroci rządu, powinien gorliwie pozostałe dni pańszczyzny odbywać, zwierzchności swej być posłusznym, gospodarstwa pilnować, role dobrze uprawiać i zasiewać.

10) Dla łatwiejszego dopilnowania porządku i zapewniania się o skutku zleceń tych, podzielią Komisje Porządkowe województwa na dozory, tak, ażeby każdy dozór obejmował najwyżej 1200 gospodarzy mieszkańców.

11) W każdym dozorze wyznaczą dozorcę, człowieka zdatnego i poczciwego, który nadto będzie odbierał skargi od ludu w jego uciskach i od dworu w razie nieposłuszeństwa lub niesforności ludu. Będzie rozsądzał spory, a gdyby strony nie były zadowolone, do Komisji Porządkowej je odsyłał.

12) Dobrodziejstwo rządu w ulżeniu ludowi ciężarów jeszcze bardziej zachęcić go powinno do pracy, do rolnictwa, do obrony Ojczyzny. Gdyby więc jacy hultaje odwodzili lud od pracy, buntowali przeciw dziedzicowi, odmawiali od obrony Ojczyzny, Komisje Porządkowe w swoich powiatach i województwach pilnie na to mieć będą oko i natychmiast takich hultajów łapać rozkazą i do sądu kryminalnego oddadzą. Niemniej czuwać mają Komisje nad włóczęgami, którzyby w tym czasie domy swoje porzucali i po kraju się włóczyli. Wszystkich takich ludzi należy chwycić i do Wydziału Bezpieczeństwa, będącego przy każdej Komisji, oddawać trzeba, a gdy się okażą tułaczami i próżniakami, używać do robót publicznych.

13) Duchowni, najbliżsi nauczyciele ludu, powinni mu przedkładać, jakie ma obowiązki dla Ojczyzny, która się prawdziwą matką dla niego okazuje. Powinni też ci duchowni lud oświecać, że pracując pilnie na roli swej i dworskiej równie miłą czyni Ojczyźnie ofiarę, jak ten, który ją orężem od źdźzierstw i rabunków żołnierstwa nieprzyjacielskiego zasłania.

14) Duchowni obojga obrządków ogłaszać będą niniejsze rozporządzenia z ambon po kościołach i cerkwiach przez cztery niedziele. Prócz tego Komisje Porządkowe z grona swego lub z obywateli gorliwych o dobro Ojczyzny wyznaczą osoby, które objeżdżać będą gromady po wsiach i parafjach i onym:

to urządzenie głośno czytać z zachęceniem ich, aby, wdzięczni tak wielkiego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej, szczerą ochotą w jej obronie wypłatali się.

Dan w obozie pod Połańcem dnia 7 maja 1794 roku  
*Tadeusz Kościuszko*

## XLVI

NIEMCEWICZ W WIĘZIENIU PO KLĘSCIE  
MACIEJOWICKIEJ

*JULIAN URSYN NIEMCEWICZ:  
PAMIĘTNIKI CZASÓW MOICH*

Dnia 17 listopada 1794 r. o trzeciej po południu, gdy już mrok ciemny zapadał, stanęliśmy w Wersalu carów moskiewskich, w Carskiem Siole. Czekaliśmy tu trzy godziny w gospodzie, w najsroźszej niespokojności, gdy przybył po nas goniec z Petersburga. Sprowadzono nas na dół i wsadzono do pojazdów. Jest w Rosji zwyczajem przywiązywać do dyszla pojazdów spory dzwon, by głos jego ostrzegał inne pojazdy do ustępowania z drogi; dziś odwiązano te dzwony, postępowaliśmy z największą cichością, szeroką drogą, z obu stron wysadzaną łąkami wierzbnymi. Nie zatrzymaliśmy się nawet u rogatek, tylko odludnemi, małemi uliczkami kręcąc się długo po mieście, zatrzymaliśmy się raptownie. Wszystko to smutną było wróżbą. Ze wszystkich mąk, które Moskale więźniom zadają, te przesadzone ostrożności, te szeptki, te tajemnice, ta okropna skrytość jest najokropniejszą: mieli mię więc w swej mocy, ranionego ciężko, osłabionego, otoczonego zbirami, w własnej swej stolicy, pocóż te tajemnice i ostrożności?

Noc była ciemna i mróz trzaskający. Zdało mi się, że spostrzegłem kilka osób w dużych wilczurach i kosmatych szłupach, szepczących z sobą do ucha. Trwało to przez długi kwadrans, który zdał mi się wiekiem. Pojazd otworzył się nakońcu; dwie z tych figur wzięły mię z każdej strony pod pachę, nie miałem czasu, jak ścisnąć towarzysza majora Fiszera, z którym jechałem, za rękę, zbirzy porwały mię natychmiast i prowadziły śpiesznie. Idąc, słyszę szum wody i szmaty lodu

trzęsące się z trzaskiem; uszedłszy ze sto kroków, zbirzy silniej mię jeszcze z obu stron trzymając, wprowadzają do łodzi całym zakrytej, sadzają koło siebie na ławie, dwóch innych siada przy stopach moich, przewoźnicy w największym milczeniu zaczynają robić wiosłami. Nic nie widzę, nic nie słyszę, jak tylko potężne uderzenie kry o boki statku. Wyznaję, że chwila ta była jedną z najokropniejszych; poznałem, że nie jak jeniec wojskowy traktowany byłem, lecz jak zbrodniarz stanu. Zdobywałem więc wszystkie siły umysłu, by się oprzeć rozpaczy.

W pół godziny czasu łódź przybiła do brzegu; porwali mię znów pod pachy anioły stróże moje i zawiedli pod mur bastjonu twierdzy, stamtąd przez obszerne podwórze, do wielkiej bramy, za którą wznosiły się schody. Różne figury cywilne i wojskowe w ogromnych futrach, wchodząc na nie i schodząc z nich, zatrzymywały się na chwilę, by sobie coś szepnąć do ucha. Tu nowe figury porwały mię i na dół sprowadzać zaczęły; gdy wkrótce dwie inne przybiegły, znów sobie coś szepnęły i znów mię na górę porwano. Postrzegłem z daleka Fiszera, ucieszyłem się tym widokiem w nadziei, że sam jeden osobno nie będę zamknięty. Wprowadzono nas do wielkiej sali, z tej Kościuszkę do ubocznego gabinetu; nas zostawiono. Izba była napełniona mnóstwem ugalonowanych urzędników, stojących jak wryci, milczących, ledwo od czasu do czasu pozwolił sobie ten lub ów szepnąć słówko, a wszyscy patrząc na nas, szydersko się uśmiechali.

Przez pół godziny trwała ta okropna cisza, nareszcie otwarto się drzwi, jeszcze bardziej wyprężyły się wszystkie figury i oczy w ziemię spuściły. Wszedł człek ogromnej postaci, w ubiorze dworskim z fioletowego aksamitu, z czterema orderami, z prawego ramienia na lewe i z lewego na prawe tyleż wstęg, nadto krzyż spadający z szyi i mniejszy u boku przypięty. Pomimo tych wspaniałości coś ukrutnego i fałszywego dawało się widzieć w oczach i twarzy. Był to Aleksander Mikołajewicz Samoiłow, minister spraw tajnych i prokurator generalny państwa. Dumnie zbliżył się do mnie i po niejakej chwili milczenia odezwał się w te słowa: „W jakim czynicie byliście przy generale Kościuszko?” — „Przyjaciela i ochotnika” — odpowiedziałem. Zadał głowę do góry i kiwnął; na-

tychmiast dwa zbiry porwali mię pod pachy i sprowadzili ze schodów.

Przeszedłszy ogromny dziedziniec twierdzy, wyszliśmy wielką bramą, prowadzącą do mostu, łączącego twierdzę samą z zewnątrzniemi wałami. Zbliżamy się do długiego drewnianego domu, otwierają się drzwi niewielkie, wchodzę, widzę ciasny korytarz, oświetlony jedną świeczką łojową, po obu stronach komórki, a przy każdej żołnierz na warcie; wprowadzają mię do ostatniej, zapach wapna i wilgoć oznaczały, że świeżo potynkowana została. „Tu wasze mieszkanie — rzekł jeden z aniołów stróżów moich — ukaz boskiej carowej mieć chce, aby każdy, kto tu wchodzi, został przetrzęsnionym“. — To rzekłszy, zawołał: „Kapral!“ Widząc, że kapral zabiera się do przeszukiwania mię, powiedziałem, że, jeżeli jest takie prawo, sam oddam wszystko, co mam przy sobie. Jakoż wyciągnąłem z kieszeni dwa ładunki złota, zegarek i inne rzeczy. Oficerowie wyszli, a na ich miejsce wszedł kapral i pięciu żołdatów.

Rzuciłem okiem na nowe moje mieszkanie. Była to izba, mogąca mieć ośm kroków długości i szerokości, świeżo wytynkowana, z małym oknem zewnątrz, przepasanem grubą kratą, z piecem, jednym stołkiem, niewielkim stolikiem, na którym paliła się świeczka łojowa w drewnianym lichtarzu, nakoniec z wążkiem łóżkiem z siennikiem. Żądałem wody do picia, podano mi ją w drewnianej czarce. Służący mój przyniósł mi tłumoczek, położył poduszkę, pokrył siennik prześcieradłem, zamiast kołdry dał mi płaszcz do przykrycia. Był to dzień 10 grudnia 1794 r., dzień okropny, który mi nigdy nie wyjdzie z pamięci. Położyłem się, nie pozwolono mi zgasić świecy. Pięciu żołnierz, obwinąwszy się w płaszcz, położyło się na ziemi wkoło łóżka mojego ze strzelbą obok. Szydłwach stanął z bronią we drzwiach. Dla jednego człeka rannego i chorego ileż ostrożności!

Widok tak smutnego więzienia, blade światło palącej się świecy, a bardziej jeszcze smutne myśli moje, mimo zmordowania wielkiego, nie pozwoliły mi zmrużyć oka. Straszne milczenie panowało w tym domu. Czasem tylko dało się słyszeć lekkie stąpanie człowieka, zatrzymującego się pod memi drzwiami, zapewne, by podsłuchiwać. Wstałem o szóstej rano. Dzień nie zajaśniał, jak o godzinie dziesiątej. Odkrobawszy lód, za-

lewający szybę, wyrząłem na dwór. Uderzył me oczy róg bastjonu z kazamatami u dołu dla żołnierzy pilnujących więzienia. Światło dnia bardziej jeszcze mię przekonało, jak wilgotną była moja izba; mimo ognia w piecu woda sączyła się z pod podłogi i grzyby rosły wokoło. Uczyniłem obojętne pytanie żołnierzowi, ten głową kiwnął, nic nie odpowiedział.

Przez trzy pierwsze dni, prócz pilnujących mię żołdaków, nie widziałem nikogo. Raz tylko słyszałem głos Fiszera, nucącego piosenkę polską i jam także zanucił i tym sposobem, pod pozorem śpiewania pieśni mogliśmy ze sobą rozmawiać. Czwartego dnia pokazał się major Tytow, który nas w głąb moskiewskiego państwa z Polski prowadził, nazajutrz Markarow, pierwszy dozorca więzienia naszego i pierwszy sekretarz Samoiłowa. Mówił on po niemiecku. Pytał, czy jestem dobrze karmiony. Prosiłem o przysłanie chirurga, gdyż ramię moje było spuchnięte, mimo, że rana się już była zamknęła i nie mogłem ręką władać. Jedzenie przynoszono mi już krajane bez widelców i noża, co więcej, zabroniono szczypców do ucierania knota, nie pozwolono golić brody i te wszystkie surowości trwały więcej jak przez dwa lata aż do dnia uwolnienia mego.

Po dwu dniach usłyszałem gęste stąpanie i ruch wielki na kurytarzu: obok mnie, do celki Fiszera drzwiczki otworzyły się i ktoś wszedł do niego. Domyślałem się, że to Samoiłow, jakoż po kwadransie rozmowy z nim wszedł Samoiłow do mnie. „Nie jest wam tajno — rzekł mi — że zawziętość wasza przeciw Rosjanom zasługuje na najsroższy odwet, los wasz jest w naszym ręku. Będziesz szczerym i otwartym, los twój będzie zazdrości godnym, przeciwnie, jeżeli będziesz upartym, ściągniesz na siebie najsroższe nieszczęścia“.

„Nic — odpowiedziałem na to — w rewolucji naszej nie znajdowało się takiego, czegoby nie tylko gabinet tutejszy, ale cała Europa już nie wiedziała. Całe to dzieło było dziełem rozpaczki i można się temu dziwić? Zabraliście najpiękniejsze prowincje nasze, wyróciliście zbawienne nasze ustawy; nie dosyć, do ucisków przydaliście jeszcze obelgi. Powtarzam więc, rozpacz, a nie rachuba pobudziła nas do chwycenia broni. Staraniem naszym wewnątrz było mieć jak najwięcej wojska, broni i żywności, a zewnątrz z kim mogliśmy się znosić,

kiedy, wobec otoczenia przez trzy mocarstwa, wszystkie drogi mieliśmy zamknięte“.

„Wiesz o wszystkim — odparł Samoiłow — ale powiedzcie nie chcesz, będziesz tego żałował, widzę, że w tej ciupie życie zakończysz“.

„Wchodząc do tej ciupy — odpowiedziałem — zostawiłem za sobą wszelkie nadzieje, co do pogroźek waszych, wiedzcie, iż więcej pragnę śmierci, niż się jej boję“.

Widząc, że mię pogroźki jego nie lękały, raptownie cały tok zmienił i z tygrysa zrobiwszy się lisem, mówił ze słodziuchną miną, zadając mi tysiące pytań. „Żal mi — rzecz wreszcie — że was widzę tak zaciętym w tajeniu wszystkiego, będziecie tego żałować, znajdziemy sposoby przerwać wasze milczenie“. „Jestem w ręku waszym, gotów na wszystko“ — odpowiadałem. „Zobaczmy“ — rzekł, nacisnął sobolową czapkę i wyszedł.

Sądziłem, że po takiej rozmowie innej nie będzie, chyba tylko tortury i męki, wiedziałem bowiem z dziejów, że podejrzliwość moskiewska chwyta się zwykle tych środków. Tak byłem tego pewien, że gdy pod ścianą bastjonu cieśle drzewo obrabiali, przyszło mi na myśl, że gotowano to drzewo na szubienice dla nas. Aliści około godziny 9-tej wieczór słyszę powoli otwierające się drzwi, widzę wchodzącą, małą, niepozorną figurę w kozuchu, która nic nie mówiąc, oddała mi duży pakiet zapieczętowany i słowa nie rzekłszy, wyszła.

List był od Samoiłowa. Wyrażał, że jakkolwiek w rozmowie z nim okazałem się skrytym, niechającym nic wydać, spodziewa się atoli, że na piśmie pokażę się bardziej otwartym. W tem przekonaniu, posyłają mi pytania, na które, jeżeli szczerze odpowiem, zaraz uwolnionym zostanę, nadto otrzymam albo znaczne miejsce w dyplomacji, albo hojną pensję dożywotnią, przeciwnie zaś, jeżeli dalej w zaciętym uporze trwać będę, sam sobie przypisać będę musiał ciężkie kary oczekujące mię. Na dwudziestu stronach mieściły się pytania, z jednej strony były zapytania, drugą zostawiono na odpowiedzi. Pytania były te same mniej więcej, jakie czynił mi ustnie. Z tych ważniejsze podaję:

I. Jaki był cel rewolucji i z jakich przyczyn powstała?

Odpowiedź: Polacy, mimo dwukrotnego podziału przez

swych sąsiadów, mimo wszystkich swych nieszczęść, uważali się zawsze za lud samowładny i niepodległy. Uważali też za swą powinność czynić wszelkie usiłowania, by odzyskać tak niepodległość, jak utracone prowincje. Chwycili więc za broń nie jak buntownicy, ale jak wierni ojczyzny swej synowie. Cesarzowa, tak dobrze umiejąca oceniać wszystkie szlachetne uczucia, nie odmówi zapewne szacunku swego Polakom. Żądacie szczerzej prawdy, więc wam ją powiem. Zabranie prowincji naszych, zwalenie konstytucji, na której rozsądną wolność i szczęśliwość naszą gruntowaliśmy, przesładowanie, wygnanie na Sybir, zgwałcenie najświętszych praw, obelgi, zniewagi, uciski, te nas do rozpacz przywiodły. Nie dość, żeście zabrali nam najpiękniejsze prowincje nasze, nad zostawioną nawet małą częścią rozciągaliście żelazne berło wasze. Sprzeciwialiście się wszelkim zbawiennym ustawom, uporczywie utrzymywaliście i bronili zgubne dla nas prawa, nie zachowaliście najmniejszych względów, ni przystojności, ani dla króla, ani dla narodu. Na ostatnim sejmie w Grodnie wojsko wasze z działami otoczyło izbę obrad narodowych, generał wasz usiadł obok tronu królewskiego, grożąc sejmującym, gdyby z nich którykolwiek sprzeciwił się zaborowi prowincji naszych. Nie dosyć, że wojska wasze, pozostałe w kraju, darmo żywione były, jakich nie dopuszczały się występków? Ludzie gwałtem brani i wywożeni w głąb pustyń, bydło wyrzynane, dobytek niszczone. Wasi więc wodzowie, wasi posłowie, przez swoje przewodzenie, wy sami, nie Polacy, staliście się sprawcami ostatniego dzieła rozpacz.

II. Jakie były związki powstańców z Francją, Turkami, jakie ich uczucia względem Austrii i Prus?

Odpowiedź: Otoczeni ze wszystkich stron przez spiknionych na nas sąsiadów, byliśmy odosobnieni od reszty Europy. Żadne mocarstwo, nie wyjąwszy Francji, nie chciało mieszać się do sprawy narodu tak oddalonego od siebie, obarczonego zewnątrz tak silnymi nieprzyjaciółmi. Co do Austrii mniej czuliśmy do niej niechęci, niż do innych. Ku Prusakom największą czuliśmy zawziętość, przez pamięć, że książęta pruscy byli hołdownikami naszymi, a bardziej jeszcze z powodu świeżych uraz, że król pruski, zawarwszy z nami przymierze zaczepno-odporne, poróżniwszy nas z Rosją, zachę-

ciwszy nas do ustanowienia konstytucji trzeciego maja, zagwarantowawszy nam i tę konstytucję i posiadłości nasze, tak haniebnie wiarołomnym się okazał dla nas, zdeptał przymierze z nami i serca nasze zemstą napełnił. Nie jest król pruski bardziej wiernym i szczerym sprzymierzeńcem Rosji, jak Polski. Wszak proponował Polakom, by wpuścili Prusaków do Warszawy, twierdząc, że Polacy będą szczęśliwsi pod europejskim rządem, jak pod moskiewskim.

III. Coby byli powstańcy czynili, gdyby się była rewolucja ich udała?

Odpowiedź: Celem powstania było odzyskać swobodę i niepodległość swoją, dawne granice, oderwane prowincje tak od Rosji, jak od Prusaków. Jak przodkowie nasi, tak i my nie mieliśmy próżnej pychy wydzierać cudze i czynić zabory.

IV. Którzy Polacy zostawali w związkach z Kościuszką?

Odpowiedź: Nie jest mi wcale wiadomo.

V. Jakie były związki Kościuszki z ks. Ad. Czartoryskim?

Odpowiedź: Rok przed rewolucją i przez cały jej czas Czartoryski bawił z rodziną swą we Wiedniu jako komendant gwardji galicyjskiej cesarza.

VI. Skąd pochodziły pieniądze na utrzymanie wojska i prowadzenie wojny?

Odpowiedź: Z zabranych kas pruskich, ze sreber kościelnych, zabranych w Warszawie i Krakowie, między innymi dużego krzyża, ulanego ze szczerego złota, zabranego we Lwowie przez Kazimierza Wielkiego, dalej z ustanowionego podatku płacenia przez wszystkich połowy intraty (podatek ten w dwóch miesiącach zapłacony został), nadto z ofiar dobrowolnych, zwłaszcza od kobiet. Nie było dnia, żeby nie przynoszono drogich klejnotów, bogatych sprzętów, złota, srebrnych serwisów, mężczyźni dawali pieniądze, konie, działa, broń różnego rodzaju.

VII. Czy król polski był bardzo gorliwym i czynnym w rewolucji?

Odpowiedź: Nikomu lepiej nie powinien być znany charakter króla Stanisława, jak dworowi petersburskiemu. Dobry, uprzejmy, uczony, nie posiadał on tej odwagi, tej tęgości charakteru, które wodzowi narodu, zwłaszcza w tak trudnym położeniu, w jakim się Polska znajdowała, potrzebnymi były.

Nie sprzyjał on w duszy rewolucji, wzdychał tylko za spokojem i dokończeniem w nim podeszłego wieku.

Więcej było Somołowa pytań, ale ich nie podaję. Była dziewiąta wieczór, gdy arkusz z pytaniami odebrał z tem, by na ósmą rano odpowiedź była gotowa. Chory, nie mogąc trzymać pióra zranioną ręką, musiałem przy bladym świetle świeczki męczyć się pisaniem. Dopiero koło dziewiątej z rana oddałem me dzieło. W dwa dni potem znów zjawił się w mej celi olbrzymi Samołow: „Nic nie jest warte wasze zeznanie — powiedział. — Poraz ostatni wam mówię, byście wyjawili imiona wszystkich buntowników z Podola i Wołynia. Pamiętajcie, że niema już waszej Polski, że, jeżeli dłużej opornym będziesz, udamy się do sposobów używanych, by zaciętych zbrodniarzy przymusić do wyjawienia sprawy“.

„Znam ja — rzekłem, te sposoby — lecz wiedzcie, że i torturami nic więcej nie wymusicie na mnie“.

Na te słowa zastrząsł się cały ze złości i, gryząc wargi, rzekł stłumionym głosem: „Nie wyjdiesz stąd nigdy!“ Poczem wyszedł z celi i drzwi za sobą zatrzasnął.

## XLVII

### Z POD MACIEJOWIC NA KAMCZATKĘ

*DZIENNIK JÓZEFA KOPCIA, BRYGADJERA  
WOJSK POLSKICH*

Ranny na polach maciejowickich, na placu boju wraz z innymi dostałem się do niewoli. Stan nasz był okropny i więcej jak nędzny. Odarci aż do bielizny, musieliśmy znosić zimno poranków jesiennych i ciągłe słoty. Ten nieszczęśliwy stan cierpiących za ojczyznę żołnierzy wzbudził litość w sercach naszych nieprzyjaciół, a ponieważ wojsko rosyjskie miało wielkie zapasy skór z porżniętych bydła, dano nam te skóry; acz brudne i mokre, służyły nam za jakąś ochronę przeciw zimnu i słońcu. Mający nadzór nad konwojem jeńców generał nie wstrzymywał zupełnie swawoli rozprężonego żołnierstwa, tak, że wszelkie nadużycia towarzyszącego nam wojska płazem uchodziły. Popasy i noclegi nasze znaczone były

rabunkiem i łzami odartych mieszkańców, zabierano srebro, bydło i wszelką ruchomość, a czego nie znaleziono po domach, dopytano się męczarniami na sługach i dozorcach dworów obywatelskich. Na widok tych scen okropnych podwajało się nasze nieszczęście.

Po długiej i przykrej podróży przybyliśmy wreszcie do jednego z dawnych miast polskich, do Kijowa. Tu zostałem odłączony od reszty towarzyszy i jako buntownik (ponieważ byłem obywatelem części kraju w rozbiórce zagarniętego już przez carowę Katarzynę) pod scisłą strażą osadzony w starym i wilgotnym murze. W tym okropnym więzieniu zabroniono mi wszelkiego towarzystwa i udzielania się ludziom, nawet warta ani do mnie przemówić, ani na moje pytania odpowiadać nie chciała. Szóstego dnia pobytu w Kijowie zostałem nagle ze snu obudzony, porwany i wrzucony w kibitkę do dalszego transportu.

Kibitka, w której mię więziono, był to rodzaj kufra, obitego wkoło skórą, a wewnątrz żelazną blachą, z boku znajdujące się okienka nie są zdatne do przypuszczenia światła, ale tylko do podania nieszczęśliwej ofierze wody lub nędznego jadła. A ponieważ w podobnym mieszkaniu nie masz żadnego siedzenia, abym więc, niewyleczony jeszcze z ran, mógł cokolwiek siedzieć, dano mi worek ze słomą, którym równocześnie chroniłem się od zimna. Dniem i nocą wieziony byłem do Smoleńska, nie widząc ani światła, ani ludzi przez 6 dni, jak mi później powiedziano. Szóstego dnia takiej podróży turkot po bruku pozwolił mi domyśleć się, że jesteśmy w mieście. Przy ogromnym starym murze zatrzymaną została kibitka, usłyszałem szcęk broni, spostrzegłem w ciemności żołnierzy, którzy mię otoczyli i asystowali przez długi korytarz, prowadzący do będącej w końcu niego framugi. Tam, przy straży kilku żołnierzy, mnie osadzono. Dwa zakratowane okna, pozabijane deskami czarnymi, nie dopuszczały promieni słońca.

Słaby, ledwo dostrzeżony blask czarnej lampy olejnej, zastępując dobrodziejstwo słońca, z trudnością dozwalał mi rozpoznać naturę mego siedliska. Musiałem zgadywać, kiedy był dzień, a kiedy noc. Otaczająca mnie warta głucha była i nieczuła na wszystkie przezemnie stawiane pytania. Był to

Smoleńsk, grobowiec tylu zacnych obrońców nieszczęśliwej ojczyzny. Mury wilgotne tego niegdyś polskiego miasta, wśród zimna srogięgo, stały się piekłem dla naszych jeńców, którzy, prawie nadzy, pasując się z głodem i surowością klimatu, byli ofiarą poświęcenia się dla narodu. Odosobniony od mych towarzyszy, a nawet od całego świata w tym lochu więziennym, na wszystkie moje zapytania nie odbierałem żadnej odpowiedzi, słyszałem tylko pogroźki, że okropniejszy jeszcze los mnie czeka. Do obiadu i wieczerzy nie podawano mi grabek, ani noży, a nawet gwoździe ze ścian powyrywano. Zbliżanie się nocy poznawałem po uciszaniu się całodziennego ruchu. Poza ścianami słyszałem przerażające jęki, razy, bicia, katowania, szcęk i brzęczenie kajdan. Odbierało mi to reszłę snu tak potrzebnego dla pokrzepienia osłabionego ciała.

Cztery tygodnie upłynęły w takim stanie rzeczy. Na początku drugiego miesiąca przybył do mego więzienia komendant, znany z okrutnego postępowania wobec Polaków i zabrawszy mię w swój powóz, wyprowadził mnie zdumionego na miasto. Siedząc tak długo w ciemności, gdym nagle wyszedł na światło, zdawało mi się, że całe miasto lata wkoło naszego powozu, a powóz w powietrzu pływa. Zaprowadził on mnie do sali sądowej, gdzie byłem przestuchiwany. Odpowiadałem krótko. Pytano mnie między innymi, jaka była ostatnia moja przysięga. Odpowiedziałem, że ojczyzny mojej do ostatniej kropli krwi bronić i zastaniać. Pytano dalej, kto uwiadomił mię o rewolucji i kto dawał pomoc. Oświadczyłem, że choćby mi największe skarby w nagrodę dawano, lub najokrutniejsze męki mię czekały, nie powiem nic, co mogłoby nieszczęście na rodaków moich sprowadzić. Sąd wówczas przyrzekał mi ułaskawienie, a nawet powrót do rangi, jeżelibym na to pytanie dał odpowiedź, ale raz jeszcze odrzekłem, że nawet śmierć nie wymusi na mnie innego wyznania.

Odprowadzony ponownie do celi, śmiertelnie rozchorowałem się, prosiłem o księdza, ale odmówiono mi, bym się z nikim nie mógł skomunikować i od nikogo zasięgnąć rady. Oczekiwałem tedy śmierci. Ale nie nadszedł jeszcze kres mych cierpień. Nie mogę pominąć jednego wydarzenia, które dowodzi, jak dalece okrutne serce może posunąć ostrość w traktowaniu cierpiącej ludzkości. Jeden podoficer zaskarżył

mnie, że, aby nie patrzeć na wartujących żołnierzy, z chustką zrobiłem sobie rodzaj parawanu. Nie wiedziałem nic o tem, aż raz w nocy, obudziwszy się, spostrzegłem siedzącego u nóg moich żołnierza. Pytam go, czego chce, a on odpowiedział, że kazano mu dzień i noc na mnie patrzeć, dlatego, że ich nie lubię.

Czwartego miesiąca pobytu mego w Smoleńsku przyszedł rozkaz carowej, aby wszystkich więźniów polskich rozwieźć w różne wskazane miejsca. Mnie kazano pojechać do Kamczatki. Tej samej nocy porwano mnie w kibitkę. Dziesiątego dnia po wyjeździe ze Smoleńska stanęliśmy w Moskwie, gdzie, osadzony w ciemnym więzieniu, w zamknięciu mem słyszałem przecież wrzask i turkot pojazdów. Trzeciego dnia, zwyczajnym sposobem zapakowany w kibitkę, wywieziony zostałem w dalszą podróż. W czasie całej drogi zastaniano ciągle otwór mojej kibitki, gdyśmy przejeżdżali przez wsi i miasta. Z Moskwy przybyliśmy do Kazania, gdzieśmy kilka dni odpoczywali. Jak bardzo uciążliwą była dla mnie podróż moja ze Smoleńska do Irkucka, można wnosić z tego, że trzech z mojej straży zginęło, spadając z wierzchołka mej kibitki i łamiąc ręce i nogi, kiedy rozpędzone konie wlokły kibitkę przez całe ćwierć mili, nie zważając, gdzie góra, gdzie dół. Inni z samego utrudzenia byli niezdolni do dalszej podróży. Cóż dopiero ja wycierpiałem w mej kibitce zamkniętej, jak w beczce. Gdyby nie wór z sieczką, byłbym, przewracając się często z kibitką całą, nie przetrzymał tych licznych kontuzyj.

I dalej z Kazania w taki sam sposób wieziono mnie do Tobolska. Po drodze wszędzie spotykałem ludzi zesłanych, z pucinanami często na znak kary i hańby członkami ciała. Bolesny obraz niedoli rodu ludzkiego! Z Kazania do Tobolska liczą przeszło 300 mil europejskich. Droga, którą przebywaliśmy, pusta jest i dzika. Żadnych osad, ani mieszkań, tylko lasy po obu stronach traktu prowadzącego do Irkucka, zaludnione drapieżnymi zwierzętami, udaremniającymi ucieczkę. Konwój jest potrzebny dla obrony od rozbójników, którzy, kryjąc się w tych lasach, często napadają. Złamany nieszczęściami, złem obchodzeniem się ze mną, pragnąłem dostać się w ręce tych rozbójników, ale oficer, prowadzący pochód, oświadczył, że gdyby napad miał miejsce, ma rozkaz mnie

zabić. Wywieziony z Irkucka, po kilkudziesięciomilowej drodze dojechałem do brzegów rzeki Leny, gdzie kończy się droga poczty konnej, a zaczyna się transport wodny rzeką aż do Jakucka. Spędziliśmy tu część zimy, gdyż dopiero z nastającą wiosną można się było puścić w dalszą drogę, t. j. gdy rzeka Lena uwolniła się z lodów.

Z Jakucka do portu Ochocka liczą wiorst 3000. Na całej tej przestrzeni krajów odludnych i zamieszkałych przez dzikie zwierzęta niema żadnej kolonii, prócz małych wiosek nad przewozami rzek. Najdłuższa przeprawa jest przez Lenę i dwa tygodnie minęły, nimeśmy przeszli na drugi brzeg jej. Tu uszykowaliśmy się do marszu. Koń za koniem idąc, formował długą linię jezdnych ludzi i jucnych koni, gdyż inaczej temi przepaścistymi wąwozami iść nie można. Przewodnikami w drodze byli Jakuci, którzy jedynie drogę tę znają, kierując się wedle szkieletów i kości końskich, które poginęły w czasie poprzednich transportów, lub w atakach od niedźwiedzi. Jechaliśmy zawsze od rana do wieczora, bez odpoczynku, tylko na noclegi stawając nad rzekami. Unikaliśmy gajów cedrowych ze względu na niedźwiedzie, gdyż sąsiedztwo tych pozbawiało nas każdej nocy kilku koni. Najtrudniejszymi punktami pochodu są góry, na których grzbiety trzeba się wdrapywać, a okropne po obu bokach przepaści porwały zawsze wiele ofiar, gdyż jeden krok niepewny sprowadzał niechybną śmierć. Równiny, będące w tych górach, są tak pełne komarów i owadów różnorodnych, że trzeba było stale okrywać twarze włosiennymi lub płóciennymi siatkami, nie zdejmując ich nigdy, gdyż inaczej mielibyśmy pełne usta owadów.

Po długiej i pełnej niebezpieczeństw drodze spostrzegliśmy nakoniec z grzbietu dość wysokiej góry niedościgłą oku przestrzeń oceanu, i w niedługim już stosunkowo czasie zawinęliśmy do portu Ochocka. Tu poczyniono dla mnie przygotowania do dalszej podróży morskiej. Wyplacono mi dwuletnią gażę, zakupiono różne rzeczy, w Kamczatce niezmiernie drogie, jak słoninę, krupy, tytoń i i. Wsadzono mię następnie na okręt i wypłynęliśmy na pełny ocean, poruszając się jednak żółtym krokiem z powodu niepomyślnego wiatru. Drugiego tygodnia zerwała się bardzo silna burza, która, porwawszy okręt, unosiła go na rozkołysanej przestrzeni morza,

a bałwany nieustannie przelewały się przez powierzchnię okrętu. Tak przez dwie doby nikt ani posilić się, ani się zagrzać nie mógł, bo nie można było ognia rozniecić. Trzeciego dnia zapędziła woda okręt z kotwicami na głębokość kilku tylko sążni, a od siły natarcia bałwanów porwały się liny i popękały maszty. Woda wdzierać się zaczęła do środka okrętu, a równocześnie nawalność burzy to raz odsuwała okręt na morze, to znów go na brzeg wyrzucała, powtarzając to kilka razy. W tem miotaniu się zepsutego gmachu wielu ludzi zginęło. Ja czekałem śmierci i byłbym pewnie zginął, gdyby jeden majtek nie był mię wyratował. W miejscu, gdzie zarył się okręt, woda nie była głębsza nad półtora łokcia. Majtek ów dał mi okrętowy gwóźdź, długości 3 łokci, podobny do naszych roznów, wysmarował mię smołą i z masztu kazał mi skoczyć do wody. Posłuchałem. Do brzegu mieliśmy jakie tysiąc kroków. Gdy nadchodziły bałwany, na polecenie majtka wbiłem mój gwóźdź w ziemię i, przyklękawszy na kolana, zniżyłem głowę i zatrzymałem oddech; bałwan przewalił się przez nas, odbił o brzeg i z równym pędem powracał. Prawie straciłem przytomność i omal nie zgubiłem mego gwóźdźa. Następne bałwany już łatwiej zniósłem, ośmielony pierwszą próbą.

Gdy wreszcie znalazłem się na murawie, padłem na ziemię zupełnie zmordowany. Oprzytomniawszy, zobaczyłem, że morze dość daleko było, a okręt leży na piasku. Kapitan stał przy okręcie, a dokoła ludzie, szukający swego mienia, porwanego przez wodę, a potem wyrzuconego. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, ale patrol, wysłana dla zbadania, przekonała się, że to wyspy Kurylskie, na których Rosjanie niekiedy wylądowują. Idąc dalej, doszliśmy do kolonii, gdzie wiele ciekawych przedmiotów oglądaliśmy. Domy Kuryłów zrobione są ze skór jelenich, niekiedy malowanych i wyszywanych włosem zwierząt w rozmaite rysunki. Ludność zapraszała nas, byśmy jedli gotujące się w tłuścieści potrawy z morskich zwierząt: psów, koni, żab. Nie mogliśmy jednak nawet patrzeć na te ich przysmaki, jedliśmy natomiast opiekane ślimaki, które są wyborne. Po tej uczcie zaprosiliśmy mieszkańców wyspy do naszego okrętu i ofiarowaliśmy im małe upominki z europejskich produktów. Ujęci tem, pomogli

nam przy naprawie okrętu, tak, że wnet był zdolny do dalszej żeglugi.

Wsiadliśmy więc znowu na nasz okręt, straszni widmem ponownego rozbicia. Raz byliśmy już bliskimi zguby, gdy nie tylko wiatr unosić zaczął okręt, ale, co gorsza, wicher, wszedłszy do kuchni, sprawił w okręcie pożar, tak, że maszty i liny zaczęły się razem zapalać. Rozpacz dodała nam sił i dała nam zwycięstwo: ugasiliśmy pożar i, przemógłszy nawalność bałwanów, wypłynęli na pełne morze. Dostaliśmy się wreszcie do brzegów Kamczatki niższej, gdzie oddano mię komendantowi. Komendant zaprowadził mię do mego mieszkania. Przepawszy całą dobę, rozglądałem się po mojem mieszkaniu. Dwa okna, okrągłe, z kamienia, zwanego miką, zrobione, wpuszczały światło do mojej izby. Był stolik kamienny i drewniane ławy przy ścianach, a komin w pośrodku stojący służył równocześnie za piec, bo gdy napalą drwami, zatykają komin i tak ogrzewa się cały dom. Było jeszcze jedno okno u góry ściany, z bryły lodu uformowane, oblepione śniegiem, który się dość długo utrzymuje. Za przywieziony tytoń dostałem ryb świeżych i wędzonych, różnego ptactwa, jagód i mleka jeleniego.

Sposób mego życia był bardzo prosty. Rano modlitwa, potem zajęcie w kuchni. Chleba mieszkańcy tu nie znają, miejsce jego zastępuje ryba wędzona. Ciągłe przebywanie w domu, brak książek, atramentu i papieru, boleśnie dawały się odczuwać. Widząc to komendant, pozwolił mi trzy razy w tygodniu używać świeżego powietrza nad brzegiem oceanu, gdzie zastanawiałem się nad wspaniałością oceanu, przepychem wulkanów i rozmaitością tworów morskich. Podczas mej bytności w tej krainie byłem świadkiem straszego trzęsienia ziemi. Połączone one było z okropnym hukiem, ja bez przytomności wyrzucony zostałem z łóżka. Ja, którym na placu boju nigdy się nie zatrwożył i zawsze miałem przytomność umysłu, muszę przyznać, że zupełnie przytomność utracił, tak, że wszystkich szczegółów tego groźnego, w ojczyźnie naszej nieznanego zjawiska, nie jestem w stanie podać.

Drugi rok upłynął mego pobytu w Kamczatce w pośród cierpień i marzeń o uwolnieniu, zacząłem już robić przygotowania i układać plany ucieczki, gdy dnia pewnego zwiasto-



wał mi komendant, „że car Paweł I zwraca mi wolność i życie“. Uniesiony radością, usłyszawszy między uwolnionymi także nazwiska wziętych razem ze mną do niewoli Kościuszki, Niemcewicza i i., uwierzyłem, że to prawda, ale równocześnie, gdy chciałem powstać, by komendantowi za wiadomość podziękować, straciłem przytomność i padłem na ziemię. Długo chorowałem, a gdym przyszedł nareszcie do przytomności, powiedział mi komendant, że mogę już teraz swobodnie chodzić, gdzie chcę, ale nie prędyj będę mógł stąd wyjechać, jak za jakie dwa, lub trzy lata, gdyż okręt, który przywiózł wiadomość o uwolnieniu, ma pojechać zwiedzać wyspy i dopiero w powrotnej drodze zabierze nas. Popadłem wobec tego w rozpacz, stałem się smutny i niepoczyszony. Ale w kilka dni potem zawinął do naszego portu okręt angielski i wręczył depesze do przesłania przez Irkuck do Petersburga. Ponieważ rząd rosyjski, chcąc w najlepszej zgodzie być z Anglią, nakazał najsurowiej w takich wypadkach natychmiast załatwiać takie depesze, komendant, nie mając do rozporządzenia okrętu, zaczął przygotowywać wyprawę zimową na ten cel. Nie można bowiem było z powodu zimy użyć drogi wodnej. Trzeba więc było posłać zbrojną wyprawę zamarzłemi brzegami oceanu.

Jest to droga znacznie bardziej niebezpieczna, niż droga morska, a i czas na jej odbycie nie da się dokładnie oznaczyć, zapas żywności jest jednak na trzy miesiące konieczny. Komendant przeznaczył trzysta psów do uprzęży i trochę jeleni\*) pociągowych. Komendant usiłował mię wstrzymać od udziału w tej wyprawie, przedkładając mi, że żaden Europejczyk nie wytrzyma tak wielkich mrozów i wiatrów, nie licząc innych przygód, właściwych w tym kraju, zamieszkałym przez stada dzikich, drapieżnych zwierząt. Ale głuchy byłem na wszelkie rady komendanta. W październiku kazał komendant zrobić dla mnie sanki. Pudło ze skór niedźwiedzich i jelenich, przemyślnie zdziałane i bardzo ciepłe, osadzone było na tych saniach, do środka dodał mi komendant dwa psy kosmate dla ogrzewania mojej osoby, gdyż inaczej, rozumiano, nie mógłbym zimna wytrzymać. Uprząż składała się z trzynastu psów kamczackich. Woźnica ma łyżwy na nogach, gdyż najczęściej

przy saniach z psami równo bieży z dość grubym kijem w rękę, wysokości sążnia. Kij ten służy jako batóg, a nadto do zatrzymania się w miejscu na spoczynek, obracając sanie w stronę i hamując drugim końcem w śniegu za pomocą grubego drutu, będącego na drugim jego końcu.

Nastąpił nareszcie dzień wyjazdu naszej karawany. Poprzedziło wyjazd nabożeństwo, na pamiątkę otrzymałem od duchownego tamtejszego srebrną pamiątkę z napisami i wielu krzyżami. Karawana nasza składała się z 30 ludzi, przeszło 100 psów i kilkunastu jeleni. Na dany znak psy puściły się pędem w drogę po lodzie. Na nocleg wybiera się miejsce leśne, albo gdzie morze wiele drzewa powyrzucało. Cała świta ma na noclegu wiele pracy, bo musi wykopać w śniegu wielką jamę aż do powierzchni ziemi, tam wykopać ulice i nakładać ognie, konieczne dla rozgrzania. Po sześciu dniach dojechaliśmy do pierwszej osady. Doszedłszy do tych mieszkań podziemnych, psy pokładły się i dalej iść nie chciały. Dzięki temu poznaliśmy, że to siedliska ludzkie; bez psów z powodu masy nagromadzonego śniegu oko ludzkie nie mogłoby nic poznać. Kamczadale, zwabieni ujadaniem psów, wyszli na nasze powitanie ze swych pieczar i po drabinach zstąpiliśmy do lochów. Mnie z powodu wielkiego osłabienia trzeba było spuszczać na sznurach. Po trzydniowym wypoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę, nie napotykając przez dni kilkanaście na żadne siedlisko zamieszkałe. Nocleg odbywać się musiał pod gołem niebem. Na drugi miesiąc dopiero dostaliśmy się do Ochocka.

Przed dojazdem do tego portu zerwał się wichur tak silny, jakby z wszystkich wiatrów złożony, zwany przez tubylców Purga. Przy zaćmionem niebie, porywając z ziemi nieprzebrane masy śniegów, unosił je w powietrzu, formując w jednym miejscu sztuczne góry śniegowe, zostawiając w drugim głębokie wąwozy. Gdyby nam przyszło być stać kwadrans na jednym miejscu, zostalibyśmy niechybnie zasypani z całym ekwipażem. Ale my chroniliśmy się w gęstych lasach, lub pod sklepieniami skał, których tam jest bardzo wiele. Często musieliśmy śpieszyć na ratunek psom, aby nie poginęły w śniegu. Burza ta trwała trzy dni. Brakło nam żywności i Kamczadale zaczęły zjadać same psy. Psy były tak wygłodniałe, że porywały nam ze sań futra, kaptury, rękawice

\*) renów.

i zjadały. Wśród tego głodu musieliśmy dalej odbywać naszą podróż, aż dobiliśmy nakoniec do okropnego punktu, do wyniosłej góry, zwanej Babuszka. Góra ta, bardzo stroma, jest śpiczasto zakończona, tak, że, aby się na nią wdrapać i z niej spuścić, potrzeba osobnego przyrzędu. Z wielkim trudem i niebezpieczeństwem dostaliśmy się na wierzchołek, a do spuszczenia mieliśmy następujący przyrząd. Każdy miał małe czółenko na rzemieniach, na które siadał, a u nóg łyżwy, gwoździami nabijane, podobne do naszych szcotek, ręce też uzbrojone w rękawice z gwoździami. I tak spuszczaliśmy się na dół, a każdy krok groził utratą życia, lub połamaniem członków, gdyż cała sztuka spuszczenia się zależy na utrzymaniu równowagi i przytomności umysłu.

Z Ochocka, podobnie jak poprzednio, odbyłem drogę do Jakucka, stąd Leną do Irkucka. W Irkucku zrzuciłem suknie kamczadalskie i przebrałem się po europejsku. Przez Tobolsk i Kazań podążyłem do Moskwy, a stąd na Smoleńsk do Wilna.

Każdy osądzi, że nie mogłem dać uczonemu opisu moich wypadków, sam rodzaj podróży usprawiedliwia pewne niedokładności. Mogę jednak zapewnić tych, co pamiętnik ten czytać raczą, że trzymałem się prawdy i rzetelności. I byłbym szczęśliwym, gdybym obecnego wieku obrońcom narodu, posłużył za dowód, iż dla prawdziwego Polaka, niema rodzaju nieszczęścia, którego by nie mógł znieść dla czci, imienia, bytu i sławy kochanej ojczyzny.

## XLVIII

### PO TRZECIM ROZBIORZE

BRONISŁAW DEMBIŃSKI: LEGJONY

24 października 1795 r. dokonany został trzeci rozbiór Polski (podziałowy traktat między Rosją i Prusami, takż traktat między Rosją i Austrią miał miejsce 3 stycznia 1795). Stało się, co najgorszego stać się mogło z narodem! Ziściły się wszystkie najboleśniejse przepowiednie i najsmutniejsze przeczucia, a wszystkie piękne nadzieje zawiodły. Nieszczęsne

skutki pogromu narodowego wałą się na znękanie i podbite społeczeństwo. Najświętsze węzły zostały stargane. Zaczyna się praca z zimną krwią obmyślana i w system polityczny ujęta, aby części Polski, jakby z żywego ciała gwałtem wyrwane, przyłączyć i przykuć do obcych organizmów. A przecież nic się nie zmieniło i nie mogło się zmienić przez traktaty rozbiorowe i nowe słupy graniczne. W całym rozdartym narodzie został ten sam duch i charakter, zostały dawne wady, ale także dawne cnoty, te same uczucia i myśli, potrzeby i dążenia, te same cierpienia i nadzieje.

Co przez szereg wieków powstało, na zawsze się zrosło i spoiło, nie dało się zburzyć jednym zamachem, chociażby wszystkie sprzysięgły się potęgi świata. Chybaby milionom wydrzeć serca!

Były wprawdzie podłe dusze, nędzne charaktery i umysły przewrotne, czy bezdennie płytkie, które, bacząc na powagę i tragikę chwili, łatwo dały się ująć i olśnić blaskiem nowych zaszczytów. Odbywały się niekiedy i świetne zabawy, jakby tańce na grobach, uczyły huczne, podobne do stypy pogrzebowej, na której naraz żalobni uczestnicy wpadają w obłęd i zamiast „łzy ronić na grobie narodów“, śmieją się — pustym śmiechem. Byli ludzie tępej głowy i ciasnego serca, którzy zadowoleni, uśpieni pomyślnością materjalną, w dobrej wierze mówili: „choć bez Polski, jesteśmy w Polsce!“ Ale zdrowa część narodu była do głębi poruszona i boleśnie dotknięta klęską i upadkiem, wygnaniem, lub stratą fortuny, nowemi narzuconemi prawami i obowiązkami, które raniły uczucia narodowe.

Pięknie, a z całą prostotą wyraziła te uczucia Polka, generałowa ziem podolskich, ks. Czartoryska, jedna z tych szlachetnych Polek, które w przedziwny sposób umieją łączyć urok niewieści z męskim sercem, hartem duszy i wielkim rozumem. „Rząd wymaga złożenia osobiście przysięgi na werność — pisze księżna — mąż za granicą, synowie w Petersburgu, ja tedy muszę jechać i wziąć na siebie postać obcej poddanej, kiedy się tylko czuję Polką“. Cały naród miał nową „wziąć postać“, jakby nową, obcą szatę, kiedy się czuł tem, czem był i czem został.

Nie będziemy się silić, aby określić uczucia, wrażenia

i wzruszenia, przenikające wówczas serca polskie. Wystarczyłoby zestawić współczesne świadectwa. „Dokumenta z tego czasu są pisane krwią i łzami“ — powiedział słusznie Paweł Popiel. Jeden z tych, którzy „w nieszczęśliwej dla kraju urodzili się chwili“, Olizar, powiedział w swych pamiętnikach: „Może i mnie samemu przyjdzie dziwować się jeszcze, żeśmy mogli kiedyś być tak nieszczęśliwi“.

Poważnym i głębszym umysłem musiały przypomnieć się prorocze słowa Skargi, wypowiedziane w jednym z kazań, gdy jeszcze był czas wniknąć w siebie: „Będziecie nie tyle bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i bez królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, których popychać nogami tam, gdzie was pierwej ceniono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby, a zdobności i rozkosze mieć mogli. Urodzi się wam i synom waszym taka druga matka? Gdy tę stracie, już o drugiej nie myśleć“.

A wtedy jednak szlachetnych synów narodu myśl była wyteżona, aby zaraz wskrzesić ojczyznę i do życia powołać. Jak dzieci, żeby zostać przy porównaniu Skargi, rzucają się na martwe ciało matki, chcąc ją ocucić własnym tchnieniem, bo nie wierzą, że skołała w ich oczach i w ich objęciach, myśląc, że to tylko niemoc chwilowa, a może letarg dłuższy, tak też i wówczas w kraju trudno się było pogodzić z okropną rzeczywistością. To też nad wszystkimi głosami żalu i rozpacz, nad wszystkimi skargami, jakie wyrwały się z piersi zbolelej, góruje jeden głos — wielki, jedno hasło — potężne, które stało się zarazem pobudką wojenną: „Jeszcze nie zginęła!“

Głos ten wydobył się z głębi duszy i był głośnym protestem wobec świata przeciw gwałtom, protestem narodu, który dźwigał się z niemocy wewnętrznej i widocznie się odradzał. Byłoby to nienaturalnem, gdyby naród z budzącą się coraz wyraźniej samowiedzą nawet po Maciejowicach i Pradze miał lec. Maciejowice to tylko nieszczęśliwa bitwa, ale nie ostateczna i stanowcza przegrana. Do nowych czynów rwały się serca, do zwycięstw. W kraju, po upadku i sflumieniu powstania Kościuszki, trudno było zrywać się do nowych zapasów

z trzema potęgami. Ale na zachodzie toczyła się właśnie wielka walka między Francją a temi państwami, które Polskę rozebrały i w tę stronę zwrócili się oczy i nadzieje Polaków.

„Czas dla nas upragniony nadszedł wreszcie. Tak jest! Świetne, a wielokrotnie powtarzające się zwycięstwa Napoleona wszędzie odnoszą triumf, a my sami tylko mamy gnuśnieć beczynnienie... mielibyśmy choć chwilę wahać się! Byłoby to ubliżyć honorowi, ubliżyć powinności, jaką na nas wkładają nieszczęścia naszej ojczyzny, zawsze jej synom drogiej, której pozostaniemy wierni aż do śmierci!“

Tak odezwał się ten, który po Kościuszcze pragnął dźwignąć i nieść wobec świata sztandar narodowy, żołnierz od stóp do głowy, pełen rycerskiego animuszu i miłości ojczyzny — Henryk Dąbrowski.

## XLIX

### POWSTANIE LEGJONÓW

LUDWIK FINKEL: PIEŚŃ LEGJONÓW

„Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie!“

Gdy jej nie stało, kiedy sąsiednie mocarstwa podzieliły polską ziemię, poznali nieszczęśliwi synowie, ile warta ojczyzna wolna, ojczyzna sama się rządząca; jak bardzo cenić ją potrzeba, jak czujnie strzec należy. Straszny cios ogłuszył naród cały. Uczucie niemego żalu i bolesnego upokorzenia zdjęło umysły i serca. Omdlała dusza narodu, jakoby uległa zupełnie potędze dokonanych wypadków. Nastąpiła chwila biernej, beznadziejnej rozpacz, Nie od razu wszyscy objęli ogrom wielkiego nieszczęścia: włoczeni w jarzmo niewoli, dźwigali je cicho, bez szemrania, usuwali się jedni cicho w głąb życia domowego, inni tracili głowę, nie wiedząc, co czynić. Innych wreszcie chwycił się trąd zepsucia, jaki widywano podczas wielkich zaraz morowego powietrza: zatańczyć, zahulać chcieli bezmierną niedolę... Zdawało się, że przez chmury, zakrywające słońce niedawnego odrodzenia — słońce konstytucji trzeciego maja, słońce potężnego ruchu narodowego pod sztandarami Kościuszki — nie przedrze się żaden jaśniejszy promień,

nie oświecili, nie ogrzeje ani jednej myśli, ani jednego przedsięwzięcia narodowego.

Wtem z pośród tych dni boleści i niemocy, zdala od Polski, ale z piersi jej synów wrywa się dźwięk inny, dźwięk pełen siły i życia; melodja, tryskająca iskrami nowego czynu, bieży ku krainie zwątpienia, by rozpędzić widma śmierci i załłysnąć zorzą nadziei.

„Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy!“...

Jak gołębica do arki Noego leciał ten głos do Polski, niosąc pierwsze słowa pokrzepienia i zachęty, budząc uspię, wskrzeszając umierające czucia. Bo w wyrazach tych i w muzyce piosenki dosłuchać się można było chrzęstu zbroi i rozmachu oręża; bo z niemi razem rozchodziły się wieści o pierwszych rycerzach — obrońcach sprawy narodowej.

Hen, daleko, na włoskiej ziemi, zebrały się rozbitki Kościuszkowskiej armji. Gromadził je dokoła siebie Henryk Dąbrowski. Wypuszczony z niewoli rosyjskiej w grudniu 1794 r., na zapytanie Stanisława Augusta, co uczynić myśli, odpowiedział, że „chce służyć ojczyźnie dalej“, ofiarowanych sobie przez wrogów godności nie przyjął, ale zamierzał udać się do Paryża, bo sądził, że „pod orłami francuskimi, walczącemi w imię wolności ludów“, zdoła pracować dla Polski. We wrześniu 1795 podał z Saksonji, gdzie przebywał, na ręce francuskiego posła pismo, wzywające Rzeczpospolitą, aby wystąpiła „w obronie konstytucji trzeciego maja i zerwanego sejmku“. W roku następnym podążył sam do Berlina, gdzie z odznaczeniem przyjmowany na dworze królewskim, przedstawił gabinetowi pruskiemu plan utworzenia wojska polskiego i działania w interesie odbudowania Polski pod dynastją Hohenzollernów. Równocześnie zostawał w związkach z komitetem narodowym, utworzonym pod przewodnictwem Barsa, Warszawianina, agenta Kościuszki w Paryżu, z agentem rządu francuskiego w Berlinie i z dawnymi towarzyszami broni, z których jedni rozbiegli się po szerokim świecie, inni gromadzili się w Krakowie, wiążąc się tajemnie aktem konfederacji.

Myśl skupienia ich przy armji francuskiej w postaci legjonów, dojrzewała powoli w duszy Dąbrowskiego. Ożywiona korespondencja, którą w tym celu nawiązał, utwierdzała go w zamiarach. W celu tym podążył osobiście do Paryża, aby

wejść w układy z rządem francuskim. Ponieważ jednak prawa francuskie nie dozwalały przyjmować na żołd obcych wojsk, odesłał go rząd francuski do Lombardji, gdzie plan swój miał przedstawić Napoleonowi. Niezrażony temi trudnościami wódz polski pośpieszył do Włoch i 9 stycznia 1797 r. podpisał w Medjolanie układ „z narodem lombardzkim“. Dnia 20 stycznia wydał odezwę do Polaków, wzywającą ich pod sztandary „walecznego Bonapartego“. „Polacy — pisał — nadzieja powstaje! Może zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili!“

Wedle tego układu zgromadzone przez Dąbrowskiego wojska nosiły nazwę „legjonów polskich“; zachowały mundury polskie z włoskim napisem na szlifach: „wszyscy ludzie wolni są braćmi“ i kokardą francuską. Uważano Polaków za braci i nadano im prawa obywatelstwa włoskiego. Żołd i utrzymanie dostawali od rządu lombardzkiego, oficerów mianował rząd lombardzki na przedstawienie generała Dąbrowskiego.

Zewsząd śpieszyli żołnierze-tułacze pod sztandary. Ogarzył ich świeży zapach, jednoczyła też sama nadzieja. W kwietniu było już 5000 ludzi pod bronią.

Właśnie Napoleon wiodł pierwsze szczęśliwe boje z Austrią na włoskiej ziemi. Zdumiał się świat cały nad szybkością jego postępów. Gwiazda geniuszu zabłysła jaskrawo i olśniła wzrok wszystkich. Niewstrzymany szedł naprzód w głąb krajów austriackich, kiedy się tworzyły przy jego armji nasze legjony. W marcu otrzymała pierwsza legja rozkaz udania się do Mantuy, gdzie miała utrzymywać porządek. „Zachowanie jej było tak dobre, że administracja lombardzka przysłała legji sztandar, a Dąbrowskiemu konia z kosztownem osiodłaniem“. Dokoła generała wszystko się kupiło. Z kraju płynęło coraz więcej ochotników. „Kto kocha ojczyznę, niech idzie do legjonów“ — biegła tajemna komenda po rozczwartowanej, żałosnej krainie i wśród rozpętanych hułców Kościuszkowskich. Imię Dąbrowskiego wzrastało i potężniało — z ust do ust, jakby hasło, podawano je sobie.

W szeregach bieżących do Włoch patriotów znajdował się także Józef Wybicki. Kiedy „wybiła godzina śmierci dla powstania Kościuszki“, opuścił kraj Wybicki, a „nadzieją zmiany okoliczności wiedziony“, po licznych przejściach stanął

w Paryżu do wspólnego z Barsem działania. Tu go już zastał Dąbrowski, krzątającego się około tej samej sprawy, z którą przybywał generał do stolicy Francji i miał w nim wytrwałego i znakomitego pomocnika. Dla Wybickiego oczywiście powstanie legionów, w którym współdziałał, i pierwsze ich sukcesy otwierały widnokręgi, nadzieje, po których krążyła od dawna myśl jego w marzeniach. Śpieszył więc ku nim z otwartym sercem w piersiach, niosąc ten żar, którym płonął, to uczucie, pełne porywów dla ojczyzny.

Przybywał w dobrą chwilę. Właśnie Dąbrowski podał plan Napoleonowi, aby legionom przez Kroację i Węgry wolno było, po wzmocnieniu się zebranymi na Wołoszczyźnie hufcami, wkroczyć na ziemię polską. Młody wódz przyjął dobrze zuchwałą myśl generała i dał mu rozkaz posunięcia się ku granicy. Zawieszenie broni, zawarte z armją austriacką w Leoben, wstrzymało wprawdzie dalszy pochód Dąbrowskiego, ale mimo chwilowe zniechęcenie nie odebrało nadziei, bo ją sam Bonaparte podtrzymywał. Wszyscy oddychali nadzieją rychłego odrodzenia i marszu do Polski. Ruch był ożywiony z powodu przybycia wielu oficerów z kraju; było czem zapełnić szereg, liczba wojsk polskich dochodziła siedmiu tysięcy.

Podniosłe, potężne uczucie napełniło piersi walecznych i szukało sobie wyrazu w piosnkach, dumkach, w poezji prostej i chropawej, jak „orężów szczęki“, ale niesionej zapalem wojowniczym, który przenikał te legjony polskie. Każdy prawie bataljon w legjach naszych i każdy prawie szwadron miewał własnego rymotwórcę. Śpiewano w marszach, a zwłaszcza w obozach rozmaite piosnki i dумы.

Wśród takiej atmosfery znalazł się Józef Wybicki odrazu jakby w domu, jakby u siebie. Toć to był świat jego myśli, świat jego uczuć. Mimo pięćdziesięciu lat wieku, pełen młodzieńczych dążeń, chciał niewątpliwie własny ogień przelać w dusze współtowarzyszy. Osobisty przyjaciel i szczerzy wielbiciel Dąbrowskiego, witał rozpalonem uczuciem wschodzącą gwiazdę nadziei. Głośno i otwarcie dawał wyraz swoim uczuciom i dążnościom w swych dziełach dramatycznych, odezwach, operach, w których każda śpiewka buchała ogniem miłości ojczyzny. I jakże wśród wypadków wstrząsających całą Europą, z którymi splotły się widoki narodu polskiego, wśród

rozgłosu zwycięstw Bonapartego, zdającego się brać w swoje ręce los rozdartej Polski, kiedy tyle rodaków śpieszyło na wezwanie Dąbrowskiego pod sztandary legionów, jakże on nie miał dać folgi uczuciom i zanucić pieśń szczęśliwą, która wydierała się z tyłu piersi? W tej też chwili „nadzieją brzmiennej“ urodziła się, urodzić się musiała, owa pieśń prosta, a porywająca, pełna siły i życia, zwiastunka rychłego do kraju powrotu i rozkucia go z łańcucha niewoli, ten mazurek Dąbrowskiego, zaczynający się od słów: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Twórcą jej był Józef Wybicki.

Marsz ten Dąbrowskiego, choć powstał w chwili górnych nadziei, miał charakter okolicznościowy; dopiero późniejsze czasy zrobiły z niego w całym słowa znaczeniu śpiew narodowy. Autor sam nie przywiązywał do swej piosnki tej wagi, której w ustach narodu nabrała. Proste a mocne słowa piosnki Wybickiego stały się własnością narodu, przypadły odrazu do serc, przeszły z pokolenia w pokolenie. Z biegiem czasu przetwarzała się pieśń ta, a to przetwarzanie pieśni, ta praca narodu nad jej lepszym, bardziej do umysłów przystającym brzmieniem, daje najlepsze świadectwo, jak ona przyjmowała się na gruncie narodowym, do niego stosowała się i z nim zrastała.

Następne walki o wolność, niejako testamentem przez Dąbrowskiego narodowi przekazane, wojna z r. 1831, przypominająca żywo czasy Kościuszkowskie i epopeję Napoleońską, nadały pieśni Wybickiego ostateczną formę, rozpowszechniły jej nutę w różnych śpiewnikach, uzupełniły ją nowymi zwrotkami, których autorów nie znamy i śmiało powiedzieć możemy, że autorem ich był cały, w śmiertelnych zapasach z Rosją walczący naród. Na polach grochowskich otrzymała melodia legionów chrzest krwawy, pod Olszynką śpiewały ją hufce polskie, odpierające zbite kolumny nieprzyjaciół. Odtąd w wielu bitwach r. 1831 rozlegał się w chwilach stanowczych śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

## L

## NAJSTARSZY TEKST PIEŚNI LEGJONÓW

JÓZEF WYBICKI: PIEŚŃ LEGJONÓW POLSKICH  
WE WŁOSZECH (WEDŁUG KOPJI BIBLIOTEKI  
OSSOLIŃSKICH)

Jeszcze Polska nie umarła,  
Kiedy my żyjemy,  
Co nam obca moc wydarła,  
Szablą odbijemy.  
Marsz, marsz, Dąbrowski,  
Do Polski z ziemi włoski,  
Za Twoim przewodem  
Złączem się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania  
Wracał się przez morze  
Dla ojczyzny ratowania  
Po szwedzkim rozbiorze,  
Marsz, marsz...

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę  
Będziem Polakamy,  
Dał nam przykład Bonaparte,  
Jak zwyciężać mamy.  
Marsz, marsz...

Niemiec, Moskal nie osiędzie,  
Gdy, jawnszy pałasza,  
Hasłem wszystkich zgoda będzie  
I ojczyzna nasza.  
Marsz, marsz....

Już tam ojciec do swej Basi  
Mówi zapłakany:  
Słuchaj jeno, pono nasi  
Biją w tarabany.  
Marsz, marsz...

Na to wszystkich jedne głosy:  
Dosyć tej niewoli —  
Mamy Racławickie kosy,  
Kościuszkę Bóg pozwoli.

## LI

## ODEZWA DĄBROWSKIEGO Z DNIA 20 STYCZNIA 1797

„Wierny ojczyźnie mojej do ostatniego momentu walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona pod przemocą i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze zwycięskie chorągwie pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy, nadzieja powstaje. Francja zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów. Starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół.

Francja pozwala nam schronienia. Czekając lepszych czasów dla kraju naszego, idźmy pod jej chorągwie. Te są oznakiem honoru i zwycięstwa.

Legjony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną, już się bataljony formują. Przybywajcie, koledzy, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono. Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonapartem, zwycięzcą Włoch.

Triumfy Rzeczypospolitej francuskiej są jedyną naszą nadzieją. Za jej pomocą i jej aljantów może zobaczymy jeszcze nasze domy, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili“.

## LII

ODEZWA KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO  
DO MIESZKAŃCÓW LWOWA (W R. 1809)

„Lwowianie!..

„Zatknięte dziś będą na murach Waszych orły polskie, zafarbowane krwią współbraci Waszych, którzy przedzierają

się do Was przez liczne hufce nieprzyjacielskie. Nie lękajcie się wojska polskiego. Los, jaki Wam Opatrzność gotuje, obchodzi nas równie, jak nasz własny.

„Potężny cesarz Francuzów, wielki Napoleon, zajmawszy całe Niemcy, opanowawszy Wiedeń, przebywszy Dunaj, głęboko wkroczywszy w Czechy i Morawy, zbliża się do granic Waszych. Jeżeli wojska jego niezwyciężone wkroczą w granice Wasze, wspomnijcie, że wódz onych jest mściciel narodów obrażonych i że on jest ten sam, co swoją prawicą wy dobył imię Polaka z grobu“.

### LIII

#### ZAJĘCIE STANISŁAWOWA PRZEZ ODDZIAŁ WOJSK POLSKICH W R. 1809

*F. C.: PAMIĘTNIKI*

Było to, pamiętam, na wiosnę r. 1809, gdy ubrano mnie w suknie, po wojskowemu skrojone, o barwie granatowej z amarantem. W święta i odwiedziny dawano mi ten mundur. Do takiej kurtki ułańskiej granatowej, z amarantowemi wyłogami należał błyszczący pałasz, który do boku przypinałem; kładąc na głowę kaszkiet, na którym jaśniała biało-amarantowa kłta. Matka, ubranemu w ten mundur, kazała mi chodzić z fantazją, którem to słowem w owym czasie oznaczano dziarstwo, a wszyscy nazywali mnie porucznikiem kawalerji narodowej. Jakkolwiek nie wiedziałem w owym czasie, co to była kawalerja narodowa, pamięć o niej tkwiła w rodzinie mojej i w kole, w którym żył mój dom. Pacholę małe wówczas, nie przeczuwałem, że w niedługim czasie ujrzę żołnierzy w podobnych, jak ja nosiłem, barwach, bo innych dotąd nie widziałem, tylko takich, którzy białe mieli mundury i nogi w czarnych kamaszach.

Miasto Stanisławów było wówczas warowną twierdzą; otaczały je czerwone z cegieł mury fortyfikacyjne w stanie, jak sobie przypominam, zupełnie obronnym; głębokie i szerokie przekopy oddzielały miasto od przedmieść i tylko długimi, przez fosy rzuconemi mosty można się było dostać do

dwóch bram fortecznych, Halicką i Tyśmienicką zwanych, a takimże samym wąskim a długim mostem można było wejść do miasta przez małą furtkę, do wycieczek przeznaczoną, zwaną Ormiańską furtą. Nad bramami fortecy umieszczone były ogromne, czarne, marmurowe, ze złotemi napisami tablice. Tablice te, przy rozbieraniu twierdzy stanisławowskiej w r. 1812, przepadły bez śladu.

Było to w początku czerwca 1809 r., w dniu powszednim, pochmurnym, w godzinach przedpołudniowych, kiedy od strony bramy Halickiej zaległa ludność Stanisławowa drogę, do tej bramy wiodącą, jakoteż i wały forteczne przy bramie. Tam ja znalazłem się z kochanym Berezowskim, nauczycielem moim. Kogóż tak niecierpliwie oczekiwano? Wszyscy wołali: „Polacy! Polacy od Kałusza idą!“

Lecz od południa znajdowałem się w kole rodziny, dopiero w kilka godzin później przed wieczorem, a było to w czasie, gdy najpiękniejsza pogoda zabłysła, byłem przed domem w ogrodzie na przedmieściu Tyśmienickiem, kiedy nagle wołać zaczęto: „Nasi! Nasi! Polacy! Polacy!“ I oto kilkunastu jeźdźców w takich, jak ja w święta nosiłem, mundurach, wyciągniętym galopem, z pistoletami w ręku i wiszącymi u rąk pałaszami leciało przede mną przedmieściem Tyśmienickiem. Wkrótce padł jeden strzał w końcu przedmieścia, a w kilka minut potem słyhać było wiele strzałów w oddaleniu. Rzecz się bowiem tak miała:

26 strzelców konnych, mając sierżanta Antoniego Szumlańskiego na czele, przybywszy od Bystrzycy Halickiej, rozdzieliło się przed mostem Halickiej bramy; 12 z nich, okalając na lewo fortecę, udało się na przedmieście Zabłotowskie, 14 zaś, wpadłszy przez bramę Halicką do miasta i przebiegłszy rynek, wstrzymało się przed strażnicą u bramy Tyśmienickiej. Tam stało na straży 50 żołnierzy z korpusu austriackiego kordonistów pod dowództwem porucznika Hatwany'ego. Zanim straż ta uszykowała się, zawołał sierżant polski: „Podajcie się! Złóćcie broń!“

I broń leżała na ziemi! W mgnieniu oka uczniowie gimnazjum wraz z ludem odjęli żołnierzom ładownice, na siebie je zawieszając i uzbroili się karabinami, na ziemi leżącymi, a oraz uczniowie ci i lud zajęli strażnicę i zaciągnęli straż;

zatrzymawszy w niewoli kordonistów, którzy się tym sposobem poddali.

Po tem poddaniu się strażnicy austriackiej, co było dziełem chwil kilku, poskoczyło tych 14 zwycięskich strzelców wyłożonym golopem przedmieściem Tyśmienickiem ku ostatnim kończynom miasta, gdzie stoi karczma, w której było wówczas zakwaterowanych 50 piechoty austriackiej oraz 30 huzarów pod dowództwem porucznika, nazwiskiem Magiar. Gdy piechota z okien karczmy ognia do Polaków dawać zaczęła, a huzary tylną jej bramę zamknawszy, przednią bramą wjeżdżali, uszykowało się 26 Polaków (do 14 przyłączyło się bowiem 12, którzy udali się byli na przedmieście Zabłotowskie) z boku karczmy na szosie od miasta; gdy ich huzary atakować poczęli, walka stała się morderczą, lecz wkrótce naciśnięci huzarzy przez Polaków odwrócili się od karczmy ku mostowi na Bystrzycy.

Na niewielkiej przestrzeni walczyła z sobą jazda po obu stronach szosy, a w potrzebie tej padł jeden huzar, drugi zaś huzar śmiertelnie w kolano ranny niebawem umarł. Porucznik Magiar, dzielnie walcząc, długo i uporczywie się bronił, zanim z oddziałem swoim zmuszony został zwrócić się na most na Bystrzycy, skąd bez niepokojenja już mógł dążyć do Tyśmienicy w celu złączenia się z oddziałem austriackiego generała Köslera, dowodzącego tylną strażą pięciutysięcznego korpusu austriackiego.

Po wyparciu huzarów na most na Bystrzycy, zwrócił się oddział Polaków przed karczmę, gdzie załoga piechoty, tymczasem przez gimnazjalistów i lud napastowana, strzelcom konnym się poddała i broń złożyła. Dnia przeto tego, a było to 6 czerwca 1809 r., w jednej prawie godzinie oddział 26 strzelców polskich odebrał miasto Stanisławów i przeszło stu żołnierzy pod bronią będących wziął w niewolę.

Wracający do miasta zwycięski hufiec polski zaledwie przeciskać się mógł na szosie, bo cała ludność wyszła naprzeciw niemu, nie wstrzymując się w uniesieniach radości i uwielbienia dla tych walecznych. Ukazały się wnet przechowywane dawne mundury wojsk Rzeczypospolitej, widziano kilka mundurów kawalerji narodowej, który (mundur) mi pokazywano, jako podobny do mego. Sędziwy Przyłuski z Sa-

pohowa wystąpił w mundurze barskim, Roch Czechowicz jako rotmistrz chorągwi panczernej wielkiej buławy.

Kiedy o zmierzchu już przyciągnął z oddziałem kilkadziesiątu strzelców Józef Grodzicki, zastał już rząd tymczasowy, na obwód stanisławowski uorganizowany i hufiec około 400 ludzi pod bronią, częścią jezdnych, częścią piechoty. Oświetlenie miasta w wieczór dnia tego było tak świetne, na jakie tylko Stanisławów zdobyć się mógł. Wiwaty i oznaki uniesień ludu zdawały się nie mieć końca.

## LIV

### ZDOBYCIE SOMOSIERRY

WŁADYSŁAW WÓJCICKI: SOMOSIERRA  
(BIBLIOTEKA WARSZAWSKA Z R. 1855)

Zdobycie wąwozu Somosierra w Hiszpanji należy do najświetniejszych czynów w całym ciągu wypraw Napoleona. Nie obojętną będzie tedy rzeczą podać szczegółowy opis tego zdarzenia, osnuty i oparty na świadectwie tych, co świetny mieli udział w tem pamiętnem zwycięstwie.

Pułk lekko-konnych, w r. 1808 będąc w Hiszpanji, zostawał przez długi czas w dywizji sławnego i walecznego generała lekkiej kawalerji La Salle. Zwracając się ku Madrytowi, stanął późno już wieczorem pod górami, zwanemi Somosierra, naprzeciw obozu hiszpańskiego. Gęsto rozłożone ognie liczny korpus odznaczały. Rozległe pasmo gór zewsząd niedostępnych, nigdzie podobieństwa do przejścia nie zostawiało; jedna tylko droga na 8—9 łokci szeroka wciskała się i wykręcała między górami, idąc zawsze coraz wyżej w górę. Wojsko hiszpańskie, z 14.000 ludzi złożone, góry te i wąwozy obsadziło; na każdym załomku drogi ustawiono piętrami po cztery armaty, wzgórek zaś, który po wyjściu z wąwozu nad całym tym wąwozem panował, ośmiu działami obwarowany został. Tak obronne naturą i sztuką położenie zdawało się być nieprzystępnem; przypuszczać bowiem było trudno, żeby konnica mogła się zapędzać w podobną dla niej otchłań, gdyż prócz ognia armatniego, piechota, z obu stron wąwozu usta-



wiona, zewsząd do niej bez najmniejszego dla siebie niebezpieczeństwa strzelać mogła. Z tej to zapewne przyczyny żadnych przeciw napadowi konnicy nie zrobiono przygotowań, równo bowiem przez drogę przekopany i same nawet działa, na poprzek dla zatarasowania drogi postawione, nieprzełamana dla niej stałyby się przeszkodą.

Nazajutrz po przybyciu pod te wąwozy, dnia 30 listopada 1808 r. Napoleon przed wschodem słońca nadjechał i kazał natychmiast całemu korpusowi stanąć do broni. Spostrzegłszy, że nieprzyjaciel cofnął się i obsadził góry, wysłał znaczną część wojska dla okrążenia pozycji; sam zaś z resztą armii, wysławszy przed sobą jeden tylko szwadron trzeci, lekko-konnych, na służbę do jego osoby przeznaczony, zbliżył się aż pod same góry. Pułk lekko-konnych, tuż za nim idący, stanął w kolumnie ściśnionej po lewej stronie drogi.

Właśnie była to chwila, kiedy francuska piechota, wystawiona na podwójny ogień artylerji i piechoty hiszpańskiej, napróżno usiłowała wdrzeć się na górę i gęsto się trupami kładła. Rzęsisty ogień nieprzyjacielski zewsząd skierowany był na pułk lekko-konnych, kiedy Napoleon, niecierpliwie patrząc na wszystkie przeszkody, które mu bramy Madrytu zamykały, chcąc nawet uprzedzić nieomylny, ale zbyt powolny skutek, który sobie obiecywał z okrążenia pozycji, licząc na odwagę wojska pod jego prawie oczyma bić się mającego, rozkazał trzeciemu szwadronowi służbowemu uderzyć na nieprzyjaciela. Podpułkownik Kozietułski, który tym szwadronem dowodził, sformował kolumnę po czterech — miejscowość bowiem nie dozwoliła szerzej mu się rozwinąć — wysłał na czoło znanego mu z odwagi i zaciętości porucznika Krzyżanowskiego z czterema ludźmi i puścił się w wąż z bystrością i lotnością, która odwadze tego pułku stale towarzyszyła.

Huknęły mordercze strzały armat i ręcznej broni. Waleczny Krzyżanowski z wszystkimi żołnierzami z nim wysłanymi, oprócz brygadjera Wasilewskiego, padają trupem. Kozietułski wpada na baterję i dwanaście dział zdobywa. Na tych baterjach rozpoczyna się ręczna walka z artylerzystami hiszpańskimi. Porucznik Niegolewski, który z wachmistrzem Sokołowskim na sam szczyt góry do czwartej dotarł baterji,

otrzymawszy dziewięć ran bagnętami na zdobytych prawie armatach, za niezwygłego był uważany. Wachmistrz Roman, gdy wszyscy oficerowie i starszyzna wybici lub ranni zostali, przez chwilę był najstarszym w trzecim szwadronie, dopóki nie spadł z konia, ugodzony kartaczem i kulą karabinową. Pułkownik sztabu Napoleona, hrabia Filip Segur, świadkiem będąc tego dzielnego ataku, ciężkie odniósł rany.

Kozietułski, bohater dnia tego, mając pod sobą zabitego konia, silnej dostawszy kontuzji, zdał dowództwo kapitanowi Dziewanowskiemu. Niezmordowany i pełen odwagi Dziewanowski zebrał natychmiast rozpierchłych żołnierzy i nie tracąc czasu, nie czekając na żadne rozkazy, uderzył powtórnie na nieprzyjaciela, zdobył drugą baterję, ale padł ofiarą swego męstwa, śmiertelne odebrał rany. Porucznicy Rudowski i Rowicki na placu legli, kapitan Piotr Krasieński niebezpiecznie kartaczem ugodzony został.

„Zgromadzali garstkę pozostałych ludzi Szeptycki i wachmistrz Zielonka — mówi w swoim opisie generał Tomasz Łubieński — gdy nadjechałem do objęcia komendy, wysłany przez pułkownika Krasieńskiego, dowódcę pułku lekko-konnych. Wzmocniony świeżym plutonem i plutonem strzelców gwardji konnej, uszykowałem, jak mogłem najprędzej, nowy szwadron, zwinąwszy się w kolumnę po czterech i uderzyłem na nieprzyjaciela. Idąc, utorowaną przez dwa pierwsze tak skuteczne natarcia, drogą, przeszliśmy resztę wąwozu i ostatnie nawet działa z łatwością i prawie bez straty odebraliśmy. Wdzierająca się bowiem w góry piechota francuska zajęła uwagę artylerzystów hiszpańskich.

„Niespodziewane przejście tak mocno obwarowanego wąwozu, zajmowanie następnie zdobytych stanowisk przez nadchodzące za nami wojska, strwożyło tak dalece nieprzyjaciela, że bez żadnego porządku poszedł w rozsypkę. Co spostrzegłszy, gdym wyszedł z wąwozu, nie chcąc zostawić nieprzyjacielowi jednej nawet chwili do namyślenia się, zgromadziłem szwadron i, co koń wyskoczy, puściłem się w pogoń, napadając wszędzie na zbierać się chcące gromadki, tak piechoty, jako i konnicy. Zatrzymałem się dopiero za miasteczkiem Buytrago o przeszło dwie mile hiszpańskie od placu potyczki, na przywieziony mi rozkaz Napoleona. Niewolniki,

działa, sztandary, a nawet i kasy wojenne stały się łupem armji zwycięskiej. Jedna z tych kas, zatrzymana właśnie, gdy na Buytrago przednie ustawiał czaty, rozdana była z mojego rozkazu pomiędzy żołnierzy: wszyscy bowiem nasi oficerowie rzekli się swoich części“.

„Po skończonej przeprawie — pisze porucznik Szeptycki — szef Łubieński posłał mię do pułkownika Krasińskiego, a gdybym spotkał cesarza, do samego cesarza, po dalszy rozkaz dla szwadronu. Z zadziwieniem spostrzegłem Napoleona napót drogi, niepoprzedzonego żadnem wojskiem, jadącego stępo. Generałowie, o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili mię o wielkiem zadowoleniu Napoleona. W samej rzeczy znalazłem go w najlepszym humorze, kazał mi oświadczyć oddziałowi, że są warci być jego gwardją, powtarzając kilkakrotnie z widocznem ukontentowaniem: »Jesteście dzielnymi Polakami«. Zresztą kazał szwadronowi czekać przybycia całej gwardji, a kasę równo między wszystkich podzielić. Po danym rozkazie oficerowie dzielili garściami złoto i srebro, zaczynając od żołnierzy; byli i tacy, którzy swoją część darowali żołnierzom. Wkrótce nadeszły gwardje. Stare grenadjery i strzelcy, którzy tylko między sobą żyli, wpadli do naszego biwaku, ściskali Polaków z rozrzewnieniem i nazywali ich odtąd kamratami, a widząc, jak byli zmordowani, sami wieczrę dla nich zgotowali. Oficerowie ich, dalecy od grzeczności dworaków, nie wynosili nas pod obłoki, ale i nie zazdrościli, równie dobrzy, jak szczerzy, otwarcie wyznawali, że my im odtąd niczego zazdrościć nie potrzebujemy“.

Tymczasem Napoleon, który miał zwyczaj tylko po wielkich i stanowczych bitwach dyktować spawozdanie, uznał Somosierrę godną swego pióra, a nie przypominając sobie podobnego natarcia, jak atak jazdy polskiej, nazwał ją: „atakem świetnym, jakiego nigdy nie było“. Nadzwyczaj ważne były skutki tego zwycięstwa; opanowano bowiem warowne i niezdołane przedmurze stolicy hiszpańskiej, co pociągnęło za sobą łatwe zbliżenie się armji francuskiej pod Madryt i poddanie się tego miasta po kilkodniowem oblężeniu.

## ŚMIERĆ KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

SZYMON ASKENAZY: KSIĄŻE JÓZEF PONIATOWSKI

Nastał dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znow w walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze broniąc klucza swojej pozycji, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataljony dywizji Izydora Krasińskiego.

Cesarz Aleksander z sąsiedniego pagórka przyglądał się tym nadludzkim wysiłkom i widokiem naocznym utwierdził w sobie szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy przez niego wyobrażanej. Ale bo też, w rzeczy samej, nie Probstheidę saską zdobywał tutaj krwią swoją książe Józef: zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy. Utrzymywał się raz jeszcze na wysuniętem niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi, a tu nadciągnęły świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotte'a. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejże nocy ten odwrót fatalny, utrudniany nadzwyczajnie przez sam charakter okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wąską, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których płytkie zwykle wody, teraz podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem.

Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armji, artylerja, piechota, bagaże, ambulanse, jazda, po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, pełnili Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej

krwi, łączyła się z mżącym gdzieniedzie, przejmującym do szpiku kości jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armja na drugą stronę przeszła, kiedy w tem, po 11 z rana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Książę Józef, mając przy sobie kilkuset ludzi, nagle został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżujących raz po razie nacierających rojami tyraljerów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, napół przytomny; odpowiadał na wszystko: „Trzeba umrzeć mężnie“. Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili, gdy książę uwalniał się od tonącego konia i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył Poniatowski dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napelnione tyraljerką nieprzyjacielską. Tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok i, staniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił o Polsce i o honorze. Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się nagle sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak umarł książę Józef Poniatowski.

## LVI

## MANIFEST OKUPACYJNY KRÓLA PRUSKIEGO

K. RAKOWSKI: POWSTANIE POZNAŃSKIE

Mieszkańcy Wielkiego Księstwa Poznańskiego!

Gdy przez dzisiejszy patent objęcia kraju wprowadziłem na nowo w starożytny związek części wróconych mojemu państwu powiatów Księstwa Warszawskiego, które dawniej do Prus należały, umyśliłem ustalić również i wasze stosunki. I wy także otrzymaliście ojczyznę, a z nią razem i dowód, jak wielce cenię wasze do niej przywiązanie. Będziecie wcieleni do mojej monarchji bez ubliżenia waszej narodowości. Będziecie uczestnikami konstytucji, którą wiernym poddanym moim udzielić zamyślam i otrzymacie, równie jak inne prowincje mego państwa, rząd prowincjonalny.

Wasza religja zostanie zachowaną i przedsięwzięte będą środki do uposażenia duchownych w miarę ich dostojęństw. Wasze osobiste prawa i prawo własności wracają pod opiekę ustaw, względem których i wy później przyzwani będziecie dla naradzenia się.

Wasz język ma być używany obok niemieckiego we wszystkich publicznych sprawach, a każdemu z was, w miarę zdolności jego, otwartym zostanie przystęp do publicznych urzędów w Wielkiego Księstwa, równie jak i do wszelkich urzędów i dostojęństw mojego państwa.

Zrodzony wśród was namiestnik mój między wami będzie rezydować. Będzie on mnie uwiadomiał o waszych życzeniach i potrzebach, a was nawzajem o zamiarach mego rządu.

Wasz współobywatel, mój naczelny prezes, organizować będzie Wielkie Księstwo podług odebranych odemnie instrukcji i zarządzać niem we wszystkich oddziałach aż do uzupełnienia organizacji. Ma on w tej okoliczności wzywać mężów między wami ukształconych, o ile ich do tego usposabiają ich wiadomości i zaufanie wasze.

Po ukończeniu organizacji powrócą ogólnie przepisane

stosunki prawne. Mocną i stałą moją jest wola, aby przeszłość oddana była zapomnieniu.

Moje starania zupełnie przyszłości dotyczą. W niej spodziewam się znaleźć środki, abym ten kraj, nad możność wysiłony i głęboko wyczerpany, wprowadził jeszcze raz na drogę dobrego bytu.

Ważne doświadczenia was nauczyły. Ufam z pewnością, iż liczyć mogę na wasze uznanie.

Dan we Wiedniu 15 maja 1815

*Fryderyk Wilhelm*

## LVII

### PRZYJAZD DO WARSZAWY ALEKSANDRA, CARA ROSJI, KRÓLA POLSKIEGO

*IULJAN URSYN NIEMCEWICZ: PAMIĘTNIKI*

Po niejakich zwłokach i niepewnościach przyszła nakoniec wiadomość do Warszawy, że król niezawodnie do stolicy dnia 12 listopada 1815 wjazd swój odprawi. Po całej drodze przyjmowano go z przygotowanymi wprzód uroczystościami.

Po kilku dniach dżdżystych w niedzielę zajaśniało słońce z rana, zamieciono ulice, domy i okna przybrano makatami kobiercami, wojsko stało od ulicy Ujazdowskiej aż do Saskiego dziedzińca.

Król przybył najprzód do Mokotowa, gdzie się przebrał, wypił filiżankę buljonu tylko, mimo, iż przygotowane było śniadanie, kosztujące 200 dukatów, wsiadł na konia i przez triumfalną bramę, witany przez władze, wjechał do miasta.

Rozkaz w. księcia Konstantego, żeby ludzi nie puszczać, sprawił, że okrzyki nie były tak głośne, jak być mogły, przecież widok króla w polskim mundurze, z orderem białego orła, miły sprawiał widok w oczach Polaków, kobiety z okien z uniesieniem wołały.

Król w nielicznym poczcie prędko jechał, minął galopem błogosławiących go przed Krzyżem Świętym zebranych biskupów. Na dziedzińcu Saskim przez półtora godziny patrzył na

przeciągające przed nim wojsko polskie, do 12.000 wynoszące, potem udał się na Krakowskie przedmieście, jeszcze świetniej przybrane. Było tu zgromadzonej 2.500 młodzieży szkolnej, obok panny, chowające się po pensjach, dalej tłum sierot ze szpitala Dzieciątka Jezus, wykrzykujący: wiwat, król polski! — i rzucający nań wieńce laurowe.

O godzinie pierwszej przybył król do zamku. Miały go u schodów spotkać wszystkie władze, lecz wielki ksiązę Konstanty, wysławszy naprzód tłum oficerów, zajął wszystkie miejsca. Król na chwilę poszedł do siebie i zaraz do cerkwi na uroczyste nabożeństwo. Postawione pod oknami działa hukiem swoim wiele ich wybiły.

Konstanty tymczasem zaczął szykować oficerów jak do parady, a gdy ścisk przeszkadzał mu, zawołał głosem wściekłego kota morskiego: „Precz z wszystkimi niewojskowymi, ludność cywilna jutro!“

Nieprzyzwyczajeni do tego stanęliśmy jak wryci, lecz gdy w pasji zaczął się posuwać ku nam, lękając się, by nie kazał brwi komu ogolić, uciekliśmy jeden przez drugiego. Gdy się o tem w kaplicy król dowiedział, rozgniewany posyła, by zatrzymano władze cywilne, lecz już tylko kilku starych senatorów, nie mogących prędko pośpieszać, schwytano na schodach i wrócono. Ci po prezentacji wojskowych dopiero posłuchanie swe mieli, a prezes senatu, wojewoda Ostrowski, powitał go imieniem Królestwa całego. Odpowiedział król, jak najpochlebniej, oświadczając, że szczęście Polaków będzie miał za największą nagrodę, że dzień ten był najpiękniejszym życia jego. Nazajutrz wszystkie władze cywilne przedstawiały się kolejno, wszedłem i ja z edukacją. Król ubolewał, że tak długo siedział w niewoli. Powiedziałem, że widząc go tu w Królestwie, zapomniałem już prawie o tem. Król na to: „Gdy zobaczy pan ojczyznę swą szczęśliwą, zapomni pan całkiem o tem“.

Nazajutrz i w dni następne były parady i rewje poszczególnych korpusów, które król woli nad wszystkie bale. Chodził w mundurze gwardji pieszej polskiej z polskim orderem. W czasie popisu wojska naszego, z którego król był niezmiernie kontent i nawet wyraził mu swe zadowolenie, na pożegnanie cały pułk zawołał: „Niech żyje król!“

Na ten odgłos wielki ksiązę Konstanty wpadł w niepomowaną pasję i natychmiast kazał pułkownika zamknąć do aresztu. Wściekłość jego nie miała miary i wrzeszczał: „Na co te krzyki. Myślicie, że macie jeszcze na czele waszym awanturnika. Mój brat nie pragnie zupełnie, byście go kochali, ale abyście się go bali, a ja drwię sobie z was i z waszego kraju“.

Szczęście, że z monarchą niektóre osoby poufale mówić mogą, mianowicie księżna z Czartoryskich Würtemberska. Przedstawiła ona królowi sceny i niebezpieczeństwa, jakimi nam grozi obecność wielkiego księcia, jego popędliwość i nienawiść ku nam.

„Znam ja to wszystko — odpowiedział Aleksander — ale co mam robić? Czy mam go odwołać do Petersburga, żeby bardziej jeszcze was nienawidził, żeby wam tam wszystko psuł, żeby był ogniskiem, do którego garnęliby się wszyscy wam niechętni? Nie! lepiej, by tu został, może to kosztować kilka niesprawiedliwych aresztowań, ale on się z czasem ułagodzi. Rok młodszy odemnie, niedługo mnie przeżyje, a mój drugi brat Mikołaj, w niczem mu niepodobny, wyborny ksiązę, przywiozę go wam na wiosnę, żebyście go poznali. Tymczasem starajcie się ugłaskać Konstantego i moich adjutantów, mających wpływ w wojsku, słowem wszystkich Moskali. Chcę was wszystkich połączyć razem i Litwę i Podole i Ukrainę, ale trzeba cierpliwości i ufności z waszej strony, z mojej — zręczności. Trzeba wykraść Moskałom Polskę!“

Te były jego słowa.

## LVIII

### SYPANIE MOGIŁY KOŚCIUSZCE W KRAKOWIE

*STANISŁAW WODZICKI: PAMIĘTNIKI*

Po sprowadzeniu zwłok Naczelnika do naszego miasta i po aprobachji przez senat (Rzeczypospolitej Krakowskiej) mojego wniosku, zamiast projektowanego przez innych stawiania pomnika, usypania mogiły Kościuszce na wzór Krakusa i Wandy, wybrano komitet w celu przeprowadzeniu wniosku

i rozesłano odezwy od senatu po całym obszarze dawnej Polski, wzywając do ogólnej składki.

Na całym obszarze naszej rozdartej ojczyzny posypały się składki jakby z rogu obfitości, a Bóg widzi jedynie, jak kraj nasz był wycieńczony podówczas, a po silnych klęskach i ciosach, po ciągłych przechodach wojsk i liwerunkach za ledwie zaczął powoli przychodzić do siebie. Składki te, sypiące się ze wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, od starców, kalek, niewiast i dzieci, niepożyty to dowód ofiarności naszego kraju, jego wdzięczności dla prawdziwej zasługi i cnoty, dowód to zarówno popularności i uwielbienia, jakim był przejęty ogół społeczeństwa dla swego ulubieńca, Kościuszki.

Fundusze, które zaczęto zbierać składkami od 17 maja 1818 r., rosły w sposób zadziwiający, dzięki ofiarności wszystkich warstw i wszystkich wyznań. To też w dwa lata niepełna można było nie tylko być pewnym pomyślnego rozwiązania zamierzonego zadania, ale można było z odpowiedniami funduszami wziąć się gorliwie do dzieła. Dzień śmierci Kościuszki, 15 października, został przeznaczony do uroczystości narodowej, którą było założenie mogiły Kościuszce. Że jednak na 15-go przypadało święto, odłożono obchód na dzień następny i data właściwa założenia mogiły jest 16 października 1820 r. Kilka dni przedtem poczęło nasze miasto przybierać zupełnie inną postać.

Spokojny i cichy zazwyczaj Kraków począł falować gorączkowem i ruchliwem życiem. Karety, powozy, bryczki i dryndule, wózki i wozy rozbijały się po ulicach, zwożąc ze wszystkich stron patriotycznych obywateli z Królestwa, z Galicji, ze stron nawet bardzo odległych, którzy dążyli z zapalem, by oddać należny hołd pamięci bohatera w sukmanie. Fizjognomja miasta zmieniła się zupełnie, na ulicach nie spotkałeś znanych do znudzenia i tuzinkowych mieszkańców Krakowa, roili się one zdrowemi i typowemi postaciami kontuszowców, szlachty wiejskiej, dawnych weteranów, towarzyszy broni Naczelnika, albo legjonistów Dąbrowskiego, z dalekich stron przybyłych. Ruch obcych z okolic Krakową wzmagał się z dniem każdym. Coraz więcej przybywało uczestników solennej uroczystości, mundury różnych broni i barw rozmaitych mieszały się ze strojami płci pięknej, która wszędzie przoduje, gdzie widzi cel

wzniosły i szlachetne przedsięwzięcie, liczny zastęp księży i zakonników, którzy się zawsze takim odznaczają zapałem, przydawał gromadzącym się gościom pewnej powagi i głębszego nastroju umysłów. Dzień 16 października, dzień pamiętny na zawsze w dziejach starożytnego grodu naszego, zeszedł pogodnie, słońce jesienne rzucało snopy światła, dodając blasku mającemu nastąpić aktowi. Od wczesnego ranka tłumy publiczności poruszały się w kierunku ku górze św. Bronisławy za Zwierzyńcem nieprzebraną falą, a sama góra pokryła się niezadługo morzem głów, jaśniejących rozrzewnieniem i patrijotycznym zapałem.

Widziałeś tu możnych potomków wojewodów i senatorów obok skromnej sukmany wieśniaczej, karmazynów, rozmawiających z grupami mieszczan przybyłych, świetne stroje dam przy skromnym, a malowniczym ubraniu wieśniaczek z Łobzowa, Czarnej Wsi lub Krowodrzy. Tymczasem, kiedy na miejscu uroczystości tak się gromadzi publiczność, na drugim końcu miasta, przy bramie Florjańskiej druga część uczestników tego święta narodowego czem innym była zajęta. Trzeba wiedzieć, że obywatele krakowscy, a przedewszystkiem wojskowi, postanowili, ażeby uroczystość uświetnić, sprowadzić ziemię z pod Raclawic, która przed 26 laty (4 kwietnia 1794) przesiąkała krwią najszlachetniejszą obrońców ojczyzny, pod wodzą pana Kościuszki w sukmanie, ziemią, zmieszaną ze szczątkami bohaterów, co zdobywali 12 armat Tormasowa i Denisowa. W tym względzie objaśnił nas co do miejsca, gdzie się odbywała bitwa, świadek jej naoczny, współuczestnik sławy w tej bitwie i adjutant Kościuszki, Jakób Czerniński, podówczas już wysłużony oficer inżynierji Rzeczypospolitej. W celu przywiezienia tych prawdziwych relikwji narodowych, wyjechali do Raclawic, Szymon Benda, były porucznik gwardji miasta Krakowa, i Kasper Piątkowski, podporucznik milicji wolnego miasta, z wskazówkami, danymi przez wspomnianego Czernińskiego, gdzie odbywała się bitwa, a w szczególności, gdzie przy ataku poległ i pochowany został Czarnecki, kapitan pułku piezego trzeciego, i porucznik tego samego pułku, Goskowski.

Jak mi opowiadano, na miejscu tem stał, jak na nieszczęście, jakiś piec garncarski, trudno więc było ziemię na-

ruszać, nie nadwyrężywszy pieca, a piec by zburzyć, trzeba było pozwolenia właściciela. Wystąpi, kiedy przyjechali z karawanem i urną, przeznaczoną pod ziemię, do Raclawic, zawezwali zwierzchność gminy tak świecką, jak duchowną, by wobec niej nabrać i uzyskać stwierdzenie autentyczności tej ziemi. Imię Kościuszki jak jest popularne w narodzie, tak uwielbieniem dla niego nawet najniższe warstwy przejęte, że taki prosty, ubogi garncarz, gdy się dowiedział, o co chodzi, własną swą ręką rozburzył piec, który był biedakowi jedynym środkiem do życia. Po dokonaniem usunięcia zawady zgromadzony lud okoliczny wziął się gorąco do zdobycia szczątków poległych w raclawickiej bitwie, jakoż zabrano ziemię z rozmaitych punktów pola, na którym się toczył ten bój wiekopomny, z miejsca, gdzie odebrano Moskałom baterję, gdzie odbył się atak sławny kosynierów krakowskich, gdzie bohaterowie z ludu, Głowacki i Świszacki, dali poznać wrogom, co znaczy prosta kosa, gdy nią kieruje odwaga, zapał i miłość ojczyzny. Zebrano tedy ziemię, przesiąkałą ofiarną krwią, z szczątkami poległych obrońców niepodległości narodu, a po spisaniu wywodu słownego tożsamości, stwierdzonego przez urząd gminny, zsypano je do przywiezionej urny i umieszczono na wozie żałobnym w celu przywiezienia do Krakowa. Otoczony tłumami ludu wiejskiego karawan, zdobny w dębowe wieńce, w kosy i piki przybrany, pośród entuzjastycznych okrzyków wieziono do Krakowa.

Przez Kleparz szedł kondukt ku bramie Florjańskiej w następnym porządku: na czele kapitan Czerniński w mundurze, jaki miał w czasie raclawickiej bitwy, t. j. w sukmanie białej o amarantowych wypustkach, z oznaką oficerską adjutanta Kościuszki, dalej oficerowie gwardji krakowskiej, otaczający karawan, delegowani i tłumy ludu, jakie towarzyszyły konduktowi od samych Raclawic, rosnąc w liczbę w miarę, jak zbliżał się do Krakowa, skutkiem przyłączenia się wieśniaków z wsi, przez które przechodził uroczysty pochód. W bramie Florjańskiej, przez którą wychodził przed laty 26 z szczupłą siłą naczelnik Kościuszko na ową raclawicką bitwę, w tej bramie historycznej, od wieków błorącej udział w każdym ważniejszym wypadku, witało miasto szczątki walecznych obrońców, witało tych, co wszystko poświęcili ojczyźnie. Ducho-

wieństwo, cechy, chorągwie, witające trzykrotnym pokłonem uroczysty pochód, towarzyszyły teraz tej ziemi i tym szczątkom, które miały być pierwszą garścią, na której się wznosi mogiła Kościuszki. Główna warta uczciła pochód honorami wojskowemi, a kapitan Czerniński dzielną przemową do milicji krakowskiej odświeżył wspomnienia rycerzy Racławic. Ulicą Wiślną zbliżono się przez Zwierzyniec ku zgromadzonym na górze Bronistawy korporacjom, reprezentantom i tłumom nieprzeliczoną rozrzewnioną publiczności. Przy wejściu na górę powitano kondukt salwami z moździerzy, milicja ustawiła się w dwa szeregi, pośród których zbliżał się Czerniński z konduktem, który poprzedzała muzyka milicji krakowskiej.

Przed cmentarzem uczczono szczątki poległych honorami wojskowemi, a po odbytem solennem nabożeństwie otwarł prezes senatu uroczystość mową, stosowną do tak podniosłej okoliczności\*). Na środku, ograniczonego planem na mogiłę miejsca, wznosił się olbrzymi maszt jodłowy, sprowadzony ze Śląska. W podstawę kamienną mogiły złożyliśmy wywód słowny założenia mogiły. Po złożeniu tego wywodu przystąpiliśmy do dzieła. Z urzędu mojego, jako naczelnik Krakowskiej Rzeczypospolitej, miałem ofiarowaną pierwszą taczkę, zgrabnie sporządzoną z mahoni, a Czerniński podał mi łopatkę żelazną celem nabrania ziemi z racławickiej urny i wysypania jej jako początek założenia mogiły. Następnie przystąpił do wywożenia taczek senat, duchowieństwo, znaczniejsi obywatele krakowscy i zamiejscowi, damy pod przewodnictwem prezesowej Towarzystwa Dobroczyńności, wojewodziny krakowskiej, z Wodzickich Małachowskiej, wszyscy własnymi rękami przyczyniali się do założenia wielkiego dzieła, uwieńczającego zasługi nieśmiertelnego Naczelnika narodu. Później dopuszczono całą publiczność do współdziałania w sypaniu.

Dziś, kiedy to piszę, ochłódł może już ten zapach, jaki panował między zgromadzonymi podówczas, ale wspomnienie samo tej chwili rozrzewnia mię jeszcze, kiedy się wszystko rzuciło do dzieła, współubiegając się o pierwszeństwo w pracy około wielkiego pomnika. Cały obszar powierzchni góry św.

\*) Prezesem był autor Pamiętników, Wodzicki.

Bronistawy roił się, jak wzburzone morze głów i rąk; starcy, duchowni i wojskowi, kobiety, dzieci, panowie czy wieśniacy, damy sfer wyższych obok kobiet z gminu, słowem, wszystkie warstwy społeczeństwa, każde wyznanie i wiek każdy miały tu swoich przedstawicieli, współubiegających się z zapalem w gorliwości pracy. Małe rączki delikatnych pań i drobne rączka dzieciaków chwyciły taczkę ziemi, wioząc na przeznaczone miejsce; maluchne dziecięta z kilką bodaj grudek w rączce dążyły ku uświęconemu placowi, rzucając je na początek mogiły, co ma przetrwać wieki. Rozrzewniający prawdziwie był widok tych starców, ojców, osiwiiałych w bojach, co nieśli dziecięta z bryłkami ziemi w rączce, każąc je rzucać ku pamięci Kościuszki i szepcząc do ucha naukę: „Bądź takim“; widok tych kobiet delikatnych, co się nie bały odgniać taczkami wypieszczonych rączek, wieśniaków, co pracując najskuteczniej dłonią, zahartowaną od znoju, chowali do trzosa bodaj bryłkę ziemi, zmieszanej z szczątkami bohaterów racławickich, na pamiątkę świętą miłości i poświęcenia dla ojczystej ziemi. Nie łatwo ogarnąć myślą tę ilość rąk i dłoni, które wspólnie pracowały dla uwiecznienia pamięci imienia Kościuszki. Całość w ciągłym ruchu, poruszona do łez, przejęta szlachetnym zapalem, wyścigała się w gorliwości, na każdego ustach i w każdym sercu brzmiało imię, które było sprężyną całej tej olbrzymiej i żywej maszyny, imię Kościuszki.

## LIX

### STANISŁAW STASZIC

WALERJAN KALINKA: SEJM CZTEROLETNI

Książki Staszica mają niepoślednią wartość. W czym leży ich wartość? Z takim ogniem, z taką siłą, jak on, nikt dotąd o sprawach publicznych nie przemawiał, nikt tak nie mawiał, nikt tak nie bolał nad klęskami ojczyzny, nikt z taką mocą oburzenia nie gromił zbrodni i bezwstydy, które Polskę kaziły. Godnem uwagi jest jego zdanie o Stanisławie Augustacie: powiada, że to pan rozumny, że rozpoczął swe rządy od dobrych w Rzeczypospolitej odmian, że ze wszystkich kró-

łów on najwięcej myślał o poprawieniu losu ojczyzny, lecz błąd króla widzi w tem, że był zanadto przywiązany do tej korony, która przecież na głowie jego była prawdziwie cierniową i dodaje zdanie surowe, ale szlachetnie wyrażone: „Kiedy posłów i senatorów żołnierz obcy z sejmu porywał, spojrzałem na tron — nie widziałem króla“, a także i to zacne słowo: „że król się splamił, kiedy pierwszy rozbiór podpisał“. Takiego zdania nikt w owym czasie nie powiedział.

A podobne i twardsze jeszcze ustępy ma on dla szlachty. Woła do panów, by bardziej ojczyznę, niż swą rodzinę kochali. Do tych wszystkich, co nagrody i starostwa na sejmie podziałowym pobrali, mówi: „Trzymacie rzecz cudzą, czyście ją niewinnie, czy niecnotliwie powzięli, zawsze niegodziwie, bo nie od sejmu prawego, ale od zgrai sprzysięgłych na Rzeczpospolitą zdrajców, przeto oddajcie, wróćcie dobrowolnie dla dobra ojczyzny, dla przykładu, dla własnej zacności“. Czytając te słowa, jak nie przyznać, że w tym synu mieszczańskim więcej jest patriotyzmu, więcej uczucia godności narodowej, więcej nawet tradycji, niż w niejednym z ówczesnych panów i karmazynowej szlachty! A co więcej jeszcze słowom jego wagi dodaje, co bardziej uwydatnia zacność jego duszy, czystość jego serca, to to, że ów mieszczanin z Piły, który wyniósł z dzieciństwa pamięć krzywdy, wyrządzonej od sąsiedniego półpanka, który palił się rządzić służenia Rzeczypospolitej, a znajdował na każdym kroku nieprzepatą zaporę w swem nieszlacheckim pochodzeniu, nie zniechęca się pomimo to do ojczyzny, nie chowa nienawiści do szlachty, nie zaprzecza jej pierwszeństwa w narodzie, nie chce nawet, by z pierwszego miejsca schodziła. „Jestem tego zdania — mówi on — aby szlachta polska trzymała się tego, czego używa, aby nie tak łatwo składała swoje przywileje, ale, aby przy nich nie upornie, nie ślepo, ale rozsądnie stawała, aby zrzekając się tego, co przeszkadza sile krajowej, tak urządziła udzielność Rzeczypospolitej, iżby się i szlachta i kraj utrzymała z nią mogli“.

Schodzimy następnie do tego, co stanowi główną, pierwszorzędną wartość jego dzieł. Staszic nie pierwszy to powiedział, ale pierwszy gruntownie tego dowiódł, że szlachta ani całym narodem nie jest, ani sama Rzeczypospolitej nie utrzyma. Skoro nie potrafiła obronić Polski od pierwszego jej

podziału, już tem samem rządzić nią wyłącznie, jak dotąd, nie może. „Pod opieką szlachty straciła Polska sól i wodę; został jej tylko chleb, wobec tej jednej uwagi jakże szlachta rościć sobie może prawo do dalszej opieki?“ W interesie własnym i Rzeczypospolitej powinna przypuścić inne klasy, zwłaszcza chłopów, do posiadania; i tę potrzebę wykazuje znamenicie wszechstronnymi argumentami moralnymi, finansowymi, ekonomicznymi. Porównywa ludność Polski z innymi państwami, jej siłę podatkową, jej produkcję rolniczą, daje straszliwy obraz chłopu polskiego, jego ucisku i zbydlęcenia, zdzierstwa żydów, zaniedbania i zdziczenia kraju, a przyczynę tego wszystkiego odkrywa w pańszczyźnie!

Pańszczyzna to sprawiła, że i chłop i pan się rozpróżniaczył, że jeden i drugi się rozpił, że Polska, kraj najżyźniejszy w świecie, wydaje daleko mniej zboża, niż Anglja, któraby mogła być jej prowincją pod względem rozległości; że na 10.000 mil kwadratowych zaledwie trzecia część tworzy grunt orny, reszta zaś lasy i nieużytki, a i ta ziemia orna najgorzej uprawiana, nie rodzi ani cząstki tego, coby rodzić powinna; że na mili kwadr. mieszka w Polsce tylko 700 ludzi, kiedy gdzieindziej dwa, trzy do pięciu tysięcy; dalej, że takąż miła dostarcza w Polsce 1200 zł. podatku, kiedy gdzieindziej przynosi 40—120 tysięcy; dalej, że od stu lat i więcej ludności nie przybywa, bo dzieci chłopskie, choć przychodzą na świat, giną z nędzy, z niechlujstwa, z braku zaopatrzenia. Pańszczyzna więcej krzywd zadała Polsce, niż wszyscy jej nieprzyjaciele razem wzięci: Tatarzy, Szwedzi, Moskale; znieśmy pańszczyznę, a za lat 20 kraj nasz inaczej wyglądać będzie i nie zabraknie mu ani ludzi, ani pieniędzy do obrony. A jeżeli znosić jej jeszcze nie śmiemy, to w każdym razie przyznajmy chłopu prawo posiadania gruntu na własność. Upadek Rzeczypospolitej będzie karą za ucisk chłopu.

Zbogacił Staszic dziełami swemi literaturę ojczystą. Czytać je i dziś jeszcze warto. Czytać je i rozważać powinni ci zwłaszcza, którzy nie chcą zrozumieć, jak dalece naród sam sprawcą był wielu klęsk swoich, i że póki się nie odmieni, odwalić ich nie może.



## MŁODZIEŻ NA UNIWERSYTECIE WILEŃSKIM

MAURYCY MOCHNACKI: POWSTANIE  
NARODU POLSKIEGO W R. 1830

Założony przez Stefana Batorego u schyłku XVI w. uniwersytet w Wilnie odrodził się w XVIII w. dzięki pracy Czartoryskiego i Czackiego, którzy podali sobie ręce, aby wznieść na ziemi polskiej od tak dawna upadły przybytek nauk. Sprowadzony do Wilna Jan Śniadecki, od 30 blisko lat słynący z nauki profesor krakowski, oświecał uniwersytet wileński światłem pozycjonem z Francji, dając w nim przewagę matematyce i fizyce nad oderwaną filozofją. Prócz medycznego i najmniej licznego literackiego, były w uniwersytecie wileńskim dwa główne wydziały: pierwszy nauk fizyczno-matematycznych, drugi nauk moralnych i zwanych, w które wchodziło prawo, teologia, historia i t. d. Słuchacze uniwersytetu dzielili się na dwie prawie równe części: na tych, co się dla chleba uczyli, byli to lekarze, teologowie i prawnicy, tudzież kandydaci do stanu nauczycielskiego, których 24 skarb utrzymywał i na tych, co się uczyli, żeby się uczyć, żeby coś umieć, lub żeby spędzić na zabawach czas w stolicy Litwy pod pozorem nauki. Ta druga część uczniów prawie całkowicie składała wydział filozoficzno-matematycznych nauk. Władze cywilne i wojskowe nie mogły się wtrącać do spraw uniwersytetowi poruczonych, nie wolno było policji aresztować ucznia, a jeżeli aresztowała, musiała natychmiast odesłać rektorowi, który sam w radzie profesorów oceniał występki i wymierzał karę.

Majątniejsza młodzież, dla nauki bawiąca w Wilnie, po większej części traciła pieniądze na grę i hulaszczę życie, wracała do domów ze zrujnowanem zdrowiem, złemi nałogami i zarozumiałością, niczego prawie nie nauczywszy się, coby jej w obywatelskim życiu mogło być potrzebne. Matematyka i fizyka nie kształcały jeszcze obywateli-patriotów. W szczupłej liczbie wyższych umysłów, które postrzegały tę złą stronę uniwersytetu wileńskiego, był Tomasz Zan, syn ubogiego

szlachcica z powiatu nowogrodzkiego. Nauczywszy się doskonale fizyki i matematyki, uczęszczał on ciągle na lekcje profesorów, ażeby być w uniwersytecie, a być w uniwersytecie chciał, żeby czegoś innego, niżeli fizyki i matematyki nauczyć tę młodzież, której, jako najstarszy student, znał prawie całe dwa kilkoletnie pokolenia. W opinji Zana uniwersytet nie samem był tylko ogniskiem nauki, a algebra nie ostatnim kressem, poza którym nic już do czynienia nie zostaje. Tysiąc przeszło synów Litwy, Żmudzi, Podola, Ukrainy, zapisywało się co roku w poczet uczniów głównej szkoły litewskiej. Byliż to tylko studenci? Z tych żywiołów, nic wielkiego nie można było wyprowadzić dla Polski?

Zan silnie uchwycił tę myśl, postanowił ją wykonać i wykonał tak szczęśliwie, że póki Litwa trwać będzie, trwać będą skutki starań Zana.

Prawdziwie koleżeński, łagodny charakter, prostota obyczajów, wielki oświecony rozum, staranne wychowanie, coś ujmującego i uprzedzającego, zyskały mu powoli serca całej młodzieży. Trzeba było być przez nią kochanym, żeby mieć jej zaufanie, trzeba było mieć jej zaufanie, żeby ją zjednoczyć i myśl jej ku wielkim rzeczom obrócić. W roku 1819 na 1820 założył Zan między uczniami uniwersytetu towarzystwo moralne, patriotyczne i naukowe, którego członkom nadał tytuł Promienistych. Siedm klas towarzystwa wyobrażało 7 promieni, składających światło słoneczne. Z początkiem roku szkolnego 1819 na 20, nieznanymi sobie uczniowie uniwersytetu, spotykając się na ulicy, dawali sobie jeden drugiemu pewne znaki ręką i, jeżeli po tych znakach następowała stosowna odpowiedź „jestem Promienisty“, już odtąd jeden drugiego był przyjacielem. Kogo bliski przerażał egzamin, komu z trudnością przychodziło się nauczyć, co słyszał z katedry, natychmiast odbierał wizytę nieznanego sobie częstokroć kolegi, który bez wynagrodzenia podejmował się być jego korepetytorem. Jeżeli kto z uboższych ubolewał, że nie ma z czego żyć, że nie widzi przed sobą żadnego losu, dość, aby kilku Promienistych wiedziało, a wnet zostawał umieszczony jako guwerner, lub płatny korepetytor, a jeśli miał gwałtowne potrzeby, dostawał i pieniądze. Zan rozumem ubogich wspierał bogatych, a majątkiem bogatych wspierał ubogich.

Z wiosną majowe rekreacje nowego nabrały powabu. Promieniści w dniach wolnych od zatrudnień razem wychodzili w pole i razem się bawili. Braterstwo, zamiłowanie nauki, równość, uczynność, te obowiązki zaciągał każdy wpisujący się do ich wielkiej księgi. Ktokolwiek chciał, zostawał członkiem związku, jeżeli obyczaje jego temu się nie sprzeciwiały. Jakieś nowe życie, nowy duch wstąpił w mury uniwersytetu, każdy miał mniejszą lub większą bibliotekę, pewne niewidziane dotąd księgi polskie zaczęły przechodzić z rąk do rąk, odczytywano je z największym zapałem, byli i tacy, co własną ręką przepisywali takie dzieła, jak o ustanowieniu i upadku konstytucji 3 maja. Zamiast teatralnych piosenek zjawily się wiersze patriotyczne, już to nowe, już dawne, wydobyte z zapomnienia. Przepisywali je studenci bez końca, uczyli się ich na pamięć. Zamiast gawronienia i prowadzenia jak dawniej szeptanych gawędek, każdy prawie pilnie słuchał lub notował słowa profesorów.

Wszystkiem tem niewidzialna kierowała ręka. Zan, widoma głowa Promienistych, nie był bez rady tajemnej. Miał ją w osobach Filaretów, których związek, składający tajemny wydział Promienistych, istniał już — jak mówiono — w r. 1818, lecz właściwie dopiero w r. 1819—20 działać zaczął.

Właśnie w tym czasie na katedrę historii zaproszono sławnego w całym kraju z głębokiej nauki, znanego z kilku dzieł wielkiej erudycji Joachima Lelewela. Jasność i żywość wykładu, uczynność dla każdego ucznia bez wyjątku, potrzebującego albo wiadomości, albo nawet pieniężnego zasiłku (na co prawie całą pensję swoją wydawał), braterstwo ze wszystkimi, bez poufałości z kimkolwiek, wszystko to zawracało głowy tej młodzieży. A jeżeli sobie przypomniemy, że tej młodzieży blisko tysiąc na lekcje Lelewela uczęszczało, łatwo wyobrazić sobie potrafimy, w jaką powagę musiało wzrastać to imię, jak tworzyła się powoli jego wziętość obywatelska i polityczna. Wśród tych okoliczności wydział moralny, którego Lelewel został potem dziekanem, wziął przewagę nad fizyczno-matematycznym.

Tymczasem w stolicy nastąpiło uwięzienie Łukasiewskiego. Nowosilcow, upatrujący w śledztwie i uwięzieniu

podejrzanych osób, w wyszukiwaniu urojonych nawet niebezpieczeństw, nie małe korzyści dla siebie i swoich, zatrząwał wielkiego księcia, jak każdy tyran lękliwego z przyrodzenia. Tłumaczył on mu ciągle, że cała Polska knuje spisek przeciw carowi; zdaniem Nowosilcowa uniwersytety polskie zostawały z sobą w ścisłym porozumieniu i z zagranicznymi uniwersytetami utrzymywały niebezpieczne stosunki. Konstanty zwracał z Warszawy swą uwagę na Wilno i nie był kontent ze stanu rzeczy, który tam spostrzegał. By nie nastęrczać rządowi pobudek do przesładowania młodzieży szkolnej, Filareci i zwierzchnia władza ich, Filomaci, postanowili się rozwiązać. Zan zwołał posiedzenie nadzwyczajne, spalił wszystkie pisma, dotyczące związku, i pod przysięgą zobowiązał członków do zachowania tajemnicy. Działo się to na wiosnę r. 1822. Nowosilcow jednak pragnął zastąpić Czartoryskiego w kuratorstwie uniwersytetu i przedstawiał go carewiczowi jako naturalnego opiekuna burzliwej młodzieży, rewolucyjnych profesorów i umiejętności. Szukał zręcznej sposobności pozbycia się go i znalazł ją w następującem zdarzeniu.

W maju 1823 Michał Plater, dziesięcioletni uczeń piątej klasy gimnazjum wileńskiego, napisał kredą na tablicy słowa: „Niech żyje konstytucja 3 maja!“ Ostrowski, nauczyciel języka moskiewskiego w gimnazjum, uwiadomił o tym ważnym wypadku gubernatora wileńskiego, a gubernator Konstantego, który posłał natychmiast Nowosilcowa do Wilna dla odkrycia niebezpiecznego spisku. Od tej chwili zaczyna się długie przesładowanie wileńskiej młodzieży. Nowosilcow przykładnie ukarał małego rewolucjonistę, pięciu innych uczniów z gimnazjum kazał wziąć do wojska moskiewskiego, ażeby jako prości żołnierze kończyli dalej edukację i pisał zastraszające raporta do carewicza o stanie rewolucyjnym uniwersytetu. Znaleziona została w mieszkaniu Jankowskiego, ucznia uniwersytetu, lista członków jakiegoś towarzystwa literackiego i moralnego, które zawiązało się i rozwiązało w r. 1820. Ten ślad posłużył Nowosilcowi do licznych uwięzień. Jankowski zeznaniami swojemi wtrącił do więzienia Zana, Czeczota i Mickiewicza. Gwałtem wymusił Nowosilcow na Jankowskim tyle zeznań, że 1 i 2 grudnia byli uwięzieni i badani prawie wszyscy uczniowie uniwersytetu wileńskiego, a wielu nawet

chwymano za granicą. Sześć miesięcy trwało to badanie, gdy Zan, poruszony losem tylu kolegów, postanowił wziąć na siebie całą odpowiedzialność i poświęcić się za wszystkich. W tym celu szeroko opisuje związek Filaretów, ich prace i zamiary, wyznaje, że on był jego twórcą i głową, nakoniec samego siebie wskazuje rządowi jako jedyne winowajcę godnego kary.

Ten czyn był tylko nowym dowodem szlachetności Zana, lecz nie ocalił jego kolegów. Ukaz Aleksandra z września 1824 złożył z urzędu czterech profesorów, między nimi Lelewela, posłał w głąb carstwa, albo na Syberję 11 Filomatów i 9 Filaretów za to, „iż — są słowa ukazu — rozszerzać chcieli w ziemiach zabranych bezrozumną polskość“. Zan osadzony został w Orenburgu. Wielu innych uczniów, niewymienionych w ukazie, wzięto do wojska na prostych żołdatów, wielu za wolność opłacać się musiało Nowosilcowowi, który w nagrodę swej gorliwości został na miejscu księcia Czartoryskiego kuratorem uniwersytetu i odtąd rządził tym uniwersyteciem, a raczej obdzierał go.

## LXI

MANIFEST SEJMU KRÓLESTWA POLSKIEGO,  
UCHWALONY NA SESJI 20 GRUDNIA 1830 R.

FRANCISZEK WĘŻYK: POWSTANIE KRÓLESTWA  
POLSKIEGO W R. 1830 I 1831

Kiedy naród niegdyś wolny i potężny nadmiarem niewoli zmuszony się widzi uciec do ostatniego z praw swoich: do prawa odparcia siłą ucisku, winien to sobie, winien to światu, aby oznajmił przyczyny, które go przywiodły do popierania orężem świętej sprawy swojej. Uczuły Izby sejmowe tę potrzebę, a przystępując do rewolucji w stolicy, 29 listopada zdziałanej, i uznając ją za narodową, postanowiły krok ten usprawiedliwić w oczach Europy. Zbyt są znane nieczne zmywy, jawne gwałty i tajemne zdrady, towarzyszące trzem rozbiorem dawnej Polski. Historia, której się stały już własnością, nacechowała je piętnem politycznej zbrodni.

Jednej chwili nie umilkła uroczysta żałoba Polaków o ten gwałt, a Polak w zbrojnym tułactwie z krainy do krainy obnosił uniesione bóstwa domowe, mniemał, że walcząc za sprawę wolności, walczy jeszcze za własną ojczyznę.

Powstała ta ojczyzna, a, lubo w ciasnym obrębie, odzyskała Polska z rąk bohatera wieku\*) język, prawa, swobody, wielkie dary, większe jeszcze nadzieje. Odtąd jego sprawa stała się naszą, krew nasza jego własnością, a kiedy go sprzymierzeńcy, towarzysze broni, niebo nawet odstąpiło, Polacy wierni do ostatka podzielili klęskę bohatera, a ta wspólność upadku wielkiego męża i nieszczęsnego narodu mimowolną cześć wycisnęła na samych zwycięzcach. Nazbyt żywo tkwiło jeszcze to uczucie, zbyt uroczyście wśród walki przyrzekły mocarstwa Europy trwałym i na zasadach sprawiedliwości opartym pokojem świat obdarzyć, aby, dzieląc się na nowo łupami naszymi, kongres wiedeński nie starał się przynajmniej osłodzić nowej krzywdy wyrządzonej Polakom. Zapewniono więc narodowość i handel wzajemny wszystkim częściom dawnej Polski, a tę, którą walka europejska niepodległą zastała, z trzech stron znacznie zmniejszoną, oddano z tytułem królestwa, oddzielną konstytucją pod panowanie cara Aleksandra. Dopełniając tych warunków, nadał on konstytucję Królestwu, a Polaków, będących pod panowaniem rosyjskiem, pocieszył bliską nadzieją połączenia z niem.

Ale konstytucja ta nie została dotrzymana. Wkrótce przekonali się Polacy, że narodowość i imię polskie, Królestwu nadane przez cesarza rosyjskiego, były jedynie przynętą dla ich braci, pozostających pod innymi rządami, zaczępną bronią przeciw państwom ościennym, a czczem omamieniem dla tych, którym nadane zostały i że pod temi świętymi imionami zamierzono zaprowadzić poniżenie, znikczemienie niewolnicze i wszystkie klęski, jakie długi despotyzm i utrata godności człowieka ciągnie za sobą. Plan ten wydawać się zaczął przez środki, jakich przeciw wojsku użyto. Najdotkliwsze obelgi, hańbiące kary, wymyślne prześladowania, wszystko pod pozorem karności, wykonywane przez naczelnego wodza, miały na celu wytępienie tego szlachetnego

\*) Napoleona

uczucia honoru, tej narodowej godności, która wojska nasze cechowała. Wielu opuściło szeregi, wielu, osobistej od wodza doznawszy zniewagi, w własnej krwi hańbę sobie wyrządzoną zmywało, aby okazać, że nie brak męstwa, ale obawa wystawienia na szwank ojczyzny dłoń mściwą wstrzymała.

Pierwszy sejm Królestwa i uroczyste ponowienie obietnicy, że dobrodziejstwa konstytucji i granice państwa do braci naszych rozciągnięte będą, ożywił na nowo nadzieje i sejmujących przywiódł do powolności. Ten był właśnie cel tych obietnic. Wolność druku, wolne obrady póty tylko były dozwolone, póki szerzyły ustawicznie hymn dziękczynień ujarzmionego ludu dla potężnego zdobywcy. Skoro jednak po tym sejmie zaczęto w pismach rozstrząsać i naradzać się nad krajowymi sprawami, stało się to hasłem do zaprowadzenia najsurowszej cenzury. Po sejmie zaś następnym, który miał te same cele, nastąpiły prześladowania posłów za zdania, w tej izbie objawione. Zadziwią się konstytucyjne ludy Europy, gdy teraz dojdą do ich wiadomości starannie tajone zdarzenia, z jednej strony nad umiarkowaniem, z jakim Polacy swobód używali, nad uszanowaniem monarchy, religji i obyczajów, których ani jednym słowem nie obrazili, z drugiej nad złą wiarą władzy, która nie tylko swobody nadane wydziera, ale zgrozę gwałtu tego na karb wyuzdanej wolności nieszczęsnego narodu kładzie.

Połączenie na jednym czole koron samodzięrcy i króla konstytucyjnego było potworem politycznym, który długo istnieć nie mógł. Każdy przewidywał, że Królestwo Polskie jest albo zawiązkiem instytucji wolnościowych dla całego państwa rosyjskiego, albo uledek musi pod żelazną prawicą jego samowładców. Zagadka ta wkrótce rozstrzygniętą została. Rosja straciła wszelką nadzieję otrzymania z rąk monarchy jakiegokolwiek ulżenia ciężkiego jarzma, a Polska stopniowo ze wszystkich swobód wycutą być miała. Nie ociągano się bynajmniej z wykonaniem tego zamiaru. Skazano wychowanie publiczne, narzucono podatki, a skarb, niemi zwiększony, służył na opłacanie najemnych służalców, przewrotnych podżegaczy i niecznych szpiegów. Szpiegostwo dosięgło schronień domowych, skaziło swobodę rodzinnego życia, a starożytna gościnność polska stała się sidłem dla

niewinnych. Gwałcono zaręczoną wolność osobistą, zapełniano więzienia, naznaczano surowe kary na obywateli, których całą winą było, że ducha i charakter narodowy od zepsucia i zguby ratować zamierzili. Nadaremnie niektóre władze i reprezentanci narodu wystawiali królowi obraz nieprawości, w jego imieniu spełnianych, ale te nadużycia nie tylko że ukróconemi nie były, ale władza wielkiego księcia doszła do tego stopnia zaciekłości, że nie tylko wszelkiego stanu ludzi przed siebie powołanych w swych gmachach znieważał, ale osiadłych obywateli w stolicy wśród tłumy zgromadzonego ludu do robót hańbiących, właściwych zbrodniarzom, dowoźnie zmuszał.

Po takich gwałtach, którychby się żaden prawowity rząd w żadnym kraju cywilizowanym bezkarnie dopuścić nie ważył, któż nie osądzi, że wszelkie przymierze pomiędzy władzą a narodem zostało zerwane, że naród ten stał się niewolnikiem, któremu w każdej chwili kajdany zrzucić i na oręż je przekuć wolno było?

Prowincje polskie, dawniej do Rosji wcielone, nie tylko przyłączonemi nie zostały do Królestwa, nie tylko bracia nasi nie otrzymali swobód, zagwarantowanych przez kongres wiedeński, ale wszelkie wspomnienia narodowe, wśród nich obudzone, uważano za przestępstwo i zbrodnię stanu, a król Polski w dawnych jej prowincjach ścigał Polaków, którzy się Polakami nazwać poważyli. Szczególniej szkolna młodzież była celem srogości. Od łona matek wydzierano niedorośle dzieci, wywożono na Sybir, lub oddawano w szeregi zepsutego żołdactwa. W urzędowych pismach i szkole usunięto język ojczysty, ukazy zniosły prawo i sądownictwo polskie, bezprawia administracyjne przywodziły do nędzy właścicieli ziemskich, a stan ten od wstąpienia na tron cara Mikołaja coraz bardziej się pogarszał, nawet obrządek unicki wszelkiemi sposobami starano się wyplenić, a łaciński przygnębić.

W Królestwie, choć konstytucją zaręczona swoboda zachowaną nie była, jednak swobody te, zniesione czynem, w prawie jeszcze istniały. Należało je i tam dosięgnąć. Ukazał się dodatkowy artykuł do konstytucji, który znosił jedno z głównych jej rozporządzeń: jawność obrad sejm.

mowych. Było to uświęcenie zasady, że królowi wolno odebrać, co raz nadał, a tem samem znieść całą konstytucję, jak zniósł jeden jej artykuł.

Pod tą wróżbą zwołano sejm w r. 1825, z którego wszelkimi sposobami starano się oddalić śmiałych obrońców swobód, a posła, przybywającego na obrady, gwałtownym sposobem uwięziono i przez pięć lat, t. j. aż do wybuchu rewolucji, w ciągłej trzymano niewoli. Śmierć Aleksandra i zaprzysiężenie konstytucji przez cara Mikołaja zdawało się zapowiadać zniknięcie nadużyć, a powrót swobód, ale wkrótce ta nadzieja znikła. Więzienia stolicy były przepełnione, codziennie nowe gmachy przyjmowały tysiączne ofiary ze wszystkich części dawnej Polski, z pod obcych nawet rządów do Warszawy zwożone. Udręczenia, na które ludzkość się wzdryga, zносиła ludność na swej własnej ziemi, a tłumy nieszczęśnych, z czasem zapomnianych ofiar, w ciasnych, wilgotnych więzieniach przeredzała jedynie śmierć lub samobójstwo.

Gdy jedyna nadzieja, którą Polacy za Aleksandra dołączyli, t. j. nadzieja połączenia z braćmi, przez Mikołaja odjętą im została, opanowała wszystkich jedna myśl, wszystkim wspólna, że takiego poniżenia dłużej znosić się nie godzi. Chwilę wybuchu przyspieszyła sama władza. Nadeszły rozkazy postawienia na stopie wojennej wojsk polskich, przeznaczonych do wymarszu przeciw Turkom, podczas gdy wojska rosyjskie kraj nasz zalać miały. Nakazano znaczne sumy w banku złożone użyć na koszt zabójczej dla wolności wojny. Uwięzienia na nowo się zaczęły. Nie było chwili do stracenia. Szło o wojsko, skarb, zapasy, honor narodu niezdolnego nieść innym więzów, które sam się brzydzi i walczyć przeciw wolności. Czuł to każdy, lecz najsilniej tem się przejęła młodzież wojskowa i akademicka i postanowiła dać hasło powstania. Elektryczna iskra w jednej chwili wojsko, stolicę, kraj przebiegła, zajaśniała noc 29 listopada ogniami wolności, w dniu jednym oswobodzona stolica, w dniach kilku połączone jedną myślą wszystkie oddziały wojska, fortece zajęte, naród uzbrojony. Oto są czyny tej rewolucji bohaterskiej, szlachetnej i czystej, jak młodzieńczy zapał, który ją rozniecił.

Powstał naród polski z poniżenia i podległości z męskim przedsięwzięciem niepowrócenia więcej do więzów, które

skruszył, niezłożenia oręza przodków, póki nie wywalczy niepodległości i potęgi, póki nie zabezpieczy sobie swobód, których jako zaszczytnej po przodkach spuścizny domagać się ma prawo, póki nie połączy się z braćmi, ujarzmionymi przez dwór petersburski, z tego jarzma ich nie wyzwoli i uczestnikami swoich swobód, wolności i niepodległości nie uczyni.

Nie powodowała nami żadna nienawiść narodowa przeciw Rosjanom, wielkiemu, jak my, szczepowi słowiańskiemu. Przedświadczeni, że wolność i niepodległość nasza jak nigdy dla ościennych narodów nie bywała zaczepną, owszem była przedmurzem ludów europejskich, tak i teraz więcej jeszcze, niż kiedy, może im być pomocną, stajemy w obliczu ludów i mocarstw z pewnością, że przemówi za nami zarówno głos polityki, jak ludzkości. A nawet gdyby w tej walce, której niebezpieczeństwa sobie nie taimy, przyszło nam bój staczać za wszystkich, ufni w świętość sprawy naszej, własne siły i pomoc Przedwiecznego, dobijając się będziemy wolności do ostatniego tchnienia. A jeżeli Opatrzność przeznaczyła tę ziemię na wieczne ujarzmienie — jeśli w boju tym ostatnim wolność polska na gruzach miast i trupach swoich obrońców polegnie — wróg nasz nad jedną tylko pustynią więcej panowanie swoje rozciągnie, a prawy Polak zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności i Ojczyzny uratować nie dozwoliły mu nieba, śmiertelną walką zastąpił przynajmniej na chwilę zagrożone swobody ludów europejskich.

## LXII

### ZDOBYCIE WARSZAWY

ARTUR ŚLIWIŃSKI: POWSTANIE LISTOPADOWE

W pamiętnym a krwawym dniu 6 września wojska rosyjskie już o godzinie czwartej z rana posunęły się naprzód. Sto dzieł rosyjskich zbliżyło się do fortyfikacji, ostanających Wolę i w ciągu dwu godzin sypało na nie ulewnym deszczem ognia i żelaza. Woli bronił generał Sowiński. Był to stary weteran, nieczynny dotąd w szeregach, bo kalectwo nie pozwalało mu na to: w r. 1812 w bitwie pod Możajskiem kula

armatnia urwała mu nogę. Gdy jednak nieprzyjaciel osaczył Warszawę, stary wojak sam udał się do Małachowskiego i prosił o dowództwo w punkcie najniebezpieczniejszym. Małachowski powierzył mu Wolę. Sowiński zapewnił wodza, że, póki żyw, fortyfikacyj nie odda.

Na słowie starca można było polegać.

Świsnęły kartacze z Woli, ale za mało armat posiada Sowiński, aby powstrzymać szturmujących. Więc Rosjanie posuwają się naprzód, dosięgają wałów, rzucają w rowy faszyliny, wory i kosze wypchane słomą, przystawiają drabiny, podsadzają się na bagnietach i, choć wielu z nich ginie, drą się nieustannie na wały. Szturm po szturmie odpierają Polacy, lecz generał rosyjski Berg wtargnął do środka fortyfikacyj i zajął tyły broniącym się wojskom. Trzeba się było cofać. Skorzysłały z tego kolumny rosyjskie i przekroczyły wały, tak uporczywie dotąd bronione. Niebawem dwadzieścia kilka bataljonów otoczyło ze wszech stron trzy bataljony polskie.

Sowiński gromadzi wokoło siebie żołnierzy i broni się do upadłego. W walce tej ranę odnosi Piotr Wysocki i dostaje się do niewoli. A Sowiński widząc, że nie dotrzyma przemagającej sile, cofa się z garstką walecznych do ostatniej ochrony, jaka mu pozostała, do kościoła na Woli. Wnet żołnierze zatarasowali drzwi, z ławek uczynili barykady i najeżywszy bagnety, czekali wtargnięcia nieprzyjaciół. Stary generał również pochwyił karabin i, szcudłem wsparty o ołtarz, zawołał: „Żołnierze! ja będę ostatni“.

Niebawem zaczęło szturmować kościółek i zatarasowane drzwi pękły. Chmara grenadjerów rosyjskich wpadła do wnętrza. Zakotłowało się w kościele i garstka walecznych po rozpaczliwej obronie gardłem przepłaciła swe męstwo. Żaden się nie poddał, więc wymordowano wszystkich.

Tylko Sowiński został przed ołtarzem. Chcą go wziąć żywcem.

— Pardon, generale! — woła jeden z grenadjerów.

— Oto masz pardon! — odpowiada Sowiński i karabinem uderza w pierś grenadjera.

Natychmiast kilkanaście bagnetów przeszło pierś generała i Sowiński runął martwy u stóp ołtarza.

Stary weteran dotrzymał słowa: do ostatniego tchu bro-

nił powierzonej mu placówki i śmiercią bohaterską obronę tę przypieczętował.

Zdobycie Woli przygnębiający wpływ wywarło na umysły. Starsi wojskowi zwątpili w skuteczność dalszej obrony — i z chwilą tą los Warszawy został rozstrzygnięty. Skończyło się na tem, że generał Małachowski podpisał kapitulacyję. Kapitulacyja ta oddawała Warszawę Paskiewiczowi z tem jedynie zastrzeżeniem, że wojsko polskie, wszystkie władze i wszyscy mieszkańcy, którzy chcieliby opuścić stolicę, otrzymają 48 godzin czasu.

Nastała noc, ponura noc, z dnia 7 na 8 września.

Łuny płonących przedmieść oświetlały stolicę, czarne dymy zwisały nad miastem, w blasku pożarnym, jak cienie, krzatali się mieszkańcy. Kto czuł żywiej i głębiej, a zwycięzcom oddać się nie chciał, w czyich piersiach tłała skra nieokreślonej nadziei, ten pakował trochę drobiazgów i z węzełkiem podróżnym na plecach uchodził na Pragę, by połączyć się z wojskiem. Rozdzierające sceny rozgrywały się wszędzie, na każdym kroku słychać było jęki, szlochania, przekleństwa. Lecz czas naglił. Więc ludzie żegnali się jak przed skonem, wyrwali się z objęć rodzin i ze łzą w oku opuszczali Warszawę. Wszystko w największym nieporządku tłoczyło się na Pragę.

Jazda, piechota, artylerja, członkowie rządu i sejmu, ministrowie, urzędnicy, mnóstwo ranionych, a ledwo wlokących się o własnej sile żołnierzy, starcy, dzieci, kobiety, wszystko to, niesione żalem lub wściekłością, beładnie posuwało się przez most na Wiśle i w beładnych masach skupiało się na Pradze.

Na drugi dzień o godzinie 7-mej rano zwycięska armja Paskiewiczza wkroczyła w mury Warszawy.

Powstanie otrzymało cios w samo serce, upadło po dziesięciomiesięcznem istnieniu, a rządy w Królestwie objął Paskiewicz, obdarzony tytułem „księcia warszawskiego“.

## KAROL MARCINKOWSKI

WŁADYSŁAW MOTTY: PRZECHADZKI PO POZNANIU

Wiele mógłbym opowiadać o Karolu Marcinkowskim, widywałem go bowiem często, zaszczycał mnie i meją rodzinę zawsze życzliwością swoją. Pierwszy raz go widziałem, będąc małym chłopcem, w roku, w którym praktykę rozpoczął, gdy przyszedł do nas szczepić ospę mojej siostrze. Zadanie swe lekarskie pojął on od początku samego inaczej, niż ówczesni koledzy jego, którzy wogóle tylko majątniejszym pacjentom służąc, świetnie na tem wychodzili, było ich bowiem jeszcze niewielu, prawie sami Niemcy, a lekarzom płacono wtenczas sownie, nieraz zbyt kownie.

Marcinkowski, urodzony na św. Wojciechu, w skromnym domeczku, przed kilkunastu laty zburzonym, syn niezamożnego szynkarza, zawdzięczając swoje wykształcenie głównie własnej pracy i zabiegliwości, zajął się odrazu mizerją naszą i stał się w krótkim czasie opiekunem i dobrodziejem biednych. Co zarobił u bogatych, to rozdawał tam, gdzie była istotna potrzeba, a gdy sam nie miał, brał od przyjaciół i znajomych.

Nie tylko wszakże pod względem lekarskim i humanitarnym zajął Marcinkowski odrazu wybitne stanowisko w naszym społeczeństwie; nie tylko później młodzi lekarze dążyli regularnie do jego mieszkania, jak do głównego sztabu, pomagając mu w przyjmowaniu pacjentów, słuchając jego rady, lecz i pod względem narodowym, już przed rokiem trzydziestym, przeważny wpływ wywierał i brał udział we wszystkich ówczesnych usiłowaniach. Już wtedy szacunek dla niego był tak powszechny i ustalony, że, gdy po śmierci arcybiskupa Wolickiego sprzedawano publicznie jego pozostałość, zakupiono z dobrowolnych składek obywateli kosztowny pierścień arcypasterski, aby owa oznaka jednego z najgorliwszych patriotów zdobiła rękę podobnego mu męża. Ten pierścień pamiętam dobrze; pokazywał go raz Marcinkowski mej matce, przy której właśnie byłem, główną jego wartość stanowił

wielki i piękny szafir. Drugi właściciel niedługo się nim cieszył, gdyż, skoro wybuchło powstanie listopadowe, złożył go natychmiast w ręce tych, którzy na potrzeby narodowe daniny ściągali i do Warszawy wysyłali.

W wojnie z trzydziestego pierwszego roku brał Marcinkowski czynny udział jako żołnierz i lekarz pułku jazdy poznańskiej, z którym odbył wyprawę na Litwę i przejść musiał do Prus. Czas niejaki potem jako wychodźca przebywał w Anglii i w Paryżu, gdzie kształcił się dalej w swym zawodzie po szpitalach i klinikach sławnych lekarzy, oraz ze zwykłym sobie poświęceniem leczył, wspierał i pocieszał biednych emigrantów.

Gdy w r. 1837 wybuchła w Poznaniu po raz trzeci gwałtowna cholera, przypominano sobie Marcinkowskiego i za wdaniem się władz miejskich i prowincjonalnych wezwany został do powrotu. Wrócił natychmiast, bo tęsknił za krajem i swymi. Dopóki trwała zaraza, nie rozbierał się prawie ni we dnie, ni w nocy i szedł wszędzie, gdzie go wołano, bez różnicy osób i miejsca. Potem zaś, gdy klęska ustała, zwrócił zaraz uwagę na nasze położenie i stosunki. Widział, że nam przedewszystkiem potrzeba wiedzy i pracy, stanu średniego i oświaty ludu, by wytrzymać współzawodnictwo z obcym żywiołem. Przypomnił sobie słowa jednego z polityków francuskich, który powiedział Polakom: „Uczcie się, wzbogacajcie się i — czekajcie“ — i dlatego w porozumieniu z garstką dzielnych ludzi zaczął przysposabiać środki, które miały w tym kierunku potrzebie zaradzić i zabezpieczyć tak materialny, jak i moralny byt narodowości. Narodowość bowiem, tak, jak każdy organizm ludzki, jeśli chce żyć, potrzebuje zdrowego i normalnego ciała w spójni ze zdrową i normalną duszą. Powstał zatem Bazar, tak w tym celu, aby był odpowiednim punktem środkowym, gdzieby, wyszedłszy z dotychczasowego rozprószenia, schodzić się, widzieć, porozumiewać, nawet wspólnie bawić można, jako też, aby było miejsce dla skromnych początków handlu, który, wzrastając, rozszerzyłby się coraz dalej.

Powstało niebawem Towarzystwo Naukowej Pomocy, aby umożliwić i podtrzymać we wszystkich kierunkach naukowe wykształcenie ubogiej młodzieży, zwłaszcza, iż majątniejsza, mimo coraz trudniejszych warunków własności

ziemskiej, myślała ciągle jeszcze, że na wieki żyć tak można, jak żyli ojcowie. Wpływem i staraniem Marcinkowskiego i jego przyjaciół zebrały się, prawie w mgnieniu oka, wielkie sumy; w dwu latach niespełna wybudowano i urządzono Bazar i wprowadzono w życie Towarzystwo Pomocy Naukowej, ponieważ gotowość do poświęceń materialnych na sprawy publicznego dobra była powszechna i mówiono: „ratujmy się“, a nie, jak się to dziś często słyszy, „ratuj się, kto może“.

Rzadko kiedy widziałem Marcinkowskiego w tak wesołym usposobieniu, w jakim był na pierwszym balu nowo założonego kasyna polskiego w Bazarze, na który przyszedł, mimo iż na balach nigdy nie bywał. A przecież już wtenczas uczuwać zaczął pierwsze początki choroby płucnej, na które nic zgola nie zważał, nie oszczędzając sił swoich, chodząc po piętrach, jeżdżąc po wsiach, pracując we dnie i w nocy, nie tylko nad publicznymi, ale i nad prywatnymi sprawami, z którymi mnóstwo i znajomych i nieznajomych do niego się udawało. Szkodził zaś sobie najwięcej gwałtowną konną jazdą, używając jej, bez względu na pory roku i odległość, byleby jak najprędzej przybyć tam, gdzie potrzeba. Z przyczynami fizycznymi łączyły się coraz częstsze zawody moralne, które cierpienie jego pogarszały; aż nadto często nie dopisały mu rzeczy, wiele częściej jeszcze ludzie. Ledwie był rozpoczął organiczne prace swoje około sprawy wszystkim nam wspólnej, którym był najlepszą część życia i sił swoich poświęcił, gdy uczuł, iż grunt mu się pod nogami usuwa. Na emigracji w Paryżu, która z powodu oddalenia i tęsknoty za krajem posiadała fałszywe zupełnie pojęcie o stanie kraju, ułożono spisek, mający wywołać jednego niemal dnia powstanie we wszystkich częściach dawnej Rzeczypospolitej. Spisek ten rozszerzył się głównie w W. Księstwie, a przystępowali do niego ludzie nie tylko z przekonania, wielu z nierozwagi, inni z ambicji lub źle zrozumianego poczucia honoru i solidarności. Znaczna jednak część obywateli wiejskich i inteligencji miejskiej była mu przeciwną.

Marcinkowski i jego przyjaciele widzieli jasno, że takie przedsięwzięcie w danych okolicznościach klęski tylko i niechęć za sobą pociągnie i dlatego starali się radą i proś-

bami odwieść od niefortunnego zamiaru. Było to daremne; odpowiadano im częstokroć lekceważeniem, a nawet groźbą. Nadeszły pamiętne dni lutowe 1846 r., powstanie w zarodku zgębione zostało; głównych przywódców i zwolenników pojmano. Chwycono się ze strony rządu rozmaitych wyjątkowych środków, a patryjoci, lekając się liczniejszych i groźniejszych jeszcze, głębokim przyjęci byli żalem. Nader boleśnie dotknęły wypadki te Marcinkowskiego. Przyszedłem do niego, nie pamiętam już którego z owych dni, koło trzeciej po południu, mieszkał wtedy na Podgórznej ulicy i zastałem go pogrążonego w głębokim smutku. Trapiła go ustawicznie myśl, że pójdzie teraz w niwecz wszystko, co się dla publicznego dobra zrobiło i zaczął o tem ze mną rozmawiać, chodząc niespokojnie po pokoju; naraz stanął przy oknie, skinął na mnie i wskazał na ulicę. Przybiegłem i ujrzałem z drugiej strony ulicy żandarmów, prowadzących znanego nam wszystkim i lubianego powszechnie urzędnika Ziemstwa Kredytowego. Marcinkowskiemu oko łzą zaszło, odwrócił się, przerwał rozmowę, a rzuciwszy się na kanapę, popadł w głęboką zadumę. Już kaszlał wtenczas mocno i chwilami czerwieniały mu policzki; choroba czyniła coraz znaczniejsze postępy, tak, iż w środku lata przerwał praktykę i szukając ulgi w świeżem powietrzu, pojechał na wieś do swego przyjaciela. W końcu października widziałem go po raz ostatni i to przypadkiem.

Przejeżdżając przez Rogoźno, w bliskości którego leży Dąbrówka, spotkałem go na ulicy, wracającego właśnie z sądu, w którym testament swój złożył. Był bardzo zmieniony i wychudły, a oczy dziwnie mu się świeciły. Ujrawszy mnie, ucieszył się, nie widzieliśmy się bowiem od marca. Poszedłem z nim do oberży, gdzie konie jego czekały, rozmawiał z ożywieniem jakie pół godziny, chwilami był poważny i rozczulony, chwilami żartował, a gdy się o jego zdrowie zapytałem, machnął ręką i rzekł: „O tem już nie wolno mówić!“. Przy pożegnaniu uściskaliśmy się serdecznie, a zrobiło mi się bardzo miękko, bo widziałem, że koniec z człowiekiem, a na takiego długo będziem czekali.

Umarł 7 listopada 1846 r., a pochowano go 11. Pogrzeb ten był najwspanialszy, jaki u nas pamiętam. Ciało jego przybyło w bardzo skromnej trumnie do Poznania: wieziono je przez



Środkę i Chwaliszewo, gdzie w każdym niemal domku biedaków leczył i wspierał, wieszono go wzdłuż Bazaru, który założył. Kondukt prowadził arcybiskup Przyłuski na czele całego poznańskiego duchowieństwa i mnóstwa księży z prowincji; tysiące ludzi z miasta i ze wsi szło za nim, nawet tłumy Niemców i wszystkie znaczniejsze urzędowe figury, bo go szanowano i kochano powszechnie, bez różnicy stanu i narodowości. Złożono go na cmentarzu św. Marcińskim, na którym spoczywa po pracy i bólach, przykryty ogromnym granitowym głazem, który Maciej Mielżyński sprowadził i obrobić kazał. Ile razy przejdę koło domu przy ulicy Podgórznej, gdzie mieszkał Marcinkowski, tyle razy z modlitwą zwracam się do Boga: „Panie! daj nam znów takiego!”

## LXIV

## CHARAKTERYSTYKA TEOFILA WIŚNIEWSKIEGO

ROBERT NABIELAK: PAMIĘTNIK WIĘZNIA STANU

Wiśniowski — pisze w swym pamiętniku Robert Nabielak — był wzrostu więcej trochę jak średniego, twarzy pociągłej, nieco łysy, cery rumianej, nosa cokolwiek orlego i miał szczególne znamię, że gdy się uśmiechał, to mu się górna warga fałdowała, niby na dwoje się dzieląc. Mógł mieć lat czterdzieści. Był to człowiek poważny i stateczny, nie był mowcą, ale się wyrażał łatwo i zawsze z łagodnością, nigdy go nie widziałem w uniesieniu, zawsze zachowywał zimną krew.

Miał on to przekonanie, że o prędkim powstaniu myśleć nie można, bo nam się nie uda, że należy zwolna się przygotowywać, żeby powstać nie tylko w Galicji, ale naraz wszędzie — a na przygotowanie części, zostających pod Moskwą, po świeżej tam katastrofie (rok 1831) trzeba dłuższego czasu. Myślał on, że nie będzie można powstać ani w tym roku, ani w drugim, ani może w trzecim, ale to się samo pokaże, kiedy czas będzie na to stosowny, a będzie on najstosowniejszy wtedy, gdy będziemy mieli pewność, że lud będzie z nami. Nie teoria

ma tu decydować, podług której wyobrażamy sobie, że tak, jak my, tak i lud wolności pragnie. My co innego. Masy nie troszczą się o to, jaki jest rząd, masy nie myślą, tylko słuchają, a nie zapominajmy, że lud nasz nic nie wie o Polsce, a jeżeli co wie o niej, to dzięki niecnym zabiegom, pewnie nic dobrego. Ażebyśmy mogli lud z sobą pociągnąć, to musielibyśmy posiadać jego przywiązanie i żeby żadnej krzywdy nie miał nam do wyrzucenia. Musielibyśmy więc najpierw z ludem się obrachować, zadane mu rany zagoić, a jakże trudno o taki sumienny obrachunek! Tysiąc razy prędzej szlachcic sam stanie do boju i poświęci życie własne i cały majątek, niż chłopca nazwie swoim bratem. Oto tu jest punkt ciężkości i nie zwyciężymy wrogów — mówił — póki siebie sami nie zwyciężymy, póki rodowy przesąd z nas nie ustąpi. Ale nie zatrzymujmy się w zaczętem dziele, róbmy to, co nam obowiązek każe, a resztę zdajmy na Boga. Dążmy do tego, aby lud oświecać, z aprowadzajmy szkółki, my nie wiemy, kiedy powstanjemy, ale z każdą szkółką spłacamy dług ojczyźnie, bo tylko przez oświatę może się lud dowiedzieć, kim jest. Takie było jego przekonanie.

## LXV

## WYBUCH POWSTANIA 1848 R. W POZNAŃSKIM

KAZIMIERZ RAKOWSKI: POWSTANIE POZNAŃSKIE

Wybuch rewolucji 1848r. w Berlinie był hasłem dla Księstwa Poznańskiego. Wiadomość o wypadkach berlińskich lotem błyskawicy przebiegła wszystkie warstwy społeczeństwa i zelektryzowała wszystkie. „Teraz, albo nigdy! Teraz czas działać, aby rząd zmusić do spełnienia przyrzeczeń danych ludności polskiej — albo dobrowolnie zrzec się chyba odrębności i praw narodowych“. Taką była myśl, która przenikała wszystkie umysły.

Na pierwszą wieść o wybuchu rewolucji w Berlinie dnia 18 i 19 marca, już 19 marca rozdzielano na ulicach Poznania kokardy o barwach narodowych, wywieszano z okien do-

mów chorągwie polskie. Do późnej nocy przeciągały tłumy, śpiewając narodowe pieśni. Upadek absolutyzmu — bo za taki uważano rewolucję berlińską — powitano jako zapowiedź politycznej niezależności Polski. Entuzjazm wzrastał z żywiołową siłą. Nazajutrz tłumy zebrały się od samego rana w ulicy Nowej, rynek był pełen ludzi, gromady, przystrojone w amarantowo-białe kokardy, przeciągały po ulicach. Tu i ówdzie oznajmiano najnowsze wiadomości, tłum przyjmował je okrzykami radości. Rewolucja wisała w powietrzu.

Na wezwanie naprędce zebranego komitetu zgromadził się lud tłumnie przed Bazarem, aby oświadczyć, że Poznańskie do związku Rzeszy należeć nie chce. Uważając zebranie w Bazarze za hasło do powstania, pruskie władze wojskowe zgromadziły siły zbrojne na placu przed teatrem i w kilku innych punktach miasta. Widząc zgromadzone wojsko i działa w pogotowiu, lud zaczął wznosić okrzyki: „Niech żyje Polska“ — i z tem hasłem chciał się rzucić na armaty. Krwawemu starciu zapobiegło wdanie się kilku obywateli. Po ukonstytuowaniu się Komitetu Narodowego, do którego weszły najpoważniejsze jednostki, przedstawiono ludowi projekt petycji do króla. Komitet wydał tegoż dnia, t. j. 20 marca, odezwę, rozlepioną już po południu, nawołując do utrzymania wzorowego porządku i spokoju, unikania rozlewu krwi. Zachęcając do składania ofiar na ołtarzu dobra publicznego, Komitet obiecywał drogą pokojową odzyskać wolność ojczyzny. Wybrano też deputację, która miała udać się do króla i oświadczyć mu, że Księstwo, po wcieleniu Prus do Rzeszy Niemieckiej, chce się wyodrębnić i zachować samoistny byt polityczny.

Komitet Narodowy zajął się rozestaniem komisarzy na prowincję celem organizowania powiatowych i miejskich komitetów lokalnych, utworzenia straży obywatelskiej i rozpowszechnienia odezwy z dn. 20 marca. Wydał też Komitet Narodowy instrukcję dla podkomitetów prowincjonalnych, polecając im utworzenie w każdym miasteczku i w każdej wsi „Obrony Narodowej“, do której pociągnięci być mieli obywatele w wieku od 17 do 50 lat, każdy uzbrojony przynajmniej kosą, lancą lub widłami. Wobec bezwładności władz cywilnych Komitet wyrósł nagle na jedyną faktyczną władzę.

Bardzo uroczyście odbyło się wprowadzenie do Poznania

pierwszych wypuszczonych na wolność więźniów z Berlina. Olbrzymie masy ludności wyległy poza mury miasta, aby powitać drogich gości. Przywieziono ich na wozie, przyozdobionym kwiatami i wieńcami. Nie było między nimi głównych osobistości, bo te zostały przy deputacji polskiej w Berlinie. Komitet tymczasem pracował nad zorganizowaniem powiatów. „Niech miasteczka i wsi najeżą się kosami“ — pisał Komitet w odezwie. Dla lepszego porozumienia się z głównym Komitetem utworzono wybornie zorganizowaną służbę kurierską. Były po całej prowincji stacje, gdzie stale w pogotowiu czekały konie i jeźdźcy, którzy odwozili depesze do następnej stacji, tak, że w 10—12 godzin depesza z Poznania dochodziła do najodleglejszego zakątka Księstwa. W miastach tworzono specjalne magazyny z żywnością i furazem. Rozpisano pobór, oparty na następującej normie: z każdego 100 mórg obsianego pola, półtora korca żyta, półtora owsa, 6 kwart grochu, 20 funtów mięsa, tyleż słomy i siana. Komitety powiatowe założyły specjalne kasy wojenne, do których wpływały ofiary w gotówce i kosztownościach. Jednym z największych źródeł dochodu był podatek, nałożony na majątki ziemskie, który wynosił połowę rocznego podatku gruntowego.

Wieść o wypadkach poznańskich szybko rozniósła się po całej prowincji. Ludek sobie opowiadał, że król z Berlina został wygnany, a „Polska już gotowa stoi“. Zanim nadeszły pierwsze rozkazy z Poznania, już w wielu miejscach przyzywano orły pruskie z gmachów publicznych, by je zastąpić polskiem — tu i ówdzie krótszą robiono procedurę, bo utracano jedną głowę orłowi pruskiemu, poczem go bielono wapnem. Wszędzie przypinał lud kokardy czerwono-białe. Gdy przyszły pierwsze rozkazy Komitetu do obywateli, wyznaczonych na organizatorów, lud prosty wszędzie już był gotów do udzielenia czynnego poparcia wykonawcom woli Komitetu.

OBCHÓD ROCZNICY UNJI LUBELSKIEJ  
W KOWNIE 1861 R.

STRUŚ: SZKICE Z POWSTANIA

Opowiem o najświetniejszym dniu dla Kowna przed powstaniem styczniowem — obchodzie pamiątki unji lubelskiej.

Na kilka tygodni przed rocznicą tej unji zaczęto mówić w mieście, że w ten dzień procesja z chorągwiami i ołtarzykami pójdzie przez miasto do Aleksoty (wzgórze) na spotkanie podobnej procesji, idącej z Królestwa. W dzień oznaczony tłumy ludu przybyły do Kowna. Kobiety ubrały się w białe suknie, bo na ten dzień zrzucano oddawna noszoną żałobę narodową. Procesja miała iść wprost ku mostowi. Tymczasem generał Burhard z pułkownikiem żandarmskim wyprowadzili wojsko z koszar. Na placu w Nowem Mieście stanęli ułani, oczekując rozkazu, aby sięść na koń i uderzyć na lud. Na jednej ulicy, prowadzącej ku mostowi, postawiono sotnię kozaków w plutonowej kolumnie, a za nimi garnizonowy bataljon, któremu nakazano broń nabić ostremi ładunkami. Na placu ratuszowym w mundurze i przy wszystkich orderach stanął pan generał ze Skwarcowem, policmajstrem i adjutantem, w zamiarze niepuszczenia ludu ku mostowi tyżwowemu, który już od świtu na rozkaz wicegubernatora został rozproszony.

Dzień był przecudny. Letnie słońce promieniami swemi zalewało całe miasto i dolinę. Żadnej chmurki na niebie, tylko łagodny wietrzyk odświeżał powietrze. Poważnie i cicho wysunęła się procesja z kościoła. Na czele szedł wysoki i silny mężczyzna, niosąc krzyż wielki. Za nim postępowały dziewczęta w bieli, niosąc ołtarzyki — następnie księża i lud zebrany. Nikt nie dowodził procesją, a jednak wszystko było w największym porządku, rezygnacja i poddanie się losowi było wypisane w oczach i postawie każdego. W chwili, gdy człoło przynajmniej piętnastotysięcznej kolumny doszło do ko-

zactwa, dowódca kazał zbliżyć konie do siebie, żeby nie przepuścić tej lawiny ludzkiej. Lecz niosący krzyż na przedzie przedarł się między końmi, które przestraszone, uskoczyły na bok — i przesunął się do drugiego plutonu. Za nim przeszły dziewczęta z ołtarzykami.

Widząc pierwszą linię złamaną, mężny generał krzyknął: „Nahajkami ich walcie!“ Pierwsze uderzenie spadło na głowę niosącego krzyż z taką siłą, że powaliło go na ziemię. Ukląkł uderzony i zaczął śpiewać! „Święty Boże, Święty, Mocny“. Dziewczęta, okładane razami, klękały kornie, lecz wstecz się nie usuwały. Lud, idący z tyłu, słysząc słowa pieśni, którą tak często śpiewał, ukląkł i z piersi tyłu tysięcy ludu wyrwała się modlitwa do nieba: „Święty Boże, Święty!“

Kozacy, słysząc tę pieśń nabożną, którą i oni śpiewają, zatrzymali się w spełnieniu rozkazu, zdjęli czapki i żegnać się zaczęli. I ich wzruszył ten jęk boleści bezbronnego ludu. Pułkownik Skwarcow, widząc, że kozactwo zawiodło oczekiwania jego, podbiegł do generała, który zupełnie głowę stracił i zdjawszy kaszkiet, żegnał się nieustannie. „Generale! — rzekł — zgubisz siebie, jeżeli się dowiedzą, żeś pozwolił w swojej obecności na podobną demonstrację i nie rozpędził ludu orężem“.

Ocknął się generał i posłał adjutanta po ułanów, z rozkazem uderzenia na modlący się lud. Gdy rozkaz ataku posłano ułanom, wicegubernator Korecki, Rusin, człowiek zacny i uczciwy, który całe życie przepędził na Litwie i zrósł się z nią, otrzymał na placu ratuszowym raport o tem, co się działo. Znając lud litewski, znając charakter jego, wiedział, że przyjdzie do rozlewu krwi, jeżeli temu nie zapobiegnie, usłuchał więc głosu sumienia, które mu wskazywało, jaki cięży na nim obowiązek w tej chwili. Prędko ubrał się w mundur, wsiadł do dorożki i, wyprzedziwszy ułanów, idących do ataku, powstrzymał ich. Następnie, pojawiwszy się niespodzianie na placu, rozkazał zebranemu wojsku wrócić do koszar i nie przeszkadzać w procesji. Sam powrócił do domu, wiedząc, że most jest rozproszony i że Niemna w bród przebyć nie można. Zostawiając lud samemu sobie, sądził, iż, widząc niepodobieństwo dostania się na drugą stronę rzeki, rozejdzie się spokojnie.

Po ukończeniu modlitwy lud powstał i procesja ruszyła naprzód. Doszedłszy do Niemna, zebrani stanęli na wzniosłym brzegu rzeki, nie wiedząc, co począć dalej. Przewidywania Koreckiego spełniłyby się na pewno, gdyby w tej samej chwili na wyżynach Aleksoty nie pokazała się procesja, idąca z Augustowskiego. Na czele jej szedł stuletni prawie starzec, Godlewski. Na ten widok Żmudzini ukłękli nad brzegiem Niemna i z ust ich wyrwała się nie pieśń, ale jęk żałosny: „Boże, coś Polskę“. Procesja, idąca z Królestwa, także ukłękła i modlitwa wspólna, łącząc się nad rzeką, wzniosła się do nieba. Kobiety i starcy płakali.

Tymczasem młodzież wyciągnęła skądś czółna, umieściła na nich księży i ołtarzyki i zaczęła się przeprowiać na drugi brzeg rzeki. Drudzy rzucili się do mostu i zaczęli go naprowadzać. Chwila była tak uroczysta, widok tak wzruszający, że żołnierz, stojący na warcie przy moście, stary Litwin, ździaczały pod straszną moskiewską dyscypliną, uczuł w sercu ciepło i łzy mu płynąć z oczu zaczęły. Patrząc na nieudolność młodzieży w nawodzeniu mostu, zapomniał o obowiązku bronienia go i zawołał: „Nie w tę stronę kręćcie! Kręćcie na lewo!“ Po długiej pracy most był złożony i cała procesja przeszła na drugi brzeg rzeki. Chwili spotkania nikt nie zapomni. Ludzie nieznajomi rzucali się w objęcia, ściskano się i całowano z uniesieniem, łzy były w oczach, a rozczulenie w sercu. Połączona kolumna ruszyła naprzód do kościoła o pół mili oddalonego od Aleksoty; tam ukłękłszy, tysiące ludzi wspólnie błagało Niebo o lepszą dolę dla siebie i dla kraju.

## LXVII

### ŚMIERĆ TRAUGUTTA

MARJAN DUBIECKI: ROMUALD TRAUGUTT

Czwartego sierpnia, a był to czwartek, dzień pogodny, ciepły, tak bardzo słoneczny, iż zdawało się mógłby rozniecić nadzieję nawet w sercach samotnych więźniów — około

10 z rana wyprowadzony byłem\*) na chwilową przechadzkę. Przechodząc koło jakiegoś drewnianego przepierzenia w korytarzach więziennych, usłyszałem głos donośny: „Czego się przechadzasz? Wracaj do swej celi; pięciu kapucynów przybyło, zapewne jeden dla ciebie“. Głos to był Jarosława Dąbrowskiego, który od roku przebywając w więzieniu w cytadeli, wybornie obeznał się ze wszystkimi sposobami komunikowania się z więźniami i nieustannie przekraczał przepisy więzienne. Wróciłem więc do swej celi i wnet zatelegrafowałem do Traugutta. Odpowiedź brzmiała: „Mam księdza“. Kiedy po paru godzinach z mojej celi nr. 19 znowu zakolałem do celi nr. 20, do Traugutta, odpowiedź po dłuższej chwili nadeszła: „Modlę się“.

Dobę całą spędziłem w mej celi u muru, oddzielającego mię od celi Traugutta, oczekując, czy pukanie nie wydzwoni chociaż jednego słowa. Godziny jednak upływały i najmniejszy szmer z poza ściany nie dobiegał. Czekałem dzień cały, całą noc, nie udając się wcale na spoczynek. Czekałem i modliłem się wśród nocnej ciszy. Ciszy nic nie przerywało. Straż tylko, żandarmi, odemknawszy zupełnie okienko, znajdujące się we drzwiach celi, wciąż się wpatrywali w więźnia, jak gdyby chcieli zbadać, co się dzieje w jego zbolątej duszy.

Powoli upływały godziny dnia, a jeszcze wolniej biegły godziny nocy; jutrzienka, zwiastun dnia strasznego, owego 5 sierpnia, weszła do celi więźnia i zastała go w tej pozycji, w jakiej zostawiło go zachodzące słońce. Ciszy z poza muru nic nie przerywało. Aż wreszcie około godziny ósmej z rana, szybko wydzwoniło pukanie jeden wyraz... wyraz ostatni: „do widzenia“. Po chwili rozległ się szcęk broni i przyśpieszone ciężkie kroki wielu dały się słyszeć na korytarzu. Tłum zbrojny szybko przeszedł i echo przejścia wkrótce umilkło w głębi budynku. To Traugutt szedł na śmierć.

W godzinę potem na stokach cytadeli tracono go. Moskwa pragnęła traceniu Traugutta nadać niezwykły rozgłos, wytworzyć z owej chwili epilog powstania. Pod tym ostatnim względem miała słuszność zupełną: był to epilog. Powstanie skończyło w ową noc kwietniową, gdy Traugutta ujęto, zgaśnięcie

\*) Marjan Dubiecki, więzień, współczesny świadek.

powstania stało się zarazem chwilą zgaśnięcia władzy powstańczej — Rządu Narodowego. Obok Traugutta postawiono czterech innych mężów wielkiej prawości i charakteru, mężów szlacheńskich, gotowych śmierć ponieść dla idei narodowej. Nazwiska ich: Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański. Byli to wszyscy mężowie niezwykłej miary. Nikomu z nich ni na chwilę myśl nie przyszła biadać na temat, że żegnają niespodzianie w pełni sił życia ziemię, że zrywają nici, wiążące ich z rodziną, którą każdy posiadał i kochał, ale wszyscy rozważali w ostatniej chwili, czy spełnili wobec ojczyzny wszystkie swe obowiązki. Żuliński w rzewnej odezwie do rodziny mówi: „Czegom nie dopełnił, wy najdrożsi i działki wasze cnotliwem i wedle woli Boga życiem dopełnijcie. Tego rodzaju związek mój z wami rozerwany nie zostanie“. A Rafał Krajewski pisze w celi swej wierszyk, w którym przebacza tym, co niebacznie, upadając na duchu, oddali wielu na łup Moskwy:

„I odpuść nam naszą winę  
Jak my winowajcom —  
Bracia, my w zbożną godzinę  
Odpuśćmy słabym i zdrajcom...“

Na pięciu wózkach wieziono pięć ofiar, pięciu bohaterów obowiązku, których trwanie miało być dla Moskwy najwyższym triumfem. Obok każdego z nich siedział spowiednik. Święciła Moskwa ten triumf uroczyście i świetnie, niby dzień radości i chluby swej narodowej. Z całą okazałością wystąpiła ona na plac egzekucji, na stokach cytadeli, dla nadania większej grozy ostatniej scenie krwawego dramatu. Tysiące bagnętów strzegło miejsca stracenia, a tłum dygnitarzy i generałów moskiewskich w galowych mundurach wskazywał, jak wielką wagę wróg przywiązuje do owej chwili. Pogląd wroga był prawdziwym — dramat powstania był skończony. Pochód, wiezionych na stracenie, rozpoczynał Traugutt, zamykał Jeziorański. Poza szeregami wojska i policji zalegały tysiące mieszkańców stolicy obszerne przestworza przed twierdzą. Wprowadzono na rusztowanie i tracono w odwrotnym porządku, niż wieziono: pierwszego stracono Jeziorańskiego, ostatniego Traugutta. Dekret odczytywano długo, z pewną ostentacją, a ska-

zani musieli wysłuchać go pod szubienicą, która za chwilę stać się miała ofiarnym stołem całopalnej ofiary obowiązku. Dekret, w którym fałsz rozmyślny walczył o lepsze z fantazją wroga, polecono przedrukować we wszystkich gubernjalnych gazetach całego państwa od Kalisza do Kamczatki.

Traugutt podczas czytania wyroku i później do chwili, gdy i on z kolei wstąpił na ów stos ofiarny, odmawiał modlitwy ze swym spowiednikiem, nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje. Złożył wreszcie ręce jak do modlitwy i w tej pozycji widziano, jak biała ta postać zawisała obok czterech innych. Wielki jęk z piersi wielu tysięcy ludu rozległ się wówczas, głusząc huk bębnow i dźwięk muzyki moskiewskiej. Wrażenie owej chwili wstrząsnęło nawet serca i umysły niejednego wśród wrogów. Około dziesiątej godziny Traugutt skończył. Ciała straconych dwie godziny wisały, zanim je wróg nie zabrał i nie pogrzebał w miejscu nieznanem. Warszawa, acz oswojona już z drzewem szubienic i salwą rozstrzelań, niezmiernie boleśnie odczuła ów dzień stracenia. Zdarzyły się też w dniu tym w stolicy przykłady nagłej śmierci z nadmiaru bóleści.

## LXVIII

### KASZUBI W POWSTANIU STYCZNIOWEM

J. LUKASZEWSKI: ZABÓR PRUSKI W CZASIE  
POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Na pierwszą wiadomość o powstaniu w Kongresówce zarzało między Polonją w Berlinie, jak w kotle parowym. Młodzież, dotąd spokojnie ucząca się, wysprzedaje wszystko, składa pieniądze na broń i koszta podróży. Zapał ogarnął wszystkich. Był młodzieniec z mińskiej gubernji, operowany przez sławnego profesora, rana była jeszcze niezagojona, powtórzenie operacji niezbędną. Zrywa się z pościeli, biegnie wraz z innymi do kraju. Był przy nim ojciec staruszek, nie studził tego zapału, ale sam, pomagając w bandażowaniu chorej nogi, powtarzał: „I mnie pilno, jako marszałek powinienem być pierwszy przy apelu na czele mego powiatu, dalej, synu — w imię Boga! Tam, na rodzinnej, od-

radzającej się ziemi noga szybko ci wyzdrowieje“. Dziś jeszcze na wspomnienie tego starca i tego dzieciucha schorzałego, biegnącego za głosem powstającej ojczyzny — przejmują mię dreszcze czci i poszanowania. Nie dziw tedy, że zapał ogarnął wszystkich.

Była także z ziemi poznańskiej kompanja, złożona z samych Kaszubów. Któżby był pomyślał, że w części tej, o której istnieniu może i niejeden nie wie wcale, uważanej za straconą, tak gojąco biją serca polskie. Wybrało się ze 200 chłopca z tamtych stron, a idąc od wybrzeża Bałtyku ku granicy województwa płockiego, na drogę nie przyjęli ani złamanego szeląga żołądu, ani innej pomocy. „Za najem nie idziemy się bić — mówili — ale za braci naszych. Dajcie nam broń na Moskała, o resztę się nie kłopotcie“. I szli piechotą, podwód nie przyjmując, wśród zimy, własnym kosztem, z oczyma wyteżonemi w stronę, skąd dusza ich zdawała się słyszeć jęki knutowanych braci; chwycili za broń, przeszli granicę i ulegli pod obuchem przemocy. Może myślicie, że rozpierzchli się potem i pobiegli chyżo do domu? — Nie, mimo perswazji naszych mężów stanu, stali na pograniczu gotowi na apel. Dopiero później, gdy i starszyzna wojskowa powiedziała im, że wszystko stracone, ze łzą w oku powlekli się znowu o własnych środkach do domu. I któż są ci bohaterowie? Oto biedny chłop-Kaszuba, pośmiewisko obcym, a nieraz — niestety — i własnym rodakom.

## LXIX

### MURAWJEW NA LITWIE

MICHAŁ MURAWJEW: PAMIĘTNIKI

Wezwany na Litwę wolą monarchy dla zgnicenia buntu i intrygi, miałem uśmierzać kraj, karać krzywoprzysięzców krwią i śmiercią. Zaraz po przyjeździe zająłem się urządzeniem samego miasta Wilna i zaprowadzeniem w niem policji, która nie istniała, tak, iż powstańcy otrzymywali wszystko, co było potrzebne z Wilna i sami przemieszkowali tam podni kilka; słowem, Wilno było arsenałem i placem broni dla

powstańców, gdzie się oni zaopatrywali codziennie we wszystko i zasilali znaczną liczbą nowozaciężnych. Policmajster donosił mi codziennie o obywatelach, którzy uciekli do powstańców, po 40 do 50 ludzi przeciętnie na dobę.

Uciekłem się do nakładania kar pieniężnych. Nakazanem zostało ściągać od właścicieli domów, majstrów, restauratorów i innych osób po 10 do 25 rubli kary za każdego człowieka, który wyszedł do powstania i ściągać ją bez żadnych względów, sprzedając ostatnie mienie. W ten sposób obłożone zostały klasztory i duchowieństwo parafjalne rzymskokatolickie; za każdego wychodzącego od nich do powstania po 100 rubli, a przy ponowieniu się ucieczki karę kazałem podwajać. Za noszenie żałoby kazano również ściągać po 25 rubli kary; a w razie powtórzenia karę tę podwajać. Zapomocą tych środków, stosowanych srogo i natychmiast, przerwane zostały te nieporządki i z miasta już rzadko tylko uciekali ludzie do powstania. Niemniej jednak księża i mnisi, pozostając w Wilnie, potajemnie i jawnie współdziałali i rozdmuchiwali płomień buntu. Sam biskup Krasieński był jednym z najczynniejszych w Wilnie działaczy. Wszystkie te środki i wiele innych, których nie wspominam, bo samo ich wyliczenie byłoby uciążliwym, a wiele z nich było drukowanych i powszechnie są wiadome, przyniosły korzyść widoczną i uciszyły rewolucyjne polskie manifestacje. Lecz wszystkiego tego było za mało: trzeba było przystąpić do postanowień ważnych i do srogiego prześladowania spisku. Wiele osób było uwięzionych w różne czasy za udział w powstaniu, wszystkie więzienia były niemi napełnione, lecz niestety, po większej części sprawy ich nie były ukończone, a nawet nie zaczęte. Na osoby zaś skazane przez sądy wojenne nie było zatwierdzenia, ponieważ obawiano się drażnić buntowników srogością.

Pragnąc dowieść Polakom, że rząd nasz ich się nie obawia, zająłem się niezwłocznie rozpatrzeniem wyroków na ważniejszych przestępców. Potwierdziłem je i kazałem natychmiast wykonać w Wilnie na placu targowym, w samo południe, ogłaszając egzekucje przy odgłosie bębnów. Zacząłem od księży, jako od głównych działaczy buntu; w ciągu tygodnia rozstrzelano dwu księży. Polacy nie wierzyli, że się na to zdecyduję, gdy zaś zobaczyli to w samej rzeczy, a nie w sło-

wach, opanował ich wszystkich strach. Płaczu i krzyku było dużo w mieście i wiele osób nawet wyjechało z miasta. Biskup Krasiński, bardziej niż inni, zląkł się egzekucji księży. Bał się o swoją kapitułę, a kiedy go wezwałem, aby on cyrkularzem nakazał rzymsko-katolickiemu duchowieństwu, żeby działało przeciw powstaniu, on udał chorego i powierzył innemu zarząd konsystorza. Dla przykładu kazałem go wywieźć zandarmem do Wiatki. W liczbie znajdujących się w więzieniu był także były kapitan sztabu generalnego Sierakowski, ranny, który dowodził największym oddziałem na Żmudzi, rozbitym przez gen. Ganieckiego, dowódcę finlandzkiego pułku, a także szlachcic Kołyszko, naczelnik innego znacznego oddziału. Kazałem przyspieszyć wytoczone im procesa i konfirmowałem ich obu — na powieszenie.

Ale przekonałem się prędko, że samym tylko orężem nie będzie można zgnieść powstania, gdyż kraj cały zarażony był duchem buntowniczym, podtrzymywanym przez księży, obywateli i drobną szlachtę. Trzeba zatem było przedsięwziąć środki najbardziej stanowcze przeciw obywatelom, dającym przytułek powstańcom i dla wykrycia tajnej organizacji, pokrywającej cały kraj.

Ustanowiłem we wszystkich powiatach zarządy wojskowo-policyjne i całą władzę oddałem w ręce naczelników wojennych, ogłosiwszy we wszystkich gubernjach stan wojenny. Naczelnikom poleciłem pilnie zająć się wyśledzeniem postępów wszystkich osobistości, które brały większy lub mniejszy udział w buncie, bezpośrednio lub pośrednio. Kazałem pociągać do odpowiedzialności także tych obywateli, którzy dawali przytułek powstańcom, dostarczali im chleba, broni i pieniędzy. Zagroziłem sądem wojennym obywatelom w razie, gdyby nie donieśli natychmiast najbliższej komendzie wojskowej o przybyciu powstańców. Dzięki tym zarządzeniom pochwyty władze rzeczywiście w niedługim czasie głównych działaczy buntu. Wtedy i włościanie, widząc wzrastającą władzę naszego rządu, zaczęli dopomagać rządowi w ściganiu błędzących jeszcze po lasach powstańczych tłumów. Wkrótce też już można było z samych włościan formować uzbrojone stráže wiejskie, które wszędzie wojskom pomagały do ostatecznego zniszczenia buntowników.

Poleciłem wszystkim gromadom wiejskim, aby ściśle dozorowały obywateli i ich rządców i natychmiast donosiły władzom o tych, którzy biorą udział w powstaniu. Obok tego kazałem układać spisy dokładne obywateli i ludzi wszelakiego stanu, przedsięwziąć ostre środki, aby nikt nie mógł wyjechać się bez paszportu, zwłaszcza zaś księży, nakładając znaczne kary na tych, którzy od prawideł tych się uchylali. Również kazałem ściągać kontrybucje od tych obywateli i wsi, które dawały schronienie powstańcom.

Ponieważ małe oddziały powstańcze, złożone z 20—25 ludzi, kryjące się po lasach, trudne były do pojmania, trzeba było chwycić się nadzwyczajnych środków, by je wytępić. Drobne te partje powstańców znajdowały przytułek u obywateli i u księży, otrzymywały żywność z osad drobnej szlachty. Pozostawał mi tedy jedyny, ostatni środek, by temu kres położyć, a mianowicie kazać niszczyć do gruntu dwory obywatelskie i szlacheckie osady, w których przyjmowano członków band polskich. A schwytanych członków band kazałem natychmiast sądzić doraźnie sądom polowym i rozstrzeliwać na miejscu. Na wsi i okolice ich na 10 do 15 wiorstw dokoła, które nie donosiły o pobycie polskich rozbójników do najbliższych komend, kazałem nakładać ogromne kontrybucje. Przekonało to wszystko obywateli, że rząd silniejszym jest od powstania i nie myśli żartować.

Mimo to przybywali do Wilna dla podtrzymania ruchu rewolucyjnego agenci z Warszawy. W sierpniu 1863 r. schwytano ich 10, sądzeni przed sądem wojennym, zostali natychmiast powieszani w Wilnie. W gubernji kowieńskiej głównym działaczem był ks. Mackiewicz, człowiek nadzwyczaj zręczny, czynny, rozumny i fanatyk; posiadał on wpływ niezmierny na lud, bezustannie formował nowe partje i zjawiał się w różnych stronach gubernji. W końcu listopada dopiero przychwycony został przez nasze wojska nad Niemnem, gdy chciał, wobec niemożności podtrzymania już buntu, przedostać się za granicę. Przywieziony do Kowna, został wyrokiem sądu powieszony, a z jego śmiercią ustało powstanie gubernji kowieńskiej. W podobny sposób uspokojono i inne gubernje, objęte płomieniem buntu.

Teraz pozostaje tylko rządowi skorzystać z ciężkiej

nauki i położyć koniec polskim intrygom w krajach zachodnich, uznając je ostatecznie za rosyjskie, nie tylko siłą oręża, lecz moralnem odrodzeniem oddawna w nich przygłuszonych, odwiecznych rosyjskich żywiołów!

## LXX

OBCHÓD TRZECHSETNEJ ROCZNICY UNJI LUBELSKIEJ  
WE LWOWIE

Dziennik Lwowski z dnia 12 sierpnia 1869 r.

Przypadający na dzień wczorajszy uroczysty obchód unji lubelskiej odbył się, mimo wszelkich z różnych stron stawianych przeszkód, w jak najświetniejszy sposób i być może, że właśnie zakaz rządu podniósł uroczystość obchodu.

Przeważną cechą obchodu była powaga i spokój, z jakim uczciła go ludność grodu naszego, która przeświadczona była w całej pełni o doniosłości aktu tego. Od rana już snuły się świątecznie przybrane tłumy po mieście, a mimo, że nie było zakazu ze strony urzędu targowego, przekupnie przenieśli się z rynku na inne miejsca, chcąc i ze swej strony uczcić rocznicę unji jako uroczyste święto narodowe. Sklepy były pozamykane przez całe przedpołudnie, a gdy o 10 godzinie począł padać silny deszcz, znaczna ilość mieszkańców udała się do kościoła OO. dominikanów, gdzie ksiądz przeor miał sumę śpiewaną, której towarzyszyły na chórze śpiewy Towarzystwa Przyjaciół Śpiewu. Po kazaniu odpowiedniem i po odśpiewaniu pieśni „Boże, coś Polskę“ udano się w poważnym pochodzie na Zamek\*). Podczas nabożeństwa, gdy kościół nie mógł wszystkich objąć, liczni zgromadzeni zajęli miejsca przed kościołem i w przyległych ulicach.

Deszcz nawalny nie przeszkadzał pochodowi na Wysoki Zamek, gdzie już wszystko przysposobione było do uroczystego rozpoczęcia sypania kopca. Był tam już ustawiony kamień węgielny, z pracowni pana Filipiego, z herbem Polski, Litwy i Rusi, z napisem: „Polska, Litwa i Ruś, zjednoczone

\*) Góra we Lwowie, zwana Wysokim Zamkiem.

unją lubelską 11 sierpnia 1569“; drugi kamień z napisem: „Wolni z wolnymi“ i „Równi z równymi“. Mnoga liczba ludności z napełnionemi już ziemią taczkami stała w pogotowiu. Poseł Smolka, przewodniczący komitetu zarządzającego, wraz z całym zgromadzeniem odkrywając głowę, wypowiedział podniosłą mowę i zakończył ją temi słowy: „Jako ten, który myśl sypania kopca podniósł, różne trudności zwyciężył, i jako przewodniczący dotyczącego komitetu przystępuję do dzieła i w imię Boga, w imię naszej dobrej sprawy, w imię równości, wolności i braterstwa rzucam pierwsze garści ziemi, a Wy, obywatele, czyńcie po mnie to samo tak długo, aż nie będzie dokonany wspaniały pomnik narodowy, jako symbol widomy łączności narodu w myśli i zasadach, dopiero co wypowiedzianych“.

Poczem rzucił on sam pierwsze garści ziemi na ów węgielny kamień, po nim sypali ziemię reprezentanci rady miejskiej, różnych delegacji i przybyli z wychodźstwa i z różnych ziem polskich ziomkowie. Deszcz lał nieprzerwanie, a ludność ciągnęła w coraz większej ilości na Zamek, a gdy niecierpliwości obecnych nie starczyły taczki, znoszono ziemię w rękach, a kobiety w sukniach. Reprezentowane były wszystkie ziemie polskie. Jeden z wychodźców przyniósł ziemię z grobów naszych wielkich mężów wychodźstwa, a młodzież ruska dorzuciła garść ziemi z pól Sołowijówki\*), gdzie bratnia krew skropiła ziemię ruską.

Okolo pierwszej godziny zebrało się grono obywateli i młodzieży w szwajcarskim domku na Wysokim Zamku na wspólną ucztę. Widzieliśmy tam obok siebie wszystkie stany, synów wszystkich ziem polskich i zasłużonych naszych wychodźców. Była to istna unja, bo każdy, mimo różnicy przekonań politycznych, przepełniony był tą samą myślą i tem samem uczuciem. Po licznych przemowach i toastach odczytał Smolka telegramy, jakie w olbrzymiej ilości nadeszły z rozmaitych miast dawnej Rzeczypospolitej, a także od Polaków, bawiących poza granicami kraju: z Belgji, Francji, Szwajcarii, a nawet Ameryki.

\*) Podczas powstania styczniowego włościanie z Sołowijówki na Ukrainie, podburzeni przez carskich urzędników, wymordowali bezbronnych wysłańców Rządu Narodowego, głoszących zniesienie pańszczyzny.



Wieczorem całe miasto zajaśniało tysiącami świateł; wszystkie ulice były rzęsiście oświetlone. Równocześnie zebrała się w teatrze bardzo liczna publiczność, która przyjęła nieskończonemi oklaskami obraz, przedstawiony na zakończenie wieczoru (Zygmunt August na tronie), jak niemniej poprzednie dwie sztuki narodowe (Krakowiacy i górale, Ukrainka).

Obchód wczorajszy wypadł zatem ku powszechnemu zadowoleniu. Ludność rozumiała doskonale doniosłość rocznicy, którą tak świetnie uczciła.

## LXXI

## PRZEŚLADOWANIE UNITÓW

Sprawozdanie pułkownika Mansfielda, konsula angielskiego w Warszawie, przedłożone rządowi angielskiemu

Warszawa 29 stycznia 1874

Milordzie! Z ubolewaniem przestać muszę W. Ekscelencji wiadomość o ponowionych zamieszkach w powiatach, zamieszkałych przez unitów. W gubernjach lubelskiej i siedleckiej przyszło do rozlewu krwi, utraty życia z powodu prawdziwie barbarzyńskiego obejścia się rządu z ludnością wiejską.

Miałem już zaszczyt w roku 1871 i 1872 obznajomić waszą lordowską mość z polityką rządu rosyjskiego, dążącą do ujednostajnienia praktyk i obrządków kościoła unickiego z praktykami i obrządkami kościoła wschodniego i usunięcia różnych zwyczajów kościoła katolickiego przyjętych przez unitów, terazniejsze zamieszki są dalszym ciągiem tych, o których donosiłem, ale przybrały daleko większe rozmiary. Przed kilkoma miesiącami różni księża unicy przedstawili ks. Popielowi, administratorowi diecezji chełmskiej, że księża, którzy przeprowadzili żądane przez rząd zmiany, są narażeni na nieprzyjemności, a nawet prześladowania ze strony włościan. Rząd w odpowiedzi na to nakazał jak najściślej jednostajność, zniesienie organów, zarzucenie różańców, dzwonka przy mszy, śpiewów polskich i innych szczegółów, zbyt licznych, by je tu wyliczać. Księ-

ża, którzy tego nie uczynili dotąd lub nie chcieli w przyszłości temu się poddać, zostali pozbawieni parafji. Włościanie, którzy mają głęboko wkorzone poszanowanie zwyczajów, w których oni i ich ojcowie byli wychowani, zaprzestali chodzić do cerkwi, a w wielu cerkwiach wyrządzono księżom obelgi. Wezwano pomocy wojska i policji, w jednej parafji trzech włościan zabito, wielu poraniono. W powiecie międzyrzeckim włościanie otoczyli cerkiew i nie dozwolili wojsku wprowadzić księdza, nareszcie włościanie zostali poskromieni i otoczeni wraz z dziećmi i żonami. Dano im do wyboru albo podpisanie, że przyjmują księdza, albo plagi. Gdy podpisać nie chcieli, każdy dorosły mężczyzna dostał pięćdziesiąt, kobieta dwadzieścia pięć, a każde dziecko bez różnicy płci i wieku dziesięć nahałek, a jedna kobieta gwałtowniejsza aż sto. Są wieści o większych barbarzyństwach, ale ograniczam się tylko do faktów, których prawdziwość mogłem sam sprawdzić.

Więzienia w Siedlcach są przepelnione, a że są za szczupłe, trzymają uwięzionych na podwórzach i w szopach, co w tej porze roku i w tym klimacie jest bardzo niehumanitarnym zarządzeniem. Włościanie opuszczają swe majątki, podobnie jak ich rządcy, gdyż włościanie udają się do nich o pomoc i protekcję, a oni ani jednej, ani drugiej nie mogą udzielić bez skompromitowania się.

\* \* \*

Warszawa 12 czerwca 1874

Mam zaszczyt donieść o świeżym ukazie z Petersburga który unitów greckich pod względem małżeństw mieszanych stawia na równi z prawosławnymi, t. j. że dzieci z tych małżeństw muszą być wychowane w obrządku grecko-wschodnim. Ogólne położenie unitów niezmienione, księża, rządowi ulegli, już instalowani. Stosunek ludu z duchowieństwem całkowicie zerwany i lud wstrzymuje się w całości od udziału w służbie bożej po cerkwiach. Włościanie po nocach chowają sami swoich umarłych bez obrzędów pogrzebowych, a mówią, że zaprzestali brać śluby i chrzcic nowonarodzone dzieci. Jestem zawiadomiony, że katolicy księża potajemnie obsługują włościan, lecz, by uniknąć odkrycia, tak jedni jak drudzy przebywają wielkie przestrzenie od 60—70 mil.

To samo działo się na Litwie od roku 1839, w którym gwałtem włościanie zostali zmuszeni przejść na prawosławie. Nie potrzebują wykazywać Waszej wysokości złych skutków, które nastąpić muszą, jeżeli cała ludność włościańska pozbawioną zostanie kierunku duchownego i całe pokolenia wzrosną, dla których publiczna służba Boża będzie znana tylko z tradycji.

## LXXII

## MOBILIZACJA

W. SIEROSZEWSKI: LEGJONY NA POLU WALKI

Piłsudski 5 lipca odbywał w Tyńcu ostatnie doroczne ćwiczenia strzeleckie, wojna stała już na progu.

W budynkach wystawowych w Krakowie, w t. zw. Oleandrach, zaczęły się gromadzić kadry letniej szkoły wojkowej. Tam naznaczony został punkt zborny szybko ściągniętych oddziałów strzeleckich. Zewsząd napływali powołani i gęsto zabłąkitniały mundury strzelców na ulicach Krakowa. W Oleandrach roіło się od młodzieży i szła energiczna robota organizacyjna. Szyło mundury, pasy, przysposabiano tornistry i plecaki.

W pierwszych dniach sierpnia doszło do porozumienia związków strzeleckich z drużynami strzeleckimi, które poddały się bez zastrzeżeń pod dowództwo Piłsudskiego. 3 sierpnia 1914 r. przyprowadził oficer Burhardt-Bukacki do Oleandrów oddział z 74 Drużyniaków w pełnym rynsztunku. Ze Strzelców wybrano taką samą ilość, przeważnie Królewaków. Z magazynów zaczęto wydawać wybranym żołnierzom tornistry, ładownice, manlichery i po dwieście ostrych naboі. Nastrój gorączkowy i wzniosły dosięgnął szczytu.

Po południu zapowiedziano przybycie komendanta. Istotnie koło trzeciej, wśród ustawionych naprzeciw siebie Strzelców i Drużyniaków, pojawił się Piłsudski w strzeleckiej maciejówce na głowie, ze szpicrutą w ręku; przyjął raport i odbył szczegółowy przegląd żołnierzy, poczem wygłosił krótką, energiczną przemowę tej treści: „Odtąd niema ani

Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, którzy tu jesteście zebrani, jesteście polskimi żołnierzami. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowa odznaka nie zostanie wam rozdana, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne odznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najbliższy cień różnicy między wami“.

Po skończonej przemowie oddał swój znaczek naczelnikowi Drużyn, a jego blaszkę przypiął do swojej czapki; wielu z obecnych uczyniło to samo. Wzruszenie było wielkie i powszechne, niedawni przeciwnicy i współzawodnicy ściskali się ze łzami w oczach. Poczem utworzono wspólne szeregi ze wszystkich zebranych w Oleandrach żołnierzy, przemaszowano kilka razy po placu i znowu zestawiono ich w dwa rzędy z bronią u nogi. Piłsudski chodził przed frontem. Zapadał zmierzch — w dali błyszczał Kraków wieczornymi ogniami. Młode twarze strzelców bieleły równym rzędem, jak wykute z marmuru nad ścianą wyprostowanych nieruchomości, oczy ich jeno pilnie śledziły za najmniejszym ruchem naczelnika. Wtem tenże podszedł do grupy oficerów, stojących na uboczu i wydał krótki rozkaz. Jeden z oficerów wystąpił z papierem w rękę i wzruszonym głosem zaczął z imienia i nazwiska wywoływać żołnierzy z rozmaitych plutonów. Wychodzili w pełnym rynsztunku, z bronią na ramieniu i stawali w osobnym ordynku. Cisza zaległa na całym placu tak głęboka, że słycać było przyspieszone oddechy tych, co czekali na swoją kolej. Ze stu trzynastu zapisanych na szkołę podoficerską Strzelców wywołano 98, do nich przyłączyła się równym krokiem cała kolumna Drużyniaków.

— A my? — ozwały się nieśmiałe głosy w pozostałych szeregach.

„Bacność!“

Umilkły głosy. — „Żołnierze! — zaczął nagle Piłsudski surowym głosem. — Spotkał was ten zaszczyt niemały, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idąca

walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów wrócić do stopnia szeregowca, czego, oby nie było... Patrzą na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanję!" Żaden głos nie ozwał się w ciemnych szeregach żołnierzy, ale w zebranej nieopodal publiczności głośno płakano.

Wybraną kompanję natychmiast odłączono od innych. Nocowała w osobnej sali. O 3-ciej godzinie rano przyjechał Piłsudski i zrobił próbny alarm. Dzień następny kadrówka spędziła w koszarach, czyniąc gorączkowo ostateczne przygotowania do drogi.

Tegoż dnia wieczorem, gdy żołnierze jeszcze nie pokładli się spać i, korzystając z ciepła i cudnego blasku księżycowej nocy, błędzili tłumnie po podwórzu, w bramie ukazał się jakiś rycerz na siwym koniu. Był to Belina-Prażmowski, który wracał z wywiadów z Królestwa i prowadził stamtąd pięć koni, zaczątek naszej przyszłej jazdy, oraz wiadomość, że przez śmiały manerw 7 uzbrojonym strzelcom udało się powstrzymać mobilizację w okolicach Jędrzejowa, wypędzić stamtąd władze rosyjskie i straż pograniczną. W nocy z 4-go na 5-go znowu zaalarmowano kadrówkę, ale i tym razem nie poszła do Królestwa. Wyprowadzono ją na ćwiczenia na błonia. Dopiero 6-go o 3-ej rano wyruszyła kadrówka z Krakowa pod dowództwem porucznika Kasprzyckiego. Poprzedał ją maluchny patrol konnicy z 8 ludzi, z których trzech niosło siodła na sobie, gdyż konie mieli dostać dopiero za granicą. Piłsudski odprowadził oddział za miasto, które okrążono cicho i niepostrzeżenie. Polecono oddziałowi zająć Miechów, ale nikt o tem nie wiedział, prócz dowódcy i gdy po dojeździe do szosy za miastem na prawo ku granicy, zwrócono chwilowo na lewo, rozpacz i szemranie wybuchły w szeregach. Okrzyk: „Baczność!“ stłumił je wszakże natychmiast, a wkrótce potem zwrot ku granicy wrócił w szeregach weso-

łość. Pod Słomnikami padły pierwsze strzały. Moskale cofnęli się pośpiesznie, zostawiając jednego zabitego i jednego ranego.

Zaczęła się wojna.

Piłsudski tymczasem ekspedjował z Krakowa II-ą i III-ą kompanję. Udały się one nie wprost, ale drogą okólną na Krzeszowice, gdzie urządzone były składy broni. Wszystkie oddziały skierowano na Miechów. 8-go sierpnia przyjechał tam Piłsudski.

Nareszcie znalazł się on u szczytu swych marzeń, stanął do otwartej walki z odwiecznym dręczycielem i najeźdźcą ojczyzny.

## LXXIII

### POD ROKITNĄ

STANISŁAW ROSTWOROWSKI: SZABLĄ I PIÓREM

W sadzie owocowym na wzgórzu między wsią Rarańcze a Rokitną zebrał się w komplecie dywizjon kawalerji, wyczekując rozkazów. Brakło tylko rotmistrza Wąsowicza, który z powodu choroby zatrzymać się musiał w Sadagórze. 13 czerwca o świcie ordynansowy jeździec przyniósł nam rozkaz odmarszu na pozycję. W kilka minut zebrały się szwadrony z nabytą w ciągu tyłu miesiący wojny sprawnością i pokłusowały wzdłuż samochodów korpuśnego sztabu na pozycje artylerji.

Na polu kwitnącej niebiesko lucerny przyszło nam wśród cudownego słonecznego dnia spędzić parę godzin oczekiwania. Południe mijało, gdy niespodzianie nadszedł z bratem swym rotmistrz Wąsowicz. Głośne „hurra“ powitało jego przybycie. Rotmistrz uśmiechem witał swych ułanów, patrzył po szeregach, czy którego z nich nie zabrakło, a dochodząc do nas zawołał: „Nie szarżowaliście jeszcze? Bałem się, że się spóźnię; to też, choć jeszcze zdrów nie jestem, wróciłem, bom się przez te dwa dni zanadto za wami stęsknił“. Posypały się wesołe rozmowy, dyskusje, dowcipy. Wtem nadszedł ordynans ze sztabu brygady, powołując rotmistrza. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Koniom przyciągnięto pasy, szwadrony

posunęły się o dwa staje naprzód. Na wzgórzu stał rotmistrz ze szefem sztabu i śledził za ruchem jego ręki. Chwilę coś tłumaczył, o coś się pytał, a potem do nas zawrócił i krzyknął: „Na koń!”

Szwadrony ruszyły klusa wzdłuż niedawno wykopanych rowów strzeleckich. Przed nami, o cztery kilometry w dole, ciągnie się wieś Rokitna, przed nią rzeczka — to granica Besarabji. Na lewo o kilka tysięcy kroków las; między lasem a wsią faliste błonie; na niem widać kilka wiatraków. Jedziemy w lewo w kierunku lasu rozwiniętym szykiem. Padł rozkaz: „Rostworowski, Eizerman, Kosowski spatrolują las!” Szwadrony za patrolami jadą klusa, pada komenda: „Dobądź broń!” Pierwszy rząd dojeżdża do rzeczki; konie mimowoli zwalniamy tempo. Spozstrzegł to rotmistrz: „Dla polskiej kawalerji niema przeszkody” — krzyknął i przesadził rzeczkę swą „Chochlą” (tak nazywał się koń rotmistrza). Za nim w trop wszyscy inni, choć brzeg stromy, urwisty.

Dywizjon skręcił w prawo na błonie za wsią. W dali widnieją rosyjskie okopy. A od okopów to tu, to tam odzywa się strzał. Kule zaczynają z rzadka brzęczeć koło uszów. Ruszyły konie „marsz-marsz”, rozwiały się szare ułanki od pędu, zacisnęły silniej dłonie na gardach pałaszy. Zabłysnęły oczy radością. Więc wkońcu nadeszła upragniona chwila, chwila, o jakiej każdy z nas dzieckiem będąc czytał w historii, w powieści, w poezji; więc my jedziemy na ułańską szarżę, więc za chwilę my wpadniemy na wroga, zabłysną szable nad jego głowami i ciąć i rąbać będziemy, co nam kule, co strzały — my jedziemy — polska kawalerja. Rozświeciły się twarze żołnierskie i z sześćdziesięciu młodych piersi krzyk poszedł „Hurra!” A Topór im przewodzi, bo woła: „Naprzód, polskie ułany”, a wtórują mu inni: „Naprzód, stara wiara!”

Chwila dziwna, chwila tak osobliwa, że ten, co ranny wracał ze szarży, mówił mi: „Gdybym wiedział, że w drugiej szarży rękębym miał stracić, przecieźbym pojechał”.

Jechali długim, szerokim rzędem, a równo, jak nigdy na żadnych ćwiczeniach. Kule idą coraz gęściej, jak rój os nadlatujących. Zachwiał się w siodle jeden i padł z konia twarzą do ziemi i na niej bez ruchu pozostał. Kula w czoło trafiła. To

Kubik z trzeciego plutonu, klacz jego kara „Mucha” z rzędu się nie wyłamała, szła bez jeźdźca dalej.

Trafili na pierwszy rów strzelecki. Był pusty; skoczyli rzędem, jak jechali i pogalopowali dalej. Za tym rowem drugi, ale już obsadzony piechotą. Jadą nasi. Tylko, że kule coraz częściej lecą, tylko, że częściej trafiają. Skoczyli przez rów drugi — nie wszyscy. Pod Sokołowskim koń padł, przygniatając go ciężarem. Nadbiegł najbliższy jeździec, wołany o pomoc, odkrzyknął „wedle rozkazu”, dźwignął łeb konia i wachmistrza uratował, sam też dostał kulę. Kapral Sperber ma ich trzy w nodze, porucznik Fąfara jedną, ale bardzo bolesną. Konie ich ubite. Na lewo na wzgórkach osunął się wachmistrz Adamski ze swej „Gorgany”, trafiony w czoło. Padł na wznak, ręce w krzyż rozłożył i tak już pozostał. „Gorgana” jego do wsi lekko ranna wróciła. Byli może i inni ranni, ale tego nie czuli, gdyż rwali naprzód. Osunął się ranny Garbaczewski; koń jego poszedł za innymi, lecz wnet zawrócił do swojego pana i stał bezradny nad leżącym ułanem — jak w bajce, a było to prawdą.

Ci, co pognali dalej, tego nie widzieli. Przed nimi na sto kroków ciągnął się już nie rów, ale darnią kryty okop strzelecki. Sto strzelnic na nich patrzyło, a z każdej wystawał najeżony bagnet. Gęsto było Moskali jak mrowia. Pada salwa jedna, druga, trzecia, dziesiąta. Chwilę zaterkotały karabiny maszynowe, ale głos się zgubił wnet w ciągłym huku broni palnej. To nie kule pojedyncze już szły na jeźdźców i po niejednej koło nich syczało — to szły ich roje, jak jeden przeciągły syk.

W okopie była przerwa. Na wiodącą tam drogę skręcał rotmistrz, skręcili i inni. Nie wszyscy — Łuszczewski już leżał.

Rotmistrz krzyknął: „Poddajcie się!” I stała się rzecz nieoczekiwana. Ci, ukryci w głębokim rowie piechury rosyjscy, których ułani nawet szablą dosięgnąć nie mogli, zdrętwieli na widok pędzących, ręce wzniesli do góry i o zmiłowanie prosili. Okop był zdobyty. Ale z prawej flanki ogień nie zesłabł, owszem wzmógł się jeszcze. Padła Chochła rotmistrza i on sam miał już bok przeszyty. Chcieli go inni ratować. Dał znak ręką, by jechali dalej i tylko żegnał się z nimi. Za

chwile i Włodek trafiony w usta, padł wraz z koniem. Topór teraz prowadził. Za nim wdarła się przez bramę reszta. Kilka koni okop wprost przeskoczyło. Zajechali na Moskali z tyłu, Kuszal jeden dosięgnął ich szablą i już płał piechura w głowę. Krzyknęli znów, że się poddają, a w piersiach tych kilkunastu ułanów, którzy tam dojechali, zbudziło się uczucie triumfu: Zdobyli okopy!

Ale z flankowych rowów porwali się Moskale na bagnety. Padł przebity koń Topora. On bronił się jeszcze rewolwerem i szablą, aż osunął się przeszyty dziesięcioma kulami. Obok zginął Rakowski. Na ten widok Moskale z frontowego okopu znów chwytają za porzucone przed sekundą karabiny. Na dwa kroki dają salwę do ułanów. Ale i tak źle mierzyli. Ranili konie, nie ludzi. Wtem z góry pada szrapnel, kartacz, czy granat; skąd szedł niewiadomo, dość, że padł w środek rosyjskiego okopu i jednym wybuchem zwałił nam pięciu ułanów. Padli i zastygli, dzierząc w dłoniach szable. Upadł wachmistrz Nowakowski, który zmarł w ciągu nocy z 10 otrzymanych ran, upadł z koniem kapral Bokalski, również ranny, który, udając umarłego, dał się obrabować, lecz gdy doczekał się nocy, wypełznął z okopu, uciął kolbą karabinu placówkę rosyjską i przyniósł do sztabu meldunek o rozkładzie rowów. Od dalszych salw rannych zostało dwunastu, zabitych dwu. Ubitych kilkanaście koni zastało pole. Tych kilku, co zostało w siodłach, przeszedł dreszcz. O 100 kroków przed nimi za okopem rezerwy, rosyjskie armaty, ale dojechać do nich nie sposób, bo okop za wysoki i za długi. Pod jego ogniem przejechali, a inni przebiegli drogę do wsi i tamtędy sześciu jeszcze do naszych pozycji wróciło. Gdy mijali ten okop, doszedł ich głos rosyjskich oficerów: „Wot gieroje, mołodcy!“ („O, o bohaterowie, zuchy!“), a z góry były jeszcze na nich szrapnele.

Szarża była skończona. Ustały strzały, ścichły jęki kona-jących i rżenie koni. Planowany atak naszej piechoty odwołano. Opatrzono rannych, starano się doliczyć zabitych. Brakowało ich bardzo wielu. Doktor nasz szwadronowy, nie bacząc na to, że wieś jeszcze nie zajęta, przeszukał wszystkie skrajne osady i chałupy i, jak prawdziwie ułański doktor, opatrzył ludzi i — konie. Ranny wachmistrz Sokołowski dosiadł

jeszcze jednego z nich i powoli wracał na górę do Rarańcz. Gdy ujrzał go brygadjer, zdjął przed siwą jego głową sztabowe czako i zawołał: „Cześć bohaterom!“

Przed świtem dnia następnego Moskale, obawiając się dalszych ataków, opuścili bez strzału okopy pod Rokitną. Gdy tylko doszły o tem meldunki, wyprawiły się patrole 2go i 3go szwadronu i objechały całe pobojowisko. Kto je wtedy widział, będzie je pamiętał aż do śmierci. Z tych skrwawionych zwłok bohaterów, z tych zaciśniętych w dłoniach pałaszy, z tych postrzelanych trupów końskich, rozsypanych tem gęściej, im bliżej ostatnich okopów i pustych dziś pozycji artylerji, bił jeszcze pęd wczorajszego ataku. Zwłoki zabitych zabra-liśmy na wozy, ubrane kwieciami polnem i przewieźliśmy przez granicę do wsi Rarańcze. Pluton pozostałych towarzyszy broni był im eskortą w tej powrotnej drodze.

Dnia 15-go czerwca odbył się żołnierski pogrzeb w Rarańczach. Deputacje komendy korpusu i stacjonujących tam pułków wypełniły cmentarz wiejski. Piętnaście białych, z desek zbitych trumien nieśli na swych barkach ułani, każdą stroiły kwiaty, tylko jedna trumna rotmistrza Wąsowicza okryta była czerwono-białym całunem, a nad nią wznosiło się czako ułańskie i złamana szable.

Kapelan 3go pułku, ks. Panaś, odprawił nabożeństwo za poległych, poczem zwięźle przemówił w te słowa: „Za dusze tych, co wiedząc, że idą na pewną śmierć — poszli, by pokazać, że każdy rozkaz wypełnić potrafią, zmówcie, bracia, Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech...“

A potem z nielicznych szeregów drugiego szwadronu wystąpił wachmistrz Sokołowski, prawnuk tego Sokołowskiego, który padł w szarży pod Somosierrą. Choć ranny, bo ręka zwieszona na temblaku kryje się w fałdach brunatnego płaszczka, choć włos jego siwy — silnym, młodym głosem przemówił: „Oto towarzysze nasi... Choć ból nam serce kruszy, płakać nad ich bohaterską śmiercią nie chcemy. — Jeśli jaka myśl nam dolega, to ta, że na ich czele padli — a dziś tu leżą przed nami nasi wodzowie — nasz rotmistrz Wąsowicz, porucznik Włodek i Topór. To godni spadkobiercy ojców i dziadków z pod Kirchholmu, Somosierry i Ostrołęki. Wystąpi na rosyjskie okopy, wiedzieli, że zginą. Lecz poszli — by udo-

wodnic, że żołnierz polski przed wypełnieniem rozkazu nigdy się nie cofnie, że spełni go, choćby to życiem miał przepłacić. Poszli na okopy, by krwią podpisać miłość do ojczyzny. Niech wiedzą wszyscy, wszyscy wrogowie Polski, do jakich czynów żołnierz — Polak jest zdolny. Ufajmy, że krew nardarmo przelana nie będzie, że zapłaci za nią spełnienie naszych życzeń narodowych, za które oni walczyli i zginęli. Cześć Wam, bohaterscy towarzysze nasi!”

Sokołowski umilkł. I cisza zapanowała na chwilę wśród krzyżów wiejskiego cmentarza. Tylko myśli tych, co żywi jeszcze w mundurach legionów polskich stali, poszły za mocnymi słowami mowcy i tułały się w tej przestrzeni dziejów, śladami przelanej krwi ułańskiej od skał Somosierry aż pod stępy Rokitny i podążyły tam, gdzie mowca je skierował — w mglistą przyszłość naszego bytu narodowego.

Nakoniec wysunęła się z grupy sztabowych oficerów czcigodna postać pułkownika Zielińskiego. Przemawiać on nie chciał — obszedł tylko szereg białych trumien, nad każdą się chwilę pochylił, nazwiska żołnierzy odczytał, rękę porucznika Łuszczewskiego, płaczącego nad zwłokami syna, uściśnął, a choć słowa nie rzekł, odczuliśmy wszyscy tę cichą mowę żalobną. Przy śpiewie narodowych, a tak nieskończenie smutnych pieśni: „Boże Ojczy” i „Z dymem pożarów”, zsuwały się jedna za drugą trumny ułanów w cień białych, świeżo postawionych krzyżów. W kilka dni później otoczyliśmy, korzystając z wolnej chwili, świeże mogiły ciernistym drutem i okryli je darnią. Proste, skromne tablice, przybite do krzyżów, mówią o nazwiskach tam leżących. Długi czas staliśmy jeszcze na tej linii obronnej. Tu powitaliśmy wieści o wyparciu Moskali ze Lwowa, Lublina, Warszawy i Wilna. Czyż trudno się dziwić, że te wiadomości nasunęły raz jeszcze to, od roku prawie tłoczące się już nam do myśli pytanie: „Kiedyż nas połączą?”

## LXXIV

ROZKĄZ KOMENDANTA LEGJONÓW DURSKEGO  
PO BITWIE POD ROKITNĄ

Piotrków, dnia 29 czerwca 1915

Żołnierze-legioniści!

W dniu 13 czerwca roku 1915, pod Rokitną, na polach Bukowiny, nieśmiertelną chwałą okrył się 2-gi szwadron naszej kawalerji.

Garstka bohaterów w sile 60-ciu jeźdźców, otrzymawszy rozkaz, bez chwili wahania rzuca się na pewną śmierć i jak huragan, wśród morderczego ognia moskiewskiej piechoty i karabinów maszynowych przebywa poczwórne moskiewskie okopy, bohaterstwem swoim wywołując podziw wśród wrogów.

Czwarty i ostatni już szereg wrażeń okopów przebyło tylko 6 bohaterów.

Żołnierze! Patrzcie na bohaterską śmierć rotmistrza Dunin-Wąsowicza, poruczników Topora i Włodka i wachmistrzów Nowakowskiego i Adamskiego; patrzcie na ten zastęp walecznych żołnierzy, którzy Ojczyźnie w ofierze młode swe życie złożyli i nowym blaskiem opromienili honor polskiego oręża.

Nieśmiertelna ta szarża 2-go szwadronu staje odtąd godnie obok Somosierry, a imiona dzielnych oficerów i żołnierzy tego szwadronu, tak sławnie za Polskę poległych, złotymi głoskami zapisują się do księgi polskich bohaterów.

Cześć im i sława!

*Durski*

Marszałek polny porucznik

## LXXV

## PO POKOJU BRZESKIM

A. TURZYMA PRUS: PO POKOJU BRZESKIM

Wycofani z linii bojowej staliśmy na Bukowinie, gdy rozszła się wieść o pokoju brzeskim, o oderwaniu

Chełmszczyzny od Polski. Nie chciało się wierzyć, by Austria zdolna była popełnić na nas takie bezprawie — lecz niestety — dzienniki przyniosły potwierdzenie i bliższe szczegóły.

A więc ten kraj, gdzie ojcowie i dziadowie nasi walczyli o wolność narodu i języka, gdzie w jego obronie tyle ofiar padło, tyle łez popłynęło i krwi się polało, gdzie i mnie ośmioletnie, tam na Podlasiu urodzone chłopię, smagał kozak najem za to, że mówiłem po polsku, gdzie mój ojciec cierpiał za nauczanie mnie języka polskiego — ziemia ta miała by odąd nie należeć do Polski?... Dlatego, że tak postanowiła Austria! A, o tę krzywdę upomną się miliony ludzi i potępią podstępne, obłudne państwo. Znakomici polscy mężowie stanu odesłali do Wiednia medale, tytuły i odznaczenia austriackie, naród podniósł protest. I u nas w legionach burzyła się obrażona duma narodowa. Przed sobą i przed społeczeństwem wstyd nam było pozostawać nadal na dotychczasowym stanowisku. Za kampanję karpacką, za stoczonych tam przeszło sto bitew i potyczek w obronie Galicji i za przyrzeczone nam poparcie w odzyskaniu bytu narodowego nie tylko, że nic Polsce dotąd nie dano, lecz przeciwnie oderwano od niej kawał ziemi drogiej nam wszystkim. Takie zlekceważenie naszych zasług bolało nas bardzo.

Zebrali się oficerowie na naradę. Debatowano już nie nad potrzebą, lecz nad formą protestu. Jedni radzili wnieść go na piśmie, drudzy z bronią w ręku, największa jednak część z brygadjerem Hallerem na czele była za tem, aby opuścić obłudną, zdradziecką Austrię i przejść do Muśnickiego. Protest pióra uznano za nieżołnierski.

15 lutego ruszyliśmy, wzięwszy z sobą tylko najważniejsze rzeczy. Niszczono po drodze słupy telegraficzne, podcinając je piłą, przecinano druty telegraficzne, rozbrajano cicho, bez strzału napotykanego po drodze patrole austriackie. Przeszliśmy już połowę drogi, gdy pod Sadagórą, po przejściu pułków przez tor kolejowy, przecinający drogę w tem miejscu, pociąg ciężarowy, powoli wlokąc się i szybując, przerwał nam dalszy pochód. Czekaliśmy tu około dwudziestu minut, zanim minął rampę. Pułki tymczasem odeszły już daleko, straciliśmy z niemi łączność. Konie były tak pomęczone, że padały z osła-

bienia. Przeprężanie koni, odrzucanie w bok zepsutych wozów, łączenie, nawoływanie do porządku, zajmowało bardzo wiele czasu, podczas tego pułki oddalały się od nas coraz bardziej. Ruszyliśmy za nimi pośpiesznym marszem. Doszedłszy do Żuczki, skręciliśmy przed Prutem z szosy głównej na lewo i doszliśmy do toru kolejowego, który łączył Czerniowce z Żuczką. Tor przecinał w tem miejscu drogę prawie pod kątem prostym. Pochód otwierało dowództwo taborów. Około 6 wozów minęło tor kolejowy — nagle rampa zamknęła się, wstrzymując dalszy pochód. W tej chwili od strony Żuczki zajechał pociąg osobowy, złożony z kilku wozów i stanął naprzeciw drogi... a z wagonów wysypało się kilkudziesięciu zbrojnych żołnierzy, zajęło wzgórze przed nami z tamtej strony toru i rozstawiło się w tyraljerkę. Zrozumieliśmy sytuację. „Kto ma broń, za mną!“ — rozległ się głos komendy i z ciemności wysunęło się kilkunastu legionistów, biegnących ku torowi kolejowemu. Tuż przed torem ustawili się nasi również w tyraljerkę. Nim jednak dali ognia, padła na nich salwa, za nią druga, trzecia, czwarta... krótka pauza — potem z obu stron zmieszane strzały karabinowe, powoli rzednące, a w końcu tylko słabe jęki rannych...

Tymczasem zajechał drugi pociąg i znowu wysypał kilkudziesięciu zbrojnych żołnierzy, którzy nieco wyżej od pierwszych zajęli pozycje na wzgórzu. W tej krytycznej chwili brakło nam dowództwa. Pozostali sami młodzi oficerowie, którzy wahali się objąć komendę. Po chwili namysłu zaczęto zbierać ludzi, niektórzy nie mieli broni, inni amunicji, inni tylko po 10 lub 20 naboju! Uplłynęło kilkanaście minut, nim zebrano garstkę żołnierzy, uzbrojonych w karabiny i granaty ręczne. Tymczasem zauważono, że pociąg cofa się ku Żuczce i rozległy się nawoływania, by furmani wrócili do swoich koni i wozów. Już ostatnie wozy minąć mają rampę kolejową, już tylko jeden wóz przegradza nam drogę przez tor — już nasi podnoszą rampę w górę... lecz niestety! z za tego pociągu wysuwa się inny... pancerny; powstaje konsternacja, lecz po chwili — na daną komendę — podbiegają nasi pod pociąg pancerny i rzucają nań kilka granatów. Przerażliwa detonacja wstrząsnęła powietrzem, lecz w tejże samej chwili odpowiedziano salwami z przeciwnej strony, następnie otworzono na

nas piekielną palbę z karabinów maszynowych, trwającą kilkanaście minut. Grzani gęstym ogniem i wystrzelawszy wszystką amunicję, poczęli nasi cofać się i kryć się za wozy i drzewa. Nigdzie jednak nie było pewnej osłony przed pociskami, gdyż pociąg pancerny, posuwając się po torze wprzód i wstecz, brał nas w ogień krzyżowy. Konie wyrwały się z uprzęży, cofały wstecz, lub stawały w poprzek drogi, albo z wozami spadały do przydrożnych rowów. Powstał popłoch i zamieszanie. Na czole taborów skłębiło się wszystko w beładny chaos wozów i koni, a z pociągu pancernego wciąż nas prażono silnym ogniem.

Po kilkunastu minutach zelżało, nieprzyjaciel puścił rakiety świetlną i oglądał dzieło zniszczenia. Smutny widok! Przy pierwszych kilkunastu wozach nie widać było żołnierzy. Część zapewne poległa, część się schroniła, reszta ratowała się ucieczką. Dokąd?... Biegną w pola na prawo i lewo od drogi, lecz i do nich strzelają Austriacy, oświetlając pole rakietami. W świetle raz po raz puszcanych rakiet widać było na niewielkim wzgórzu naprzeciw nas stojące austriackie kompanje szturmowe, które roztaczając skrzydła, okrążały nas z prawej i lewej strony i spychały ku potokowi. Pierwsze ich szeregi dotarły do naszych wozów i rzuciły się jak bandy na rabunek. Bagnetami otwierano skrzynie, kufrы, kuferki, rozbijano kasy, rabowawano wszystko, co tylko unieść się dało.

Jak rozbitki cofaliśmy się powoli do mostu. Po drodze spotkałem kapelana naszego, ks. Panasia. Karcił właśnie żołnierzy za to, że się gromadzą w „kupki“. — „Rozejdźcie się — wołał — bo was wystrzelają, jak kaczkі!“ Lecz nikt go nie słuchał. Wszystkich opanowała jakaś dziwna apatja, rezygnacja. Zauważyliśmy, że Austriacy systematycznie nas okrążają. O przebicіu się już nikt nie myślał. Ratować się ucieczką? Jak i dokąd?... Byliśmy zewsząd otoczeni mrowiem jakby z pod ziemi wyrastających żołnierzy. Coraz ciasniej zamykały nas szturmowe kompanje. Ruszyliśmy w stronę mostku, ale zastąpił nam drogę oddział węgierskich żołnierzy, którzy skierowali na nas karabiny, gotowe do strzału. Ópasano nas podwójnym kordonem i popychając kolbami, klnąc i wyzywając, prowadzono do Czerniowiec. W komendzie stacji, na korytarzu roztawiono żołnierzy z karabinami gotowemi do strzału i po

dwu wprowadzano do izby, gdzie odebrano nam broń i zapisano nazwisko każdego. Około godziny pół do trzeciej wprowadzono nas na podwórze koszar. Zimno było przenikliwe. Całe podwórze koszarowe napełnione było żołnierzami i oficerami. Niektórzy tak byli fizycznie wyczerpani, że siadali na ziemi, inni zajadali chleb ze słoniną. Około pół do siódmej rano dały się słyszeć odgłosy strzałów armatnich, potem detonacja granatów ręcznych. „To zapewne nasze pułki, przeszedłszy szczęśliwie granicę, torują sobie dalszą drogę“ — szeptało; wierzyliśmy w ich powodzenie, poszli przecież w imię najlepszej sprawy. A my, co mamy przed sobą? Za kilkanaście godzin wyprowadzą nas w pole, oficerów stracą, żołnierzy zdziesiątkują, resztę umieszczą w lochach lub w najlepszym razie wcielą do armji austriackiej.

Około 7 rano wprowadzono nas do izby koszarowej. Byliśmy tak pomęczeni, żeśmy się na nogach ledwo utrzymać mogli. Bolesny cios zadała nam wiadomość, przyniesiona przez oficera naszej artylerji, że prawdopodobnie cała artylerja dostała się do niewoli austriackiej, gdyż w chwili przechodzenia pułków przez granicę znajdowała się jeszcze daleko od Rarańcz. Doszła bowiem tylko do Sadagóry, a komendant Zagórski, widząc bezcelowość walki, poddał się.

Po upływie niejakiego czasu wszedł oficer węgierski i zawiadomił nas, że za kwadrans odmarsz. Ustawiono nas w czwórki, przeliczono raz i drugi, otoczono eskortą kompanji szturmowej i wyprowadzono nieludnymi uliczkami.

Oficerowie węgierscy zachowywali się względem nas coraz brutalniej, nie szczędząc wyzwisk i przekleństw i zapowiadając z szyderczym zadowoleniem, że wkrótce odbędzie się „egzekucja“. Byliśmy na to przygotowani, woleli to, niż długą poniewierkę w więziennych norach. Poprowadzono nas przez most, oddano nowej eskorcie i opuściliśmy Żuczkę. Odbyliśmy już kilka kilometrów drogi. Przed nami zamajaczył oddział żołnierzy. Dopędziliśmy ich wkrótce. Byli to też legjoniści, równie jak my eskortowani. Złączyliśmy się i jednolity pochód ruszył w dalszą drogę.

Rozbrojonych, pod bagnetami, jako zdrajców i przestępców, prowadzono nas naprzód. Pierwszy nocleg był w Mama-jowcach. Tu oddzielono żołnierzy od oficerów, których umiesz-



czono w dwu małych pokoikach, bez szyb i mebli, po dwudziestu kilku do jednej izby. „Koledzy! — przemówił rotmistrz Torma — niech odtąd modlitwą naszą ranną i wieczorną będzie rota Konopnickiej. Zaczniemy od dziś“. I zdjawszy czapkę zanucił znaną pieśń: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“. Po odśpiewaniu pieśni pokładliśmy się w ubraniach na podłodze. Nad ranem obudził nas żołnierz, pełniący wartę, przynaglając, byśmy się szybko zbierali, gdyż przyjechał sąd i będziemy przesłuchiwani.

Pierwszy przesłuchiwany był kapitan Gorecki, który opowiadał obszernie o tworzeniu legjonów, o ich myśli przewodniej, o przeznaczeniu i walkach po stronie Austrii. Nie zamilczał o zobowiązaniach rządu austriackiego względem Polski, o niedotrzymaniu tych zobowiązań, o rozgoryczeniu z tego powodu i t. d.

Mijały dni. Siedzieliśmy ciągle na miejscu. Austriacy nie troszczyli się zupełnie o wyżywienie nas i głód zaczął nam dokuczać. Wreszcie pewnego dnia ustawiono nas w czwórki i poprowadzono na dworzec kolejowy, dokoła którego gęsto rozstawiono warty. Od komendanta dworca kolejowego, krewnego brygadiera Hallera, dowiedzieliśmy się, dopytując o jego losy, „że Austriacy Hallera w swoje ręce już nie dostaną“. Rozdano nam jako zaprowiantowanie na drogę konserwy, po puszcze na cztery osoby. Ulokowano w każdym przedziale po pięciu i jako eskortę jednego żołnierza z karabinem. Na dworcu w Kołomyi owacyjnie nas witały tłumy zgromadzonej publiczności. Stąd powieziono nas na Węgry. Około godziny trzeciej po południu zatrzymał się pociąg w Huszt. Kazano nam wysiąść, pozwolono zatrzymać przy sobie jedynie koc, chusteczkę i ręcznik, a resztę rzeczy kazano złożyć na ziemi i poprowadzono nas do miasta.

Huszt nie był obcym dla legjonistów. W r. 1914 stawały tu nasze oddziały skuteczny opór Rosjanom, oczyściły okoliczne miasteczka z oddziałów kozackich. W Huszt kwatrowali nasi przez pewien czas i byli przez Węgrów gościnnie podejmowani. To też ludność, przypatrując się nam, prowadzonym pod eskortą, nie rozumiała, co zająć mogło. Za miastem zatrzymano nas. Żołnierzy poprowadzono do baraków, oficerom wskazano przybudowany przy szkole drewniany bu-

dynek. Była to jedna izba, niska, wąska a długa, o małych okienkach z sufitem skośnie nachylonym ku podwórzu; stał tu jeden stół zwykły, drewniany i dwie ławy. Za chwilę wszedł porucznik węgierski, oznajmił nam, że będziemy traktowani jak więźniowie, poczem oddać każdemu wszystko, co ma przy sobie. Gdy rzeczy były złożone na stole, porucznik sam przeszukiwał wszystkie kieszenie zewnętrzne i wewnętrzne. Była to scena nader upakarzająca, a byliśmy wobec tego bezsilni. Rewizja trwała do późnego wieczora. Następnie wprowadzono nas do małego domku przy głównej drodze. Weszliśmy do ciasnej, kwadratowej izby, cztery metry długiej i tyle szerokiej, gdzie na wstępie uderzyła nas woń zgnilizny i wilgoci. Chcieliśmy otworzyć okna, ale straż nie pozwoliła, a gdyśmy otwarli i prosili, by choć chwilę zostawiono otwarte, żołnierze, nierozumiejący języka niemieckiego, ani żadnego słowiańskiego, gwałtownie krzycząc, sami okna zamykali. Usiłowaliśmy zapalić w piecu, ale ogień gasł i dym duszący szedł z pieca na izbę. Dopiero jeden z oficerów oczyścił piec i powoli zaczęło się powietrze ogrzewać, ale wilgoć przenikała do kości i nie pozwoliła usnąć. Wogóle na opał i obiad stale czekaliśmy godzinami całymi. Domki, w których nas umieszczono, otoczone były wartą, a dostęp od drogi odgradzono drutem kolczastym. Żołnierzy pomieszczono w barakach ciemnych, ciasnych, o małych okienkach. Pożywienie podawano złe i niedostateczne, początkowo tylko raz dziennie. Żołnierze cierpieli głód, gdyż większość, nie mając pieniędzy, nie mogła sobie nic kupić.

Tymczasem społeczeństwo zaczęło masowo przysyłać dary dla więźniów, a często specjalnie wysłane delegacje przywoziły te dary. Do baraków wstęp był jednak wzbroniony, a bardzo ograniczone było pozwolenie widywania się z więźniami. Złe warunki higieniczne, brak dezynfekcji, zła woda, brud sprawiały, że zaczęły się szerzyć choroby.

Część żołnierzy po przesłuchaniu odesłano na front włoski. Po ukończeniu przesłuchania oficerów i żołnierzy wyznaczono czas rozprawy. Ponieważ największa sala, jaka była w Huszt, okazała się za małą, naczelną komendą armii wydała rozkaz przewiezienia oskarżonych i świadków do Marmarosz Sziget. Rozpoczęła się tam rozprawa sądowa, trwająca

około 5 miesięcy, zakończona abolicją\*), po której zwolnieni więźniowie odjechali do Warszawy i wstąpili tam do armii polskiej, aby służyć dalej odradzającej się ojczyźnie.

## LXXVI

## OBRONA LWOWA W LISTOPADZIE 1918 R

JERZY WĄSOWICZ: LISTOPAD 1—22 WE LWOWIE

Podstępnie, pod osłoną nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r., pod wstydliwie ukrywanym protektoratem władz austriackich, wykonany został przez Rusinów zamach na Lwów. Nocy tej opanowali Rusini koszary lwowskie, dostali w ręce swe nagromadzoną tam broń, zajęli gmachy publiczne.

Ranek 1 listopada okazał Lwowianom nie tylko żółtoniebieskie chorągwie na ratuszowej wieży, ale w ślad za tem przed łańską katedrą kałużę krwi polskiej niewinnych ofiar bezmyślnej, a zbrodniczej strzelaniny ukraińskiej. Strzelanina ta, przez przeciąg trzech tygodni — bo tyle trwały „rządy ukraińskie“ we Lwowie — porywała codziennie szeregi ofiar z pośród zupełnie spokojnej ludności miasta, nie oszczędzając działwy.

Do obrony godności narodu i całości Polski porwała się garstka zarówno tych, których młody wiek uchronił przed służbą w wojsku austriackim, jak i byłych żołnierzy armii austriackiej i legionów. Stali się oni żołnierzami zmartwychwstałej Rzeczypospolitej, pierwszymi jej walczącymi żołnierzami, którzy z piersi własnych zbudowali barykadę na obronę świeżej naszej, dopiero co, po niewymownych cierpieniach czteru lat wojny, w blasku zwycięstwa koalicji zrodzonej niepodległości. Naczelną komendę całej akcji złożono w ręce Czesława Mączyńskiego, profesora gimnazjalnego który przez czas wojny pełnił jako kapitan służbę w szeregach armii austriackiej.

Ze względu na ważność dworca głównego i magazynów

\*) zaniechaniem procesu.

broni, tamże umieszczonych, postanowiono skoncentrować siły polskie w zachodniej części miasta i tę przedewszystkiem opanaować. Punktami, które od pierwszej chwili ześrodkowały siły zbrojne, była szkoła Sienkiewicza i Dom techników, które bohaterko stawiały czoło natarciu band ruskich. Niestłuchanie śmiało napadami zdobyła młodzież nieco broni, gdyż niemal z gołymi rękami porwali się „chłopcy“ do walki z wrogiem, a nawet jakiś chłopak porwał auto wojskowe, pierwszy samochód lwowskich wojsk polskich. Huk karabinów rozbrzmiewa i rośnie przez całą noc i drugi listopadowy dzień, a równocześnie rośnie we Lwowie trwoga i niepokój, czy oprze się bohaterska garstka nawale wrażej czerni, co nieustannie paliła z karabinów i rewolwerów, a od stóp do głowy uzbrojona, przewalała się w ciężarowych automobilach po ulicach miasta.

Przechodzące ludzką miarę wysiłki oręza polskiego uwieńczone zostały szeregiem walnych sukcesów. Od dworca głównego po technikę zachodnią połączyć miasta nieodwołalnie przeszła w polskie ręce. Naczelna komenda powołała pod broń mężczyzn do 35 r. życia, skupiwszy ich następującą rolą przysięgi:

„Przysięgam uroczyście, że przyjęte na siebie obowiązki żołnierza spełnię zawsze i wszędzie z całą sumiennością, bez względu na trudności i przeszkody, choćby z narażeniem zdrowia i życia własnego. Nie zaniedbam niczego, ażeby przyczynić się wszelkimi siłami do utrzymania ładu i porządku, być wzorem karności i posłuchu żołnierskiego, wogóle przysięgam nie zaniedbać nigdy niczego, aby jak najwyżej wzniesć świetny zawsze sztandar bojownika za wolność, niepodległość i całość Polski. Hasłem mym będzie: Bóg i Ojczyzna. Tak mi dopomóż Bóg!“

Niezapomnianą dla wszystkich uczestników walk lwowskich będzie ta chwila, kiedy usłyszano pierwszy strzał własnej, na wrogu zdobytej armaty i choć kule szmatami owijano, bo kaliber nie odpowiadał, choć łuski obcinać musiano i choć prędko odmówiły one służby z powodu zagwoźdżenia, mimo to świadomość, że tam stoją armaty, podniosła znacznie ducha żołnierzy własnych, a zmniejszyła siłę naporu wroga. A czy zapomni ktokolwiek z uczestników onych — najczęściej noc-

nych — wypraw, wyłącznie celem zdobycia armat nieprzyjacielskich lub amunicji nakazywanych, gdy major artylerji jako szeregowiec z karabinem walczył, a w odwodzie miał gotowe zaprzęgi, celem natychmiastowego uwiezienia cennej zdobyczy? W warsztatach, w mgnieniu oka do olbrzymich wprost fabryk rozrostłych, naprawiano je, uzupełniano, przewiercano i dostosowywano amunicję, by często w najbliższym dniu ziać mogły ogniem swym na napierającego wroga. Ten tylko, kto własnymi oczyma oglądał ów rozwój, może ocenić ogrom włożonej w to pracy, energii i siły ducha, on jeno zrozumie, co znaczy zapal z siłami się nie liczący. Najlepszą pochwałą — zestawienie cyfr i dat samych. Pierwsza armata oddała strzał swój w siódmym dniu walk o polski Lwów, a pod koniec tych zmagañ szalonych mieliśmy sześć baterji, mieliśmy minierki, mieliśmy działa w warsztatach jeszcze naprawiane. Wszystko zaś zdobyte w boju.

Ciężkie te walki prowadzić musiała Komenda przy tak dotkliwym braku liczniejszych sił, że o rezerwie mowy być nie mogło. Gdy na froncie panował chwilowy spokój, zabezpieczano ściągniętym chwilowo żołnierzem tyły — gdy jedno skrzydło szło w ataku, lub było silniej atakowane, wzmacniać je można było tylko żołnierzem, dorywczo z innego skrzydła wycofywanym — przerzucaniem sił uzupełniać wypadało braki. Jakąż więc dumą napawało Komendę utworzenie przez nią nareszcie rezerwy, nareszcie, bo w szesnastym dniu walki. I to nie byle jakiej, bo ta ogólna rezerwa całej armji walczącej liczyła aż trzydziestu ludzi i komendanta. Tak i takimi siłami walczył polski Lwów w listopadzie 1918 r.

Opisy Sienkiewiczowskie błędną i maleją wobec bohaterstwa obrońców Lwowa — oto sąd, wydany przez wodza, który temu bohaterstwu swych podkomendnych przypisać chce całą zastugę wyzwolenia miasta. „Jak lwy porwali się do broni, a wobec ich męstwa i pogardy śmierci błędnie sława termopilejskich zwycięzców“ — temi słowy senat uniwersytecki da prawdziwe świadectwo, gdy w piśmie swem z dnia 4 grudnia złoży na ręce komendanta Mączyńskiego, „pod którego znakomitem i niemylnem dowództwem wyrwało ono Lwów z rąk nieprzyjacielskich“, całemu wojsku wyrazy najgorętszej po-

dzięki i najgłębszej czci. Skąd się wzięły, skąd rekrutowały takie zastępy?

W pierwszym rzędzie dał je Lwów, co od wieków „przysporzycielem“ był Polski: „lwowskie dzieci i kobiety odbiły miasto“ — to ogólne powiedzenie zawiera w sobie wiele prawdy. Udział młodzieży, chłopców i dziewcząt nawet, tudzież kobiet, był bardzo znaczny. Lecz bili się i mężowie, częstokroć żołnierze, co po czteru z górą latach wojennego znoju nie znaleźli i teraz jeszcze we własnej izbie wypoczynku, lub odcięci od domu i swoich linją bojową, z bronią w ręku torowali sobie drogę. Bili się i cywilni, między nimi i starcy... Walczył inteligent, mieszczanin, student, robotnik, chłop. Wszystkie stany zeszyły się w okopach, w których ramię przy ramieniu znajdowali się i wyrobnicy dzienni i wyżsi urzędnicy. Zejdą się w jednym szeregu wyrobnik z profesorem, wiecznie pykającym z nieodstępnej fajeczki, profesor z uczniem 14-letnim Tadzim Jabłońskim, którego jasne oczęta napróżno patrzają, czy linja nie przesuwają się na jego ulicę, do domu, do „mamy“, w którego płowej główce zawodne snują się myśli o chwili powrotu do niej — bo nie zobaczy jej już nigdy!

Nie wystarczała kobietom praca pełna poświęcenia i niebezpieczeństw, jakiej w bród miały sanitariuszki; biorą na swe barki ciężką a odpowiedzialną służbę wywiadowczą, a przedewszystkiem kurjerską. Jako kurjerki okazały się elementem zawsze karnym, bezwzględnie sumiennym i zasługującym na pełne zaufanie. Od pierwszej chwili przechodzą przez linję ognia gęsto rozstawionych wedel ukraińskich, aż do ostatniego dnia — 21 listopada, w którym śmiertelny pocisk ugodził jedną z tych nieustraszonych kurjerek, Sulimorską. Wreszcie znajdujemy kobiety także w szeregu walczących, z karabinem w ręku, wskrzeszające tradycję Plate-równiej i Pustowójtówniej. Z przeróżnych sfer rekrutowały się te, teraz dopiero na widownię wojny występujące „legjonistki“: są między nimi słuchaczki uniwersytetu, konduktorki tramwajowe, obok „panienek z dobrego domu“ robotnice i córki dozorców. Kobieta stała się żołnierzem.

Dzień 31 października sprowadził do Lwowa przedstawicieli stowarzyszeń studenckich z całej Polski, bo pierwszego listopada rozpoczynały się obrady zjazdu wszystkich organi-

zacyj polskiej młodzieży akademickiej. „Warszawa, Kraków, Lwów, Kijów, Moskwa“ są wymienione pod uchwałami zjazdu, ogłoszonymi w polskich dziennikach lwowskich 3. XI. Zjazd naleźycie ocenił zamach, dokonany przez t. zw. „radę narodową ukraińską“, jako akt gwałtu, godzący w najistotniejsze interesy olbrzymiej większości mieszkańców Lwowa, który nigdy nie wyrzeknie się przynależności do państwa polskiego, a „rząd ukraiński“ jako samozwańczy. Zjazd ten wezwał całą młodzież akademicką, by stanęła w karnych szeregach na stanowisku nieugiętej obrony pełni praw, jakie nam się w tym kraju należą. To też niedługo trwał zjazd. Już po kilkugodzinnych obradach udali się jego członkowie na miejsce walki i przez trzy tygodnie bez przerwy stawiali czoło wrogowi. Niemal wszyscy byli ranni. Rozległe ziemice polskiej Rzeczypospolitej były więc szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastąpione w walce Lwowa o zrzućenie jarzma, co niespodzianie nań spadło. Przynależność Lwowa do Polski zaraz w pierwszej chwili jego powrotu do Macierzy zadokumentowano najdokładniej tym węzłem wspólnie przelanej krwi.

Akcję o uzyskanie pomocy zbrojnej wszczęła Naczelna Komenda już w pierwszej chwili, chcąc doraźnem działaniem oszczędzić narodowi krwi, a miastu walk i pokonać wroga jak najrychlej, nim ściągnie swe siły. Lecz nie prędko zjawiły się posiłki. Odbicie Przemysła 12 listopada, to pierwszy etap śpieszącej pomocy, dla której nastaly pomyślniejsze warunki. Od szóstej rano 18 listopada trwał Lwów pod znakiem zawieszenia broni. Miało się skończyć po dwóch dniach, ale zawieszenie to zostało przedłużone na całym lwowskim froncie o godzin 24, t. j. do dnia 21 listopada godzina szósta rano. Tymczasem wystannik polskiego Lwowa odbywa w polskim już Przemysłu konferencję z podpułkownikiem Tokarzewskim, w rezultacie której uzyskuje jego zgodę na szybsze wysłanie odsieczy dla Lwowa. Od 18-go leżał w Naczelnej Komendzie już w najdrobniejszych opracowany szczegółach plan ataku z dyspozycją, uwzględniającą oczekiwane posiłki. To też gdy pod wieczór 20 listopada w kwaterze lwowskiej komendy zjawił się Tokarzewski, dowódca oddziałów ekspedycyjnych, które świeżo po przemyskich bojach nie zawahały się przed ryzykowną drogą przez kraj, zalany wrogami wojskami i szczęśliwie ją prze-

były, było już wszystko na najlepszej drodze. Tokarzewski przyjął plan Lwowa bez jakiegokolwiek zmiany zasadniczej. Nie znało miasto Lwów planów komendy — pierwsze strzały armatnie, które zagrzmiały punktualnie o 6-tej rano 21 listopada obwieścily mu tylko ostateczny koniec zawieszenia broni. A gdy zaraz potem odezwał się przeraźliwy odgłos bitew i szalał przez długie godziny, gdy bez przerwy huk dział wstrząsał miastem, zewsząd dochodził szum pocisków armatnich i świst kul, gdy nieustannie terkotały kulomioty i wciąż biły salwy karabinów — zamario życie w mieście, w którym co tylko czuło po polsku, radowało się głośnemi przejavami naszej siły, a wszystko, co żyło, wsłuchiwało się z nadzwyczajną uwagą w straszną orkiestrę walki. Lwów pogrążył się w milczeniu i dumaniu niespokojnem, czyje to armaty tak szaleją, czyje biorą górę. W myśl planu Naczelnej Komendy, która zawsze stała na stanowisku oszczędzania miasta i unikania walk ulicznych, jako wymagających zbyt wielu ofiar, atak postępował krańcami miasta, okrążając je od południa, od północy i w kierunku wschodnim. Kawalerja zaś lwowska i ekspedycyjna osłaniała tyły piechoty od wschodu, pociągi pancerne: lwowski i przemyski otrzymały osobne dyspozycje, w myśl których przemyski miał dotrzeć na Podzamcze, lwowski zaś, osłaniając flanki i tyły, dotarł w znakomitym wypadzie przez Persenkówkę i Sichów do Starego Siola. Lotnicy pomagali w walkach pod Wysokim Zamkiem.

Zapadł prędko zimowy wieczór 21 listopada i pokrył mrokiem krwawą dnia tego robotę. Wynikiem jej było okolenie Ukraińców, dla których jedynie północny-wschód był otworem dla odwrotu. W czas też zaczęli zeń korzystać. Pierwsza godzina w nocy przyniosła Naczelnej Komendzie raporty o wycofaniu przez Ukraińców oddziałów w śródmieściu. Komendant przydzielił wówczas połowę swej całej rezerwy, t. j. 50 ludzi porucznikowi Abrahamowi z rozkazem uderzenia w kierunku teatru i rynku. Przed trzecią zajęty był teatr i odwach; na wiadomość o tem wszystkie grupy otrzymały rozkaz atakowania naprzód. Miejskami stawiali jeszcze Ukraińcy silny opór, ale nic już nie mogło odwrócić ich klęski. O piątej rano zdjął Abraham ruskie chorągwie z wieży ratuszowej, dając w zamian jedynie jej należny biało-czerwony sztandar.

Na zdobytej przez nas cytadeli powiewał takż sam sztandar — a za niemi dalsze w całym mieście. Rankiem o szóstej, objechawszy całe miasto, które dzięki żelaznej jego woli i prowadzonym przezeń walkom ubiegłych tygodni, odzyskało wolność, wypisał Mączyński ostatni swój komunikat: „Opanowaliśmy dziś nad ranem całe miasto“.

Zwycięstwo to, które radością nappełniło serca nie tylko Lwowa, jęczącego przez trzy tygodnie pod najstraszniejszymi prześladowaniami chwilowych władców grodu, ale i całej Polski, okupione było zgonem kwiatu młodzieży. Poległo młodzieży lwowskiej niestety wielu... Słabym jej dłoniom dała Sprawa nieprawdopodobną moc i dzielność. Wśród żołnierzy, którzy szczerze się odznaczyli, olbrzymi jest odsetek młodzieży. Złożyły się nań i młodzież rękodzielnicza i ucząca się w naukowych zakładach Lwowa, co najlepszym dla nich świadectwem, że choć dwugłowe ciążyły nad nimi orły, duch w nich był polski. Stawała młodź nasza do szeregu, mimo że jej, jak św. pamięci Jabłońskiemu, przekradać się było trzeba przez linję bojową, szła w bój, który nie tylko Tadzia odebrał Mamie na zawsze. Pokryły się ulice Lwowa całym mnóstwem świeżych mogił, kryjących zwłoki młodzieńskich bohaterów.

I w tej jeszcze chwili ciągle młodzi, co przyszłość naszą stanowią, oddają swe życie i rzucają swe istnienia, niby kwiaty purpurowe, do stóp powstającej z mar Polski. Niechżeż każde polskie dziecko dowie się o Nich, i uczy się o Nich, i o tem, jak ciężko Polska okupiona — a od Nich niech się nauczy, jak Ją kochać należy.

## LXXVII

### PIERWSZY SEJM WOLNEJ, ZJEDNOCZONEJ POLSKI

Gazeta Lwowska z 11 lutego 1919

Dziewiątego lutego 1919 r. od wczesnego ranka gromadziły się w Warszawie, na ulicach wiodących do katedry św. Jana i na ulicach prowadzących z Belwederu do katedry, tłumy

publiczności. Wzdłuż ulic ustawiono specjalny kordon wojskowy. Porządku pilnowała milicja. Przed katedrą ustawiono kompanję honorową. O godzinie 10-tej rano poczęły przybywać do katedry cechy ze sztandarami, osoby i przedstawiciele instytucyj, zaproszonych na nabożeństwo. Po godzinie 10-tej prezydent ministrów Paderewski z ministrami zjawił się w Belwederze, skąd ministrowie, prezydent Paderewski i Naczelnik Państwa Piłsudski udali się w powozach i automobilach do katedry. Za nimi jechały powozy, wiozące posłów, generalicję, korpus oficerski, członków misji angielskiej i amerykańskiej, konsulów obcych państw przebywających w Warszawie, delegatów Komisji Rządzącej ze Lwowa, członków Rady Ludowej z Poznania i Śląska, Spizu i Orawy. Wszyscy udali się przez zakrystję do katedry i zajęli miejsca w prezbiterjum. Przybyli najwybitniejsi delegaci miast Warszawy, Lwowa, Poznania i Wilna, oraz przedstawiciele najważniejszych instytucyj krajowych i t. d. Posłowie zajęli miejsca w głównej nawie, za posłami zajęli miejsca przedstawiciele instytucyj i urzędnicy państwowi. W kilka minut po godzinie 11 weszli do katedry Paderewski i Piłsudski. Orkiestra, ustawiona przed katedrą, zagrała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“. Ministrowie zajęli pierwsze ławki przed wielkim ołtarzem, obok nich zajęli miejsca członkowie misji angielskiej i francuskiej. Piłsudski usiadł na fotelu wysuniętym ku ołtarzowi, obok niego Paderewski, opodal ołtarza zasiedli dostojnicy kościelni. Po uroczystem nabożeństwie i kazaniu odbyło się poświęcenie gmachu sejmowego.

Pierwsze inauguracyjne posiedzenie sejmku odbyło się dnia 10 lutego o godzinie 11 rano, a dzień ten otwarcia sejmku ustawodawczego ogłoszono jako święto narodowe. W sali posiedzeń zebrali się w komplecie posłowie, ławę ministrów zajęli członkowie gabinetu z prezydentem Paderewskim na czele. W łóżach dyplomatów zasiedli posłowie państw obcych i misje angielska i francuska.

Na trybunę mowców wystąpił Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, witany długotrwałymi oklaskami i odczytał następujące orędzie:

„Półtora wieku walk krwawych, nieraz ofiarnych, znalazło swój triumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wol-

nej Polsce doczekało się swego ziszczenia w ostatniej chwili. Dziś mamy wielkie święto Narodu, święto radości po długiej, ciężkiej nocy cierpień. W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwarcia sejmu polskiego, który znowu w domu ojczystym jest jedynym panem i gospodarzem.

Radość dnia dzisiejszego byłaby stokroć większa, gdyby nie troska, że zbieracie się panowie w chwili, niezwykle ciężkiej. Po długiej, niszczącej wojnie świat cały, a z nim i Polska czeka z tęsknotą i upragnieniem pokoju. Tęsknota ta dziś w Polsce ziścić się nie może. Synowie ojczyzny muszą iść, aby bronić granic, zabezpieczyć Polsce swobodę rozwoju. Sąsiedzi nasi, z którymi pragniemy żyć w spokoju i zgodzie, nie chcą zapomnieć o wiekowej słabości Polski, która tak długo stała otworem dla najazdu i była ofiarą narzuconej obcej woli, przemocy i siły. Nie chcemy się mieszać do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, aby pod pozorem choćby rzekomego dobrodziejstwa naruszano nasze prawa do samodzielnego życia. Nie oddamy ani piędzi polskiej ziemi i nie pozwolimy, aby uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo. Jasną stroną naszych stosunków zewnętrznych są węzły przyjaźni z państwami koalicji. Łączyły Polskę z państwami temi już dawniej głębokie sympatje, które spotęgowały się, gdy państwa te zdruzgotały ostatnią potęgę naszych ciemieńców i wyzwoliły Polskę z niewoli.

Panowie, obdarzeni zaufaniem narodu, zeszlście się dziś tu, by dać narodowi podstawy do niepodległego życia w postaci prawa konstytucyjnego. Prawa, przez was uchwalone, będą początkiem nowego życia wolnej i zjednoczonej Ojczyzny polskiej. Polska, otoczona zewsząd przez wrogów, posiadać musi armję, któraby sprostaa ciężkim zadaniom. Wy macie poprzec i rozwijać rozpoczętą budowę wojska, aby Ojczyzna, osłonięta piersiami żołnierzy, mogła się czuć bezpieczną i przeświadczoną, że honoru jej i praw broni silna i dobrze wyposażona armja. Musicie też panowie zwrócić uwagę na niedomagania naszego życia gospodarczego, zrujnowanego silnie przez wojnę i okupację. Należy się też zająć sprawą niezbędnych reform agrarnych. Życząc panom

powodzenia w trudnej i odpowiedzialnej pracy, ogłaszam pierwszy Sejm wolnej, zjednoczonej Rzeczypospolitej za otwarty“.

## LXXVIII

### MOWA PADEREWSKIEGO NA SEJMIE W DNIU 20 LUTEGO 1919

Gazeta Lwowska z 25 lutego 1919

#### Wysoki Sejmie!

Zanim przystąpię do zdania sprawy z mego krótkiego urzędowania, niech mi wolno będzie wypowiedzieć kilka słów wstępnych. Stawam przed wami, wybrańcy narodu, przed wami, na tej polskiej ziemi władni gospodarze, z sercem wzruszonym, składam wam ukłon głęboki, ale nie bez dumy. Bo oto dzisiaj w tej wolnej Warszawie, gdy sejm polski obraduje po wielu latach, pierwszy sejm polski odrodzonej Rzeczypospolitej, każdy z Polaków dumny być powinien, że nareszcie wolno mu kornie uchylić czoła przed własną władzą narodu. Wszyscyśmy dumni, lecz strzeżmy się pychy. To, cośmy dzisiaj posiadli, z czego czujemy się dziś szczęśliwymi, to nie jest wyłącznie naszą tylko zdobyczą. Siggali po to nieustannie i nieustraszenie ojcowie i praoojcowie nasi, pokolenie za pokoleniem, z godnością i wiarą, niekiedy bez nadziei, w poczuciu obowiązku chwytałi za broń. Ale za Polskę walczyli nie tylko wojownicy. Walczyli za nią i o nią rycerze słowa, nauki i dźwięków. W tej wzniosłej chwili myśl nasza dziękczynna pobieże ku tym duchom świetlanym, zasłużonym czią naszą głęboką i miłością serdeczną, wołając głośno: Obrońcy dostojni, skromni i cisi męczennicy, prorocy i zwiastuni, siewcy odrodzenia Polski niech będą błogosławieni!

Odrodzenie Ojczyzny poczęło się w ciemności, krwi i bólu. Zmęczona długą wojną, nękana przez najeźdźców Ojczyzna nasza zubożała. Zniszczono jej pola, bez litości wytrzebiono lasy, zrujnowano przemysł i ekonomiczne bogactwo doszczętnie, ustał nasz handel zewnętrzny, przerwały się niemal zu-

pełnie nasze stosunki z cywilizowanym światem. Tysiące ludzi znalazło się bez pracy, bez chleba, bez zdrowia. O tych wszystkich powinniśmy pamiętać.

Podczas gdy szczęśliwsze państwa sprzymierzone od trzech już miesięcy w zupełności święcą triumf, my jeszcze wciąż orężnie zagrożonych granic bronić musimy. W głębiach tej ziemi, której powierzchnia wiele ucierpiała, tkwią bogactwa i skarby ponętne i kuszące. Mamy węgiel, sól, cynk, ołów, galman, mamy olej skalny i wosk ziemny. Cóż więc dziwnego, że się bronić musimy? W trudnych zaiste warunkach obejmowałem władzę od poprzednika mego, podjąłem się ciężkiego obowiązku, przyjąłem władzę. Przyjąłem ją bez radości, ale tak, jak przystało w chwili niebezpieczeństwa, posłusznie i po żołniersku. Wielki to wprawdzie zaszczyt w Rzeczpospolitej tak wysoki piastować urząd, ale dla serca, któreby, wszystkim dogodzić pragnęło, zadanie to zbyt ciężkie, gdyby nie światłe rady tych panów, których współudział miałem zaszczyt pozyskać. Rząd nasz służy wyłącznie Ojczyźnie.

Przechodzę do polityki zagranicznej. W sierpniu 1917 r. powstał w Paryżu Komitet Narodowy polski. Pracowałem wówczas w Ameryce. Powstała tam w tym czasie armja ochotnicza przeciw państwom centralnym. Zdawało się mnie, zdawało się i innym, że Polska powinna dowieść świata, że się potrafi dobrowolnie bić przeciw Niemcom. Utworzyła się więc armja. Dla tej armji potrzeba było nadzoru i opieki, nie można jej było oddać w obce, niepowołane ręce. Przystąpiłem więc do Komitetu w Paryżu w charakterze pełnomocnika na Amerykę. Starał się Komitet spełniać swe zadania sumiennie i uczciwie. Dziś Komitet ten jest delegacją polską na kongresie pokojowym, działającą w imieniu obecnego Rządu polskiego.

Dotychczasowy wynik światowej wojny był wielkim triumfem polskiej idei. Stało się to, o czym nawet najśmielsi marzyć nie śmieli, to, o co tylko wierzący i ufni, idąc za przykładem Mickiewicza, żarliwie do Boga zanosili modły. Stał się cud, bo oto na sławę i chwałę polskiego narodu runęły i w gruzach leżą wszystkie trzy zaborcze i znieprawione cesarskie trony. Z największą zaciętością i zaciekłością walczyli aż do ostatniej chwili Niemcy, zadając nam za pomocą

wybuchowych pocisków i trujących gazów ciężkie straty i to nie tylko w naszych szeregach, ale także wśród ludności cywilnej.

Polska wymaga wielkiej armji. Od północnego wschodu i wschodu idzie zaraza. W rozszalałej i rozhuczałej Rosji żyje setki tysięcy naszych rodaków, żyje w głodzie, chłódzie, nędzy, grozie i trwodze. Tysiące ich już rozstrzelano jak zające. Mińsk, Pińsk i Wilno jeszcze w wrogich rękach. Niebezpieczeństwo jest wielkie i groźne.

Wysoki Sejmie! Polska wielkiej armji pożąda. Obrona Lwowa przeciwko Kozaczyźnie była i jest jedną z najpiękniejszych kart naszych dziejów. Ale ta obrona Lwowa z miesięcy ostatnich, tygodni i dni, bodaj jest piękniejszą i szczytniejszą jeszcze. Podjęły ją niewiasty, dziewczęta i dzieci nasze, a prowadzą ją dalej nieustraszone i mężne, ubogie lecz bohaterskie wojska nasze. Obrończyniom i obrońcom Lwowa cześć! Lwów nasz! Nasze już były z ziemią lwowską te Czerwone Grody bez mała przed tysiącem lat. Włodzimierz kijowski na Lachach je zdobywał. Odebrana Polakom, zdobyta ponownie przez Rusinów, stała się ta ziemia w r. 1140 samodzielnym państwem, które przeszedłszy zmienne, burzliwe losy, po 200 latach istnieć przestało. Od roku 1340, t. j. od chwili, gdy drogą spadku po ostatnim władcy Bolesławie Mazowieckim objął te ziemie Kazimierz Wielki w posiadanie, stał się Lwów i Ruś Czerwona częścią składową i nierozdzielną Polski. Czem jest Lwów dla Polski, jak jest jej drogi, jak nieodzowny, tego chyba Polakom tłumaczyć nie trzeba. Na południowym wschodzie Lwów jest najpotężniejszą wolności ostoją, jest strażnicą polskiego ducha, jest ogniskiem polskiej myśli. Jeżeli Warszawa była i jest sercem Polski, to przez długie lata ucisku i niewoli Kraków i Lwów były jakoby płuc dwoje, któremi cały naród chłonał niezbędne dla życia wolności powietrze. Lwów był polski, jest polski i będzie polski. Ale nie sam Lwów tylko. Na Czerwonej Rusi, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie żyje obecnie przeszło 3 miliony Polaków, trzy miliony ludu polskiego. My o nich pamiętać musimy. Dlatego prawa naszego do pokojowego na tych kresach współżycia, prawa naszego do udziału w pokojowym rozwoju i po-

stępu na tych ziemiach wyrzec się nie możemy i nie wyrzekamy.

Przechodzę do sprawy śląskiej. Dziwnym zbiegiem okoliczności wysokiemu Sejmowi, którego tak znaczna część z naszych kmieci się składa, sprawę króla chłopków rozstrząsać przypadło. Bo jeżeli Ruś i Lwów są naszym po Kazimierzu dziedzictwem, to sprawa Śląska jest naszym po nim spadkiem. Sprawę Śląska bada pilnie bawiąca tu komisja, złożona z przedstawicieli Francji, Anglii, Włoch i Stanów Zjednoczonych. Ale my mamy jeszcze z Czechami inne rachunki. Przed kilku tygodniami zabrali Czesi naszą polską ziemię na Spżu i na Orawie. A przecież każda ziemia, pracą chłopka polskiego uprawiana, jest naszym zagonem, przecież każda zagroda polska jest naszą zagrodą — jest ona placówką, naszą fortecą.

Polska nigdy państwem zaborczem nie była i nie będzie. Z wszystkimi narodami pragnie ona żyć w zgodzie i przyjaźni, a więc i z Czechami. Jeżeli państwo czeskie chce naprawić wyrządzoną nam ciężką krzywdę, to zgoda nastąpić musi, bo zgoda będzie dla dobra ludności, dla dobra obu narodów, dla dobra Europy konieczną.

Musimy skończyć z wojną na kresach wschodnich. Narody sprzymierzone wyczerpane, zmęczone milionowymi stratami żołnierzy, bić się już prosto nie mogą. Konferencja pokojowa nie może zmusić do zaprzestania walki tych właśnie, którzy się z pod wszelkich praw cywilizacyjnych usuwają. Musimy dopomóc sobie sami. Wysoki Sejmie! Ojczyzna nasza ongiś padła nie dlatego, żeby była występna, jak to twierdzą nasi wrogowie, lecz głównie dlatego, że nie miała wielkiej, silnej armji. Polska jest w tem położeniu, że cokolwiek się stanie, ona zawsze będzie zmuszona bronić swych granic. Oto dlaczego odwołuję się tu pokornie do Wysokiego Sejmu i powiadam, że jeżeli stąd ma wyjść urodziwa, zdrowa i trwała postać Rzeczypospolitej polskiej, to powinniśmy ją uczynić silną, potężną i wielką, powinniśmy dać jej wielką armję, aby jej znów żywej nie pogrzebano, jak to uczyniono z jej sędziwą macierzą. Jeżeli istotnie jesteśmy narodem wielkim, to powinniśmy skończyć z temi przewiskami wszystkich sił zbrojnych naszych. Jedna jest nazwa Polski, jedną też ma

być tylko nazwa polskiej armji. Oto zwracam się do ciebie, Sejmie polski, proszę, zaklinam i błagam o uchwalenie natychmiastowego poboru. Niech powstanie armja narodowa polska, armja prawdziwa, która potrafi ojczyźnie zapewnić spokój i swobodny rozwój. Niech tylko powstanie, a broń i amunicja, odzież i bielizna znajdą się natychmiast. Niech tylko powstanie, a zyskamy szacunek wrogów i poważanie przyjaciół. Wysoki Sejmie, jesteś nadzieją Polski, dajże więc jej siły. — Skończyłem.

LXXIX

## KOPIEC PAMIĄTKOWY W POZNANIU

T. GRABOWSKI — SŁOWO POLSKIE Z 15 MAJA 1919

Życie poznańskie stoi pod znakiem nieustannych uroczystości. Wydaje się, jakoby społeczeństwo pragnęło wyrazić w pełni swą radość z powodu zerwania z jarzmem zaborców. Korzysta więc z każdej sposobności, by okazać, że jest wolnym, że jest szczęśliwym, że lekceważy wszystkie trudności i przykrości bytowania za frontem bojowym, skąd dochodzą odgłosy nieustannych zapasów z niedawnymi panami tej ziemi.

Warto było widzieć gród Przemysławowy, jak podniosłe obchodził święto narodowe 3-go maja. Już dnia poprzedniego rozkwitły wszystkie domy i budynki publiczne tysiącami sztandarów. Z orła polskiego na szczycie ratusza usunięto z trudem pruską koronę, na pałacu cesarskim, zamienionym na uniwersytet, rozplonął sztandar piastowski.

Zgromadzeni w Poznaniu goście z dwu innych dawnych zaborów podziwiać mogli nastrój wprost niezrównany. Objawił on się podczas przeglądu wojsk pod miastem, dokąd wyszło 50 tysięcy osób. Formacje skautowe i bojowe przedstawiały widok, godny malarza. Zwłaszcza ułani gnieźnieńscy, strzelcy i saperzy poznańscy celowali sprawnością.



Po południu odbyła się barwna ludowa uroczystość sypania na Malcie kopca wolności. Do miejsca, na którym stanie kopiec, przybył olbrzymi pochód, duchowieństwo, wojsko i władze. Przemówił prymas Dalbor i wezwał obecnych do jedności i pracy około dobra narodu, następnie słów kilka wypowiedział ks. prałat Łukomski, naczelnik wydziału oświecenia, który rzucił myśl usypania pamiątkowego kopca. „Koło kopca — mówił — powstanie park narodowy. Dawniej prowadzono tu dzieci, by — skrycie przed zaborcami — uczyć je miłości ojczyzny. Teraz, po sromotnym pogromie zaborców, ofiarnością ogółu wzniesie się tu park wraz z szeregiem urządzeń, mających służyć fizycznemu wychowaniu wolnych pokoleń“. Po mowach zamurowano w fundamencie kopca puszkę z następującym aktem, spisany na pergaminie:

„Pokoleniu dzisiejszemu ku radości i pożytkowi, a wiekom potomnym ku zbudowaniu.

Działo się Roku Pańskiego tysięcznego dziewięćsetnego dziewiętnastego, dnia 3 maja, za czasów wielkiej wojny światowej, w której Sprawiedliwość Boża pomściła zbrodnię na Polsce przez mocarstwa pruskie, austriackie i rosyjskie w wieku ośmnastym dokonaną.

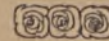
Po rozgromieniu sromotnem państw tych, Polska zmarłychwstała, a syny jej walczą na wszystkich kresach przeciw oddziałom łupieżców, z tychże państw do kraju polskiego się wdzierającym.

Wielkopolska, oswobodzona z pod jarzma pruskiego przez żołnierza polskiego, tworzy rządy tymczasowe, śle swoje syny na obronę Lwowa przeciw hajdamakom, na obronę Wilna przeciw hordom bolszewickim, odbudowuje szkolnictwo polskie, otwiera Wszechnicę Piastowską i wyczekuje ostatecznego złączenia się z całą Polską.

Wielkopolska, ta kolebka narodu polskiego, półtora wieku nękana, pragnąc upamiętnić i uświetnić całego narodu odrodzenie, za naczelnictwa Józefa Piłsudskiego, a rządów Sejmu Ustawodawczego w Warszawie, oraz Rady ministrów pod prezydenturą Ignacego Paderewskiego, tymczasowych rządów dzielnicowych Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i jej komisarzy: księdza patrona Adamskiego, pośła Wojciecha Kor-

fanteo, pośła Adama Łaszewskiego z Gdańska, redaktora Adama Poszwińskiego, prezesa Zjednoczenia zawodowego polskiego Józefa Rymera z Katowic na Śląsku i pośła Władysława Seydy, za panowania kościelnego papieża Benedykta XV i prymasa Polski, arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, Edmunda Dalbora, zakłada w Poznaniu „Park Narodowy“, a w nim ten oto sypie kopiec z martwychwstania, jako-pomnik Bożej Opatrzności i nieśmiertelności narodu polskiego.

Bogu na chwałę, a narodowi polskiemu na chlubę!“



## SPIS USTĘPÓW

	Str.
Wstęp . . . . .	1
I. Zjazd w Gnieźnie — M. Gallus: Kronika . . . . .	5
II. Królestwo Polskie i koronacja Bolesława Śmiałego — T. Wojciechowski: Szkice historyczne z XI w. . . . .	7
III. Ustawy łęczyckie — W. Kadłubek: Kronika . . . . .	10
IV. O szkołach w Polsce średniowiecznej do XIII w. — A. Karbowski: Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich . . . . .	11
V. Osadnictwo na prawie niemieckim w Polsce w wiekach średnich — F. Piekosiński: O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce wieków średnich . . . . .	13
VII. Starożytny Kraków — M. Bobrzyński: Bunt wójta Alberta z r. 1311	18
VIII. O królu Kazimierzu — Janko z Czarnkowa: Kronika . . . . .	22
IX. Dyplom założenia uniwersytetu w Krakowie przez Kazimierza W.	24
X. Początki Wilna — M. Baliński: Starożytna Polska . . . . .	27
XI. Życie i obyczaje Władysława Jagielly — J. Długosz: Historia polska . . . . .	28
XII. Ostatni poganie w Europie — J. Klaczko: Unja Litwy z Polską .	31
XIII. Cechy w dawnej Polsce — K. Bąkowski: Cechy krakowskie . .	35
XIV. O sejmach w Polsce — M. Bobrzyński: Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra . . . . .	38
XV. Urzędnicy koronni i nadworni — M. Bobrzyński: Dzieje Polski .	40
XVI. Urzędnicy ziemscy — M. Kromer: Polska . . . . .	41
XVII. Dwór królewski za Jagiellonów — St. Tomkowicz: Kultura Krakowa . . . . .	44
XVIII. Testament Zygmunta Augusta — L. Finkel: Charakterystyka Zygmunta Augusta . . . . .	46
XIX. Konfederacje — A. Rembowski: Konfederacja i rokosz w dawnym prawie państwowem polskiem . . . . .	47
XX. Z dziejów starożytnego Poznania — M. Baliński: Starożytna Polska . . . . .	48

	Str.
XXI. Stefan Batory i Iwan Groźny — A. Mickiewicz: Literatura słowiańska . . . . .	53
XXII. Warszawa w XVI w. — F. M. Sobieszczański: Rys historyczno-statystyczny miasta Warszawy . . . . .	59
XXIII. Rokosze czyli związki wojskowe — A. Rembowski: Konfederacja i rokosz w dawnym prawie państwowym polskim . . . . .	62
XXIV. Turnieje i gonitwy — K. W. Wójcicki: Obrazy starodawne . . . . .	64
XXV. Bitwa pod Kirchholmem — A. Naruszewicz: Żywoć Karola Chodkiewicza . . . . .	66
XXVI. Domy szlacheckie w XVII w.: Wł. Łoziński: Prawem i Lewem . . . . .	70
XXVII. Hetman w niewoli — K. Szajnocha: Szkice historyczne . . . . .	73
XXVIII. Wawel — A. Grabowski: Kraków i jego okolice . . . . .	75
XXIX. Lwów dawny — Wł. Łoziński: Lwów starożytny . . . . .	77
XXX. Zamek królewski w Warszawie za Władysława IV. — W. Czajewski: Warszawa . . . . .	81
XXXI. Kozaczyzna — M. Dubiecki: Obrazy i studia historyczne . . . . .	83
XXXII. Bitwa pod Beresteczkiem — L. Kubala: Szkice historyczne . . . . .	86
XXXIII. Chmielnicki pod Lwowem 1655 r. — Fr. Jaworski: Obrona Lwowa 1655 . . . . .	91
XXXIV. Wzięcie wyspy Alsen — J. C. Pasek: Pamiętniki . . . . .	104
XXXV. List Jana III Sobieskiego do królowej po zwycięstwie pod Wiedniem w r. 1683 . . . . .	106
XXXVI. Fryderyk II i August III — S. Askenazy: Dwa stulecia . . . . .	109
XXXVII. Szkoły za Augusta III — J. Kitowicz: Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. . . . .	111
XXXVIII. Ostatnia elekcja — J. Lelewel: Dzieje Polski . . . . .	114
XXXIX. Oświata za Stanisława Augusta — J. Lelewel: Dzieje Polski . . . . .	115
XL. Obliczenie i charakterystyka stanów w Polsce w epoce St. Augusta — T. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stan. Augusta . . . . .	116
XLI. Pańszczyzna w Polsce — O. Balzer: Konstytucja trzeciego maja . . . . .	122
XLII. O znaczeniu konstytucji trzeciego maja. — O. Balzer: Konstytucja trzeciego maja . . . . .	125
XLIII. Z dziejów Gdańska — S. Askenazy: Wczasy historyczne . . . . .	128
XLIV. Ostatnia nobilitacja — J. Szujski: Opowiadania i roztrząsania . . . . .	135
XLV. Uniwersał Polaniecki — T. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta . . . . .	138
XLVI. Niemcewicz w więzieniu po klęsce Maciejowickiej — J. U. Niemcewicz: Pamiętniki czasów moich . . . . .	140
XLVII. Z pod Maciejowic na Kamczatkę — Dziennik Józefa Kopcia, brygadiera wojsk polskich . . . . .	147
XLVIII. Po trzecim rozbiórce — B. Dembiński: Legjony . . . . .	156

	Str.
XLIX. Powstanie legjonów — L. Finkel: Pieśń Legjonów . . . . .	159
L. Najstarszy tekst Pieśni Legjonów. — J. Wybicki: Pieśń Legjonów Polskich we Włoszech (według kopji biblioteki Ossolińskich) . . . . .	164
LI. Odezwa Dąbrowskiego z dnia 20 stycznia 1797 . . . . .	165
LII. Odezwa ks. Józefa Poniatowskiego do mieszkańców Lwowa (r. 1809) . . . . .	165
LIII. Zajęcie Stanisławowa przez oddział wojsk polskich w r. 1809 — F. C.: Pamiętniki . . . . .	166
LIV. Zdobywanie Somosierry — Wł. Wójcicki: Somosierra (Biblioteka Warszawska r. 1855) . . . . .	169
LV. Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego — S. Askenazy: Ks. Józef Poniatowski . . . . .	173
LVI. Manifest okupacyjny króla pruskiego — K. Rakowski: Powstanie poznańskie. . . . .	175
LVII. Przyjazd do Warszawy Aleksandra, cara Rosji — J. U. Niemcewicz: Pamiętniki . . . . .	176
LVIII. Sypanie mogiły Kościuszcza w Krakowie — St. Wodzicki: Pamiętniki . . . . .	178
LIX. Stanisław Staszic — W. Kalinka: Sejm czteroletni . . . . .	183
LX. Młodzież na uniwersytecie wileńskim — M. Mochnacki: Powstanie narodu polskiego w r. 1830 . . . . .	186
LXI. Manifest sejmu Królestwa Polskiego, uchwalony na sesji 20 grudnia 1830 — F. Wężyk: Powstanie Królestwa Polskiego w r. 1830 i 1831 . . . . .	190
LXII. Zdobywanie Warszawy — A. Śliwiński: Powstanie listopadowe 195	
LXIII. Karol Marcinkowski — Wł. Motty: Przechadzki po Poznaniu 198	
LXIV. Charakterystyka Teofila Wiśniowskiego — R. Nabelak: Pamiętnik więźnia stanu . . . . .	202
LXV. Wybuch powstania 1848 r. w Poznańskim — K. Rakowski: Powstanie poznańskie . . . . .	203
LXVI. Obchód rocznicy unji lubelskiej w Kownie r. 1861 — Struś: Szkice z powstania . . . . .	206
LXVII. Śmierć Traugutta — M. Dubiecki: Romuald Traugutt . . . . .	208
LXVIII. Kaszubi w powstaniu styczniowym — J. Łukaszewski: Zabor pruski w czasie powstania styczniowego . . . . .	211
LXIX. Murawjew na Litwie — M. Murawjew: Pamiętniki . . . . .	212
LXX. Obchód trzechsetnej rocznicy unji lubelskiej we Lwowie — Dziennik Lwowski z dn. 12 sierpnia 1869 . . . . .	216
LXXI. Prześladowanie unitów — Sprawozdanie konsula angielskiego . . . . .	218
LXXII. Mobilizacja — W. Sieroszewski: Legjony na polu walki . . . . .	220
LXXIII. Pod Rokitną — St. Rostworowski: Szablą i piórem . . . . .	223
LXXIV. Rozkaz komendanta legjonów Durskiego po bitwie pod Rokitną . . . . .	229
LXXV. Po pokoju brzeskim — A. Turzyma Prus: Po pokoju brzeskim 229	

	Str.
LXXVI Obrona Lwowa w listopadzie 1918 r. — J. Wąsowicz: Listopad 1—22 XI 1918 we Lwowie . . . . .	236
LXXVII. Pierwszy sejm wolnej, zjednoczonej Polski — Gazeta Lwowska z 11 lutego 1919 . . . . .	242
LXXVIII. Mowa Paderewskiego na sejmie w dniu 20 lutego 1919 — Gazeta Lwowska z 25 lutego 1919 . . . . .	245
LXXIX. Kopiec pamiątkowy w Poznaniu — T. Grabowski (Słowo Polskie z 15 maja 1919) . . . . .	249



**DOSTRZEŻONE OMYŁKI:** Przy drukowaniu numerów ustępów opuszczono Nr. VI — liczby zatem ustępów od VII do LXXIX są o jeden numer zawczesne.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 38070



BGZs 38070

643/72

45-

